

11 cięc

Replika 2011

# SPONIEWIERANA

## Graham Masterton

*Graham Masterton (ur. 1946) - popularny pisarz angielski, autor ponad stu książek: horrorów, thrillerów, powieści historyczno-obyczajowych, poradników seksuologicznych oraz zbiorów opowiadań. Swój pierwszy horror Manitou wydał na początku lat siedemdziesiątych. Książka już kilka dni po premierze stała się bestsellerem. Na jej podstawie powstał film w reżyserii Williama Girdlera z Tonym Curtisem i Susan Strasberg w rolach głównych. Wiele jego pozycji, jak choćby Kostnica, Dziecko ciemności czy Demony Normandii otrzymało wyróżnienia literackie w USA i Europie. Graham Masterton bardzo ceni Polskę i często ją odwiedza.*

Po południu zaczęło wręcz niedorzecznie mocno padać, skryły się więc pod płócienną markizą zagraconego straganu.

- Powinnaś od niego odejść - stwierdziła Sylvia, przekrzykując bębnienie deszczu. - Powinnaś wszystko spakować, zabrać dzieciaki i wyjechać. Zawsze możesz wpaść do Tunbridge Wells i zostać z nami, dopóki nie znajdziesz sobie czegoś innego.

- Jak mogłabym? - spytała Lily. - I dlaczego? Poppy dopiero zaaklimatyzowała się w Elm Trees. Nie chcę jej denerwować kolejną przeprowadzką. A Jamie i tak ciągle moczy łóżko. Poza tym, cholera, połowa domu należy do mnie. Trzy lata zajęło mi dekorowanie go w dokładnie taki sposób, o jakim marzyłam.

- Lily, dłużej tak nie może być. Pewnego dnia on cię zabije.

Lily nie miała pojęcia, co powiedzieć. Wiedziała, że Sylvia ma rację. Chociaż było pochmurne, wrześnie popołudnie, ona nosiła ciemne okulary, żeby ukryć podbite oczy. Dwie noce temu Stephen wrócił do domu nie w humorze. Był podchmielony, chociaż nie kompletnie pijany, jak mu się to już wcześniej zdarzało. Zrobiła jego ulubioną zapiekankę z kurczakiem i pomidorami, ale z jakichś tajemniczych powodów on uznał to za kpinę. „Co? Myślisz, że jestem jakimś wieśniakiem i ciągle mam jeść tylko zapiekankę z kurczakiem i pomidorami?”

Upuścił rondel na kuchenną podłogę, tłukąc płytki i opryskując jej kostki gorącym, czerwonym sosem, a potem uderzył ją, tylko raz, w samą nasadę nosa.

- Ja bym wezwała policję - oświadczyła Sylvia.

- O tak, a Stephen powiedziałby im, że jest zestresowany, przepracowany, że bardzo przeprasza i że już nigdy więcej nie

podniesie na mnie ręki.

- Lily, proszę, przynajmniej spotkaj się z adwokatem.

Błyskawica przecięła niebo nad kasztanowcami, otaczającymi zielony, wiejski teren, a tuż po niej rozległ się burczący odgłos grzmotu. Dzieciaki, krzycząc, biegały w deszczu pomiędzy namiotami.

- Dlaczego musi padać zawsze, kiedy organizujemy festyn? Można by pomyśleć, że Bóg będzie wspierał zbiórkę pieniędzy na schronisko dla osłów. Jego syn podróżował przecież na ich grzbietach - powiedziała Sylvia.

Lily jednak nie słuchała. Gapiła się na kobietę, która schroniła się pod sąsiednim namiotem z ciastkami. Nosiła szary kapelusz z dzianiny i szary przeciwdeszczowy płaszcz. Miała bladą, suchą twarz i szczelnie zaciśnięte usta. Towarzyszył jej mały szary terier bedlington, który ciągle się otrząsał. Lily zaniepokoiło, że gapi się na nią zupełnie nie mrugając. Odwróciła na chwilę głowę, ale kiedy spojrzała ponownie, nieznajoma nadal się w nią wpatrywała.

- Widzisz tę kobietę? - spytała Sylwię.

- Jaką kobietę?

- Tamtą - w szarym płaszczu, z psem. Stoi obok stoiska z ciastkami.

- No i co z nią?

- Gapi się na mnie od paru minut.

Sylvia skrzywiła się.

- Może cię zna?

- Ja jej nie znam. Spójrz tylko, ona nadal się na mnie patrzy.

Rozległ się kolejny grzmot, tym razem dużo dalej. Deszcz jakby złagodniał. Po paru minutach wyszły spod markizy, a alejki między namiotami znów wypełniły się ludźmi. Lily

próbowała dojrzeć ubraną na szaro kobietę, ale ta gdzieś zniknęła.

Zanim odebrała Poppy z Elm Trees, Lily zatrzymała się za podwójną, żółtą linią na High Street, by kupić kotlety wieprzowe, fasolkę szparagową i bochenek świeżego chleba. Zaszła też do monopolowego po dwie butelki przecenionego Merlota.

Stephen bardzo go lubił, a ona pomyślała, że nie zacznie potępiać go za picie, dopóki będzie to robił z umiarem. Może wtedy nie pomyśli, że ona ciągle go osądza. „Zawsze mnie osądzasz, tylko dlatego, że twój ojciec jest radcą prawnym. Wydaje ci się, że kim jesteś, do cholery?”

Czekała przy ladzie sklepu monopolowego. Wyjrzała przez szybę tylko na chwilę, by upewnić się, że w pobliżu nie kręci się żaden parkingowy. Była tam, stała tuż przy oknie i przyglądała się jej; kobieta w szarym kapeluszu i płaszczu przeciwdeszczowym, ze swoim terierem bedlingtonem.

Lily już miała wyjść na zewnątrz i zapytać nieznajomą, czego chce, kiedy kasjer wziął od niej butelki Merlota i rzekł:

- Dzień dobry pani. Płatność kartą?

Zanim zapłaciła i wyszła ze sklepu, omiotła wzrokiem całą High Street, ale po nieznajomej nie było już ani śladu.

Tego wieczoru położyła Poppy i Jamiego do łóżek nieco wcześniej i przeczytała im Chris Cross w Snappykrainie, bajkę o niegrzecznym chłopcu, porwanym przez potwory, które mogły krzyczeć znacznie głośniej, niż on sam.

- Mamusiu - powiedziała Poppy, kiedy Lily ją nakrywała.

- Nie wyjeżdżamy, prawda?

- Oczywiście, że nie, cukiereczku.

- Ale tatuś zawsze krzyczy i sprawia, że płaczesz. Nie lubię tego.

- Tatuś ma dużo zmartwień w pracy. Niesie ciężki krzyż, zupełnie jak Chris Cross\* w Snappykrainie. On tak naprawdę nie myśli źle.

- Słyszałam, jak powiedziałaś tacie, że nas zabierzesz.

- To dlatego, że i mnie przytłoczył ten krzyż. Ale ja również nie miałam tego na myśli.

- Ta pani powiedziała, że nie możesz nas zabrać.

- Pani? Jaka pani?

- Stała przy placu zabaw i w pewnym momencie zawołała mnie. Powiedziała: „Poppy”. A potem dodała, że „mamusia nie może odejść od tatusia”.

Lily wlepiała w nią spojrzenie.

- Jak wyglądała ta pani?

- Miała szary, wełniany kapelusz i szary płaszcz przeciwdeszczowy. I psa, który wyglądał jak brudne jagnię.

- Coś jeszcze powiedziała? Jak się nazywa, albo skąd zna twoje imię?

Poppy pokręciła głową.

- Zadzwoił dzwonek i musiałam wrócić do szkoły.

Było prawie piętnaście po dziesiątej, a Stephen nadal nie wrócił do domu. Lily stała bez ruchu w salonie, z kieliszkiem Merlota w dłoni, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze nad kominkiem, jakby się nie rozpoznawała. Trzydziestopięcioletnia kobieta z krótko przyciętymi blond włosami i czarnymi oczyma, które teraz przybrały wszystkie kolory tęczy, jakby nosiła maskę.

Nie wiedziała, czy ma zacząć jeść kolację, czy nie. Było już tak późno, że straciła apetyt, poza tym nie wiedziała, w jakim stanie Stephen wróci do domu. Nadal stała przed lustrem, kiedy zadzwonił dzwonek. Wyszła na korytarz, żeby otworzyć. Przez zielonożółtą szybę w drzwiach widziała ciemny,

wykrzywiony kształt.

- Kto tam? - zawołała.

Przez moment panowała cisza, a potem zabrzmiał kobiecy głos:

- Nie otwieraj drzwi. Nie ma potrzeby. Ale nie zabieraj dzieci.

- Co? Kim jesteś? - zapytała ostrym tonem.

Odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi na oścież. Na ganku stała kobieta w szarym kapeluszu i szarym płaszczu przeciwdeszczowym, a jej twarz miała kolor szarej gazety.

Kiedy tylko zobaczyła Lily, wrzasnęła:

- Nie zabieraj dzieci! Nie dziś! Jeśli to zrobisz, przydarzy ci się coś okropnego!

Przerażona Lily zatrzasnęła drzwi. Stała w korytarzu i trzęsła się. Z piętra dobiegł głos Poppy:

- Mamusiu! Mamusiu! Jamie zmoczył łóżko!

Ponownie podeszła do drzwi frontowych. Światło na ganku przeświecało przez barwioną szybę, a kształtu kobiety nie było już widać. Zaciągnęła łańcuch bezpieczeństwa i delikatnie uchyliła drzwi. Kobieta zniknęła. Lily widziała tylko światła latarni, migocące między drzewami, i słyszała jedynie stłumiony dźwięk ulicznego korka.

Wyłączyła światła w salonie i już miała wejść na piętro, aby wziąć prysznic, gdy frontowe drzwi otworzyły się z ogłuszającym trzaskiem.

- Lily! Lily? Gdzie jesteś, do cholery?

Wróciła na korytarz. Stephen opierał się o otwarte drzwi, jego włosy sterczały jak u chłopca, a krawat był przekrzywiony. Wyczuła od niego alkohol i wymiociny.

- Stephen... - jęknęła.

- O, poznajesz mnie! Wiesz kim jestem! Cóż za zmiana!

Zrobił trzy chwiejne kroki naprzód, stracił równowagę i prawie się z nią zderzył.

- Odejdź ode mnie - powiedziała mu.

- Odejść od ciebie? Nie to mówiłaś w naszą noc poślubną, dziwko!

- Stephen, jesteś pijany i śmierdzisz. Wejdź na górę, weź prysznic i idź do łóżka.

Stephen stał w korytarzu, chwiejąc się. Miał nieobecne spojrzenie, ale się uśmiechał.

- Stephen - powtórzyła i właśnie wtedy uderzył ją tak mocno, że aż odbiła się od ściany.

Upadła na podłogę, ale Stephen chwycił przód jej sukienki i rozdarł materiał. Podniósł żonę na nogi i zaczął ją bić, raz po razie.

- Wiesz, czym jesteś?! - wrzeszczał. - Wiesz, czym jesteś?!

Poppy i Jamie płakali, kiedy zapakowała ich do jej merivy. Dźwignęła wielką, niebieską torbę podróżną na tylne siedzenie i zatrasnęła drzwiczki. Kiedy wspięła się na siedzenie kierowcy, Stephen ponownie pojawił się na ganku.

- Lily! - wydarł się. - Nie zabierzesz moich dzieci, Lily. Nigdzie nie jedziesz, ty suko!

Stoczył się po schodkach w ich kierunku. Lily przekręciła kluczyk w stacyjce i zapaliła silnik. Poppy krzyczała, a Jamie wydawał z siebie płaczliwy, pełen paniki gwizd.

Stephen wałnął pięścią w tylne okno merivy, a Lily przycisnęła pedał gazu tak, że samochód zjechał z podjazdu, rozpryskując żwir.

Nastąpił głęboki, ciężki odgłos uderzenia i Lily zobaczyła przed sobą ciało koziółkujące w powietrzu. Potoczyło się po jezdni, aż nagle przejechał po nim inny samochód, a ręce



wyleciały w powietrze i plasnęły o siebie, jakby klaskały.

Trzęsąc się z szoku, Lily wyszła z samochodu prosto na drogę. Kobieta w szarym, wełnianym kapeluszu i szarym płaszczu przeciwdeszczowym leżała na plecach, gapiąc się na nią niewidzącymi oczami.

Lily odwróciła się. Zdażył się już zebrać niewielki tłum gapiów. Kierowca drugiego samochodu dzwonił po karetkę. Jednakże obok frontowej bramy stała ta sama kobieta, w szarym kapeluszu i płaszczu, ze swoim > terierem bedlingtonem.

Lily przeszła przez ulicę i podeszła do niej. Obraz kobiety wydawał się falować, jakby oglądany przez strumień bieżącej wody.

- Ty nie żyjesz - wyszeptała Lily. - Jesteś tam... Leżysz na drodze. Nie żyjesz.

- Staralam się ciebie ostrzec - odpowiedziała kobieta. - Powinnaś! była odejść rok temu, kiedy po raz pierwszy cię uderzył. Ale za bardzo bałaś się samotności. W głębi duszy podoba ci się bycie ofiarą, prawda? To sprawia, że czujesz się potrzebna. Tym razem powinnaś była zostać, ostrzegałam cię... Zobacz, co narobiłaś.

-Tak mi przykro... - powiedziała Lily, ale kobieta odwróciła się i odeszła, zostawiając swojego psa na chodniku. Zniknęła za rogiem.

- Przepraszam! - krzyknęła za nią Lily. - Tak bardzo przepraszam...

MARZENIE  
Paweł Paliński

*Paweł Paliński (ur. 1979) - z pochodzenia warszawiak,*

*obecnie mieszkaniec Stalowej Woli. W 2009 roku ukazał się jego debiutancki zbiór opowiadań 4 pory mroku, znakomicie przyjęty przez krytykę. Obecnie pracuje nad nowymi książkami.*

Tytułem wstępu.

Dawniej Paige, Henry i J.B.

W tamtych odległych czasach, gdy wciąż jeszcze nazywał się Jorge Bellamy, a nie, tak jak dziś, Zejściowy Joe (i, co ciekawe, wtedy, mimo egzotycznego imienia ani odrobinę nie mówił po hiszpańsku; ale to przecież bez znaczenia, skoro teraz prawie w ogóle nie mówi) Jorge spędził niezapowiedziane wakacje w Meksyku. Pewnego letniego poranka, tuż po przebudzeniu, rodzice bez słowa wyjaśnienia nakazali mu po prostu pakowanie plecaka, w międzyczasie zaś załadowali należącego do nich zdezelowanego volkswagena garbusa masą tobołków, wypełnili go niemal pod sam dach, w każdy wolny kąt upchnęli wydobyte z szaf, pachnące naftaliną plecaki i torby, ścisnęli udo przy udzie i bark obok barku, a to nie wszystko, bo jakby tego było mało, koce, koszyki, termosy, termostaty, śpiwory i jednorazowe sztucce zrzucili sobie pod nogi, zostawiając dokładnie tyle miejsca, aby kierowca jako tako naciskał pedał gazu, a pasażerowie, patrz Jorge i Paige, rozłożeni wprost na bagażach, nie musieli trzymać zbyt długo stóp w powietrzu. Następnie w popielniczki zapobiegawczo wsypali drobne monety na wszelkie opłaty, takie jak: przydrożne parkingi, żebracy koczujący przy skrzyżowaniach, bramki na granicach stanów, przekąski, których kupowanie nie wymagało wysiadania z samochodu, gra w karty na centy podczas ewentualnych niezapowiedzianych postojów, natrętne dzieci myjące przednie szyby samochodom uwięzionym w

korkach, napiwki dla milczących mężczyzn obsługujących pompy

benzynowe w pomniejszych miejscowościach oraz inne wymagające posiadania odliczonej kwoty nieprzewidziane wydatki. Do schowka na rękawiczki wsunęli puszkowane orzeszki ziemne do pogryzania w chwilach podróźniczej zgrzyzoty i cukierki kawowe, gdyby ta okazała się niezwłocznie potrzebna, a w mijanej właśnie okolicy zabrakło automatów ze świeżą kawą.

J.B. na koniec, ze wszelkimi honorami, usadzono na wierzchołku tej góry rupieci.

Zanim ruszyli, ojciec wykonał karkołomny taniec plemienny wokół garbusa, żartobliwie zaklinając jego niezawodność w trasie. Już za kierownicą ustawił lusterko wsteczne tak, żeby widzieć w nim żonę i syna, i powiedział:

- Nareszcie dowiemy się, co ci strzeliło do głowy z tym jego imieniem.

Jorge nie zrozumiał żartu. Matka wystawiła język zamiast odpowiedzi.

Był lipiec, sobota, dziewiąta rano. Lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku z hukiem zbliżały się ku niechybnemu końcowi. Samochód zakaszłał i ruszył.

Zatłoczone weekendową krzątanią przedmieścia Catkin Meadows dotkliwie opóźniły początek podróży, ale gdy tylko volkswagen poczuł pod kołami szeroką, gładką nawierzchnię autostrady, wyrwał do przodu, nadrabiając stracone godziny, i zanim Bellamyowie się spostrzegli, pędzili Trzydziestką Piątką przez wypalone połacie Teksasu, zasłuchani w kolejne regionalne listy przebojów, na których niezmiennie królował bluegrass, i zanim się spostrzegli po raz drugi, powitało ich Laredo, autostrada stopniała w San Daro Avenue, aż wreszcie

pęd powstrzymały zasieki granicy z Meksykiem, gdzie podczas przekraczania Międzynarodowego Mostu Numer i nad Rio Grandę, gruby i blady amerykański strażnik z łatami potu pod pachami wielkimi niczym czarne skrzydła, kiwnął leniwie z wnętrza federalnej budki mrużąc: Goodbye, aby po kilkunastu metrach szczupły jak trzcina i brązowy jak trzcinowy cukier meksykanin z uczer- nionym wąsikiem zaświergotał, salutując z emfazą: Buenas tardes!

Mexicanos algrito de guerra!

El acero aprstady el bridon!

Y retiemble en sus centros la tierra!

Al sonoro rugir del canon!

Ach! Od pierwszego wejrzenia zakochali się w meksykańskich górach!

Zatrzymali się u ich podnóża w El Salto, wynajęli pokój za przystępną cenę kilkuset pesos w niewielkim, ukrytym wśród drzew hoteliku Los Pinos (głuchawy portier śmiesznie sylabizował odczytywane z paszportów imiona: or-he, ah-ry, i z nieznanego powodu tylko Paige nie skaleczył ciężkim akcentem Zapoteków), potem, zachwyceni widokiem, który ich otaczał, wpatrzeni w szczyt Cerro Chorreras niczym w podświetlony zachodem słońca znak, oznajmiający po disneyowsku: „Meksyk, koniec wędrówki!”, sączyli lemoniadę na zacienionym tarasie. Czas, jeżeli nie zatrzymał się w tamtym momencie, to przynajmniej drastycznie zwolnił. Chmury płynęły na przykład o wiele stateczniej niż w USA. Psy na ulicach prześlizgiwały się od krawężnika do krawężnika z iście łyżwiarską nonszalancją. Nawet komary, które od czasu do czasu zakradały się pod moskitiery i kąsały Jorge w łydki, brzęczały o ton niżej niż te, które legły się w stawie ich ogródka w Catkin - jadowity brzęk krył w sobie, wraz z ostrzeżeniem, wyraźną nutę gnuśności.

W oddali, w gęstniejącym mroku, mrugały światła pobliskiej wojskowej bazy, niczym wiecznie czujne czerwone i białe oczy powracających z zaświatów duchów dawnych rurales...

U kresu, myśleli wszyscy troje.

Rozłożeni wygodnie na drewnianych, pachnących smołą leżakach, rozmawiali o każdej nowej gwiazdzie, która pojawiała się na niebie, bawili się też w odgadywanie nazw widzianych pod zupełnie nowymi kątami gwiazdozbiorów, poszukiwali dryfujących pomiędzy nimi satelitów. Tak minął im wieczór i zapadła noc - powoli i czule. Skulony w kłębek Jorge z premedytacją poddawał walkę z ciężącymi mu powiekami, Paige i Henry tymczasem mruzcili do siebie w gęstniejącym mroku ponad jego głową.

- Czy dobrze zrobiliśmy?

Co dobrze zrobiliśmy?, zastanawiał się Jorge, zapadając w sen.

- Nie wiem.

Nie wiem, nie wiem... Mój tata wie wszystko...

- Czy to dobry moment?

Dobry...

- Nie ma na to dobrego momentu.

Dobrego...

- Spędźmy przynajmniej miło czas. Póki co.

Póki co?

Henry zniżył głos do szeptu i aby dosłyszeć, co mówi ojciec, Jorge wyteżył całą swoją gasnącą uwagę. Wrażenie, którego doświadczył, przypominało przechylenie się nad głęboką studnią w poszukiwaniu plusku niewidocznej wody - rosnące napięcie na granicy utraty równowagi - nie nagłe jednak, lecz wyczekiwane...

Póki co?

Ciiii... Noc. Zanim się spostrzegł, Jorge spadał gdzieś, nie wiadomo gdzie, środkiem aksamitnego milczącego tunelu o rzeźbionych w dziwne kształty ścianach.

- Ciiii... - ostrzegła jeszcze raz Paige przykładając palec do ust.

Zmęczony, Jorge zasnął z policzkiem wtulonym w kościste kolana ojca.

Zapomniał.

Zejściowy Joe pomyślał: kaka.

Zejściowy Joe pomyślał: papu.

Harry i Paige pomyśleli: mój boże jak on wygląda przecież to niemożliwe żeby tak bardzo się zmienił wiatr za oknem to nie wiatr tak dmie syk jak on się wije! sztuczne płuco pielęgniarka chirurg wenflon żółty płyn tłoczony do żołądka ma takie chude ręce cały jest taki chudy czy on coś czuje? lepiej żeby nie czuł lepiej żeby czuł nie! lepiej żeby nie czuł ten zapach nad pościelą odleżyny zgniłe kwiaty w wazonie

Zejściowy Joe pomyślał:

Zejściowy Joe pomyślał:

Harry i Paige pomyśleli: mój boże jak szybko bije nam serce a jemu jak wolno naoliwili naoliwili dobrze ten mechanizm antybiotyk tlen a jego głowa jak balon napompowana leci gdzieś w dal gdzie?

„Esplendido! Nadchodzące dni zapowiadają się pocztówkowo piękne!”

Na drugi dzień lokalna dwujęzyczna radiowa stacja, której zakres z trudem odnaleźli na sfatygowanej wieży stereo w hotelowym pokoju, prócz wszystkich hola i andere wygłaszanych przy każdej niemal okazji, przepowiedziała ciepłym głosem spikera o bezbłędnej dykcji samouka, że nad

„Mejico na krótko rozwarły się bramy Edenu". Więcej w tym było co prawda wyrachowanej zachęty, kierowanej ku podobnym Bellamym turystom, niż dobrych nowin dla farmerów z El Salto - ci zamiast uśmiechów poprzybierali srogie miny i przystając w pół kroku, zapatrzeni w poranne niebo o kolorze gazowego płomienia, w odpowiedzi na zwrot: piękną mamy pogodę, kręcili wymownie głową, szepcząc niezmiennie: no aaaa, no aaaa - ojciec Jorge, nie zważał jednak na radiowy brak skrupułów i bezczelnie wątpił w przyszłe żywiołowe klęski.

- To zabobony - powiedział po powrocie z porannego spaceru, wachlując się naręczem hiszpańskich czasopism. - Wszyscy tu są nieludzko zabobonni. Drepcz w kółko i biadol: umrzemy, umrzemy, a od razu przyjmą cię jak swojego.

Jorge i Paige ochoczo mu przyklasnęli.

Śniadanie zjedzono w pachnącej brzoskwiniami stołówce. Obsługiwani przez dwóch rozbrykanych kilkunastolatek w schludnych mundurkach, wyhaftowanych w regionalne wzory, z ustami pełnymi owocowej chimichangi Bellamyowie raz po raz pytali, co te wzory przedstawiają, lecz chłopcy w biegu odpowiadali tylko ze śmiechem: no abla inglese.

Como al golpe del rayo la encina,  
se derrumba hasta el hondo torrente,  
la discordia vencida, impotente,  
a los pies del arcángel cayó!

Po posiłku cała trójka wróciła do wynajętego pokoju. Tuż po przekroczeniu progu podwieszony pod sufitem wentylator ruszył w powolny piruet, trzepocząc głucho niczym nabity na pal wieloskrzydły metalowy motyl. Bellamyowie najpierw z ulgą odkryli, że wśród rattanowych mebli ostała się jeszcze odrobina wieczornego chłodu, lecz chwilę potem, ku ogólnej

rozpaczy, wszelki chłód umknął błyskawicznie przez drzwi, ocierając się im o kostki niczym zawstydzony, nieproszony gość - rozpoznali na skórze dotyk jego oddalających się chłodnych palców. Pomimo wczesnej godziny w hotelowych wnętrzach panoszyła się już w najlepsze duchota, mdły przedsmak rozgrzanego zenitu, osiadające ciężko na piersi ostrzeżenie przed nadchodzącą potworną spiekotą.

- Ufff - szepnął Harry. - Witajcie w piekle.

Jorge podchwycił żart i aby przypodobać się ojcu przyłożył zwinięte pięści do skroni i wyprostował palce wskazujące, bodąc go w brzuch. Ojciec z przyklejonym do ust niewesołym uśmiechem odgonił się od niego jak od natrętnej muchy. Paige ciężko usiadła na łóżku. Zacisnęła usta, jak gdyby trzymała za nimi kwaśnego cukierka. Harry rozłożył gazety.

Jorge, który jak najszybciej chciał zwiedzić okolicę, zaniepokoiła ta nagła apatia rodziców, lecz podniecenie szybko wzięło w nim górę nad przykrym uczuciem; był w końcu na wakacjach. W Meksyku! Kręcąc się tu i tam zauważył, jak szybko czerwony słupek zawieszzonego na okiennicy termometru pnie się w górę na kształt zamkniętej w kapilarze kolonii tropikalnych mrówek, z własnych ciał budujących żywe mosty. Zafascynowany tym widokiem oparł łokcie na parapecie i licząc w myślach sekundy, rozpoczął obserwację wędrówki gęstego metalu. W Catkin rzadko kiedy temperatura przekraczała osiemdziesiąt kresiek, a tu słupek na jego oczach sięgał coraz to wyższych szczytów: dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt pięć, sto stopni Fahrenheita, szklana fiolka trzeszczała, jeszcze trochę i na pewno wytryśnie, niczym zbyt silnie ściśnięty owad. Uchem Jorge wyłowił cichy trzask i zaraz wyobraził sobie nieuniknioną kolorową eksplozję. Okazało się jednak, że to tylko jego napchane bagaże naprężyły się pod wpływem ciepła niczym



dojrzałe owoce, żądając natychmiastowego rozpakowania, opróżnienia - chłopiec wyrzucił więc wszystko, co w nich poupychał, na podłogę i zajął się zapelnianiem hotelowych szaf.

Paige raz i drugi kichnęła, beznamytnie przyglądając się krzątaniu syna.

Harry otarł pot z karku i zaczął dłubać paznokciem w zębach.

W pomieszczeniu z nieznanego powodu zapanowała atmosfera, jakby wszyscy znaleźli się wewnątrz mechanizmu, który, choć ruszył z kopyta, teraz najwyraźniej się przegrzał. Powietrze coraz intensywniej pachniało suszoną lawendą i rozgrzaną futbolową piłką, zapachami lata. Jorge zrobił głęboki wdech, za wszelką cenę starając się skupić na rozładunku własnych rzeczy. Zachowanie rodziców zdominowała obca mu sztuczność i na powrót ogarniało go zaniepokojenie. Gdy już zappełnił wszystkie półki poskładanymi w kostkę koszulkami i szortami, usiadł krzyżując nogi, głośno przekartkował wydobyty z plecaka przewodnik i zapytał ostrożnie:

- Kfe-tal?

Paige, nie zwracając na niego uwagi, po raz kolejny kichnęła. Poskarżyła się, że wentylator nic tylko miele kurz i właśnie przez to jej szkodzi. Harry, zamiast słów otuchy, cmoknął i przełknął jakiś niewidzialny kęs. Jorge ze świstem wypuścił powietrze. Harry koniuszkiem języka oblizał górne zęby. A psik, kichnęła Paige. I znowu. „Kurz”, przypomniała.

Harry mruknął: „Spokojnie, zaraz coś wymyślę.” Nie czekając na rezultat jego rozmyślań, Paige prychnęła i nadąsana zamówiła przez telefon wódkę z martini. Po paru chwilach Henry także podniósł słuchawkę i płaskim głosem poprosił o gin z tonikiem. Obsługa błyskawicznie dostarczyła napoje w zimnych szklankach i wyszła tyłem, jakby opuszczała królewski

apartament. Niepomni na okazany im szacunek, rodzice z drinkami w dłoniach rozsiedli się po przeciwnych stronach pokoju, milczący i zadumani.

Jorge, który wyraźnie czuł, że mokra od potu koszulka zaczyna kleić mu się do pleców, obserwował matkę i ojca z rosnącym zdumieniem. Za oknami pogodny poranek jaśniał niczym złota moneta, lecz oni, w sposób całkowicie dla niego niezrozumiały, nie wydawali się już tym zbytnio zainteresowani - coś się stało, coś, czego w porę nie zauważył; gdzieś wypalił się podróżniczy entuzjazm tych dwojga, zamiast planować rozrywki dnia wymieniali jedynie przeciągłe puste spojrzenia, pochyleni jak staruszkowie, którzy dotarli gdzieś, lecz stracili pamięć i zabłądzili pomiędzy własnymi bagażami.

To go zasmuciło. To go rozzłościło! W ramach sprawdzonej dziecięcej nauczki za brak entuzjazmu dorosłych, rzucił się na stos pozostałych bagaży w poszukiwaniu letniskowego wyposażenia, wszystkich tych dmuchanych poduszek i koców. Wybebeszył doszczętnie większość walizek, nim go na dobre powstrzymano - to Paige, z oczami zamglonymi od siennego kataru, chwyciła w pewnym momencie Jorge za ramię i boleśnie wykręciła w tył, podczas gdy mocował się z zamkiem jej podróżnej torby.

- Zostaw to! - krzyknęła mu prosto w twarz, agresywnie i bez powodu.

Niespotykany ostry ton w jej głosie sprowokował u Jorge wysyp gęsiej skórki. Pomiedzy matką a synem zawisło chłodne ostrze napięcia.

- Paige... - poprosił miękko Henry, a to, że całą niewypowiedzianą prośbę zawarł w jednym słowie, spotęgowało w Jorge przerażenie, tym straszniejsze, że nadal pochodzące z nieznanego źródła. Uścisk na ramieniu ustał. Gdzieś w oddali z

hukiem spadły na podłogę talerze, podkreślając tylko martwą ciszę pokoju.

Jorge tkwił nieporuszony w miejscu, tak długo, aż zaczęły piec go podeszwy bosych stóp, ale że jego ciało, jak ciało każdego nastolatka, radziło sobie ze strachem poprzez jakikolwiek ruch, niepomny na protesty matki rozebrał się gwałtownie do samych slipów, a następnie zdjął z okiennic moskitiery i otworzył na oścież wszystkie okna.

Paige ponownie wzięła syna na cel, mierząc w niego na wpół opróżnioną szklanką.

- Jorge, natychmiast się ubierz! Dprowadzasz mnie do szału - nakazała stanowczo, i zaraz podreptała ku niemu niczym kwoka, z koszulką rozpiętą jak rybacka sieć, przygotowaną do tego, aby wtłoczyć ją z powrotem na mały tors. Rozpoczęła się zabawa w kotka i myszkę. Jorge wymykał się jak mógł, wrzeszcząc wniebogłosy, gdy Paige zbyt natarczywie mu matkowała. Harry nie reagował.

- Przestań!

- Włóż!

- Przestań!

Termometr tymczasem przekroczył sto pięć stopni.

- Daj chłopakowi spokój - upomniął wreszcie Harry żonę.  
- Na tym wyjeździe wszystko wszystkim wolno, sama dobrze o tym wiesz.

Słyszając te słowa Paige zatrzymała się jak wryta, i, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odskoczyła od Jorge. Pociągając nosem, potulnie usiadła z powrotem na brzegu łóżka. Jorge był wdzięczny za to, że się za nim wstawiono, lecz zarazem domyślił się wreszcie, że cała ta sytuacja i to, co powiedział ojciec, odwołuje się w jakiś sposób do osobliwej rozmowy, którą podsłuchał przed zaśnięciem. Rozmowy

zagadkowej, bo prowadzonej półsłówkami i w manierze, jakiej Jorge jeszcze nigdy nie był świadkiem - z wyraźnym zamiarem wyłączenia go z zawartej w niej tajemnicy. Pewność tego, że traktuje się go w tym towarzystwie z góry, przebrała miarękę. Na powrót coś się w nim zakotłowało. Staął na środku pokoju i przyjrzał się uważnie rodzicom. Dorośli nie spoglądali mu w oczy: Harry, którego niespokojne dłonie były jakby odbiciem wewnętrznych rozterek, myszkował palcem po moskitierze, łuskając wysuszone chitynowe pancerzyki uwięzionych w niej much, Paige przez kilka minut przesuwiała między palcami szew koszulki Jorge - smutnym, pełnym podskórnej winy ruchem, zarezerwowanym raczej dla różańca niż materiału. Aura beznadziei, którą promieniowali rodzice, natychmiast wysuszyła w Jorge źródło buntu.

Que tal? Nie za ciekawie.

Kolejną godzinę Bellamyowie spędzili bezowocnie, porozumiewając się wyłącznie monosylabami. W którymś momencie, poddając się rosnącemu uczuciu rozpacz, Jorge na powrót ubrał szorty i koszulkę i z braku lepszego pomysłu na jakieś zajęcie, wychylił się przez okno - pochylony nad rozłożonymi na parapecie folderami z mapami okolicy, z nosem na kwintę, węszył smętnie w poszukiwaniu rzeki lub jeziora, bo piekielny upał, który na dobre przenikał do pokoju, kusił ledwie wyczuwalną wilgotną bryzą. Ku swojej radości po kilku chwilach zauważył, że rodzice porzucili ponure miny i ukradkiem węszą wraz z nim.

Przepełniające go lęk i niepewność, ulotniły się. Na swoje nieszczęście - zapomniał o nich po raz wtóry.

Zejsciówy Joe pomyślał: mokro

Harry i Paige pomyśleli:

Harry i Paige pomyśleli: he? czemu go przewracają? czemu

tak obojętnie? to nasz syn! nie nie nie! w ruchach personelu oszczędna precyzyjnie wymierzona agresja ledwie rutyna oni leczą leczenie pamiętajmy o tym wyleczenie słucham? czy zastanawiali się państwo nad? zabarwiona na zielono pielucha podtrzymywanie za wszelką cenę tak powiedzieli rzucili takie hasło nie wyglądało to jak na filmach nie zawodziła muzyka cisza tłumaczyli w ciszy zgaśnie ot

Zejściowy Joe pomyślał:

Harry i Paige pomyśleli: on na pewno rozumie wszystko do niego dociera może nie tak jak my to sobie wyobrażamy może nie tak przejrzyste i ostre ale znajduje drogę wiara czyni cuda właśnie przyszła pora na zastrzyk płyny w nich sterydy i coś na płuca żeby tak nie rzeziły przy każdym oddechu modlimy się aby ten oddech zabrzmiał tak jak dawniej a on powoli zapada się w siebie zapada syk charczenie ile można tego wytrzymać?! syk charkot czy on próbuje coś nam powiedzieć zatkała się stomia tak tak nowe złudzenie poruszył okiem chyba chyba poruszył okiem czy pani to też widziała? chyba poruszył

Zejściowy Joe pomyślał: gówno!

Harry i Paige pomyśleli: po co nam to było po co

Zejściowy Joe pomyślał:

O kąpielisku w górach powiedział im właściciel hotelu. Odwiedził Bellamy'ch, jak to ujął, tak jak odwiedzał każdego nowo przybyłych letników, a że sam, niewysoki, zgrabny i ciemny niczym posąg pokryty tlenkiem miedzi, tryskał wręcz energią, bez trudu i ku uciesze Jorge zaraził Paige i Harryego swoim entuzjazmem. Zgodnie z jego słowami kilkaset metrów marszu od Los Pinos znajdowało się polodowcowa kolebka, zagospodarowana przez pewnego młodego, obrotowego Metysa, który za niewielką opłatą udostępniał cudownie chłodne źródła i niewielki coctail bar. Harry spytał z przekąsem, czy aby

przypadkiem ten Metys nie należy do hotelarskiej rodziny, na co uzyskał pokrętną odpowiedź, pełną urażonej dumy.

Przysłuchująca się tej wymianie zdań Paige roześmiała się w pewnym momencie perliście, wprawiając obu mężczyzn w osłupienie.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak skorzystać z zaproszenia! - zawołała.

Po zastanowieniu przyznano jej rację. Jorge uznał, że zły czar ostatecznie przysł.

Wspólną decyzją volkswagen pozostał na hotelowym parkingu, zaś Bellamyowie, obwieszeni ręcznikami, kocami i dmuchanymi zabawkami do kąpielii, wyruszyli nad wodę piechotą. Jorge jako podręczny bagaż wybrał gruby dmuchany materac, który oparł na głowie w charakterze rozłożystego parasola, bo słońce, zgodnie ze słowami spikera, być może i równało się glorią temu w Księdze Genesis, lecz od rana zapłonęło na niebie w całkowicie bezlitosnym zawieszeniu kropli wodorowego żaru - tym właśnie będąc, piekielną reakcją chemiczną, a nie łagodnym bogiem wszelkiego stworzenia. Dreptał potem całą drogę wytrwale, ochraniający przez ogromny kwadratowy cień. Szedł, wdychając ostro pachnący rozgrzanym plastikiem skwar, przyjemnie zaniepokojony opartym na głowie chwiejnym balastem. Niespodziewane towarzystwo gromadki meksykańskich dzieci, roześmianych i brudnych, płaczących się u jego stóp na kształt małych, zaczepnych zwierzątek, potęgowało ulotne, drżące wrażenie w piersi, które z biegiem czasu rozpoznał jako pozbawione celu oczekiwanie. Stwierdził, że to bardzo ciekawe uczucie.

Rodzice przeciwnie, sadzili przed siebie długimi krokami, zadyszani i źli, że niesieni ferworem chwili zrezygnowali z uzbrojenia się w kapelusze i ciemne okulary, utyskując, że

zapomnieli, iż otoczeni są przez Sierra Mądre i droga będzie biegła cały czas pod górę, zawstydzeni wypiekami, które pojawiły się na ich twarzach, w tak oczywisty sposób znamionując brak kondycji i mieszczańskie zasiedzenie. W ich oczach każdy mijany budynek, ściana i rozklekotany samochód w najlepsze oddawał nadmiar ciepła, które nań przelano, tak silnie i namacalnie, że wydawało się momentami, iż wędrówka na kąpielisko polega nie na pokonywaniu przestrzeni, lecz na przebijaniu się przez coraz to nowe firany wrzącego światła. Zanim dotarli na miejsce, nosy mieli spieczone do żywego mięsa. Nad jeziorem z ulgą zrzucili wszystkie tobołki na ziemię i w zgrzebnym drewnianym baraku z wykonanym olejną farbą napisem „Balneario y BISTRO”, pod okapem z falistej blachy, po raz kolejny tego dnia zamówili chłodne drinki.

Jorge w milczeniu zrezygnował z proponowanej mu lemoniady i pozostał w cieniu trzymanego ponad głową materaca.

Patrzył. Góry.

Po raz pierwszy w życiu odwiedzał tak wysokie i dzikie szczyty. Przepelnił go głęboki, nabożny podziw na równi z gorzką pewnością, że oto odnalazł coś, czego nigdy nie pozna do końca, tak odległe i inne okazywało się od jego własnego życia.

Ostrożnie podszedł na sam skraj jeziora. Gładka powierzchnia wody przypominała ciemny kryształ, twarda, nieprzejrzysta, gdy patrzyło się na nią wprost, jak gdyby z premedytacją stawiała czoło mlecznym snopom sięgającego w jej głąb, odbitego od granitowych szczytów blasku, wystarczyło jednak, że Jorge przechylił lekko głowę, by miękko odsłoniła zielonkawo-szare, statyczne wnętrze - to jeszcze silniej nim wstrząsnęło. Najeżone granitowym gruzem dno nie

przypominało wyłożonych gładką, równą mozaiką amerykańskich basenów, którym nauczył się ufać na szkolnych pływalniach; przeczyło porządkowi i bezpieczeństwu sportowej niecki, gdzie zawsze bardzo wyraźnie oznaczano głębokość i gdzie czystość wody utrzymywał opar chloru, a nie lodowata kamienna negacja wszystkiego, co w takiej wodzie żyje. W jednej chwili entuzjazm, którym zaraził się, wsłuchany w poranną radiową audycję, prysł. Obiecano mu kąpiel i Jorge cały poranek niecierpliwie czekał na spełnienie tej obietnicy - teraz wiedział, że cokolwiek się stanie, on z tej możliwości nie skorzysta. Zanadto bał się. Odwrócił się w kierunku baru, zdecydowany na dyskretny odwrót, lecz w tej samej chwili zauważył kierowane ku sobie ukradkowe spojrzenia meksykańskiej dzieciarni, rozłożonej na usłanej skalnymi odłamkami kamienistej plaży. W radosnej kotłowaniu oliwkowo ciemnej skóry rozpoznał umorusane maluchy, które towarzyszyły mu przez całą drogę, ale teraz dołączyło do nich, nie wiadomo skąd, także kilkoro starszych dzieci - chłopcy niemal na progu męskości i dopiero co rozkwitające dziewczęta brodzili leniwie przy brzegu i Jorge w lot odgadł, że nie towarzyszo mu na kąpielisko przypadkowo. Rówieśnicy z El Salto doskonale wiedzieli, co się święci, we wszechogarniającej meksykańskiej nudzie szukali rozrywki i odnaleźli ją. Zrozumiał, że nie on pierwszy poddał się majestatowi gór, że uznano go za kolejnego tchórzliwego letnika, doskonały obiekt żartów; przeciągłe spojrzenia ciemnych oczu były tak samo zimne jak liżąca nagie głązy szmaragdowa topiel.

Jeden ze starszych chłopców, jak gdyby w odpowiedzi na nie zadane pytanie, rzucił się do wody pięknym szczupakiem i popłynął crawlmem na środek jeziora. Zanurkował i zniknął.

Zupełnie bez przyczyny Jorge poczuł silny skurcz w dole



brzucha.

Harry i Paige tymczasem odzyskali wiarę w siebie, a przepełniająca ich od nowa siła nabrała miętowego posmaku mojito. Machali do Jorge zakupionym z myślą o nim tradycyjnym słomkowym kapeluszem, zbyt głośno jak na gust Jorge nalegając, aby go przymierzył, robili głupie miny, smarowali się olejkami do opalania tak obficie, aż ich ramiona świeciły jak napięte gumowe balony.

Gdy Jorge tak stał i z rosnącą irytacją przyglądał się ich niezrozumiałym wygłupom, podszedł do niego wysoki śniady chłopak. Mokre włosy i wilgotna skóra na ramionach nie pozostawiały złudzeń co do tego, z kim Jorge ma do czynienia. Tuż przed nieuniknionym starciem naprzeciw Jorge wysłano posłańca, pływaka, który nie tak dawno drażnił się z nim, kpiąc z wszelkiego niebezpieczeństwa. Chłopak otrząsnął się jak pies i wskazał na kąpielowe przybory Bellamych; niezłą angielszczyznę uprzedził, że jezioro zamknięte jest dla kąpieli.

- Wczoraj utopiła się w nim świnia. Jeszcze jej nie znaleziono - wyjaśnił.

Jorge odrzucił materac, a ręce schował w kieszenie, przybierając pozę flegmatycznej obojętności, wystarczająco obelżywą, aby przy odrobinie dobrych chęci podszyła się pod pewność siebie.

- A co z tamtymi dziećmiakami w wodzie? - spytał pozornie bez zainteresowania.

- To była ich świnia - odparł tonem jednoznacznie kończącym dyskusję.

- Świnia nad jeziorem?

- Si. Cochino. Wiesz, co to świnia, mały jankeski burguese?

- A czy niedźwiedź sra w lesie?

Wyraźnie rozbawiony chłopiec uniósł ciemną brew

- Twoi biali rodzice pozwalają ci przeklinać?

- Moi biali rodzice kopią tyłki takim jak ty

Kukurydzianym Don

Pedro.

- My wszyscy tu mamy twarde tyłki. Ty na mój gust masz za to odrobinę miękkie kolana.

- Nie wiem, o czym mówisz - parsknął Jorge.

- Mówię o tym, jaką minę miałeś, gdy zobaczyłeś jezioro.

- No, jaką?!

- Prawie się osrałeś ze strachu, człowieku.

Jorge zadrżał ze złości.

- Gówno prawda, Don Pedro.

Chłopak odgarnął z czoła mokre, czarne włosy

- Mam na imię Lemmy - przedstawił się chłodno, a w jego głosie zabrzmiała groźba. - Skończ z tym idiotycznym przezwiskiem. Jesteś cipą. Zaraz rozkwaszę ci nos.

Co też, ku zdumieniu Jorge, niezwłocznie uczynił.

Harry i Paige pomyśleli: znowu zawiesili na jego łóżkiem kalendarz to okrutne przecież on z tym wywróconym do góry spojrzeniem sprawia okropne wrażenie jak gdyby cały czas śledził odliczał w tył jakby nie było ratunku zdejmowaliśmy ten kalendarz i poprzedni wyrzucaliśmy do kosza co z tego zawsze pojawia się nowy kto je przynosi? jakieś krajobrazy pastele obecnie duże pokryte śniegiem fabryki zdjęcia kolorowe lecz dominują czernie i biele kolor został przełamany przez samą naturę bardzo dołujące przestrzenie o ile przestrzeń o ile synonim wolności co z tego? obrazem chleba nikt się jeszcze nie najadł mamy chleb i wino modlimy się proszę usunąć krzyż z tej sali lekarz spojrzał dziwnie ale spełnił prośbę chleb i wino co on o tym wie pompuje coś z noszonej w kieszeni fartucha listy

trucizny leki gmatwanina wolno mu wszystko nie wolno mu nic siedzimy słuchamy co? nad samymi sobą co? proszę zostawić nas sam na sam z synem apeluję do rozsądku sam na sam!

Na powrót do hotelu Bellamyowie zdecydowali się dopiero wieczorniej, gdy słońce schowało się za postrzępionymi grzbietami gór, a znad Jeziora powiała chłodem. Harry i Paige podziękowali wylewnie barmanowi, z którym, jak na osobę nie tak dawno podejrzaną o nabijanie sobie kabzy na naiwnych turystach, przy udziale kuzyna-właściciela Los Pinos, zawarli wyjątkowo bliską znajomość. Obiecali solennie, że jutro także zajrzą do jego bistro; hola!, hola!, adios!, zebrali swoje manatki i zawołali na syna; gdy do nich podszedł, oboje jednocześnie chcieli pocałować go w policzki, Jorge przejrzał jednak ich zamiary; owiany kwaśnym] odorem alkoholu, ziejącym z ich ust, wykręcił w tył głowę. Zamiast pocałunku gniewnie odepchnął rodziców i bez słowa wyjaśnienia potruczał j w dół prowadzącej do hotelu ścieżki. Poruszeni jego reakcją Harry i Paige ruszyli w nieskładny pościg, wabiąc go ku sobie zawiedzionymi, bełkotli-] wymi od wypitych drinków głosami. Wołali za nim nieustannie do mo-j mentu, aż Paige, ulegając pijackiemu amokowi, poślizgnęła się i pacnęła pupą na samym środku kamienistej dróżki. Gwałtowny atak chichotu, który ogarnął oboje, natychmiast wymazał z pamięci przykre wrażenie sprzed kilku minut. Słyszany z oddali szczery śmiech podziałął kojąco nawet na Jorge. Chłopiec stanął, oparł się o drzewo i poczekał, aż kroki rodziców zachrzeszczą za jego plecami - dopiero wtedy na powrót spo-1 kojnie ruszył w dół.

Przez następne pół godziny szli gęsiego, często zamieniając się miej-] scami, czasami ramię przy ramieniu, czasem oddaleni na odległość głosu,? wszyscy jak jeden mąż szczycąc się zatykającą dech w piersiach paletą słonecznych poparzeń,

wystawiając spieczone czoła na ciepłe promie! nie zachodzącego słońca, i tylko Jorge wysforował się na szpicę, robiąc wszystko, aby jego twarz pozostawała w cieniu dźwiganego na głowie ma-l teraca. Obluzowany ząb, nadwyreżone poczucie własnej godności i prze-1 świadczenie, że owa godność to stan niezmiernie uciążliwy do utrzymania w stanie nienaruszonym, zwłaszcza, jeżeli łaknący jej uszczerbku cham-i ski przeciwnik atakuje z zaskoczenia (przy czym deklaracja bezpośrednio poprzedzająca cios, według Jorge, nie powinna być w żadnym wypadku brana pod uwagę jako okoliczność łagodząca), wszystkie te rzeczy przyl pomiwały mu o walce na pięści z Lemmym.

Czuł się pokonany. Przez wiele rzeczy. Przez góry. Przez Meksyk. Przez rówieśnika.

Jeszcze nad jeziorem długo zastanawiał się, czy opowiedzieć o swo-i jej przygodzie rodzicom, lecz uznał, że na razie przemilczy całą sprawę. Może później, za dzień lub dwa, kiedy opadną pierwsze wakacyjne emoi cje, podzieli się z nimi swoją przygodą. Po całym dniu wrażeń zatroskane przesłuchanie, któremu by go niechybnie poddali, położyłoby się cieniem na cały wyjazd. Nie chciał tego. Przegrał bitwę, szedł na wojnę. Póki co podchmieleni rodzice na szczęście nie zwracali na niego uwagi.

Stroma leśna ścieżka wkrótce rozszerzyła się w łagodnie opadający bity dukt i objuczeni piknikowymi koszami Bellamyowie dla odmiany ruszyli przez kołyszające się do snu miasteczko - rozpalone za dnia mury teraz ostygły i jeszcze tylko gruby żwir ubitej drogi wypromieniowywał z siebie resztki ciepła, mdłe, kwaśne powiewy, które drażniły w nos. Mijane domy wydawały się szare i wygasłe. Harry, Paige i Jorge szli milcząc. Ci pierwsi wciąż w doskonałych humorach. Jorge z

wyjątkowo chmurną miną.

- Co za dzień, co za noc. - W ciszy wieczoru nuciły unisono znajome głosy.

Jorge uśmiechnął się krzywo. Gdyby ktokolwiek zapytał go zdanie (ale nikt nie zapytał, bo wszyscy się dobrze bawili, zadbał o to przecież, ukrywając własną porażkę), wbrew zadowoleniu Harryego i Paige powiedziała by, że dzień nie należał do udanych. Z pobytu nad jeziorem, z pierwszego dnia wakacji, Jorge oprócz poniżenia nie zapamiętał nic ponad cierpki smak krwi, ogromne pragnienie i ból kolan. Krew z rozbitej wargi, pragnienia nie zaspokojone z obawy, że gdyby tylko zbliżył się do skrytych pod daszkiem bistro rodziców, zauważyliby, co mu się przytrafiło i urządziliby na pewno napawające wstydem polowanie na czarownice wśród okolicznych dzieciaków; ból kolan, związany z niemal całodziennym ślęczeniem na skałkach ponad plażą, pod pretekstem potrzeby powiększenia kolekcji otoczków, a w rzeczywistości niemal w całości poświęconym ćwiczeniu się w omijaniu konsekwencji.

Przy tym wszystkim: Jorge siedział na wąskiej plaży, obracając w ustach suchy jak korek od szampana język, wody z jeziora nie pił, bo bał się, że złapie jakąś chorobę od zdechłej świni, otoczaki miały niespotykany odcień karmazynu, który kojarzył mu się z krwią, a ta z rozlaną przed nim cieniastą wilgocią, której bał się spróbować, a woda kojarzyła mu się z plażą, a plaża z bólem kolan, a ból kolan z pozorami, pozory z rodzicami, rodzice ze wstydem, wstyd z niedawną przegraną potyczką, potyczka z kolei zwracała uwagę na wargę, warga na krew, próbował więc krwi czubkiem języka, trącąc bolesną ranę, lecz język okazywał się suchy, więc chciało mu się pić, ale w wodzie utopiła się przecież świnia, a bistro nie było

szczególnie bezpieczne, bo rodzice zaraz wszczęliby raban ~ obłędna karuzela; obracały nią sekundy, minuty, godzina za godziną. Płynące zadziwiająco wyboiście i niekoniecznie w takiej kolejności, jeżeli chodzi o poczucie upływu czasu... Ale i tak najgorsza okazywała się świadomość, że chociaż całą drogę znad jeziora do hotelu chował twarz pod szerokim materacem, teraz te półśrodki będą niewystarczające. Zbliźali się do Los Pinos. Jorge już już widział parkingowe światła. Niedługo pryśnie kamuflaż.

Niespodziewanie okazało się, jednak, że los mu sprzyja. Na miejscu z zaskoczeniem odkrył, że ich niewielki hotelik przeżywa prawdziwy najazd turystów. Ogromny rejsowy autobus rozsiadł się na parkingu niczym wyrzucony na brzeg lśniący kaszalot, wylewała się z niego rozkrzyczana masa obcokrajowców.

- Masz ci los - stęknął Henry, przeciskając się przez tłum rozgada- 5 nych wczasowiczów. - Obłężenie! Higiena ponad wszystko! Zaraz padną łazienki! Biegiem!

Na komendę całą trójką pognali do pokoju i porwali ręczniki. Zamie- i szanie zadziałało na korzyść Jorge. Dopiero w lustrze w przebieralni odkrył, że górna warga kpi z jakiegokolwiek maskowania się, mierząc oskar- życielsko w przestrzeń, nawet teraz, po upływie kilku godzin wskazując kierunek, z którego nadeszło nieoczekiwane uderzenie. Do pomieszczenia z prysznicami wszedł niczym skazaniec, wolno i z nakrytą ręcznikiem głową.

- Hej - zaczepił go ojciec, gdy zmieniali się miejscem pod natryskiem. - Koniec podchodów. Powiesz mi wreszcie, co się stało? Jakies kłopoty z tubylcami? - spytał i puścił perskie oko.

- Zeznaję, co następuje: przewróciłem się - odparł Jorge głucho, naciągając na oczy miękki materiał frotte.

Ojciec jeszcze raz mrugnął.

- Odsłoń twarz, tajemniczy, zamaskowany...
- Skończ z tym. Mam wszystko pod kontrolą!

Harry jednym szybkim ruchem ściągnął z syna ręcznik

- Wyglądasz jak Kaczor Donald - zawyrokował po namyśle, złapał się za policzki i zaseplenił w najlepsze głosem bohatera kreskówki:

- Szyszkoszodszonkrolą!

Jorge trzasnął mu drzwiami kabiny prysznicowej przed nosem, odkręcił kurek z zimną wodą i skierował lodowaty strumień na twarz. Bezwiednie zanucił kawałek, który jakiś czas temu schodząc z gór podśpiewywali rodzice. Po kilku minutach, gdy poczuł, że wargi zdrewniały mu do tego stopnia, iż śpiewając wyraźnie wymawia jedynie samogłoski, na powrót pokręcił kurkami i pozwolił, aby łazienka powoli wypełniła się parą. Następnie, ukryty w niej, umył się cały.

Zejsściowy Joe pomyślał: Harry i Paige pomyśleli: śpi?

Zejsściowy Joe pomyślał:

Harry i Paige pomyśleli: chodźmy już jutro znowu go przecież odwiedzimy

Zejsściowy Joe pomyślał: Zejsściowy Joe pomyślał: och?

Zejsściowy Joe pomyślał: Zejsściowy Joe pomyślał: Zejsściowy Joe pomyślał: to Zejsściowy Joe pomyślał: czy Zejsściowy Joe pomyślał: Zejsściowy Joe pomyślał:

Na kolację zjedli słodkie pomidory camote, zagryźli pitaję, podawaną na kruszonym lodzie. Jedli wyjątkowo późno, bo nie mieli ochoty na niczyje towarzystwo, a już na pewno nie na spotkanie z hordą letników, więc nikt tym razem im nie usługiwał; na wyraźne życzenie zaspany portier zapalił lampy w kuchni i wymownie wskazał wpierw na zegarek, potem na lodówkę, dając do zrozumienia, że ze względu na porę

bezwzględnie obowiązuje samoobsługa. Harry i Paige podziękowali mu i rozgościli się w najlepsze; wciąż śmiali się i żartowali - trochę histerycznie, jak na gust Jorge, który natychmiast przypomniał sobie przykry poranek, spędzony na rozpakowywaniu, i ostatecznie umocnił w podejrzeniach, że coś jest najwyraźniej nie tak - rodzice dzielą między sobą jakąś tajemnicę.

Portier przez jakiś czas towarzyszył całej trójce, potem znudzony skrył się za kontuarem recepcji, potem zniknął bez słowa pożegnania i zostali w jadalni sami.

Zanim usiedli do stołu, Paige dostrzegła twarz Jorge i z okrzykiem złapała się za serce, Henry jednak stanowczo opuścił jej rękę, bezpardonowo wetknął w nie sztucę i powiedział: - Spokojnie. Wszystko pod kontrolą.

Wyludniony hotel odbijał wszelkie dźwięki, stukot widelców i siorbania na modłę skalnej groty.

Posiłek upłynął w milczeniu.

Rodzice sponad zastawy przyglądali się Jorge, Jorge bacznie przyglądał się rodzicom, ale, podczas gdy troski tych pierwszych równoważyło podkreścone alkoholem zadowolenie, ból pulsujący w dziąśle Jorge potęgował uczucie napięcia, które nie wywietrzało jeszcze z jego ciała. Wydarzenia kilkunastu ostatnich godzin naprawdę zmuszały do zastanowienia.

To nie byli Harry i Paige, jakich znał - od samego początku. Dlaczego wcześniej tego nie zauważył? Weźmy najpierw ten niespodziewany wyjazd, poranny spór, podejrzenie radosny nastrój, balansujący wręcz na granicy wymuszenia. Nawet to, jak zachowywali się wobec siebie, z przesadną czułością i atencją (rano, a przecież rano niemal skoczyli sobie do gardeł) zamiast koić, wzbudzało trwogę. Przez całą kolację Harry i Paige gruchali do siebie i wymieniali uprzejmości, lecz



przez cały ten czas - Jorge zorientował się wreszcie - ani razu nie dotknęli się nawzajem! Krążyli wokół siebie, z całych sił promienieli szczęściem, mimo to pomiędzy nimi otwarła się jakaś dziwnie martwa przestrzeń. Czyżby to chłód z niej się wydobywający właśnie przed nim ukrywali?

Jorge nie znał na to pytanie odpowiedzi.

Po kolacji wrzucono brudne naczynia do zlewu i wszyscy przenieśli się do wyposażonej w telewizor świetlicy; stoczyli tam krótką walkę o program, jaki będą oglądać: Jorge wybrał stację muzyczną, Harry optował za wiadomościami, Paige za pokazami mody Koniec końców stanęło na meksykańskich telezakupach z wyłączoną fonią. Telewizor brzęczał i migotał, przypominając Jorge lampion, jaki stał w dzieciństwie przy jego łóżeczku, wielokolorowe witrażyki, napędzane prądem ciepłego powietrza, unoszącym się nad żarówką. Ułożył się wygodnie na kanapie w zasięgu miękkiego elektrycznego blasku. Wzrok wbił w sufit. Ponad nim rozproszeni po pokojach turyści z wielkiego autobusu przekrzykiwali się i mościli sobie miejsca, niczym stado rozwrzeszczanych, utrudzonych kolorowych papug w locie. Wkrótce zamilkli i nastąpiła cisza. W jej takt warga Jorge pulsowała miarowo, ból przypominał powoli cichnący przybój.

I znowu zasypiał, i znowu docierały do niego urywki rozmowy:

- Odlóżmy to.
- Nie dziś.
- Przecież widzisz, że nie jest w humorze.
- Na to, co go czeka, nie ma dobrego humoru.
- A może?
- Jesteś pewien?
- Bo co?
- Uzgodniliśmy to.

- Boję się.
- Pomyśl o nim.
- Cały czas, przecież wiesz.
- Myślę. Ja... No, wiesz
- Sama nie wiem.
- Jutro. Powiemy mu jutro.
- Tak lepiej.

Ktoś wziął go na ręce i przeniósł do łóżka. Ktoś szczerze okrył kołdrą.

Gdy Jorge przebudził się jakiś czas później, sam pośród nocy, zrozumiał, że nie śnił, że ostatecznie odkrył tajemnicę i że koszmary zdarzają się także na jawie. Jego koszmar miał już imię, tym razem Jorge nie pozwolił, żeby sen wymazał mu je z pamięci. Pamiętał doskonale - rodzice nieostrożnie zdradzili mu je, nim na dobre zasnął.

Ten koszmar nazywał się rozwód.

Zejściowy Joe pomyślał: bzyk bzykbzyk

Harry i Paige pomyśleli: czemu nikt nie robi porządku z tymi jarzeniówkami przecież mrugają już ponad rok on tu leży ponad my mrugamy nawet bezwiednie z nimi w ich takt on nie mruga czy to dlatego zostawili

Zejściowy Joe pomyślał: li lu li lo li la

Harry i Paige pomyśleli: z każdym dniem coraz silniej ależ! nigdy więcej tego dźwięku! zamknijmy okno nic nam to nie da syreny tu syreny tam w każdym szpitalu intensywna terapia umieszczona zostaje nad izbą przyjęć jak długo jechaliśmy jak długo znad jeziora? godzinę dwie trzy podobno piętnaście minut długo niedługo bardzo długo krótko ile? ILE?! nie emocjonujmy się przepraszamy wyprowadzają nas z sali on potrzebuje spokoju a co do nas to się zdarza wybuchy nazwijmy je wybuchami chociaż bardziej przypomina to osuwanie zawał

błotną lawinę bezruch bezdech

Harry i Paige pomyśleli: dlaczego nie rozwiązaliśmy tego inaczej

Harry i Paige pomyśleli: sombrero na stoliku przy łóżku zbiera kurz

Harry i Paige pomyśleli: wszystko lśni plastik i szkło w nim przez niego

Harry i Paige pomyśleli: durne sombrero przecież go nie znosił a teraz zbiera wszelki kurz w randze najlepszej zabawki

Zejsiowy Joe pomyślał: Brak. Rozstanie. Nie ma. Samotność. Podróż bez celu. Odjazd. Pożegnanie. Tęsknota. Zapomnienie. Rozłąka. List zwrócony do nadawcy. Pomyłka. Ostatni autobus. Miejsce bez adresu. Osoba bez domu. Żal. Płacz. Zbłąkany pies. Odroczenie. Niepewność.

Z głową ukrytą pod poduszką Jorge po kolei przywoływał z pamięci pojęcia i obrazy odwołujące się do położenia, w którym się znalazł, jak gdyby ich ilość, oprócz bagażu nieuniknionego smutku, niosła mu zarazem tak potrzebną pomoc, grzebała pod sobą to jedno jedyne, na pozór niemożliwe do wypowiedzenia na głos słowo.

Rozwód. Nieprawdopodobne.

Izolacja. Odosobnienie. Rozdzielenie.

A więc to, dlatego Meksyk. A więc to, dlatego tak niespodziewanie.. .i

Rozwód. Jorge poczuł głęboki żal, a zaraz po nim gniew.

Jego rodzice z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu przestaną być razem.

Dlaczego? Czy to ważne?

Miał swoje lata, wiedział, że takie rzeczy się zdarzają, ale...

Dlaczego? Czy to ważne?

Co się stało, to się nie odstanie. Tak?

Zabolał go jedynie sposób, w jaki zaplanowano zapoznanie go z ostateczną decyzją. Wycieczka-niespodzianka, dobre sobie. Został potraktowany jak dziecko, któremu kupuje się lody tuż przed wizytą u dentysty, w oczekiwaniu, że coś tak błahaego jak zaprawiona sokiem zmrożona woda wystarczy w charakterze zadośćuczynienia bólu.

Dlaczego?

Jorge poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Po cichu wysunął się z pościeli, kucnął na podłodze. Nadstawił uszu. Rodzice spali w najlepsze. Przechylił głowę na bok, w ciemności zakołysał się w przód i w tył. Jego rysy stężały w odpowiedzi na zew jakiejś podjętej w głębi siebie decyzji. Stąpając na palcach wymknął się z pokoju, zakradł do kuchni. W lodówce z największą ostrożnością wygrzebał parę kostek lodu i poczłapał do pokoju telewizyjnego. W pomieszczeniu unosił się jeszcze zapach zjedzonych na deser owoców, kanapy parowały nie tak dawną ludzką obecnością. Jorge bał się zapalić światło, więc przyciskając lód do obolałej wargi usiadł płasko naprzeciw okna, w samym środku rozświetlonego księżycową poświatą kwadratu. Łzy popłynęły mu po policzkach niczym żywe srebro.

Dlaczego?

Dlaczego to się zdarza?

Dlaczego tu? Dlaczego teraz? Dlaczego właśnie jemu?

Spojrzał przez okno - Droga Mleczna, szary pył. Spojrzał na podłogę. Drobinki piasku mieniły się niczym resztki kosmicznego marmuru, z którego czyjeś ogromne ręce wykuły całe nocne niebo. Czuł ciężar tego nieba, powoli osiadający mu na barkach. Wargi zdrewniały od trzymanego pomiędzy nimi lodu, rozboleły zęby. Zostało mu jeszcze kilka kostek, przyjrzał im się, ułożonym na podłodze w niezgrabnej kupce - tonęły w kałuży roztopionej wody. Dla kaprysu ułożył z nich piramidę.

Tępo obserwował, jak przezroczysta budowla rozplywa się w niebyt. Sięgnął do ust i zdziwił się, jak bardzo te usta są zimne. Objął się mocno ramionami. Zakwilił.

Wrzask, który buchnął z martwej puszki telewizora, przeraził go tak, że Jorge bezwiednie krzyknął, wysokim dziewczęcym głosem.

Harry i Paige pomyśleli: jakie mieliśmy inne rozwiązanie? co innego mogliśmy zrobić? przecież on mnie zdradził przecież ja jego zdradziłam zdrada tak lecz zdrada wymierzona została w nasze dziecko dlaczego nazwałam go Jorge czy to zaczęło się właśnie wtedy podświadomie dlaczego bo Meksyk bo ucieczka sama nie wiem sam nie wiem sami nie wiemy

Zejściowy Joe pomyślał: kręćka

Harry i Paige pomyśleli: a teraz gdzie go zabierają? na dializy nerki odmawiają posłuszeństwa minęło tyle czasu nerki się poddają a potem do komory hiperbarycznej tlenoterapia może mózg załapie tkanka może zaskoczy jak zepsuty mechanizm zepną go na krótko wszyscy liczymy na oczekujemy naprawdę? pusta sala pusta sala ile tej pustki udaje się zamknąć w jednym pomieszczeniu to nieprawdopodobne miał przed sobą wszystko całe życie zdejmujemy kalendarz wyrzucamy sombrero nic to nie da raz prawie od nas odszedł chociaż teraz raz niemal czy dzisiaj wróci? nerki mózg stracone a jednak czyżby?

Harry i Paige pomyśleli: zwawszy

Harry i Paige pomyśleli: a jednak

Zejściowy Joe pomyślał: au

Telewizor umilkł tak samo niespodziewanie, jak zbudził się do życia.

Jorge splunął ze złością w kierunku opartego o framugę drzwi Lemrnyego.

- Nerwowe z ciebie dziecko, mój jankeski przyjacielu - zauważył Lemmy, bawiąc się od niechcienia pękatym pilotem. Po tym spostrzeżeniu nonszalancko rzucił plastikowym cylindrem w kierunku Jorge. Chrupnęło, gdy ten drugi złapał go w locie i z całych sił ścisnął najeżoną miękkimi guziczkami obudowę. W jadłodajni panował mrok, na ciemnych policzkach meksykańskiego chłopca cienie układały się w całkowicie nieznane Jorge formy - nie wiedział, czy śmiano się z niego, czy stał się obiektem kpiny, czy też w słowach Lemmy ego pobrzmiwa ta sama obojętna wyższość, którą uraczył go jakiś czas temu w górach. Postanowił, że tym razem to on zada pierwszy cios.

- Masz tupet...

- Och, weź na wstrzymanie - burknął Lemmy i ruszył w jego stronę.

- Ty za to po raz kolejny masz pełne gacie.

Jorge otarł policzki i unióśł pięści do rozpaczliwej gardy, lecz chłopak nawet nie spojrział w jego kierunku, wyminął go obojętnie i rzucił się jak długi na kanapę.

Zlekceważony w tak jawny sposób Jorge wpadł we wściekłość.

- Wstawaj - rozkazał. - Będziemy się bić!

Lemmy leniwie obrócił się w jego stronę.

- Wstawaj! - powtórzył Jorge. - Będziemy...

- Nie będziemy - uciał krótko Lemmy.

- Rozwalę ci...

- Nie rozwalisz.

Pokój zatrzęsł się niespodziewanie w bladoniebieskim paroksyzmie

- to zakończyła się emisja ostatniego programu i z ekranu telewizora trysnęły poziome rozedrgane pasy. Jorge opadł z sił.

Falowanie jako żywo przypominało ruch widmowej wody, poczuł, że kręci mu się od niego w głowie. Drżąc oparł się o zagłówek kanapy.

- Posuń się - szepnął wreszcie zrezygnowany i ciężko usiadł na miękkich poduszkach.

Lemmy podrapał się w nos i potrząsnął głową.

- Oddawaj pilota - zażądał.

Jorge automatycznie spełnił prośbę. Lemmy odebrał mu plastikowe pudełko, potrząsnął nim przy uchu, jak gdyby miał do czynienia z zegarkiem i upewniał się, czy znajdujący się wewnątrz mechanizm działa, pochylił się do przodu, łokcie oparł na kolanach i ze skupieniem zaczął przerzucać kolejne martwe kanały.

Nic tu po mnie, pomyślał Jorge, zamiast jednak wstać i wrócić do pokoju, najpierw pogładził, a zaraz potem pochylił się nad miejscem, nad którym dosłownie przed chwilą spoczywała głowa jego rówieśnika. Wyraźnie poczuł zapach jeziora, unoszący się z kształtnego wgłębienia po potylicy. Być może to samotność tak podziałała na Jorge, a być może potrzebował odrobiny bliskości, w każdym razie ciepło bijące od gładkich pleców jego rówieśnika okazało się tak przyjemne, że ostrożnie przysunął się do jego boku. Lemmy drgnął i spojrzał na niego z ukosa.

- Bez cyrków - ostrzegł.

- Ja tylko... - zaprotestował słabo Jorge.

Zmierzyli się wzrokiem. Ciemne źrenice Lemmyego wydawały się bezdenne; jasne, nakrapiane Jorge wyglądały niczym postrzępione, rozszarpane od wewnątrz kotyliony.

- Dobra - zdecydował Lemmy i objął Jorge ramieniem. - Tylko. Nic więcej.

- Dziękuję.

- Zamknij się. Nie jestem pedałem.

Telewizor włączał się i wyłączał z cichym kliknięciem. Jorge wydawało się, że odbywa się to dokładnie w takt jego serca, tak samo miarowo, cicho i bezowocnie.

- Lemmy? - szepnął po dłuższej chwili.

- Mhmm?

- Zabierz mnie nad jezioro.

Harry i Paige pomyśleli: tamtej nocy skąd mogliśmy przewidzieć co mu strzeli do głowy powinniśmy wiedzieć co mu przyjdzie do głowy nikt by tego nie przewidział a może oddaliliśmy się od siebie tak że nie dostrzeżliśmy porzucony porzuceni

Harry i Paige pomyśleli: i to jakim mianem ochrzcili naszego syna sanitariusze to warzywo odparł jeden z nich gdy zwróciliśmy mu uwagę że nie powinni i Harry bił się z nimi i zakaz odwiedzin na miesiąc którym go ukarano i jak Harry to przeżył to nic?

Harry i Paige pomyśleli: niekończące się obchody wieczne uśmiechy

Zejściowy Joe pomyślał: tu

Harry i Paige pomyśleli: czasami porusza się wyłącznie odruchy? Ze ciało łąka o tlen kwasica powiedziano nam złe rokowanie czy kiedyś rokowano w jego przypadku dobrze Harry i Paige pomyśleli: ja go dotykam on mnie dotyka nad naszym dzieckiem nasze obrączki

Zejściowy Joe pomyślał: błyskotki

Harry i Paige pomyśleli: cóż

Zejściowy Joe pomyślał:

Harry i Paige pomyśleli: tragedia zbliża ludzi

Noc w górach to matka wszelkiej nocy, powiedział Lemmy. Jorge przytaknął.



Szli obok siebie, on i ten przekorny nieodgadniony tubylec, trzymając się wspólnie za ręce - nie w poszukiwaniu czułości, lecz dla bezpieczeństwa - albowiem zaraz po wyjściu z miasteczka niebo zaszło chmurami i zapanowała ciemność, jakiej przyzwyczajony do jasno oświetlonych amerykańskich ulic Jorge jeszcze nie widział: smolista, ostateczna. To Jorge wsunął dłoń w dłoń towarzysza. To Lemmy bez słowa sprzeciwu wziął na siebie rolę przewodnika. Odbyło się to bardzo naturalnie. Prowadź - poprosił po prostu Jorge. I Lemmy poprowadził: z hotelu, przez uśpione miasto. W las.

Szli ostrożnie, wyczuwając drogę stopami i jakimś jeszcze innym zmysłem, zmysłem pewności dziecka, które w najbliższej sobie okolicy rozpoznaje każdy krzak i głaz, do tej pory mijany obojętnie w tysiącu niezliczonych zabaw. Posuwali się powoli, pod górę, chrzęścił szary żwir. Od czasu do czasu w oddali słabo zagwizdał jakiś niewidoczny nocny ptak.

Górskie szczyty rosły ponad chłopcami bezgłośnie. Nie widzieli ich, przeczuwali.

- Ciemno... - zauważył Jorge.

- Ciemno - potwierdził Lemmy.

Przestrzeń zamykała się niczym ogromny czarny klosz, lecz na przekór całej tej zawieszanej w ciemności masie skały i głazów, które kojarzyły się Jorge wyłącznie z nagłą katastrofą, lawinami i ogłuszającym hukiem, w górach panowała przejmująca cisza. Burzący nocny spokój dwutakt kroków wydawał się być zupełnie nie na miejscu. Jorge miał wrażenie, że zachowuje się jak uciekinier.

Czuł się winny. Nie czuł winy.

W chwili, gdy wyszedł z lasu na polodowcową nieckę, księżyc przebił zasłonę chmur i zalał wszystko snopem światła na podobieństwo punktowego więziennego reflektora. Jorge

przystanął i przełknął ślinę. Kamieńna ława przysięgłych szczytów pochylała się nad nim, jak nad dopiero co przyłapanym na gorącym uczynku zbrodniarzem.

Lemmy niecierpliwie pociągnął towarzysza za sobą.

- Puść - poprosił Jorge po paru krokach. Rozpletli dłonie nieopodal bistro.

Aluminiowa skrzynka baru była zmatowiała od rosy.

Lemmy nie zwolnił kroku. Jorge przystanął i zbliżył się ostrożnie do budyneczku. Wyciągnął rękę, dotknął metalu. Syknął. Strzepnął palcami. Karbowana ścianka okazała się przeraźliwie zimna - w górę ramienia przebiegł mu lodowaty prąd. Troskliwie rozmasował dłoń. Lemmy tymczasem zawędrował nad sam brzeg.

- Masz swoje jezioro! - zawołał i usiadł na kamienistej plaży. Plusnęły fale. - Napatrz się do woli, byle szybko. Jeżeli zostaniemy tu na dłużej tyłki zmarzną nam na kość.

- Boisz się?

Lemmy posłał mu z oddali przeciągłe spojrzenie.

- Ty naprawdę nie masz umiaru.

Od jeziora dzieliło Jorge kilkadziesiąt stóp. Spokojna tafla przypominała lico nieczułego polerowanego grobowca. Chłopiec podniósł z ziemi otoczek i ze złością cisnął nim w wodę.

- Hej, ostrożnie, dzieciaku!

Niepomny na ostrzeżenie Jorge cisnął jeszcze kilka razy. Za każdym razem brał zamach tak szeroki, że słyszał, jak trzeszczy my bark. Wreszcie zrezygnowany podszedł do Lemmy ego. Bez słowa ściągnął buty, klęknął, na czworakach ostrożnie wpełzł do wody i zanurzył w niej twarz. Oddechu nabrał dopiero, gdy poczuł, że płomień szalejący w płucach zrównoważył czarny lód, który skuwał mu głowę.

- Zadowolony? - spytał Lemmy, gdy Jorge przestał parskać. - Możemy wracać?

- Gdzie?

- Jak to gdzie? Do hotelu. Do twoich pucułowatych jankeskich rodziców.

- Ja już nie mam rodziców.

- Pieprzysz bez sensu, gabacho.

Jorge wstał i rozebrał się do samych slipek.

- Potrzebuję cię. Moi rodzice właśnie się rozwodzą - szepnął i postąpił krok w kierunku Lemmy ego.

Meksykanin drgnął.

- Gównu mnie to obchodzi - podsumował po zastanowieniu. Wstał, zebrał ubrania Jorge i wcisnął je mu z powrotem do rąk. - Zakładaj te łachy, spadamy stąd. Spełniłem twoją prośbę. Nie licz na nic więcej.

Ubrania spadły na ziemię. Lemmy spojrział na nie, jak gdyby zobaczył je po raz pierwszy w życiu, jak gdyby ożyły, szczerząc kły, i miały się ku niemu rzucić.

- Podnieś je - nakazał, cedząc słowa. - Podnieś albo zostawię cię tu na dobre.

Jorge nie posłuchał. Odwrócił się bokiem, wszedł do wody po kolana, zsiniałe ręce splótł na piersi i rozdygotany, podbródkiem wskazał coś w mroku.

- Tam. Widzisz ten głaz? Ścigamy się do niego. Do niego i z powrotem.

Lemmy potrzebował kilku sekund na przetrwanie tego, co właśnie usłyszał.

- Oszalałeś?! - huknął w końcu. - Nocą jezioro ma tylko kilka stopni powyżej zera!

- A jednak się boisz.

- Tu nie chodzi o strach, jeżeli coś takiego chodzi ci po

twojej pustej głowie!

- Czy my już dzisiaj nie prowadziliśmy podobnej rozmowy? - zauważył Jorge. - Właż do wody, nie ma czasu na gadanie. Szczękam zębami tak, że boję się, że odgryzę sobie język.

- Za nic nie namówisz mnie na ten idiotyzm - odszczeknął Lemmy. Nie ruszył się jednak z miejsca, patrzył tylko zafascynowany, jak Jorge schodzi coraz głębiej w ciemną topiel.

- Jeżeli zaraz do mnie nie dołączysz - zagroził Jorge - to dam sygnał do startu i popłynę sam. Możesz być jednak pewien, że wrócę tu jutro i rozpowiem wszystkim, że stchórzyłeś. Zobaczmy, czy kłamać potrafisz tak samo dobrze, jak bić bez ostrzeżenia.

Lemmy stał chwilę bez ruchu, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał, wreszcie gwałtownie zdarł z siebie ubranie i z pluskiem zrównał się z Jorge w lodowatej wodzie.

- Możemy tu zginąć - warknął, żegnając się kilkakrotnie i całując ukryty na piersiach medalik. - To będzie koniec. Mam nadzieję, że umrzesz szczęśliwy. Zadbaleś o to, by do tej pory spełniły się twoje wszystkie marzenia?

\_ Pozostało mi jedno. Jeżeli cię pokonam, musi się spełnić. Chcę, żeby rodzice byli zawsze przy mnie, razem - odparł Jorge spokojnie i nie czekając na znak, rzucił się w objęcia jeziora.

- Kretyn! W niebie nikogo nie obchodzi kolejność na mecie. Tam będziesz martwy! - krzyknął Lemmy.

Popłynęli. Przez noc.

Księżyc, rozlany na wodzie niczym kozuch srebrzystego mleka, kipiał i burzył się oleście. Jezioro przypominało Jorge żywą półpłynną istotę - ciął je drętwiącymi z zimna ramionami, a im zaciekłej chciał przeniknąć jej spokojną powierzchnię, tym silniej woda wypychała z siebie

niespodziewanego intruza.

Wdech i wydech, krople niczym opiłki zmrożonego metalu. Ciemny ziarnisty opór.

Płynął pierwszy, Lemmy pozostawał o metr w tyle. Z początku wydawało się Jorge, że wyścig przebiega według z góry ustalonego planu, że dano mu fory, lecz gdy raz i drugi obejrzał się za siebie, dojrzał szeroko rozdziawione w poszukiwaniu powietrza usta i rozszerzone źrenice przeciwnika, zrozumiał - prowadził, bez wątpienia.

Sam nie wiedział, skąd czerpie siłę. Nie obchodziło go to.

Do przodu, myślał jedynie. Do przodu! Co się stało, to się nie odstanie! Teraz mam tylko ten wyścig, nic poza tym.

Wygram go. Będzie dobrze. Do przodu.

Płynął cawlem, wyrzucając ramiona wysoko ponad siebie, jakby ku czemuś sięgał. Raz - dwa - trzy, wdech. Powietrze wypuszczał nosem, gorące bąbelki drapały go w szyję i uszy. Nogi pracowały równo, zaciekle. Panująca wokół ciemność odbierała poczucie odległości i momentami Jorge ogarniało wrażenie wsysającej go ogromnej plamy bezruchu, wizja jego samego, porzuconego w środku nieznanego ciemnego morza spokoju, miotającego się bezwładnie, niczym ogarnięte histerią dziecko. Odwracał w takich momentach głowę i szukał malejącego z sekundy na sekundę srebrnego zarysu baraku bistro - znajdował go i już wiedział, że Porusza się, że ulega złudzeniu. Pomiędzy nim a brzegiem oliwkowe ciało Lemmyego pruło przed siebie, zajadłe, podobne do drapieżnej ryby.

Zbliża się, zbliża!

Raz, dwa, wdech. Raz, dwa, wdech. Na trzy zamachy brakowało już Jorge siły.

W poszukiwaniu odrobiny wytchnienia odwrócił się

zwinnie na plecy. Podczas obrotu z przestraczem zauważył, że Lemmy zbliżył się niebezpiecznie, rozczapierzone palce chłopca sięgały Jorge już niemal stóp. Wygięty w łuk Jorge szarpnął parokrotnie ramionami, nie zważając na oddech i klucie w boku; stracił równy rytm, ale oddalił się wyraźnie

- znów prowadził. Bił równo rękoma, płynął i spoglądał w niebo, w te same kłamliwe konstelacje, których jeszcze nie tak dawno poszukiwał z rodzicami na tarasie hotelu. Orion, Wielka Niedźwiedzica. Parę punk-J tów połączonych linią, myślał urywkami zdań, którym ludzie dla kaprysu nadali wydumane nazwy. Puste słowa. Kształty bez kształtu, znaczenia bez znaczenia. Istniejące, nieistniejące postaci. Gdyby poprzekreślać je i złożyć na nowo, pojawiłyby się zupełnie nowe układy gwiazd. Czyj to takie trudne? Wystarczyłoby zaledwie lekkie przesunięcie konturów

- identycznie jak w moim przypadku: przecież i dla mnie szczęście, któ-j remu ufałem, przy pomocy drobnego retuszu zmieniło się gładko w roz-J pacz.

Raz, wdech. Dwa, wdech. Zbyt gładko. Nazbyt gładko.

Zimna woda omywająca pachwiny i pachy Jorge przypominała ciekłe ostrze w poszukiwaniu słabości - gdyby tylko miała taką moc, na pewno rozczłonkowałaby ciało i drgające resztki pociągnęła na samo niewidoczne, zębate omszałym granitem dno.

Tymczasem - plusk. Płynny wspaniały lód. Przerażliwie puste rozgwieżdżone niebo.

Do przodu.

- Stój! - Usłyszał niespodziewanie okrzyk Lemmy ego.

- Stój, ja już nie mogę!

Nie zatrzymał się.

- Stój, ty cholerny idioto! Skurcz! Złapał mnie skurcz!

Jorge uniósł po raz kolejny głowę i w otaczających ciemnościach odszukał sylwetkę tamtego - kołysała się daleko w tyle jak bojka, nieruchoma, to wyżej to niżej - poczuł, że ogarnia go radość.

- Dawaj! - odkrzyknął w odpowiedzi. - Dawaj, zasrany kolorowy szachraju! Nie bądź cipą!

Lemmy w odpowiedzi wykonał ręką nieokreślony gest, odwrócił się i powolutku zawrócił w stronę brzegu. Trójkątne, błyszczące od wilgoci plecy. Za jego ciałem: spienione V, smutne niczym zerwane sznurki latawca. Widząc to Jorge położył się na wodzie i roześmiał na cały głos. Krótko i ostro. Spojrzał na lewo, na prawo. Czarna materia wody błyszczała teraz tylko dla niego.

\_ Nie! Bądź! Cipą! Nie! Bądź! Cipą! - skandował, zataczając rękoma coraz bardziej zaciekle łuki; odbite od szczytów echo powracało kolejnymi miękkimi interwałami, zaszeptało mu do ucha: nie bądź cipą, jak gdyby zapewniając, że w kwestii, kto tu był kim, całkowicie się z nim zgadza.

Poddał się, pomyślał. Poddał! Roześmiał się w najlepsze.

Właśnie w tym momencie, w chwili największej radości, poderwana przez nieuważne ramię fala przelała się nad twarzą Jorge i na kształt kobry skoczyła wprost ku otwartym, bezbronnym ustom.

Uderzenie było porażające.

Jorge zakrztusił się w oka mgnieniu.

Zimna woda upomniała się o niego i topiel nakryła go niczym czarna paszcza. Przewrócił się na brzuch. Poczuł, że nos błyskawicznie wypełnia mu kwaśna piana, więc rozpaczliwie zamachał rękoma; ogarnęło go wrażenie, że niebo ponad nim, to samo niebo, któremu nie tak dawno ubliżał, niespodziewanie skruszało, w gardle zaś zaklinował mu się jakimś cudem

oderwany od nieboskłonu odłamek kosmicznej pustki - zimny, bezpowietrzny. Zabójczy. Ciężki. Taki, który ukąsił, pociągnął w dół.

Lemm..., charknął w poszukiwaniu ratunku, lecz odłamek zawędrował już bardzo głęboko - drążył, wysysał wszystko co napotkał na swojej drodze, ciepło, ciało, powietrze

Ostatkiem sił Jorge wypłynął na powierzchnię.

Lemm...!

Giniesz, nikt cię nie słyszy. Nawet echo nie odpowiada.

Jorge zagarnęła kolejna fala. Ciśnienie rozsadziło mu uszy. Zrozu- iał, że opada na samo dno.

Zejściowy Joe pomyślał: lulu

Harry i Paige pomyśleli: czy widział czy widziała chyba znowu poruszył na pewno nie

Zejściowy Joe pomyślał:

Harry i Paige pomyśleli: zamknął powieki

Zejściowy Joe pomyślał: sen-nnn-y

Harry i Paige pomyśleli: śpi czy śpi? skoro nie ma nas gdy zasypiamy a jego nie ma gdy nie śpi skoro śpi czy wspomina skoro jeszcze może skoro

Harry i Paige pomyśleli:

Zejściowy Joe pomyślał:

Harry i Paige pomyśleli: ...

Zejściowy Joe pomyślał: zawsze razem

Zejściowy Joe pomyślał: chciałbym

Harry i Paige pomyśleli: śpi nie ma odwrotu

Zejściowy Joe pomyślał: będę

Harry i Paige pomyśleli: był

Sekunda dziesięć sekund pół minuty minuta kwadrans  
godzina dzień noc doba

poniedziałek wtorek środa czwartek piątek



p r z e  
sobota niedziela poniedziałek wtorek 12 13 14  
prze m i  
15 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27  
prze mi j a  
28 29 30 wrzesień październik listopad grudzień  
prze mi ja ni e  
styczeń luty marzec  
przemijanieprzejaminieprzeniemijaniemijamija pierwszy  
kwartał drugi kwartał

Z trudem przekręca się w białej, zalatującej starym  
skwaśniałym mlekiem pościeli, pociąga nosem, tłumi  
obrzydzenie, konwulsyjnie, jak gdyby powstrzymywał mdłości.  
Niespodziewany ból przecina go w pół. Zamiast jęku, z gardła  
wydobywa mu się mokre gulgotanie. Łapie powietrze, ale jakoś  
tak dziwnie - nie ustami, całym sobą.

rok  
lata.  
długie lata,  
W ramach zakończenia. Obecnie.  
Rozgląda się. Stara się coś powiedzieć. Brakuje mu tchu.  
Okno. Stolik. Podłoga. Sufit. Kotara. Szmer.  
Sztynnymi palcami zsuwa z siebie kołdrę. Aż dygoce z  
wysiłku. Przeżywa szok. Nie poznaje własnego ciała. Ogląda je.  
Najeżona żebrami klatka piersiowa. I w dół. Blizny. Skrojony i  
zszyty na nowo brzuch. Kaszle - rwie, protestuje każdy miesiąc.  
W dół. Przygląda się zwiewnemu puszkowi na własnym  
podołku. Ze zdumieniem zauważa, że zmienił się, chyba jest  
starszy. Dotyka włosów na jądrach. Trąca palcem własny penis,  
nanizany na cewnik jak szczurzy embrion na rożen z wosku.

Spostrzega plastikową obrączkę na przegubie ręki.

Pionowe linie i numer.

I imię. Z ciemności napływa ku niemu imię. Jorge.

Nie wierzy. To nie może być prawdą. Obudził się jako ktoś inny. To kpiny.

Każde mrugnięcie powiek jest jak nowy slajd na ekranie percepcji.

Kołdra ląduje na podłodze. Zrzucił ją. Nogi jakieś dziwne, chude, wyprężone niczym do skoku, a przecież sztywne. Porusza nimi. Na piętach zieją czarne rany. Znowu ten zapach. Orientuje się, gdzie znajduje się jego źródło - tuż przy nim, on nim jest - wdycha własny sfermentowany odorek, wokół pachnie trochę jakby noworodkiem, ale jakoś inaczej, bardziej złowieszczo, w sposób, w jaki groźnie i cierpko nasiąka powietrze obecnością ciężko chorego lub umierającego człowieka. On jest ciężko chory. On umiera?

Nie ma wątpliwości. Wątpliwości pozostają.

Oczy co chwila przesłania mu mgła, ale wreszcie z trudem odcyfrowuje nadruk na prześcieradle: Szpital Świętego Jakiegoś tam. Szpital.

Próbuje przypomnieć sobie, skąd się w nim wzięł, lecz pamięć zachowuje się podobnie do ciała, stawia opór. Pamięć też uległa zaniedbaniu. Pamięć także cierpi. Poczucie własnego istnienia wydaje się mu zupełnie odrębnym bytem, nie przepelnia go, lecz pozostaje gdzieś z boku - zapomniany instrument, na którym grał kiedyś bez zastanowienia, a teraz nie jest w stanie przeciwiczyć na nim najprostszej gamy Chwyta się tego uczucia - wie, że właśnie nim może się podeprzeć - wpycha je w siebie, docierając do zasklepionych martwych miejsc, szuka punktu oparcia. Tylko w ten sposób będzie w stanie podważyć bryłę zapomnienia.

Ja i Gdzie. Klucz i zamek.

-Kto?

- Psycholog. Chcielibyśmy, żeby zgodnie z procedurą przy naszej rozmowie był obecny psycholog.

Jorge marszczy brwi. Procedura. Co za określenie. Przypomina mu się film, pastisz filmów s-f, w którym francuski komik został zamrożony, a potem odmrożony wiele lat później. Bano się powiedzieć mu o wszystkich zmianach, jakie zaszły w tym czasie na świecie. Chroniono. Śmieszny film. Tragiczny. Ale on, Jorge, nie czuje przecież zimna. Wyłania się z pustki, nie z lodu.

- Nie wszystkie wiadomości, które dla ciebie mamy, są dobre - tłumaczy się ordynator. - Ale zaufaj nam. Nie denerwuj się. Daj nam szansę.

Jorge podświadomie czuje, że serwuje mu się wyświechtane, nic nie znaczące regułki, jakich lekarze mają w zanadrzu setki. Chciałby zareagować złością, ale wlewane w niego płyny mają moc rozpuszczania każdego uczucia. Szczypią go powieki. Podnosi ręce do oczu. W drenach, wetkniętych do jego łokci, krew wygrywa walkę z ciśnieniem toczonych przez nie płynów i wybija w górę dwoma zwiewnymi karminowymi słupami.

- Ile? - powtarza po raz kolejny.

- Dokładnie dwadzieścia cztery miesiące. Bez dwóch dni.

Z ust ordynatora wydobywa się gniewny syk, ale już jest po wszystkim, to, co miało być powiedziane, zostało powiedziane. Kto to powiedział? Nieważne. Z zaskoczenia wykonano bolesną iniekcję prawdy. Jorge właściwie odczuwa za to wdzięczność; przeczesuje przeredzone włosy; czaszka - oślizła i miękka. Dwa lata; nie czuje nic. Czas wydaje mu się obojętny, czas to materia pleciona bez jego udziału. Są ważniejsze sprawy do wyjaśnienia.

- Gdzie? - dyszy i opada ciężko na poduszkę. - Rodzice?  
Koniuszek palca pokrywa mu strzęp śliny, mimo, że nie dotknął nim ust.

Ordynator rozgląda się dookoła i gestem nakazuje zespołowi opuszczenie salki.

Białe plecy, plecy szerokie i wąskie, ale wszystkie jednakowo przygarbione, znikają. Drzwi zasuwiają się za nimi bezgłośnie, niczym kurtyna kończąca festiwal duchów. Jorge i ordynator zostają sami. Samotność podkreśla wagę sytuacji. Ordynator zaciska usta.

- Proszę - mówi. - Uzbrój się w cierpliwość. Spaleś tak długo, że...

- Nie. Mów. - Jorge jest niewzruszony.

Ordynator wzdycha, pociera dłońmi twarz; mimo że jest gładko ogolony, wyraźnie słycać wydobyty przez nie chrzęst. Nie, to nie wieczorny zarost, on zgrzyta zębami. Do salki zagląda pielęgniarz i szeptem informuje, że psycholog ma kłopoty z dojazdem, pojawi się dopiero za godzinę. Godzina, myśli Jorge. Mało i dużo. Dwa lata. Spogląda ordynatorowi w oczy; ich wyraz zdradza, że on wie, że Jorge wie, że żaden z nich tyle nie wytrwa. Jorge chce pomóc. Chce wrócić.

- Meksyk? - pyta.

- Tak, Meksyk. - Lekarz kiwa głową. Wstaje i obchodzi szpitalne łóżko. Siada po jego drugiej stronie.

- Nic ci nie jest, prawda?

- Myślę. Dobrze.

- Zniesiesz to, co ci powiem?

- Dużo?

- Jest tego trochę.

- Dam. Radę.

Wyschnięte, zapieczone usta Jorge popękały w trakcie

rozmowy, na języku rozlewa mu się gorzki smak krwi. Wyjętym ze szklanego słoiczka wilgotnym wacikiem na patyku ordynator obciera chłopcu wargi. Gdy odkłada go z powrotem, płyn w szklance zabarwia się na różowo.

- W Meksyku utonąłeś - rozpoczyna po długiej pauzie.

Zejściowy Joe przypomina sobie: jezioro.

- Z wody wyciągnął cię jeden z tamtejszych dzieciaków.

Zejściowy Jorge przypomina sobie: Lemmy

- Spędziłeś w niej kilka minut, bez oddechu. Ale woda była bardzo zimna. Dzięki temu... Twoje ciało...

Jorge przypomina sobie: ojciec i matka.

- Przewieziono cię do nas, do szpitala. Do Catkin. Jesteś w domu.

Jorge Bellamy przypomina sobie: Ja już nie mam rodziców!

Z jakiegoś powodu ta ostatnia deklaracja, ten „dom”, brzmi wyjątkowo fałszywie. Czy tego lekarza interesuje, dlaczego Jorge właściwie poszedł w góry?

I Jorge przypomina sobie:

- Gdzie...

Ordynator pochyła się, kładąc na czole Jorge zimną dłoń. W ten sposób łagodnie nakazuje mu ciszę.

- Wszystko w swoim czasie, synu. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Zrozum. Twój mózg wydaje się pracować normalnie. Ale twoje ciało. Twoje ciało wydarliśmy śmierci. Ze śmiercią nie walczy się gołymi rękoma. Potrzebowaliśmy... Potrzebowaliśmy pomocy.

Siwe włosy na skroniach ordynatora mieniają srebrzyście. Stałowa tarcza wszechwiedzy.

- Trzymasz się? Mam mówić dalej? Kiwnij głową.

Jorge przytakuje. Wydaje mu się, że oddychanie zaczyna

przychodzić z trudem.

- Szpital to nie jest dobre miejsce. To znaczy jest - jeżeli nie przebywa się w nim zbyt długo. Szpital czasami obraca się przeciwko nam.

- Nie. Rozumiem.

- Pewne części. Twoje części. One... nie nadały. Z powrotem. Z twoim powrotem.

Ordynator prostuje się gwałtownie, aż trzeszczą sprężyny łóżka; składa dłonie i przyciska je do ust, jak gdyby chciał, aby wypowiedane słowa ukryły się w ciasnej przestrzeni pomiędzy nimi i nikt nie musiał ich więcej ani artykułować, ani słyszeć.

- Nie mam wprawy. To mały ośrodek. Nigdy nie spotkałem się z kimś takim jak ty.

- Nie. Mam. Wprawy. Nigdy. Kimś. Takim. Nie. Byłem.

Lekarz wybucha śmiechem, który natychmiast go zawstydza.

- Przepraszam. Masz poczucie humoru. To dobrze. Ono, wiesz. Pomaga.

Jorge nie odpowiada. Obraca głowę i spogląda w okno, wprost w ze- tlały błękit nieba. Wzmacniana u podstawy mrożonym szkłem szyba pokryta jest delikatną mgiełką pary i Jorge ma wrażenie, że także gdzieś wewnątrz niego odkłada się nadmiar wilgoci, płuca tężeją, przestają się rozprężyć. Dwie poprzetykane rysunkiem sztywnych kapilar tafle.

- Duszno. Mi.

Sprawne dłonie natychmiast wyłuskują z białej ściany zwój plastikowego przewodu z plakietką: TLEN i ciało chłopca wypełnia chłodny, ożywczy powiew. To właśnie takie uczucie - wypełnienia - od stóp do głów.

Ordynator uspokaja:

- To przejściowe. To minie. Nie denerwuj się. Zbyt długo

byłeś na respiratorze.

Jorge zamyka oczy Wsłuchany w świergot medycznej aparatury oczyszcza własne wnętrze. Głos lekarza, tak jak wszędobylskie elektroniczne piski, zaczyna przepływać obok niego. Głos lekarza - Jorge wsłuchuje się nie w wypowiedane przez niego zdania, lecz w ich węzowaty kształt, w rytm. Długo mówi ten nieznany człowiek. Zbyt długo. Rozmowa o czymkolwiek, związanym z upływem czasu, wydaje się Jorge nie na miejscu. Wrócił, to się liczy; będzie jeszcze okazja do nadrobienia tego, co mu umknęło. Nie chce słuchać o niczym innym, prócz wiadomości o rodzicach. Gdzie oni są? Może ten tu lekarz chce mu w dobrej wierze przekazać jak najwięcej z przeszłych wydarzeń, może myśli, że przeszłością można kogoś wypełnić, tak jak płynami ustrojowymi w szklanych butelkach, podtrzymać, zresuscytować. Ordynatorowi wydaje się, że Jorge pozostawił za sobą ogromny szmat niewykorzystanych sekund, minut, godzin, ale z punktu widzenia Jorge świat urwał się dwa lata temu, w momencie największego napięcia. Do tego bez rozwiązania. Właśnie, rozwiązanie. Na to przecież oczekuje. Wyprawa nad jezioro miała być rozwiązaniem. Jorge przypomina sobie niespodziewanie ostatni zapamiętany z tamtej feralnej nocy widok: gwiazdy, tonące w falującej czerni. Czy ułożyły się w koniunkcji, która swą mocą doprowadziła do zmiany biegu wydarzeń?

- .. .zdyskwalifikowaliśmy dawców.

A może i lekarz boi się z jakiegoś powodu? Ta myśl zagnieżdża się w Jorge niczym rozżarzony węgielek.

- ...ogromne koszty.

Węgielek płonie, rośnie, okazuje się, że mały okruch łatwo rozdmuchać do rozmiarów góry. Płonącej góry.

- Niech. Pan. Przestanie.

Ordynator milknie.

- Uratowaliście. Mnie. Ale.

- Tak. Tak! Transplantacja. Uratowała cię transplantacja - wyrzuca z siebie lekarz jednym tchem.

Jorge marszczy brwi. Przerwano mu. Celowo. Lekarz błyskawicznie rozciąga usta w uśmiechu. Białe zęby. Mówi:

- Przeszczepiliśmy ci nerki. Wątrobę. Część płuca... Masz je nowe, ynu. Zupełnie nowe.

A po chwili, jak gdyby zaczęło gnębić go sumienie, pyta:

- Wiesz, co to transplantacja, prawda? Trans-plan-ta-cja - literuje. ~ Z jednego człowieka do drugiego...

I nagle wszystko staje się jasne, kolejne części układanki wskakują na swoje miejsca.

- Z. Nich?

- Co, z nich?

- Z. Rodziców?

Z rodziców, czy to w ogóle możliwe? Jakim cudem tego dokonano? Przecież odbierając komuś jakąś jego część, pozbawiamy go tej części na zawsze, człowiek to nie drzewo owocowe, nie zakwitnie. Człowiek... umiera... Zatem.

Ordynator odgaduje myśli Jorge. Odpowiada niemal szeptem.

- Oni zginęli. Już po tym, jak zdecydowali się oddać ci... Chcesz wiedzieć jak?

Zginęli. A jednak. Brak. Pożegnanie. Tęsknota. Rozłąka.

Jorge zaczyna płakać. Łzy spływają po zapadniętych policzkach i w dół, na białą, pachnącą detergentami pościel. Mógł się tego spodziewać, obudził się przecież sam, nie było ich przy nim. Nie ma ich. Teraz, gdy wrócił, odeszli oni.

- Nie. Naprawdę. To nie. Chcę. Wiedzieć - odpowiada.

Ale jednocześnie coś świta w głowie Jorge. Ależ są!



- To był wypadek, synu. Nie było w tym twojej winy. Wypadki się zdarzają. To wszystko. Nic więcej. Zbieg... okoliczności.

- Tak. Jak. Niezapowiedziane. Wakacje.

Ordynator udaje, że pojmuje, co Jorge właśnie powiedział, bo z doświadczenia wie, że przekazując smutną wiadomość, musi okazać jak największy szacunek; klepie go też nieporadnie po dłoni. Jego dotyk parzy. To wszystko. Nic więcej.

Rozsuwają się drzwi i do pokoju wchodzi młody psycholog. Widząc, że trafił nie w porę, spuszcza głowę i składa ręce na podołku; ma minę, jak gdyby będąc w potrzebie, szukał toalety, a trafił w sam środek niezapowiedzianej stypy, z której nie ma ucieczki.

Jorge myśli: Ależ oni są!

Trze powieki - wybuchają pod nimi nieznane konstelacje.

Przypomina sobie pewien odległy wieczór w Los Pinos. Zdejmuje palec z otworu na szyi i spokojnie, bezgłośnie, poruszając niemymi ustami, nadaje tym konstelacjom zupełnie nowe, nieznane nikomu nazwy, podczas gdy psycholog i ordynator wymieniają się między sobą jak warta honorowa, sztywno i z wydumanym szacunkiem, który świadczy o ciężących im pokładach bezradności, nie wiedząc, że Jorge nie zwraca już na nich uwagi.

Transplantacja, myśli. Z jednego w drugie. Z ciała do ciała. Ciała rodziców, jego ciało, ulepione jakby z lepszej gliny ciało właściciela hoteliku, ciała rolników, brązowe ciała rozbieganych dzieci, ciało barmana w bistro, błyszczące od wody ciało Lemmyego, niosące jego bezwładne ciało, ciała ratowników, lekarzy i ciała pielęgniarek, ciało ordynatora i ciało psychologa, wszystkie otaczają go, każde oddzielne, tymczasem on przekroczył granicę.

Zdaje sobie sprawę, jak okrutnie został potraktowany i jednocześnie wie, że otrzymał nagrodę. Wygrał wyścig. Tamten nocny wyścig z Lem- my'm. Wygrał go. Zagarnął, zagarnął to, co chciał; nigdy nie będzie samotny.

Psycholog ma tubalny nosowy akcent, który odbiera chęć słuchania czegokolwiek, co ma do powiedzenia. Nie szkodzi.

Gdzieś daleko, w bezpiecznej przystani własnego umysłu

Jorge myśli: razem

Jorge myśli: mam ich w sobie.

Jorge myśli: na zawsze

Jorge myśli: nigdy mnie nie opuszczą

Jorge myśli:

## FUTERKA

F. Paul Wilson

*F. Paul Wilson (ur. 1946) - amerykański pisarz horrorów, thrillerów i powieści science fiction. Jego książki: Wheels Within Wheels oraz Sims zdobyły Prometheus Award. Wilson jest również laureatem nagrody Brama Stokera za opowiadanie Aftershock. Bestsellerowa również w Polsce powieść Twierdza została zekranizowana przez Paramount Pictures. Reżyserem i scenarzystą filmu był Michael Mann. W chwili obecnej najbardziej rozpoznawalna w twórczości pisarza jest seria Repairman Jack, której do tej pory w USA ukazało się czternaście tomów, a jej fanami są między innymi: Stephen King i Dean R. Koontz. Futerka to najgłośniejsze opowiadanie F.*

*Paula Wilsona, sfilmowane w roku 2006 przez Dario Argento. Obraz został włączony do drugiego sezonu serii Mistrzowie horroru.*

I.

- Boję się, tato - powiedział Gary.

- Cii! - rzucił ojciec przez ramię, idąc naprzód.

Gary trząsał się w mroźnych ciemnościach przed samym świtem i po raz tysięczny badał wzrokiem okoliczne sosny i zarośla. Zbliżał się do dwudziestki i wiedział, że nie powinno go to kosztować tyle nerwów, ale nie mógł nic na to poradzić. Nie lubił tego miejsca.

- Co, jeśli nas złapią?

- Na pewno nas złapią, jeśli nie przestaniesz nadawać, chłopcze - wymamrotał ojciec. - Prawie jesteśmy na miejscu. Nie zabierałbym cię ze sobą, gdybym mógł zrobić wszystko sam! A teraz cicho!

Ich stopy kruszyły centymetrową warstwę zmarzniętego śniegu, pokrywającą piaszczystą ziemię. Gary zacisnął usta, chwycił mocniej swój kij bejsbolowy i szedł za ojcem przez zarośla. Jednak wcale mu się to nie podobało. Nie, żeby nie lubił polowań i traperstwa. Lubił to. A nawet kochał. Ale tego dnia on i jego ojciec byli na ziemi Zeba Fostera, a każdy wiedział, że to nic dobrego.

Stary Foster posiadał tysiące akrów w lasach Pine Barrens w New Jersey i nikomu nie pozwalał w nich polować. Na całym terenie poustawiał znaki „teren prywatny”. Fosterowie zawsze tacy byli. Ojciec mówił, że to dziadek starego Fostera zaczął tę całą głupotę z zakazami wstępu i że cała rodzina była skłonna trzymać się tej idiotycznej tradycji aż do dnia Sądu ostatecznego. Ojciec uważał, że powinien mieć prawo wstępu do

każdej części tych lasów. Gary sądził podobnie i mógłby iść wszędzie, tylko nie na teren starego Fostera.

Słyszało się historie... opowieści o diable z New Jersey, włóczącym się po tych lasach, o ludziach kłusujących na ziemi Fostera, których nikt już więcej nie widział. Ci, którzy zniknęli, to nie byli jacyś idioci z Newark czy Trenton, którzy się tu regularnie gubili i chodzili w kółko aż do śmierci. To byli doświadczeni traperzy i myśliwi, świetnie znający te tereny, dokładnie tak jak ojciec... i Gary.

Niewidziani nigdy więcej.

- Tato, a co, jeśli stąd nie wyjdziemy? - Nienawidził swojego marudnego tonu i próbował go zmienić. - Co, jeśli coś nas dopadnie?

- Nic nas nie dopadnie! Przecież byłem tu wczoraj i zastawiałem pułapki, nie? I jakoś żyję, nie?

- No, ale...

- Żadnego ale! Fosterowie postarali się i rozpowiadali te historie przez pokolenia, żeby odstraszyć ludzi. Tyle, że mnie nie przestraszyli. Wiem, kiedy ktoś gada bzdury.

- Daleko jeszcze?

- Nie, zaraz za następnym wzniesieniem. Cały teren roi się od śladów szopów.

Gary zauważył, że przechodzili przez grubą linię uschniętych, sięgających łydek zarośli. Wyglądało to tak, jakby było tam ciemno i pełno paproci, jeszcze zanim wszystko zrobiło się kruche od mrozu. Linia ta szła prosto jak strzała w kierunku sosen wirginijskich rosnących po obu ich stronach.

- Zobacz, tato. Zobacz, jak równo to rośnie. Jakby ktoś to posadził.

Ojciec parsknął.

- Nikt tego nie posadził. To zanokcica z gatunku

platyneuron. Rośnie tylko tam, gdzie ktoś używał wapna do budowy podstawy pod fundamenty. Inaczej ziemia jest dla niej zbyt kwaśna. Można ją znaleźć w każdym opuszczonym miasteczku.

Gary wiedział, że w Pine Barrens było sporo takich opuszczonych miasteczek, ale te fundamenty były ogromne. Miały prawie dwa metry szerokości i ciągnęły się w każdą stronę dalej, niż sięgał wzrokiem.

- Jak myślisz, tato, co tu było?

- Kto wie... i kogo to obchodzi? Ludzie budowali się tu już przed Wojną o Niepodległość. Słyszałem, że były tu ruiny, nawet zanim Indianie tu przybyli. W tej okolicy jest coś naprawdę starego i nie będziemy tego teraz rozgrzebywać. Przyszliśmy po szopy. Siedź cicho, aż dojdziemy do pułapek.

Gary nie mógł uwierzyć w ich szczęście. We wszystkich cholernych sidłach były szopy! Wielkie, tłuste, z grubym, jedwabistym futrem, jakiego w życiu nie widział. Kilka było martwych, ale większość wciąż żyła. Leżały na boku z szeroko otwartymi, czarnymi oczami pełnymi strachu i bólu; dyszące, krwawiące i wyczerpane próbami wydostania się z pułapek, wciąż słabo szarpały się w łańcuchach łączących je z kołkami.

Gary i jego ojciec najpierw zajęli się tymi wykończonymi, miażdżąc im gardła. Gary przewracał je na grzbiet i patrzył, jak zasłaniają pasiastymi ogonami swoje brzuchy, jakby chciały je ochronić. Nie interesuje mnie twój brzuch, panie szopie. Kładł piętę na tchawicy i miażdżył. Jeśli miał nogę w odpowiednim miejscu, słyszał zadowolający trzask zapadającej się chrzęści. Szopy świszczwały, charczały i rzucały się przez chwilę w pułapkach, próbując nabrać powietrza przez zgniecione gardła, ale szybko dusiły się na śmierć. Gary miał z tym problem, kiedy zaczynał kilka lat temu, ale teraz był już przyzwyczajony. Tak

się to po prostu robiło. Wszyscy traperzy robili to samo.

Ale nie dało się tego zrobić z tymi, które miały jeszcze sporo siły. Za bardzo się szamotały. Wtedy właśnie do akcji wkraczali Gary i jego kij. Zamachnął się na jednego, gdy ten na niego warczał.

- W głowę! W głowę, do cholery! - krzyczał ojciec.

- Dobra, dobra!

- Nie zniszcz futra!

Z niektórych szopów były naprawdę twarde sztuki. Trzeba było walnąć je kijem pół tuzina razy, żeby zabić. Kręciły się, piszczwały i wierciły, więc niełatwo było za każdym razem trafić je prosto w łeb. Ale nigdzie się nie wybierały, nie z jedną łapą w stalowej pułapce.

Kiedy doszli do ostatniej, kij Garyego ociekał krwią aż po owinięty taśmą uchwyt, a jego torba była tak ciężka, że ledwo mógł ją unieść. Torba ojca też była prawie pełna.

- Cholera! - zaklął ojciec stojąc nad ostatnią pułapką. - Pusta! Uklęknął, żeby lepiej się przyjrzeć. - Nie! Czekaj! Też zadziałała! Łapa wciąż w niej jest! Musiał ją odgryźć!

Gary usłyszał szelest w krzakach na prawo od siebie i zauważył oddalający się szaro-czarny, pasiasty ogon.

- Tam jest!

- Za nim!

Gary rzucił torbę i ruszył za ostatnim szopem. Nie ma sprawy. Szop nie miał jednej tylnej łapy i gdziekolwiek szedł, zostawiał za sobą strużkę krwi na śniegu. Gary znalazł go kilka metrów dalej. Grubego, człapiącego i kulejącego na tyle szybko, na ile pozwalały mu trzy łapy, które mu zostały. Gary zamachnął się, ale szop częściowo się uchylił i wrzasnął, gdy kij ześlizgnął się po jego czaszce. Następne uderzenie było dużo lepsze, ale zwierzak wciąż uciekał. Gary podążał za nim przez

zarośla, tłukąc go raz za razem, aż poczuł zmęczenie w rękach. Naliczył niemal trzydzieści uderzeń, zanim porządnie trafił. Szop przewrócił się na grzbiet i patrzył na niego szklanymi oczami, krwawiąc z uszu. Gary widział sutki na jego brzuchu - to była samica. Kiedy chłopak ponownie podniósł kij, zwierzę zasłoniło pysk łapami; niemal ludzki gest, przez który Gary na moment się zawahał. A potem przyłożył po raz ostatni. Trzasnął go w łeb jeszcze dziesięć razy dla pewności, że nigdzie sobie już nie pójdzie. Kiedy skończył, śnieg dookoła był zabryzgany czerwienią. Kiedy podniósł go za ogon, spojrzał na pokierszowany kikut tylnej łapy. Odgryziona. Boże, musiałaś naprawdę chcieć się uwolnić, żeby zrobić coś takiego.

Zaniósł zwierzę z powrotem do ojca, mijając pozostałe purpurowe plamy. Wyglądało to, jakby przechodził tędy jakiś krwawonogi gigant.

- Wow! - zawołał ojciec, widząc ostatniego. - Jest piękny! Wszystkie są piękne! Gary, mój chłopcze, będziemy mieli kasy jak lodu, gdy je sprzedamy!

Gary spojrzał na słońce, wrzucając ostatniego do torby. Promiennie wspinało się na bezchmurne niebo.

- Może nie powinniśmy jej wydawać, aż nie wyniesiemy się z ziemi Fostera.

- Masz rację - powiedział ojciec, który po raz pierwszy wyglądał na zaniepokojonego. - Wrócę jutro i jeszcze raz rozstawię pułapki. - Poklepał Gary ego po plecach. - Znaleźliśmy żyłę złota, synu!

Gary zastękał pod ciężarem torby, ale pochylił się i ruszył w stronę słońca. Chciał stąd zniknąć. I to szybko.

- Pójdę pierwszy, tato.

Futerka 61

- Spójrz tylko na nie! - powiedział ojciec, trzymając dwa

futra za ogony. - Grubsze już być nie mogą, a nie ma na nich ani jednej blizny czy łysinki. Perfekcyjne, i to wszystkie!

Zachwiał się, stojąc przy stole do zdejmowania skóry. Regularnie popijał brandy z jabłek podczas całodziennej roboty z cięciem, zdzieraniem i myciem futer, więc był już prawie schlany. Gary już wcześniej wziął od niego nóż i sam zabrał się za cięcie, zostawiając starcowi zdzieranie skór. Do tego nie trzeba być trzeźwym. Jak już zrobiło się nacięcia, a to była najtrudniejsza część, silny człowiek mógł zedrzeć je jak skórkę z banana.

- Piękne - powiedział Gary. - Wszystkie są piękne. Pełne zimowe futra.

Środek zimy był, oczywiście, najlepszą chwilą na łapanie wszelkich zwierząt futerkowych. Wtedy właśnie futra były najgrubsze. A te były grube. Gary nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział podobne. Przy odpowiednim świetle jasnoszare futro zdawało się połyskiwać błoniebieskimi, metalicznymi kolorami. Gdy go dotykał, czuł przyjemne ciepło w swoim wnętrzu, przez co chciał teraz znaleźć kobietę i ujeżdżać ją do samego rana.

Niesamowite było to, że wszystkie były identyczne. Nikt nie musiał tych maleństw farbować, żeby zrobić z nich futro. Pasowały idealnie, jakby te wszystkie szopy były jedną wielką rodziną.

Będzie z nich fantastyczne, długie do ziemi futro.

- Jake będzie zachwycony - oznajmił ojciec. - I sporo nam za nie zapłaci!

- Skontaktowałeś się z nim? - zapytał Gary, myśląc o strzelbie, którą chciał kupić.

- Tak. Pierwsze, co rano zrobiłem.

- To super, tato. Kimnij się, a ja tu posprzątam.



- Jesteś pewny?

- Jasne.

- Dobrze, synu - powiedział ojciec. Klepnął go po ramieniu i poszedł chwiejnym krokiem w kierunku drzwi. Gary zatrząsł się od zimnego powiewu, który wpadł przez nie, kiedy jego ojciec wychodził. Wstał, dorzucił kolejny klocek drewna do stojącego w rogu pieca i rozejrzał się dookoła.

W zasadzie niewiele zostało do zrobienia. Futra były umyte i w większości przybite do stołów do suszenia. Flaki już wyrzucili, a mięso schowali w chłodnej komórce, dzięki czemu będzie można karmić nimi psy przez kilka tygodni. Musi tylko...

Gary rzucił okiem w kierunku ławeczki. Czy coś się tam poruszyło? Patrzył przez chwilę. Żadnego ruchu. Jednak mógł przysiąc, że jedno z leżących na stercie, nie rozłożonych jeszcze futer, poruszyło się. Przetarł oczy i uśmiechnął się szeroko.

Długi dzień.

Podszedł do ławki i rozłożył pozostałe pół tuzina przed ich rozciągnięciem. Zwykle przybijali swoją zdobycz gwoździami do drzwi stodoły, ale te były na to zbyt cenne. Przesunął po nich rękami. Boże, te były wyjątkowe. Nigdy wcześniej nie widział futra z szopów, które byłoby równie grube i miękkie. To ciepłe, spokojne uczucie napalenia naszło go jeszcze raz. Dla zabawy owinął je sobie wokół ramienia. Co futro może mu...

Futro poruszyło się, pomarszczyło. Jednym szybkim, płynnym ruchem jego brzegi zagięły się i ciasno owinęły wokół jego przedramienia. Fala przerażenia opuściła go, zanim zdążył zareagować, zatopiony w fali spokoju.

Nic nadzwyczajnego. Wszystko było w porządku... w porządku.

Spokojnie patrzył, jak trzy pozostałe, nie rozłożone futra pomarszczyły się i ruszyły w jego kierunku. Nic takiego. Nic

dziwnego w tym, że pełzły po jego rękach i nadgarstkach, a potem owijały się wokół ramion. Całkowicie naturalne. Uśmiechnął się. Wyglądał, jakby miał ręce jaskiniowca.

Powinien był już iść do domu. Wstał. Wychodząc, złapał swój kij bejsbolowy.

Ojciec chrapał.

Gary szturchnął go kijem i zawołał. Jego własny głos zdawał się pochodzić z bardzo daleka.

- Tato! Obudź się! Tato!

W końcu ojciec drgnął i otworzył przekrwione oczy.

- Co jest, chłopcze? Czego chcesz, do cholery?

Gary uniósł kij nad głowę. Ojciec krzyknął i zasłonił się rękami, próbując się ochronić, podobnie, jak ten ostatni szop nad ranem. Gary machnął kijem z całej siły, trafiając ojca w nadgarstek i nad prawym uchem, kiedy ten próbował się odwrócić. Ojciec zacharczał i zeszywniał, ale Gary nie czekał na to, co będzie dalej. Uderzył jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz, ciągle licząc. Jego ręce nie były w ogóle zmęczone. Tulące się do nich futra zdawały się dodawać im sił. Na długo przed czterdziestym uderzeniem głowa i mózg jego ojca przypominały niewiele więcej niż wielką plamę galaretki porzeczkowej, rozmazanej na poduszkach.

Następnie odwrócił się i ruszył ku tylnym drzwiom.

Wróciwszy do stodoły, stanął przy stołach do suszenia futer i patrzył na zakrwawiony kij, który ścisnął teraz obiema rękami. Jakaś mała cząstka wewnątrz niego krzyczała, próbując go ostrzec, ale cała jego reszta wiedziała, że wszystko było w porządku. Wszystko było okej. Wszystko było...

Nagle obrócił nadgarstki i przedramiona i trzasnął się kijem w twarz. Zatoczył się i wrzasnąłby, gdyby tylko gardło mu na to pozwoliło. Z jego nosa i czoła promieniował przeszywający ból!

Ale wszystko było w...

Nie! Nic nie było w porządku! To było...

Uderzył się ponownie i poczuł, jak zapadł się jego prawy policzek. I znowu, i znowu. Kilka kolejnych uderzeń zmiażdżyło mu nos i wybiło oczy. Był ślepy, a ten cholerny kij nie chciał przestać!

Upadł na plecy, wciąż tłukąc się po głowie. Słyszał, jak pęka mu czaszka. Ale nie mógł powstrzymać tego cholernego kija!

I ten ból! Powinien być nieprzytomny już po pierwszym uderzeniu, ale ciągle był w pełni świadomy. Czuł wszystko!

Modlił się o śmierć, zanim kij uderzy go czterdzieści razy.

## 2.

Nikt w domu nie odpowiadał na jego pukanie. W zasadzie w dziurze, albo i norze, a nie w domu, więc Jake Feldman poszedł do stodoły. Zimne, poranne powietrze chłodziło nieubłaganie powiększającą się łysinę, okupującą czubek jego głowy. Zawinał niezapięty płaszcz wokół okrągłego brzucha i przyspieszył kroku na tyle, na ile się dało na oblodzonym, nierównym podjeździe.

Stary Jameson powiedział, że będzie miał dla niego jakieś niezwykle futra. Futra o takiej jakości, że Jake będzie skłonny zapłacić dziesięciokrotność normalnej ceny, byle tylko je mieć. Z dobroci serca oraz ze względu na wieloletnią współpracę, Jameson da mu pierwszeństwo przy zakupie.

Jasne.

Jakea zaintrygował szczery entuzjazm starego krętacza. Jameson nie ściemniał. Może naprawdę miał coś niezwykłego. A może i nie.

Lepiej, żeby to było tego warte, pomyślał Jake, otwierając drzwi stodoły. Nie miał czasu na włóczenie się aż do Jersey Pine Barrens i gonienie za wiatrem.

Znajoma woń zaschniętej krwi uderzyła go, gdy otworzył drzwi. Żadne zaskoczenie. Kupuj świeże futerka u źródła, a szybko się do tego przyzwyczaisz. Zaskakujące jednak było przenikliwe zimno w stodole. Światła były włączone, ale opalany drewnem piecyk zimny. Futra zamarzną, jeśli zostałyby w takiej temperaturze na dłużej.

I wtedy je zobaczył: wszystkie równo ułożone, starannie przybite do stołów do suszenia. Futro migotało, odbijając błyski opalescencji z żarzących się nad nimi żarówek i zimnego ognia porannego światła wpadającego przez otwarte drzwi za jego plecami. Były wyborne. Wspaniałe!

Feldman znał się na futrach. Spędził w tej branży prawie czterdzieści z pięćdziesięciu pięciu lat swojego życia, zaczynając jako krojczy i awansując do coraz poważniejszych zadań, aż w końcu miał dość tupetu, by założyć własną firmę. Przez te wszystkie lata nie widział futer choćby podobnych do tych.

Na Boga, Jameson, gdzieś tyje znalazł? Możesz mieć takich więcej?

Jake podszedł do stołów z rozłożonymi futrami i dotknął ich. Musiał ich dotknąć. Było w nich coś, co przyciągało jego dłonie. Były takie miękkie, skrzące się, tak niewiarygodnie piękne. Jake widział, dotykał, a zdarzało się, że nawet kroił najlepsze futra z syberyjskich soboli, ale one nijak się miały do tych. Były nie do porównania. Ich piękno było niemal straszne, niemal... nadprzyrodzone.

Wtedy zobaczył buty. Wielkie zakrwawione gumowce, wystające spod jednego ze stołów. Nie byłoby w tym nic

dziwnego, gdyby nie pozycja, w której się znajdowały. Leżały na zapiaszczonej podłodze, z czubkami skierowanymi pod różnymi kątami w stronę sufitu, jak wskazówki zegara pokazujące pięć po dziesiątej. Buty po prostu nie mogą tak leżeć... chyba, że są w nich nogi.

Jake schylił się i zobaczył jeansy na wystających z butów nogach. Uśmiechnął się. Któryś z Jamesonów - albo stary Jeb albo młody Gary. Pewnie ten starszy. Słuszne założenie, znając zamiłowanie starego Jamesona do brandy z jabłek.

- Hej, staruszkule! - krzyknął, wciskając się pomiędzy dwa stoły do suszenia skór. - Co ty tam robisz? Zaziębiesz się na śmie...

Reszta zdania utknęła Jake'owi w gardle, gdy zobaczył trupa. Na początku wszystko, co widział, to czerwień. Cały korpus był przesiąknięty krwią: klatka piersiowa, ręce, ramiona, Boże, głowa! Prawie nic z niej nie zostało! Twarz i cała górna część czaszki były stłuczone na krwawą, ciekącą miazgę, z której wystawały resztki oka i dziwacznie powykręcane zęby. Jedynie po fragmencie gładkiego, ogolonego policzka Jake poznał, że to Gary, a nie Jeb.

Tylko kto mógł to zrobić? I dlaczego? Bardziej niż samym widokiem trupa, Jake był przerażony świadomością niewyobrażalnej furii, potrzebnej do doprowadzenia głowy Gary ego do obecnego stanu. I czym można było zrobić coś takiego? Kijem bejsbolowym? I po takiej zbrodni ktoś owinął palce Gary ego wokół narzędzia zbrodni? Co za chory psych...

Jeb! Gdzie był stary Jeb!? Przecież nie mógł mieć z tym nic wspólnego!

Wołając starego Jamesona, Jake pobiegł do domu. Na wołania nikt nie odpowiadał. Tylne drzwi były otwarte. Stał na tarasie i zawołał raz jeszcze. Przywitała go cisza. Chata

wydawała się strasznie pusta. Tylko dlatego Jake wszedł do środka.

Niewiele czasu zajęło mu znalezienie sypialni. I tego, co zostało ze starego Jamesona.

Chwilę później Jake stał pomiędzy chatą a stodołą, dysząc i niemal wymiotując.

Martwi! I to obaj!

Więcej niż martwi - zatłuczeni, połamani, rozbryzgani!

...ale te futra. Nawet śmiertelnie przerażony przelatującymi przez jego głowę obrazami tego, co właśnie zobaczył, Jake nie mógł przestać myśleć o tych futrach!

Wyborne!

Jake pobiegł do samochodu, podjechał tyłem do drzwi stodoły i otworzył bagażnik. Zajęło mu to trochę czasu, ale w końcu przeniósł wszystkie futra ze stołów, na których się suszyły, do bagażnika. Znalazł też kilka, leżących luzem na podłodze koło ciała Garyego, i te też zabrał.

Potem odjechał z rykiem silnika po dwóch koleinach, które służyły w tej okolicy za drogę. Źle się czuł z tym, że tak po prostu zostawił tam te dwa trupy, ale i tak nijak nie mógł już pomóc Jamesonom. Powiadomi policję, kiedy będzie już na szosie. Anonimowo.

Ale miał futra. To było najważniejsze.

I doskonale wiedział, co z nimi zrobi.

Kiedy już bezpiecznie dowiózł futra do swojej fabryki w odzieżowej dzielnicy Nowego Jorku, Jake zabrał się za zrobienie z nich płaszcza. Był tylko jeden mały szkopał: Azjaci wśród krojczych w jego firmie odmówili pracy nad nimi. Kilku z nich spojrzało na futra, otworzyło szeroko oczy i z krzykiem wybiegło z fabryki.

Trochę go to zszokowało, ale szybko się pozbierał. Kiedy

już wszystko zorganizował, osobiście nadzorował każdy etap: czyszczenie i zmiękczenie, usuwanie włosów okrywowych i wykrawanie, kiedy to sam brał nóż w ręce i wykrawał kilka futer. Nadzorował zszywanie porozcinanych pasków i wbijanie tysięcy gwoździ używanych do fastrygowania futra zgodnie ze wzorem.

Gdy wszywanie jedwabnej podszewki zbliżało się do końca, Jake pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Nawet nieukończone, futro - To Futro, jak zaczął je nazywać - było niesamowicie piękne, zapierające dech w piersiach. Już za niecałą godzinę zostanie posiadaczem najbardziej niezwykłego futra z szopów na świecie. Niezwykłego nie tylko z powodu jego połysku i faktury, ale też dlatego, że nie dało się poznać, że to futro z szopów. Nawet fachowcy w jego fabryce dali się nabrać, przyznając, że długość włosa i rozmiar futerek były podobne do szopów, ale nikt nigdy nie widział szopa z takim futrem, ani w ogóle takiego futra.

Jake chciałby, cholera, wiedzieć, gdzie Jameson je złapał. Zapłaciłby niemal każde pieniądze za regularne dostawy takich futer. Jaką cenę mógłby za nie dostać!

Ale miał tylko jedno takie futro i nie zamierzał go sprzedawać. Nie ma mowy. Cała branża będzie mówić o Tym Futrze. A firma Feli Furs będzie znana jako ta, która zrobiła To Futro.

Przecież Bóg dobrze wiedział, że firma musi się odbić. Cała branża ponosiła straty. Jake nie pamiętał, kiedy ostatni raz były tak ogromne obniżki cen. Miłośnicy zwierząt zdecydowanie mieli na to wpływ. No, kurde, on też kochał zwierzęta. Przecież miał w domu czarnego labradora.

Ale na tym jego miłość do zwierząt się kończyła.

Jeśli dobrze by to rozegrał, To Futro mogłoby diametralnie

poprawić sytuację jego firmy Ale potrzebował odpowiedniej modelki do jego prezentacji.

Wiedział, do kogo zadzwonić.

Usiadł w biurze i wybrał numer domowy Shanny. Mimo że niedawno się przeprowadziła, nie musiał go sprawdzać. Znał już ten numer na pamięć. Powinien znać. Już wiele razy go wybierał.

Shanna... modelka w średnim wieku, którą wypatrzył na targach futer dwa lata temu. Czarne włosy sięgające ramion, długa grzywka, biała skóra, szerokie kości policzkowe i onyksowe, obiecujące wszystko oczy. I jej ciało - Shanna miała figurę, która mocno odróżniała ją od tych wszystkich tyczek i wieszaków. Od tego czasu Jake nie mógł o niej zapomnieć. Pragnął jej, ale to chyba była przegrana sprawa. Zawsze czuł się przy niej jak jakaś owrzodziła ropucha, a ona właśnie tak go traktowała. Nieraz próbował się do niej zbliżyć, ale za każdym razem był odtrącany. Nie chciał jej mieć na własność, chciał tylko być przy niej, dotykać jej, choć raz na jakiś czas. I kto wie? Może by się jej spodobał.

Teraz w końcu miał szansę. To Futro utoruje mu drogę. Tym razem będzie inaczej, czuł to.

Jej głos, delikatny i kuszący, usłyszał po trzecim sygnale.

- Słucham?

- Shanna, to ja, Jake Feldman.

- O. - Zmiana tonu mówiła wszystko. - Czego chcesz, Jake?

- Mam dla ciebie propozycję, Shanna.

Jej ton był coraz zimniejszy.

- Już słyszałam twoje propozycje. Nie jestem zain...

- Ta jest wyłącznie zawodowa - powiedział szybko. -

Mam dla ciebie futro. Chcę, żebyś je zaprezentowała na



międzynarodowym pokazie w przyszłym tygodniu.

- No nie wiem. - Lekko się zawahała. - Już dawno tego nie robiłam.

- Będiesz chciała znowu to zrobić, jak zobaczysz to futro. Uwierz mi.

Może jego entuzjazm jakoś dotarł do niej przez telefon. Jake zauważył niemal niewyczuwalne ocieplenie w jej głosie.

- No to zadzwoń do agencji.

- Zadzwonię. Ale najpierw chcę, żebyś zobaczyła to futro.

Musisz je zobaczyć.

- Naprawdę, Jake...

- Musisz je zobaczyć. Zaraz je przywiozę.

Rozłączył się, zanim zdążyła powiedzieć „nie”, i poszedł w pośpiechu do pracowni. Zaraz po tym, jak zawiązano ostatni supeł w ostatnim szwie, zapakował je do kartonu i ruszył do drzwi.

- Jakie futra pan kupuje, proszę pana? - Ktoś zapytał, gdy wyszedł na chodnik.

O cholera. Miłośnicy zwierząt. Kilkunastu z nich trzymało jakieś transparenty, kręcąc się przed jego pracownią.

Ktoś przystawił mu plakat do twarzy:

**WYGLĄDAĆ w FUTRZE PIĘKNIE I ELEGANCKO  
MOŻE JEDYNNIE ZWIERZĘ, DO KTÓREGO ONO NALEŻY.**

- Ile bezbronnych zwierząt zostało złapanych w pułapki i bestialsko zabitych dla tego futra? - zapytał facet z brodą.

- Spierdalaj! - rzucił Jake. - Nosisz skórzane buty, co nie?

Facet się uśmiechnął:

- Tak naprawdę, to noszę tenisówki. I nawet jeśli są skórzane, to nie noszę ich z próżności. Krowy są w naszym łańcuchu pokarmowym; bobry, norki i młode foki, nie.

- I co z tego?

- Co innego, gdy zwierzę umiera, żeby służyć jako jedzenie - to prawo natury. A zupełnie co innego, gdy zabija się zwierzęta, żeby ukraść ich piękno, ubierając się w ich skórę. Zwierzęta nie powinny cierpieć i umierać tylko po to, by karmić ludzką próżność.

Zaczęli skandować.

- Próżność! Próżność! Próżność!

Jake pokazał im środkowy palec i złapał taksówkę do centrum.

Taka piękna dziewczyna mieszka w takim miejscu, pomyślał Jake, wchodząc do lobby magazynu przerobionego na kamienicę, w którym Shanna niedawno kupiła mieszkanie. Pewnie dała za nie małą fortunę tylko dlatego, że ta część miasta była uważana za elegancką.

Przy tabliczce „winda” zdał sobie sprawę, że stoi naprzeciwko stalowej płyty, nabijanej nitami. Nie bardzo wiedząc, co zrobić, pociągnął za drążek pod tabliczką. Stalowa płyta, służąca za drzwi, rozdzieliła się poziomo, zgrzytając. Jedna część uniosła się, druga zniknęła w podłodze. Stara winda towarowa. Gdy już był w środku, wykombinował, jak to ustrojstwo działa i pojechał hałaśliwą, otwartą kabiną na trzecie piętro.

Wysiadając na trzecim piętrze, znalazł drzwi oznaczone 3B dokładnie przed sobą. To mieszkanie Shanny. Zapukał i usłyszał kroki.

- Kto tam? - zapytał przytłumiony głos z drugiej strony. Głos Shanny.

- To ja, Jake. Przyniosłem futro.

- Mówiłam ci, żebyś zadzwonił do agencji.

Futro zdawało się marszczyć na jego rękach, kiedy je uniósł. Kilka wykrojonych pasków wypadło z rękawa i

wylądowało w kartonie. Wyglądały jak włochate gąsienice, kilka z nich nawet zdawało się poruszać. Dziwne. Nie powinno ich być w płaszczu. Zignorował je. To nieważne. Tylko Futro się liczyło. I wejście do mieszkania Shanny.

- Tylko rzuć okiem na to futro. Spójrz na to cudo i nie mów mi, że nie chcesz mu się bliżej przyjrzeć.

Usłyszał, jak otwiera się pokrywka judasza po drugiej stronie. Dziesięć sekund później drzwi się otworzyły. Stała w nich Shanna, wpatrzona w to, co widzi. Jake wstrzymał oddech na jej widok. Nawet bez makijażu, stojąc we frotowym szlafroku, była piękna. Ale jej oczy w ogóle go nie widziały. Skupiały się na Futrze. Wyglądała jak w transie.

- Jake, ono jest... ono jest piękne. Mogę?...

Kiedy sięgnęła po nie, Jake wrzucił je z powrotem do kartonu i prześlizgnął się obok niej do mieszkania.

- Przymierz tutaj. Tu jest lepsze światło.

Weszła za nim do ogromnego, przypominającego poddasze pomieszczenia, które było salonem jej apartamentu. Zbyt otwarte, jak na gusta Jakea. Za wysoki sufit, za mało ścian. I wciąż niewykończone. Tapeciarze byli w połowie pracy nad dziwnym malowidłem na jednej ze ścian; drabiny i narzędzia stały poskładane koło drzwi.

Odwrócił się i podał jej Futro.

- Proszę, Shanna. Zrobiłem je w twoim rozmiarze.

Odwróciła się i wsunęła ręce w rękawy. Gdy Jake zarzucił jej futro na ramiona, zauważył te kilka pasków futra przyczepionych do płaszcza. Zerwał je i zebrał w dłoni, żeby je później wyrzucić. Potem zrobił krok w tył, by się jej przyjrzeć. Futro już wcześniej zapierało dech w piersiach, ale Shanna jeszcze dodawała mu urody. I wzajemnie. Zdawały się sobie przeznaczone. Jakeowi zeszkliły się oczy na ten widok.

Shanna stanęła przed ogromnym lustrem wiszącym na ścianie i powoli obracała się przed nim. Jej twarz promieniała z zachwytu. W końcu odwróciła się do niego z uradowanymi oczami.

- Nie musisz dzwonić do agencji - powiedziała. - Ja zadzwonię. Chcę pokazać to futro.

Jake właśnie zdał sobie sprawę, że był w znacznie lepszej pozycji do negocjacji niż mógł sobie wyobrazić. Shanna już nie miała przewagi. To on ją miał. Postanowił podnieść stawkę.

- Oczywiście - rzekł bezceremonialnie. - Całkiem możliwe, że zostaniesz naszą modelką na stałe.

Po raz pierwszy od chwili, gdy spojrzała na to futro, na jej twarzy pojawiła się troska.

- Całkiem możliwe? Co to ma znaczyć?

- No... inne modelki również są bardzo zainteresowane.

Musimy dać im szansę w castingu.

Otuliła się futrem mocniej.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek inny nosił to futro!

- W takim razie...

Shanna powoli rozłożyła futro, rozwiązała frotowy szlafrok pod nim i jego również rozłożyła. Nie miała pod nim nic. Jake ledwo zauważył jej uśmiech.

- Uwierz mi - powiedziała swoim słodkim głosem - nie będziesz potrzebował żadnych innych castingów.

Nagle Jake miał zbyt sucho w ustach, żeby móc cokolwiek powiedzieć. Nie mógł oderwać oczu od jej piersi. Sięgnął do guzików swojego płaszcza i zauważył paski futra w swojej prawej ręce. Gdy próbował je zrzucić, poczuł, że się poruszają, wijąc jak włochate robaki. Gdy na nie spojrzał, owijały się wokół jego palców.

Spokój przenikał go, jak dobre czerwone wino. To, że paski

poruszały się, nie zdziwiło go. Zupełnie normalne. Nawet zabawne.

Spójrz, mam włochate pierścienie.

Zdjął płaszcz i koszulę, był nagi od pasa w górę. Potem stwierdził, że potrzebuje chwili na osobności.

- Gdzie jest łazienka?

- Drzwi za tobą.

Potrzebował czegoś ostrego. Po co?

- Masz nóż? Jakiś ostry? - Słowa zdawały się płynąć same z siebie.

Na jej twarzy malowało się całkowite zdziwienie.

- Pewnie tak. Tapeciarze używali żyłek...

- Mogą być.

Podszedł do ławeczki, znalazł nóż introligatorski i udał się do łazienki.

- Będę za moment. Zaczekaj w sypialni.

Co ja robię?

W łazience stanął przed lustrem, ściskając nóż w prawej ręce. Jego palce owijały kawałki futra. Poczł przyplływ nagłej fali zimna. Czł się na wpół zamarznięty, usidlony, wystraszony. Nagle zobaczył w lustrze wielką, brodatą twarz starego Jamesona, a potem jego gigantyczną stopę, zmierzającą w stronę jego twarzy. Jake zakrztusił się, czując miazdzący ból w gardle, dusił się. Na Boga, nie mógł oddychać!

Za moment wszystko minęło. Wszystko było w porządku. Przebił czubkiem noża skórę nad mostkiem, wystarczająco głęboko, żeby sięgnąć aż do tkanki tłuszczowej poniżej. Potem pociągnął nożem wzdłuż całego mostka. Kiedy dotarł do nadbrzusza, lekko obrócił nóż w prawą stronę i kontynuował wzdłuż linii żeber, potem dalej przez cały bok. Słyszał, jak protestująco skrzypią i zrywają się wiązadła oraz ścięgna w

barku, kiedy jego ręka kontynuowała cięcie przez talię aż do pleców, choć nie czuł żadnego bólu. Ani barku, ani nawet głębokiej rany, która zaczęła obficie krwawić. Coś w jego wnętrzu krzyczało z przerażenia, ale jakby z bardzo, bardzo daleka. A tu, gdzie on przebywał, wszystko było w porządku.

Wszystko było w porządku.

Kiedy przedłużył cięcie przez plecy aż do kręgosłupa, przełożył ostrze do lewej ręki i zrobił podobne od przodu do lewej strony, aż połączył oba cięcia na plecach, przy podstawie kręgosłupa. Następnie wykonał kolejne, okrągłe, dookoła barków - na górze i przez pachę. Potem dookoła szyi. Kiedy skończył, chwycił brzegi nacięcia, które właśnie zrobił na mostku i szarpnął. Wśród tryskającej krwi skóra zaczęła z łatwością odchodzić od leżących pod nią tkanek.

Wszystko było w porządku... w porządku...

Jake wciąż szarpał.

Gdzie on jest, do cholery?

Owinięta futrem Shanna stała przed lustrem w sypialni, czekając na Jakea.

Nie miała na to ochoty. Ani trochę. Myśl o tym bladym, sflaczałym ciebie, wijącym się na niej, powodowała, że robiło jej się trochę niedobrze, ale jakoś musiała to znieść. Nic nie powstrzyma jej przed noszeniem tego futra.

Wtuliła się w nie mocniej, ale ono wciąż spadało, jakby nie chciało jej dotykać. Głupia myśl.

Powoli obróciła się przed lustrem.

Wyglądasz świetnie, Shanna.

To było właśnie to. To właśnie jedna z tych chwil, o których mówi się, że cała przyszłość zależy od jednej decyzji. Shanna wiedziała, jaką decyzję musi podjąć. Jej kariera zatrzymała się tuż przed szczytem. Zarabiała sporo, ale chciała

więcej, chciała, żeby wszyscy rozpoznawali jej twarz. I to miało się stać z pomocą tego futra. Tylko kilka międzynarodowych pokazów i będzie znana na całym świecie, jako właśnie ta dziewczyna, która prezentowała właśnie to fantastyczne futro. A wtedy będzie mogła już sama decydować o swoich zarobkach.

Pomimo mdłości, Shanna gorzko się uśmiechnęła. To nie byłby pierwszy raz, kiedy rozkłada nogi, żeby dostać to, czego chce. Jake Feldman uganiał się za nią od lat. Jeśli więc oddanie mu się kilka razy zapewni jej wyłączność na prezentowanie tego futra, dziś może być ostatni raz, kiedy musi to robić z kimś takim, jak Jake Feldman.

Co on robi w tej łazience, zawija go w papier? Chciała, żeby wreszcie stamtąd wyszedł i żeby mogło już być po wszystkim. Wtedy będzie mogła...

Usłyszała otwierające się drzwi łazienki i jego kroki w salonie. Powłóczył nogami.

- Tu jestem, Jake! - zawołała.

Szybko zsunęła z siebie futro na tyle, żeby pozbyć się szlafroka, potem zarzuciła je na siebie z powrotem i wyciągnęła na łóżku. Przewróciła się na bok i podparła się na łokciu, ale futro ciągle się z niej zsuwało. No dobra, trudno. Zostawiła je rozpięte, układając je tak, by jak najbardziej wyeksponować to, co miała najlepszego. Znała wszystkie prowokacyjne pozy. Pozowała do niejednej nagiej sesji, żeby mieć z czego zapłacić rachunki, gdy dopiero startowała w branży.

Za drzwiami słyszała zbliżające się powłóczyste kroki. Co on wyprawia? Chodzi z opuszczonymi spodniami, czy co?

- Pospiesz się, kochanie! Czekam na ciebie!

Weź się do roboty, tłuściochu!

Nagle zrobiło jej się zimno, zabolęła ją noga i zobaczyła giganta o chłopięcej twarzy, pochylającego się nad nią z

uniesionym kijem, uderzającym ją nagle w głowę. Gdy zaczęła krzyczeć, zdała sobie sprawę, że jest z powrotem w swoim mieszkaniu, ubrana w futro i rozciągnięta na łóżku.

Jake wszedł przez drzwi, szurając nogami.

Umysł Shanny z trudem zarejestrował, że coś trzyma, ale czerwień natychmiast przyciągnęła jej uwagę. Jake był cały czerwony, ociekający czerwienią: spodnie, skóra na rękach, nagie...

O Boże, to krew! Był cały we krwi! A jego klatka piersiowa i nadbrzusze - one były najbardziej zakrwawione. Chryste! Nie ma skóry! Nie ma! Jakby ktoś ją zdarł z jego tułowia.

- Ja... - Jego głos był szorstki, chrapliwy. Oczy miał szeroko otwarte i szkliste, kiedy włożył się w jej kierunku - zrobiłem tę kamizelkę dla ciebie.

Wtedy Shanna spojrzała na to, co próbował jej dać, na to, co trzymał w zakrwawionych palcach, które zdawały się być pokryte futrem.

To rzeczywiście była kamizelka. Biała, umazana krwią kamizelka bez rękawów. Pomiedzy strużkami krwi zauważyła kręcone włosy, zwykle rosnące na klatce piersiowej, pokrywające przód kamizelki... zakręcające dookoła sutków.

Shanna krzyknęła i przeturlała się przez łóżko, ściskając futro. Gdyby tylko mogła zarzucić je sobie na głowę, byłoby tylko móc go nie widzieć...

- Jest dla ciebie - powiedział, wciąż z trudem krocząc w jej kierunku. - Możesz ją nosić pod futrem.

Zawodząc ze strachu i obrzydzenia, Shanna obiegła łóżko i rzuciła się w kierunku drzwi. Przebiegła przez salon i wybiegła na korytarz. Winda! Musi uciec od tego człowieka, tego czegoś, co wycięło własną skórę i zrobiło z niej...



Szuranie. Szedł za nią!

Nacisnęła przycisk, trzaskała w niego. Usłyszała, jak ruszyły wyciągarki windy. Kabina nadjeżdżała. Odwróciła się i dostała mdłości na widok zbliżającego się Jakea, który wyszedł z jej apartamentu, zostawiając za sobą smugę krwi i trzymając przed sobą kamizelkę, jakby chciał, aby wsunęła w nią swoje ramiona.

Usłyszała brzęk za sobą. Odwróciła się, pociągnęła dźwignię, którym otwierało się ciężkie, stalowe drzwi i wskoczyła do środka. Gdy pociągnęła do góry dźwignię wewnątrz windy, zewnętrzne drzwi zamknęły się z ogłuszającym szczękiem, zasłaniając widok Jakea i jego odrażającego podarunku.

Trzymając się kurczowo futra, tulącego jej nagie ciało, Shanna opadła na kolana i zaczęła szlochać. Boże, co się tu dzieje? Dlaczego Jake wyciął własną skórę? Jak on to w ogóle zrobił?

- Shanna, proszę... - powiedział charczący głos po drugiej stronie drzwi. - Zrobiłem ją dla ciebie.

I wtedy drzwi zaczęły się otwierać! Przed jej oczami ukazała się pozioma szczelina w zewnętrznych drzwiach, a zakrwawione ramiona z owiniętymi futrem palcami zaczęły wpychać przez nią odrażającą kamizelkę.

Krzyk Shanny odbijał się echem w szybie windy, kiedy nacisnęła przycisk „w dół”.

Dzięki ci, Boże!

Ale drzwi windy na trzecim piętrze wciąż się otwierały. Kiedy Shanna jechała w dół i mijała drugie piętro, nie mogła przestać patrzeć w górę. Przez otwarty dach kabiny obserwowała, jak szczelina nieustannie się poszerza, jak do wystających ramion i kamizelki dołączyła głowa i tułów Jakea.

- Shanna! To dla ciebie!

Kabina zatrzymała się z trzaskiem. Pierwsze piętro. Shanna szarpnęła kratę zabezpieczającą i pociągnęła dźwignię. Pięć sekund... pięć sekund i będzie biegła ulicą, na policję. Gdy zewnętrzne drzwi powoli się otwierały, głos Jakea odbijał się echem w szybie windy.

- Shanna!

Spojrzała ostatni raz w górę.

Drzwi na trzecim piętrze były całkowicie otwarte. Większość tułowia Jakea zdawała się wisieć na brzegu.

-To dla...

Za bardzo się wychylił.

O cholera, on spada!

- ...cieeebieee!

Piskliwy głos Shanny krzyczącej „nieee!” zlał się z głosem Jakea w przerażającej harmonii, która skończyła się, gdy jego głowa uderzyła o górny brzeg tylnej ściany kabiny. Gdy reszta jego ciała trzęsła się bezładnie w dziwacznych pozach, rozpryskując krew, stopa Jakea uderzyła Shannę w głowę, rzucając ją o tylną ścianę kabiny. Na wpół ogłuszona, Shanna patrzyła, jak stalowe drzwi zaczęły się znowu zamykać.

-Nie!

Futerka

75

A Jake... Jake wciąż się poruszał, pełznął ku niej centymetr po centymetrze na powykręcanych ramionach i połamanych nogach, unosząc zmiażdżoną głowę, próbując mówić i ciągle trzymając w ręce kamizelkę w geście proszącym, by ją przyjął.

Zdawało jej się, że futro wije się wokół jej ciała, poruszając się z własnej woli. Musiała się stąd wynieść!

Drzwi! Shanna rzuciła się do nich, sięgając w kierunku światła, dochodzącego z opuszczonego frontowego foyer.

Przebiegłaby przez nie gdyby...

Poślizgnęła się na plamie krwi, upadła na kolano i wciąż sięgała przed siebie, gdy stalowe drzwi zamknęły się, spadając na jej nadgarstek. Shanna usłyszała chrupnięcie, kiedy niewyobrażalny ból, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła, przeszył jej rękę. Krzyknęłaby, gdyby cierpienie nie odebrało jej głosu. Próbowала się uwolnić, ale była uwięziona, próbowała sięgnąć drążka, lecz był prawie pół metra za daleko.

Coś dotknęło jej stopy. To Jake, a w zasadzie to, co z niego zostało, jedną ręką podawał jej kamizelkę, a drugą pieścił jej nagą stopę jednym z pasków futra, owiniętych wokół palców jego ręki. Kopnęła go i odsunęła się od niego. Nie mogła pozwolić mu się zbliżyć. Próbowalby założyć na nią tę kamizelkę, próbowałby robić z nią inne rzeczy. A pod tym futrem była zupełnie naga. Musiała się uwolnić, uwolnić od tych drzwi, od wszystkiego!

Zaczęła wgryzać się w uwięziony nadgarstek i rozrywać ciało, nie zważając na coraz większy ból i tryskającą krew. Takie wyjście wydawało się naturalne, jedyne.

Uwolnić się! Musiała się uwolnić!

Juanita nie miała zbyt dużo szczęścia tego dnia. Właśnie przejechała swoim wózkiem sklepowym, zawierającym cały jej ziemski dobytek, przez wąską alejkę w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca do zatrzymania się na noc, jakiejś altanki czy wnęki przy drzwiach, jakiegoś miejsca osłoniętego przed wiatrem. Niezła alejka, na pewno coś by się znalazło, ale niestety wszystko było już zajęte przez ludzi równie pijanych, co odrażających. Poszła dalej.

Zimno. Mróz naprawdę jej dokuczał ostatnimi czasy. Nie wiedziała, ile ma lat, ale wiedziała, że skrzypiały jej kości, że bolały ją plecy i że nie

znosiła zimna tak dobrze jak kiedyś. Gdyby znalazła miejsce, gdzie dałoby się ukryć wózek, może dałaby radę prześlizgnąć się jakoś do metra i tam spędzić noc. Tam zawsze jest cieplej. Ale kiedy stamtąd wyjdzie, jej rzeczy może już nie być.

Nie chciała też, żeby ktoś ją zgarnął i zabrał do schroniska. Nawet bezpiecznego. Nie lubiła być pod kluczem, a jeśli już zabiorą kogoś w takie miejsce, to nie wypuszczą aż do rana. Lubiała przychodzić i wychodzić, kiedy tylko miała ochotę. Poza tym, w czterech ścianach zaczynała się gubić i jej umysł nie pracował tak, jak powinien. Lubiała być na świeżym powietrzu. Tam jej się najlepiej myślało, tam miała zamiar zostać.

Gdy skreśliła za róg, zauważyła błyskające czerwone i niebieskie światła przed budynkiem, który pamiętała jako magazyn, a w którym teraz były jakieś apartamenty. Jasne, kolorowe światła przyciągały ją jak dziecko i musiała zobaczyć, co się tam działo.

Dotarcie do prawdy zajęło jej trochę czasu. Juanita nie puszczała wodzy fantazji. Nie znalazła zbyt wielu ludzi, chętnych do tłumaczenia, co się dzieje, komuś, kto wygląda jak chodząca sterta szmat, ale nie przestawała wypytywać i w końcu zebrała pół tuzina różnych wersji tego, co się wydarzyło. Wszystkie zgadzały się, co do jednego: makabryczne podwójne morderstwo nagiej kobiety i półnagiego mężczyzny. Poza tym, cała reszta to czyste szaleństwo. Niektórzy mówili, że mężczyzna został żywcem obdarty ze skóry, a kobieta miała ją na sobie; inni mówili, że facet obciął kobiecie rękę, a jeszcze inni, że sama ją sobie odgryzła.

Wystarczy. Drżąc, Juanita odwróciła się i odepchnęła swój wózek. Przeszła zaledwie kilka metrów, gdy zauważyła jakiś ruch, kiedy mijała zacienione drzwi. Ale to nie mógł być

człowiek; to było za nisko, tuż przy ziemi. Wyglądało jak zwierzę, ale było zbyt duże na szczura, nawet nowojorskiego. Światła furgonetki firmy przesyłkowej odbiły się od zwierzęcia, które zaskoczyło Juanitę grubością swojego futra oraz tym, jak migotało i tańczyło na nim światło.

Wtedy zdała sobie sprawę, że to był płaszcz - płaszcz z futra. Nawet w ciemności widziała, że nie było to byle jakie, sztuczne futro. To był prawdziwy, niebieskawy, absolutnie cudowny futrzany płaszcz z najwyższej półki. Złapała go i podniosła. Nawet po ciemku widziała, jakie było cudowne, jak błyszczało.

Założyła je. Najpierw zdawało się od niej uciekać, a potem ją otuliło. Nagle zrobiło jej się ciepło. Niesłychanie ciepło. Jakby futro wydzielało własne wewnętrzne ciepło, jak koc elektryczny. Czuła, jak wyciąga zimno z jej zmarzniętych kości. Minęły chyba wieki, odkąd ostatni raz było jej tak przyjemnie. Ale zmusiła się, żeby je zdjąć i obejrzeć, trzymając przed sobą.

Juanita potrząsnęła głową ze smutkiem. Nie nadaje się. Za ładne. Ubierze je, a jeszcze ktoś pomyśli, że jest bogata i ją napadnie. Może oddałaby je w zastaw. Ale pewnie jest trefne i przez to by ją zamknęli. Nie zniosłaby tego. Szkoda, mimo wszystko. Takie ładne, ciepłe futro, a ona nie może go nosić.

Wtedy wpadła na pomysł. Znalazła alejkę podobną do tej, w której była wcześniej, i położyła płaszcz na ziemi, futrem do dołu. Uklękła przy nim i zaczęła wycierać nim brud. Od góry do dołu pokryła futro wszelkim brudem, jaki mogła znaleźć. Praktycznie wyczyściła nim koniec alejki. A potem znów je podniosła.

Lepiej. Dużo lepiej. Nikt go nie pozna i mało kto zechciałby ukraść futro w takim stanie. Ale co ją obchodziło, jak w nim wygląda? Miało spełniać swoje zadanie, nic więcej nie

było jej trzeba. Założyła je jeszcze raz i poczuła jak ogarnia ją ciepło.

Uśmiechnęła się i poczuła wiatr świszczący w szparach pomiędzy jej zębami.

Ono żyje! - pomyślała. W niczym nie jest tak ciepło, jak w futrze. Poza tym, właśnie do tego potrzebne jest futro tym, którzy mieszkają na świeżym powietrzu, prawda?

Przełożył Roman Słociński

## RADOŚĆ HETMANA

Jakub Małecki

*Jakub Małecki (ur. 1982) - ceniony polski pisarz, urodzony w Kole. Ukończył studia ekonomiczne. Debiutował w 2007 roku opowiadaniem Dłonie, a w jego dorobku znajduje się kilkanaście opowiadań publikowanych w prasie i antologiach książkowych. Dotychczas wydał cztery książki: Błędy, Przemysł cudu, Zaksięgowani oraz Dżozef. W najbliższym czasie ukaze się jego kolejna powieść, W odbiciu. Był nominowany do nagrody im. J. Zajdla za rok 2009. Opowiadanie Radość Hetmana to najnowsze dzieło Małeckiego.*

Nie widział wówczas ani wysokiej grzywy konia, ani połyskliwych główek pionków - ale czuł wyraźnie, że ten czy inny wyobrażony kwadrat został zajęty przez określone } i skupioną moc, zatem ruch figury jawił mu się jako rozładowanie, cios, błyskawica - tak, że cała szachownica dygotała z napięcia i on nad tym właśnie napięciem panował, skupiając, a gdzie indziej wyzwalając elektryczny potencjał.

## Vladimir Nabokov, Obrona Łużyna

1.

Śniegowa czapa, odcięta od dachu promieniami styczniowego słońca, runęła w dół, rozbijając się o kolejne parapety. To, co z niej zostało, osiadło ciężko na brudnym przedostatnim. Gdyby ową czapę wyposażono łaskawie w aparat wzroku, za szybą dostrzegłaby, jak pozbawiony filcowej podkładki laufer rusza na skos szachownicy i zgrzytnąwszy o F6, wgniata się z impetem w grupę stojących w rogu białych, aż wreszcie zmiata na obrus bezbronno piona.

- Ha! - ucieszył się Aurelian, unosząc wykręcony palec i szczerząc w uśmiechu marną pozostałość uzębienia, której używał już prawie wyłącznie do takiego właśnie szczerzenia się.

Julka starła ten uśmiech, nim na dobre rozgościł się na osiemdziesięcioletniej twarzy: dumny laufer poległ, stratowany kopytami bezgłowego skoczka.

Niewidoczny autobus stęknął, gramoląc się na wytyczoną pod blokiem zatoczkę, mały Bruno spod piątki tłukł zabawką w parkiet, a drewniana wskazówka potężnego zegara przekłuła kolejną niemrawą sekundę i tyknęła, wesoła, że ma ją już za sobą.

- Rodzice wiedzą, że przyszłaś? - zapytał Aurelian, ściskając utraconą tak nagle figurę i patrząc ni to na szachownicę, ni to w zielone oczy rudowłosej wnuczki. Mrużył się przy tym okropnie - wzrok miał gorzej niż kiepski, szkła w okularach wymieniał już co trzy miesiące.

Jeszcze zanim przecząco pokręciła głową, wiedział, że im nie powiedziała; wściekliby się, gdyby do nich dotarło, że Julka odwiedza tę starą zgnuśniałą szuję, która działkę pod Gniezmem zapisała nie im, a najstarszej córce Beacie.

- A szkoła?

- Wcześniej skończyliśmy. Pani jest chora.

- Kłamiesz.

- Wcale nie.

- Wcale tak. O, zbiję wieżę! Zbiję wieżę... zbiję. ..-Iw tym momencie dziadek na ulotny moment przysnął. Brodę zetknął z wątlą piersią, chrapnął. Przebudzony wydanym przez siebie odgłosem, gwałtownie uniósł głowę.

- Wcale nie, bo... - zaczęła Julka.

.. .bo tu stoi hetman, chciała powiedzieć, nie dokończyła jednak, bowiem w tej samej chwili hetman zniknął.

2.

- On... zniknął? Dziadku, on zniknął.

- Któż taki, dziecko?

- Hetman.

- Het... Rany... Zupełnie o nim zapomniałem! Gdzież on się podział?

- No... był, a potem się tak... rozdziamdzał, tak rozpłynął, no i go nie ma.

- Rozdziamdzał?

- Mhmm.

- No to jak się rozdziamdzał, to nie ma siły.

Rozdziamdzianego hetmana ani mi w głowie szukać. Wiele rzeczy mi się ostatnio gubi, bo z uporem godnym lepszej sprawy chowa je przede mną Alzheimer, jednak nic mi się jeszcze przed oczami nie rozdziamdziało.

- Widziałam, jak się rozpływał!

- A może tylko tak ci się wydawało?

- Widziałam!

- W takim razie, dajmy sobie spokój z rozdziamdzianym



hetmanem. Twój ruch.

W ciągu kolejnych piętnastu minut dziadek wciąż przysypiał, a na oczach Julki rozdziamdziały się trzy piony, dwa laufry oraz dwa konie, w tym jeden z ułamaną głową. Dziadek ich nie zbił, a nigdzie ich nie było.

Stare firany zaszyły mgłą i uleciały w niebyt, ścienny zegar tyknął i zniknął. Po nim przyszła kolej na dywan, dzbanek i kredens pełen szklanek.

Wreszcie dziadek zasnął na dobre, Julka poczuła w brzuchu chłód, a po chwili nic już nie było.

- Zdaje się, że najzwyczajniej w świecie, proszę ja was, umarłem.

- Boże, znowu to samo... - westchnął jeden z trzech Pionów, siedzących przy okrągłym stoliku, uginającym się pod ciężarem butelki z wódką i bezgłowego Konia. Ten ostatni prężył się energicznie w kierunku dalekiego nieba, wiszącego nad tym wszystkim jak lśniąca granatowa balia.

- Hetman, dajże spokój. Umierałeś już w tym tygodniu cztery razy. To aż nadto! - Drugi z Pionów odkręcił butelkę i polał dwóm sąsiadom.

- A ty, Koń, przestań błaznować i złaż ze stołu.

- Wypraszam sobie - odrzekł obrażony Koń. - Jestem małpą. Tyle, że bezgłową. Ktoś mi skradł głowę i kupił za nią jakiś niewielki kraj w południowej Afryce. Jestem pewien. Potwierdziła mi to nawet Lewa Wieża.

Trzy Piony westchnęły równocześnie i machnęły kolejkę; długie proste ręce uniemożliwiały picie, każdy podawał kieliszek do ust lewego sąsiada.

- Brrr... Dobra.

- Pyszna!

- Tak, musiałem umrzeć, a wy jesteście diabły - upierał się

Hetman.

- Ten na stole to wasza ofiara, a ta z tą rudą czupryną z pewnością musi być Belzebubem. Jako żywo!

Piony powoli odwróciły głowy, a usta jednego z nich bezgłośnie powtórzyły: „ruda czupryna?”.

Po prawicy Hetmana istotnie coś stało. Było miękkie, powleczone skórzastym materiałem i zadaszone bujną rudą czupryną. Ponad wszelką wątpliwość, tym czymś była dziewczynka.

- Dobra, ja już dzisiaj nie piję - stwierdził Pion Pierwszy.

Koń pozbawiony głowy jął niuchać samą szyją, a zwęszywszy nietypową woń, wpadł w panikę, zarżał, skoczył i oto, zupełnie przypadkiem, znalazł się na drzewie. Przepętniony nagłą euforią, uradowany z własnego sukcesu, wyskoczył w górę z radosnym okrzykiem: „AHA! JESTEM MAŁPĄ!”, pośliznął się na gałęzi i runął w dół, na stół. Ten, jak się można było spodziewać, trzasnął pod jego ciężarem, Piony zaś, aż drżące ze zdenerwowania, jęły przeraźliwie kłać.

- Gałgan!

- Nicpoń!

- Ladaco!

To tylko niektóre z ohydnych wyzwisk, jakimi obrzucony został nieszczęsny, a w dodatku bezgłowy, Koń.

Pion Trzeci, nadal czerwony ze złości, zbliżył się do dziewczynki, wysunął spiczastą brodę, po czym stwierdził nad wyraz poważnym tonem:

- Panowie, ulegamy wspólnej halucynacji. Mówiłem, żeby nie kupować taniej hary od tego podejrzanego fioletowego parasola z logiem sieci aptek. Czy ktoś ślepnie?

- Zasadniczo, nie - odparł Pion Drugi.

- Umarłem, tak - zasepił się Hetman i odszedł, by się na

wiklinowym koszu i oprzeć stopę o znoszony mundur.

Pion Pierwszy zamrugał, otaksował horyzont, zbliżył głowę do ziemi, po czym rzekł, że i jego wzrok ma się dobrze.

- W takim razie to nie metanol. Mieliśmy szczęście.

Halucynacja jest, jak widać, jedynym skutkiem ubocznym. Czy flaszka aby nie pękła?

- Rety! - Pion Pierwszy wrzasnął płaczliwie, wpadł na resztki stołu, zakotłowało się i poleciały wióry. Kiedy rozpacz pozostałych dwóch Pionów osiągnęła apogeum (obydwaj jęli okładać się z żalu po głowach, jęcząc przy tym donośnie), zakopany w triumfującym geście uniósł przykurzone ramię, a w dłoni dźmierzył butelkę.

Uściskom i wiwatom nie było końca. Koń również płakał, ale ze smutku. Łzy tryskały z uciętej szyi.

Julka, niezmiernie tym wszystkim zaskoczona, a w jeszcze większym stopniu przepelniona współczuciem dla Konia, zbliżyła się doń ostrożnie, dotknęła ciepłego drewna i powiedziała:

- Niech pan się nie martwi. Mnie się wydaje, że pan jest chyba jednak tą małpą.

- Czyżby? - ofuknął ją Koń. - Jest pani niezwykle miła, doceniam to, jednak jeśli idzie o me małpiostwo, to zaczynają nękać mnie pewne wątpliwości. Wszak każdy, prócz pani, zaprzecza!

- A pan co myśli?

- Ależ ja jestem na czterdzieści pięć procent pewien, iż jestem małpą! No niechże pani ruszy mózgownicą: mawiają na mnie skoczek, a więc muszę skakać. Aby jednak to zrobić, muszę na coś pierwej wejść. W okolicy jedyne, z czego mógłbym wykonać skok, to drzewa. Aby wejść na drzewa, muszę być małpą, zatem widzi pani, że nie ma tu miejsca na

wątpliwości.

Julka pokiwała głową i wycofała się, bowiem Koń zaczął nerwowo grzebać kopytami w ziemi, odsłaniając przy tym jakąś zakopaną figurę.

- Czy on... - zaczęła, spoglądając na odkopanego właśnie bladego laufra, z którego ust wystawał zmięty, szary pet. - Czy on nie żyje?

- Ależ skąd - wyjaśnił z uśmiechem Pion Trzeci, kiedy już wypił podaną przez Piona Pierwszego kolejkę. - Laufry są nikotynistami i uwielbiają zakopywać się w ziemi, choć nie sposób powiedzieć dlaczego.

- A panowie... - nie mogła oderwać wzroku od leżącego gońca - ...panowie co robią?

- Oj, dziecko, ależ z ciebie głuptas. Pijemy, przecież widzisz, a poza tym oddajemy się naszej ukochanej rozrywce: nie gramy.

- Ale w co nie gracie? - Julka była już kompletnie skonfundowana.

- Oj, w rozmaite rzeczy. Dziś na przykład nie gramy w palanta. Wczoraj nie graliśmy w chińczyka, a jutro najprawdopodobniej nie zagramy w bierki. Taki jest w każdym razie plan.

- Albo w monopol - wtrącił się Pion Pierwszy.

- Ewentualnie znowu nie zagramy w palanta. To moja ulubiona niegra.

- A jak to się robi?

Pion Drugi uniósł brew, zerknął pytająco na Piona Pierwszego, a gdy tamten przyzwalająco skinął głową, rzekł donośnie:

- Dobrze, dobrze, ale uważaj, bo pokażę tylko raz!

Po tych słowach wysunął prawą stopę o jakiś centymetr do

przodu (choć możliwe, że tylko się tak wydawało), wyprostował się lekko, a może i nie, minę zaś miał taką, jakby właśnie słuchał sądowego wyroku. Czyli tę samą co zwykle. Po minucie z ulgą zamknął oczy i wypalił:

- Znakomite, nieprawdaż? Ani chwili nie grałem!

Była to święta prawda, bowiem ani chwili nie grał.

- Ach, życie jest mi przykre! - zagrzemiał gdzieś z góry smutny, nosowy głos.

- Kto tu jeszcze jest? - zaniepokoiła się Julka.

- Och, jest tu mnóstwo różnych... - Pionowi przerwał kolejny kieliszek. - Jeśli chodzi zaś o głos, to... ekhh, ależ dobra!, wydała go Lewa Wieża. Przepraszam za nietakt. Lewa Wieża, Dziewczynka. - Odszedł kawałek, wskazał ku górze. - Dziewczynka, Lewa Wieża.

- Miło mi - wystękała Julka, wpatrując się w strzelistą figurę, której głowa zanurzona była w chmurze typu cumulus.

Lewa Wieża nie odpowiedziała. Pion pospieszył z wyjaśnieniem:

- Proszę się w żadnym razie nie obrażać. Wieże takie już są: sterczą w bezruchu, raz na jakiś czas cytując coś z klasyki albo wypowiadając przypadkowe słowo takie jak, dajmy na to: „sandał”, albo i „biskopt”. Biskopt, wyobraża to sobie pani? Biskopt!

- Tak, to dziwne.

- Jeśli mam być szczery, to - dodał Pion teatralnie ścisząc głos - my tutaj uważamy, że obydwie Wieże są, no wie pani... no...

Nie wiedziała.

- No, że one... - Pion potrząsnął głową na prawo i lewo.

Nie wiedziała nadal.

- Że są chore psychicznie - wyszeptał, po czym uderzył się

dłonią w piętę, zapluł przez lewe ramię i pobiegł pędem do pozostałych Pionów, ponieważ nalano.

Aurelian Kincel zapadał się w sobie, grzęznąc w odmętach starczego, niespokojnego snu. Rozczapierzona dłoń, wbita w przybrudzony kawą podłokietnik i naznaczona konstelacją wątrobowych plam, drgała niczym fizyczne wahadło sejsmogramu. Płytki oddech, barometr ciężkich i dziurawych snów, przyspieszał, rwał się.

Ciche pufnięcia towarzyszyły zapadaniu się łazienkowych kafelków, ściany z szumem pozbywały się tapet, zaś z szafy dobiegał odgłos zaciskających się pasków - znikwały, pożerając własne końce: jego własne, lśniące uroborosy.

Aurelian spał, a na parapecie, jak piasek w górnej bańce klepsydry, znikająca powoli czapa śniegu.

Wieża nie odezwała się już ani słowem. Tkwiła nieruchoma, dźgając głową pełzające po niebie chmury i wydając od czasu do czasu cichuteńki pomruk, coś jak kot.

Fłaszka opustoszała, Piony z ulgą odnalazły starą pralkę z serii „Frانيا” i ułożyły się w jej cieniu. Nie minął kwadrans, kiedy Hetman uroczystym głosem oznajmił, że z całą pewnością znalazł się w odmętach czyścica. Wzniósł ręce ku niebu i zapłakał, szepcząc do siebie:

- Mężczyzna, kobieta, czy to teraz ważne? Teraz, kiedy jestem już tu, gdzie jestem?

- Niech mnie Skoczki biją! - wykrzyknął zrezygnowany Pion Drugi. - Czy ten się nigdy nie zamknie? Przecież słuchanie tego to istna tortura!

Kiedy Piony, klnąc szpetnie pod nosami, zaczęły gramolić się z naprędce utworzonego barłogu, Julka podeszła do jednego z nich i zapytała cicho:

- Przepraszam, a dlaczego on tak płacze?

Pion Drugi westchnął i przetarł oczy.

- Pani nadal tutaj? Czyżby zatem jednak nie halucynacja? Hmm... jakby tu... o: przede wszystkim należałoby wyjaśnić zawilść nomenkla- turową. Hetman nie do końca jest nim, ponieważ mawiają na niego też „Dama”, a nawet i „Królowa” (nawiasem pytając: wyobraża to pani sobie?!). Z tego względu, biedaczysko nie ma pojęcia, czy ostatecznie jest facetem, czy babką. Rozumie pani?

Nie rozumiała.

- Dlatego też, nasz Hetman (nasza Dama) nader często popada w zgubne odmęty depresji i załamania. Znamy na to jeden zaledwie ratunek.

-Jaki?

- No, chłopaki, jaki ratunek znamy? Powiedzcie Dziewczyńce.

Z ust dwóch pozostałych Pionów wydostał się skoordynowany, jed- nowyrazowy szept:

- Spacer!

- Otóż to, moja droga - rzekł pobudzony nagle Pion Drugi.  
- Spacer!

6.

Piony wlokły się przodem, na zmianę stawiając po jednym kroku. Za nimi, ze spuszczoną głową sunął Hetman, tuż obok niego Dziewczyńka. Odwróciła się, spoglądając na niknące w oddali sylwetki Lewej Wieży, Konia, który wciąż usiłował wspiąć się na drzewo, oraz dwóch na wpół zakopanych Laufrów. Palily właśnie papierosy. Po prawej, horyzont rwał się u zbocza potężnej i kanciastej góry.

- Lubię spacer - rzekł smętnie Hetman. - Można chyba nawet powiedzieć, że je uwielbiam.

- Mój dziadek też bardzo lubi spacerować.
- Pani dziadek?
- Tak. Dziadek Aurelian.

Piony przystanąły nagle, wzbudzając stopami trzy maleńkie obłoki kurzu.

- Możesz powtórzyć, kochana?
- Proszę?
- Czy możesz powtórzyć.
- Ale co?
- Gdybym wiedział co, to przecież nie kazałbym

powtarzać! O, losie! Żyj tu z imbecylami!

Julka stropiła się, na szczęście z pomocą przyszedł Hetman.

- Dziadek Aurelian, tak powiedziała.

Sześć identycznych brwi w równym tempie uniosło się, podczas gdy z trzech ust wydostało się westchnienie.

- Ciekawe... - mruknął Pion Trzeci i zaraz dostał kuksańca.

- Znacie dziadka Aureliana? - zapytała rozradowana Julka.

- Ależ skąd. Żadnego Aureliana w życiu nie widziałem - zaprzeczył Pion Pierwszy. - A już na pewno nie dziadka.

- Otóż to - potwierdziły pozostałe dwa, Hetman zaś milczał i wpatrywał się w pożółkłe wzgórze, które znajdowało się już całkiem blisko.

- Szkoda. A gdzie idziemy?
- Do za trzy godziny.

Teraz to Julka przystanąła.

- Gdzie?

- Do za trzy godziny! - ryknął Pion Trzeci, aż ślina przysła mu z ust.

- Nie rozumiem.

- Niech mnie Konie trącają, cóż za ograniczoność... - Pion



Drugi wywrócił oczyma i wyjaśnił: - W przeciwieństwie do tego, do czego panią przyzwyczajono, celem naszego spaceru nie jest miejsce, a czas. Nie idziemy dokądś, ale idziemy, by iść na przykład trzy godziny. Rozumie pani?

Nie rozumiała.

- To po co iść?

- Bo ani my, Piony ani wy, Ludzie, nie potrafimy nic innego robić, jak tylko wiecznie pchać się do przodu, choćby nie wiem co. Jasne?

Nie było jasne.

7-

Kanciasta góra okazała się stertą książek, z których lwią część stanowiły pozycje zniszczone i rozpadające się. Na samym szczycie siedział Janek Kos z grzywką na boczek i czapką uszatką wciśniętą na głowę. Spoglądał w niebo i żuł bułkę z żółtym serem. Pion Trzeci z bojowym okrzykiem jął wbiegać zboczem, szybko jednak poniósł klęskę - kilka sztywno-okładkowych woluminów usunęło mu się spod stóp i runął jak długi. Pozostałe dwa Piony ograniczyły się do zwięzłych komentarzy:

- Osioł.

- Palant.

Kiedy Trzeci zbiegł, dwa pozostałe zaczęły z werwą go opluwać. Hetman nacierał twarz garściami piasku i mówił, jak mu przykro. Powoli, acz konsekwentnie przemieszczano się do przodu.

Za górą rozciągał się widok na czarne jezioro.

- Zapomniany atrament - wyjaśnił Pion Trzeci, widząc otwartą do pytania buzię Julki. - A to: wieczne pióra.

Jeziołem sunęły we wszystkich kierunkach rozmaite rodzaje piór, niczym kajaki lub indiańskie kanoe, wyłabiając w

gładkiej powierzchni cienkie kilwatery.

Pion Drugi beknął potężnie, stanął na rękach i kopnął w głowę Hetmana. Ten, zmartwiony, rzekł tylko, że się właśnie tego spodziewał. Zaraz też chwycił z ziemi garść piasku i natarł Pionowi oczy. Musiano go potem prowadzić pod pachy, jęczącego i wrzeszczącego naj obrzydliwsze przekleństwa.

Julka patrzyła i patrzyła, zafascynowana scenerią.

Pośrodku atramentowego jeziora, na wpół zatopiony, dryfował wrak Fiata i2óp. Na jego dachu, w smętnej pozie siedział młody mężczyzna z kilkunniowym zarostem na twarzy i włosami obficie natłuszczonymi żelem. Ubrany był kolorowo, acz schludnie. Popijał kakao.

Piony odwróciły głowy, jakby zawstydzone obecnością mężczyzny, Hetman zaś zdawał się go wcale nie zauważać.

Julka przystanąła na moment. Mężczyzna był bardzo szczupły, a pod oczyma siniały ślady zmęczenia. Jego twarz wyrażała dojmujący smutek, a ze ściągniętych ust co chwilę wydobywało się zrezygnowane westchnienie. Julka pomyślała wtedy, że człowiek ten musi być zapomniany i niezwykle smutny. Za nic w świecie nie chciałaby z kimś takim porozmawiać - poddając się dziecięcej wyobraźni, obawiała się, że takim smutkiem na pewno by ją zaraził.

- Kto to był? Ten pan.

Spojrzeli po sobie wszyscy i szli dalej w milczeniu.

Dopiero po chwili Hetman powiedział cicho:

- Bóg. To był tylko Bóg.

Przy brzegu, głaskane czarnymi falami, wały się paski, dywan i płachty tapety. Wszystko ciemne, wilgotne, uwalane atramentem.

- Król się długo trzyma - zagadnął Pion Drugi. - To by w sumie mogło dobrze wróżyć.

- Jeszcze moment, a i tak go zapom...
- Zbijają!
- Tak, zbijają.

Z oddali niósł się kaszel silnika. Nasilał się, aż w obłoku pyłu ukazał się Fiat, tym razem duży, i25p, niebieski jak niebo, miejscami pożarty przez rdzę. WAT 039P ledwo dało się odczytać ze skorodowanej tablicy, którą pokrywały grudy zlepionych muszek. Za kierownicą tkwiła młoda, zmęczona Ewa Błaszczuk z wąsem i w czapce z daszkiem. Przejechała bez słowa i wsiąkła w linię horyzontu.

Wlekli się dalej, a godzinę później dotarli do najeżonego drzwiami pagórka.

8.

Stare, nowe, z odłazącą farbą lub te zupełnie już jej pozbawione, z obwisłymi zawiasami i bez, duże i małe, wąskie, szerokie, kute i drewniane, te ze sklejki i dziwne, plastikowe. Las drzwi rozpościerał się przed nimi, pokrywając gęsto rozległe wzniesienie.

- Drzwi - wymamrotał Hetman. - O tym najczęściej zapominają. Tysiące, miliony tu drzwi. Nie sposób się obejrzeć, żeby nie natknąć się na któreś z nich.

- Ale ja chyba nie chcę tu iść - zawahała się Julka. - Ja chyba sobie wrócę.

Spróbowała zawrócić, ale bez skutku. Krok w tył też się nie udał.

- Bo widzisz... - zaczął Pion Pierwszy. - Jak już wspominałem, czasami każdy z nas zmuszony jest poruszać się jedynie do przodu. Bywają po prostu takie sytuacje, których inaczej przetrwać nie sposób, nie ma innej rady i trzeba iść. No już, już, nie ma co się mazać. Myślę, że po drugiej stronie spotkamy już Króla. To i tak trwa stanowczo zbyt długo!

Po tych słowach podskoczył, beknął i powoli ruszył w stronę najbliższych drzwi. Zanim zniknął, przyspieszył, pomachał wszystkim i krzyknął gromko: „Biskopt!”.

Trzask.

Kolejne figury pędem rzuciły się ku przypadkowym drzwiom (Piony nieudolnie usiłowały się ścigać) i już po chwili Julka stała sama. Zbliżyła się do płyty, za którą zniknął Pierwszy Pion i chwyciła za klamkę. W tej samej chwili sąsiednie drzwi otwarły się z hukiem i wyjrzała zza nich głowa Hetmana.

Julka podskoczyła, podskoczył też Hetman.

- Rany koguta! Proszę mnie nie straszyć! Czy pani oszalała?! - Z wyrzutem wykrzyknęła figura. - No dobrze, proszę tylko zachowywać się spokojnie. Bez numerów. I proszę nic, ale to nic a nic, nie zmieniać. Rozumiemy się? No, mam nadzieję. Nic. Proszę nie zmieniać, jak już zostało powiedziane, nic!

I tyle go było.

Trzask.

Klamka ustąpiła. Julka poczuła, że stąpa po klepisku.

Polane było olejem, a żółte okno wpuszczało do izby mizerne pozostałości po deszczowym dniu. Na ławie pod oknem leżał chłopiec, w ręce, uniesionej nad głową, ścisnął oprawne w płótno wydanie Nędzników.

Brodaty mężczyzna siedział przy stole, przed szklanką herbaty, i patrzył na dłonie. W oczach miał pustkę, a wyraz twarzy taki, jakby myślał nad czymś nieuchronnym, czymś, co wisiało nad nim i nad tą izbą, i miało spaść już za chwilę. Za zgarbioną sylwetką jaśniały drzwi.

- Ślepie ci się popsują - powiedziała korpulentna kobieta o tłustych pośladkach i obfitym biuście. Oskubana kaczka

kołysała się w pomarszczonej dłoni. - I tyle z tego będzie.

Chłopak nie usłyszał. Czytał dalej.

- Jak będziesz miał tyle lat, co matka, to ci się przypomni, cośma ci...

- I miałeś po węgiel...

- Ja mówię! - ryknął mężczyzna.

Wstał ciężko i zdzielił żonę otwartą ręką w skroń. Upadła bez słowa, podniosła się i wyszła. Malec czytał zawzięcie, zaciskając usta.

Julka przeszła na palcach tuż obok mężczyzny (usiadł znowu, a cuchnął potem i spalenizną) i zaraz dopadła do drzwi.

Trzask.

Chłopak ścisnął kołyszący się kształt i przypierał go do ściany. Kształt rozchichotał się nagle, odepchnął go i powiedział zaskakująco poważnym głosem:

- No, no! Aurelianku. No, no! Potańczyć mam chęć, potańczymy teraz. Później ci szepnę słówko, nie dziś. Jutro. Jutro ci szepnę. Piękne słówko, będziesz ukontentowany!

Zapisała nagle, uczepiła się szyi chłopaka i chuchnęła mu w twarz.

- A całuj. Całuj mnie, dlaczego mnie nie całujesz!

Nieważne... Idź już, odejdz, nie mam chęci na rozmowę. Znajdź mi jakieś wino!

Aurelian odszedł na kilka kroków, zawrócił, zamyślił się, a czoło przeorała mu bruzda. Namyślał się, aż wreszcie rzucił się ku dziewczynie i wpił w jej usta.

- Ale co ty! - wrzasnęła nagle. - Co to ma zna...

- Cicho, bo zatłukę - powiedział, uśmiechnął się, aby chwilę później zwalić się pijany obok lśniących drzwi.

- Dobry chłopak - powiedziała pulchna brunetka, przechodząc tuż obok. - Tylko porywczy. O, jaki on porywczy!

Trzask.

Panna młoda ryczała. Trzęsły się jej ramiona.

- On nie jest zły człowiek - pocieszał ją wążacz o czerwonej twarzy. Siedzieli na schodach, dwa zbite kieliszki jeżyły się w świetle wylaniającego się zza obory słońca. - Może troszkę furiat, ale przecież dobry. Nie chciał, ja wiem, że nie chciał i ty też wiesz, Janka.

- I co, że wiem?! - wybuchła, zdzierając welon. - Nie taki on, jaki mi się marzył. Żaden on księżę, a i na dodatek wariat!

Trzask.

- No chodź. Podejdź do taty.

Maluch wahał się przez moment, ale puścił wreszcie chłodną huśtawkę i ruszył drobnymi kroczkami w stronę kucającego ojca. Ten, przepełniony nagłym i niespodziewanym uczuciem dumy, zagrzewał dziecko.

- Pięknie! Ślicznie, no dalej, Beata, dalej! Jeszcze kawałeczek!

Kiedy mała z impetem i wrzaskiem wpadła mu w ramiona, uniósł ją nad głowę i przytulił.

- Tatuś cię najbardziej kocha na świecie. Najbardziej, najbardziej!

Trzask.

- Jak pan jeździć nie umiesz, to pan nie jedź!

- Bo pan za szybko też...

- Ja?! Ja za szybko?! Chodź tu, gnojku, zaraz ci pokażę, kto tu!...

- Chwila! Chwileczka! Po co te nerwy?

- Ja ci, świnió, pokażę nerwy! Ja ci pokażę...

Nos pękł jak stary orzech, facet chwycił się za twarz i zrobił duże oczy.

- Pan jesteś nienormalny! Milicja! Pomocy!

Trzask.

- No, Beata, otwórz! Otwieraj!

Choinka była krzywa i brakowało jej gałęzi. Stół gęsto zastawiono talerzami, a z radia cicho sączyła się kolęda. Chłopiec i dwie dziewczynki siedzieli na dywanie. Mała Beata z wypiekami na twarzy rozpakowywała nieudolnie owinięty w folię rower. Pozostała dwójka z nadzieją zerkała na pusty balkon i na małe prezenty, przysłonięte zielonymi gałązkami.

W oczach kobiety pijącej kawę było coś, co za chwilę mogło wezbrać i wydostać się z niej; spoglądała na dwa maleńkie prezenty pod drzewkiem i widać było, jak cała dygocze.

Trzask.

- Ależ on już prawie nie trzeźwieje, czy mama tego nie rozumie?! Z pracy go zaraz wywalą, a zresztą i tak wszystko przepija albo wydaje na gazety. Całe stosy tego leżą przy łóżku! Mama rozumie? Ja już tak dalej nie...

Trzask.

Dziadek w czarnym garniturze, a trumna zwisa na oblepionych piaskiem linach. Ciotki płaczą. On nie płacze.

- Teraz to już do reszty mu odbije - szepcze chłopak z aparatem na zębach do swojego kuzyna. Uśmiecha się, a dziadek stoi niewzruszony, jakby to nie jego żonę chowali.

Musi pan zażywać te tabletki trzy razy dziennie: jedna rano, na czczo, jedna przed obiadem i jedna...

- Dobrze już, dobrze.

Chowa paczkę do reklamówki i z trudem podnosi się z krzesła.

- Niech już mi pani da spokój.

Kobieta w fartuchu cofa głowę, wzdycha.

- Gdyby pan był młodszy, nie zawahałabym się, żeby panu powiedzieć, co o panu...

- Daruj sobie - stęka starzec i wychodzi, trzaskając drzwiami onkologa.

Trzask.

Las drzwi rozpościerał się za jej plecami. Stała przed pustynią, a Piony śpiewały obok „Cichą noc”. Było ich teraz pięciu.

- No, nareszcie! Ileż można czekać - prychnął jeden z nich.

- Kobiety... - westchnął inny.

Ktoś chwycił Julkę za rękę i bez słowa ruszyli przed siebie, grzęznąc w rozpalonym piasku. Dziewczynka obejrzała się i dostrzegła dwa gońce, przecinające pustynię na skos i potężne, majestatyczne wieże, sunące bokami.

- Oni tutaj?...

- Owszem - odparł Hetman. - Kłamaliśmy, że zostają. My kłamiemy wciąż. Kłamanie to jedna z naszych ulubionych rozrywek, zresztą musimy kłamać. Bez kłamstwa, markowania i blefu nie wygralibyśmy żadnej partii. Tak jak człowiek, tak i my, stworzeni jesteśmy, by mówić nieprawdę.

- Wyglądacie wszyscy, jakbyście gdzieś jednak szli.

- Skąd. O, noc się zbliża.

Zza horyzontu wyłoniła się nagle czarna dłoń i chwyciła skrawek nieba. Szarpnęła i niebo zsunęło się znad pustyni, ustępując miejsca rozgwieżdżonej czerni. Zanim zrobiło się ciemno, Julka dostrzegła mężczyznę na koniu. Na głowie nosił jasny kapelusz, a na szyi chustę.

- John Wayne - wyjaśnił Pion Pierwszy. - Bardzo go twój dzia...

- No, co za kreatura! - wrzasnął Pion Trzeci i z całej siły



wbił Pierwszemu palec w oko. - Myślałby kto! Zaraza.

Zbierano się do odpoczynku.

Laufry zapaliły przed snem i zakopały się w piasku, Piony ułożyły się jeden na drugim, Hetman zaś wygrzebał w piasku dwie podłużne dziury i w jednej zaczął się wiercić.

- Śpij. Jutro długa droga.

Chwilę później wszyscy zasnęli, tylko Julka długo nie mogła zmrużyć oka, wsłuchana w odgłosy nocy. Mogłaby przysiąc, że z góry, gdzieś sponad tego ciemnego nieba, słyszy donośne chrapanie.

9-

Przed świtem zbudził ją szmer. Otworzyła oczy i ujrzała Piona Pierwszego, nacierającego na nią z ukosa. Na jego kanciastej twarzy malowało się wyrafinowanie i coś przerażającego. Lśniący szpikulec celował w jej głowę.

Przeturlała się na bok, szczęśliwie uchodząc z linii ciosu.

Nocny zamachowiec ruszył znowu, tym razem z drugiej strony i w tej chwili Julka uprzytomniła sobie, że może on bić tylko z ukosa, do przodu. Cofnęła się o krok, ostrze ją minęło. Podskoczyła do przodu i stała już twarzą w twarz z Pionem. Próbował ruszyć się, wierzgnąć, bezskutecznie. Zakłapał tylko zębami z wściekłości, budząc przy tym zaspanego Hetmana.

- Ech!... - schował ostrze i uśmiechnął się głupio.

- Co się dzieje? - zapytał Hetman.

Julka wróciła do swojej piaskowej niecki, ale tej nocy nie pozwoliła już sobie na sen. Pion-przestępca zasnął w jednej chwili.

Następnego dnia świat wyglądał inaczej.

10.

Ślina zwisała z dolnej wargi Aureliana. W nosie błyszczał gil.

Fotel unosił się w chmurze nijakiego, szarobrazowego pyłu. Wszystko wokół dygotało z napięcia, a starzec kołysał się, wyzwalając elektryczny potencjał.

Nicość, panująca dokoła, aż drżała z chęci wchłonięcia w siebie Aureliana, przekształcenia go w niebyt, w niedziadka, niestarca, w Nieaureliana.

11.

Nieruchomy, zawieszony w powietrzu ogon machał psem, ten szczekał zajadle i kłapał zębami. Korzenie drzew, poruszane wiatrem, siekły niebo i strząsały z siebie martwe ptaki.

Czarno-biały pan śmiesznymi krokami przemierzał w tę i z powrotem maleńki fragment chodnika, grała też muzyczka. Pan nosił czarny wąs i melonik, też czarny. Po chwili cały zniknął.

94

Jakub Małecki

Na ławkach, tuż obok miejsca, w którym się jeszcze przed momentem przechadzał, trzymając otwartych ludzi siedziały książki. Składały się z setek okładek oprawnych w zadrukowane kartki i szumiały głośno, odwracając się ku sobie. Trzymani ludzie milczeli.

I wtedy przybył Król. Co wiązało się ze sporym rozczarowaniem.

Spadł z nieba w towarzystwie dwóch małomównych Pionów i okazał się kawałkiem drewna, ociosanym tak, by przypominać coś więcej. Nie mówił, nie ruszał się, ot - czasem zrobił kroczek w tę czy we w tę, ale góra jeden i to nader rzadko.

Hetman zaraz poskarżył się na ból łydki.

- Przecież nie masz łydki - zdziwił się Pion Pierwszy.

- Co nie znaczy, że mnie nie może boleć. To oczywiste.

Zresztą, powiedz no lepiej, która godzina.

- A niech cię, przecież wiesz, że tego nienawidzę! - Pion z mozołem zaczął wyciągać rzeczy z kieszeni, a były tam: różowa suszarka do włosów, pęk kluczy, trzy pluszowe małpki (każda bez lewej nogi), szklanka z odciskiem damskich ust, miniaturowy kosz na pranie, przerdzewiały kaloryfer (wcale akurat nie miniaturowy), porcelanowa krowa, pilot do telewizora, uschnięta królicza łapka, butelka wódki, skarpeta (z dziurą), wirówka, dwa kasztany, z których jeden pokryty pleśnią, kawał blachy falistej, kanapka z tuńczykiem, sękata deska, trzy wyże atmosferyczne, igła, stóg siana, wielbłąd żywy i wielbłąd martwy, dziad, baba, garść piasku znad morza, pchła (a nawet chyba dwie), szmatka z plamą po oleju, kiel słońca z przytwierdzonym doń słońcem, czekoladowa babka, łeb śledzia, babol i wydech od ścigacza.

Wszystko, tylko nie zegarek.

- Zdaje się, że nie mam. Może zgubiłem?

- A miałeś w ogóle kiedyś?

- Co takiego?

- No, zegarek!

- W życiu. Nie cierpię zegarków.

- To może Drugi?

- Też nie cierpi. Każdy Pion nie cierpi zegarków i piwnic.

I portmonetek.

- Posiadam biszkopt - zakomunikował Pion Trzeci. - Ktoś chce?

- A z dżemem, czy suchy?

- Chwila... nie, bez dżemu.

- To wybacz, ale wsadź go sobie w...

- Trzynasta siedem.

- Co proszę? - zaciekawił się Hetman.

- Trzynasta siedem - powtórzył Pion Drugi. - Pytałeś o

godzinę.

- Skąd wiesz?

- Tak mi się wydaje. No bo która inna by mogła być?

-W sumie rzeczywiście. Tak jakoś, jakby trzynasta siedem...

- mruknął inny.

- Panowie, panowie! - wykrzyknął zaaferowany Pion Pierwszy.

- Ależ my tu przecież mamy gościa. Co za maniery!

Proszę podać pani bułkę z masłem.

- Oto bułka z masłem - rzekł Pion Trzeci, podając Julce biszkopt.

- Draniu! Przecież to suchy biszkopt!

Zaczęli się bić i upadli na wznoszącą się tuż obok stertę zegarków, tłukąc je co do jednego. Niebo ponad nimi wyginało się, chwilami sprawiając wrażenie wielkiego balonu, napompowanego brudną wodą. Balon ten ciążył ku dołowi, nabrzmiały i o włos od pęknięcia.

Julka rozglądała się, coraz bardziej przestraszona. Nic już nie przypominało tu świata, który знаła, wszystko było przekrecone, odwrotne. Słońce wisiało gdzieś w głębi mętnego balonu nieba, co rusz na jego tle przemykała ryba lub kalmar, zawsze w pośpiechu i zawsze do tyłu. Piony wstały i w pełnej zgodzie ruszono dalej. Minęli komodę z szufladami otwieranymi do środka, nie było jednak nikogo, tam wewnątrz, kto mógłby je otworzyć. Na komodzie przysiadł dziób, otwierając ptaka i skrzecząc. Na niebie lśniły krople deszczu, z których spadały ciężkie chmury. Od ziemi grzmiało; raz po raz pioruny strzelały w oddali ku górze.

- Boję się - szepnęła Julka.

- Spokojnie. Zbliżamy się - wyjaśnił Pion Drugi i zaraz

dostał kuksańca.

- No co?! Przecież to i tak już nie ma znaczenia... Zaraz się dowie!

- Zamilcz, chamie bez szkoły, odplugowy oderwańcu, kiepie! - wrzasnął Pion Pierwszy i zdzielił Drugiego wykaszarką po plecach.

- Zbliżamy się? - spytała dziewczynka.

- Nie słuchaj ich - mruknął Hetman. - Ja już dawno przestałem. Przestałam.

W ciągu godziny dołączyły do nich trzy ostatnie Piony.  
12.

Świat gnił, a szczególnie gniło słońce nad tym światem. Jakby rwane zaborczymi dłońmi dwulatka, lśniąca kawały tonęły w brudnym niebie, gasnąc powoli. To, co jeszcze pozostawało, pokrywała pleśń albo i grzyb, albo i zapomnienie. Julka próbowała przypomnieć sobie, jak powinno wyglądać słońce, ale jakoś nie potrafiła. Tu, idąc pomiędzy kretyńsko usposobionymi figurami z szachownicy, czuła, że nie sposób zapamiętać najprostszej rzeczy, bo niby:

jak tu trafiła?

kogo spotkała na początku?

z kim rozmawiała, a z kim jeszcze nie? (może w OGÓLE Z nikim jeszcze nie rozmawiała?)

po co właściwie idzie z tymi stworzeniami i dokąd?

Ale przede wszystkim:

jak wrócić do domu?

Nagle ziemia wywineła kozła, usuwając się spod stóp idących. Zawieszona ponad ich głowami, sypała piaskiem i grudkami ziemi. Julka stąpała po gąbczastym niebie, grzęznąąc tu i ówdzie i mocząc buty w chmurach. Piony szalały, goniły się i darły jak opętane - ale dalej szli.

Szli wszyscy i wyglądało, że to jest najważniejsze: aby posuwać się wciąż do przodu. A kiedy niebo z powrotem znalazło się na górze, a pod stopami zachręściła ziemia, dotarli do szachownicy.

Była drewniana, ustawiona na betonowym podeście, dużym jak ogród w domu Julki, a tuż za nią kłębiły się czarne figury. Dzikie Konie szczyrzyły zęby i poruszały powiekami, odsłaniając dziury po wydłubanych oczach, Laufry stały nieruchomo i spoglądały na Julkę, Wieże zaś chyliły się w stronę szachownicy, jakby nie mogły się doczekać, kiedy będzie im wolno runąć na przeciwnika. Piony mówiły o dziadku Aurelianie:

- Furiat, niesprawiedliwa menda.

- Nigdy nikogo nie kochał, to i teraz nie jest kochany.

- Jedna wnuczka, głupia, przychodzi, bo jeszcze nie wie, jaki to potwór grywa z nią w szachy i częstuje waflami i kompotem.

- Durna.

- Idiotka!

- Mała kretyńska. Nie ma pojęcia, że człowiek jest świnia?

I że jej dziadek też, a nawet szczególnie?

Radość Hetmana 97

- To nie jest żaden człowiek. Żaden konkretny.

- Nie. On już się nie liczy, zupełnie jakby go nie było.

- Nie ma imienia, nikt mu nie mówi po nazwisku, jak go widzi na ulicy. Nie jest już konkretną osobą. Wy wszyscy, jak już zbliżacie się do mata, staje się jednakowi, nierozróżnialni i kompletnie nieważni. Starcy, oto czym się staje. Nie ma Kowalskich, Nowaków, Żmudów, Ciszewiczów, Wielichowskich ani żadnych innych: są starcy.

- Mówią na niego: DZIADEK albo STARY.

- Bo on jest już tylko ZWYKŁYM STARYM  
DZIADKIEM.

Czarny Hetman odziany był w całun, spod którego wystawały sine szpony. Oblizął się smolistym językiem i skinął głową na Piony.

Czarni wkroczyli na swoje pola.

W pobliżu zaskrzypiało, a to za sprawą roweru o mocno już pordzewiałej ramie, który to rower dźwigał na swym rachitycznym siodełku kilkunastoletnią dziewczynę. Ta miała minę smutną, lecz nie dlatego, że smutna była w tamtej właśnie chwili (choć, nawiasem mówiąc, była), ale dlatego, że wieloletni brak radości odarł jej pospolitą, piegowatą twarz z możliwości uśmiechu. Siadając na stercie równo ułożonych kartek formatu A4, odłożyła pusty już kubek po kakao i zdmuchnęła z twarzy ciemny lok.

- Wchodzimy - powiedział Hetman i obrzucił spojrzeniem Piony, z których każdy próbował cofnąć się, uciec... ale nie mógł. Ustawili się wreszcie i wtedy jakby nabrali sił. Wyglądali hardo, a w tej hardości, spoglądając na żadnych walki czarnych, zachowywali jednak spokój.

- Razem, kochani, razem - rzekł niespodziewanie Król. - Stawka jest wysoka.

Po czym, składając ukłon przed Hetmanem, ujął go za rękę i powiedział:

- Królowo, liczymy na pani wdzięk i siłę.

- Och... - zawstydził się Hetman, a jego twarz zajaśniała.

Pełen radości, wykrzyknął:

- Wiemy, co stanie się, jeśli oni - tu pogardliwie wymierzyła palec w stado czarnych - zwyciężą! Jeden za wszystkich, a wszyscy...

- Za świat! - dokończył Pion Siódmy i uniósł pięść.

- A więc i za Niego! Słaby jest. Musimy być czujni!

- Przepraszam. - Julka podbiegła do stojącej w rogu Wieży i spojrzała ku górze. - Bardzo przepraszam, ale ja już chcę wracać. Ja się boję.

Wieża nie odpowiadała przez kilka minut, aż w końcu dał się słyszeć jej basowy pomruk:

- Doszliśmy tam, gdzieśmy dojść mieli. Możesz wrócić. Chcesz - wracaj.

Nagle Pion Czwarty ze straszliwym okrzykiem rzucił się do przodu o dwa pola i znieruchomiał, wpatrując się w dyszące paszcze czarnych.

Czerń ich oczu wessała Julkę, a szachownica zmaląła na stole. Za oknem odjechał autobus, wydając ciche „puff”, a zegar tyknął znowu: zmęczone i znużone to było tyknięcie.

Dziadek Aurelian głośno łapie powietrze, zachłannie, jakby bał się, że zostało mu niewiele takich oddechów. Przyciska prawą dłoń do piersi. Na twarzy ból rzeźbi wstrętny, brzydki grymas. We własnej głowie słyszy huk rozpoczynanej partii.

A za oknem topnieje resztką śniegowej czapy.

## DOKTOR, DZIECKO I DUCHY Z JEZIORA

Mort Castle

Mort Castle (ur. 1946) - amerykański pisarz horrorów, redaktor magazynów i nauczyciel pisania. Jest autorem kilku poczytnych powieści, a także blisko pięciuset opowiadań. Uznawany za mistrza krótkiej formy literackiej, wygłosił ponad osiemset prezentacji na rozmaitych konferencjach poświęconych



pisarstwu. Pod jego redakcją ukazała się między innymi pozycja Writing Horror, uznawana za biblię dla początkujących autorów horrorów. Najważniejsze dzieła Castlea to powieść Obcy oraz nominowany do nagrody Pulit- zera zbiór opowiadań Księżyc na wodzie. Jego teksty nieomal co roku trafiają na listę nominowanych do nagrody Brama Stokera. W roku 2011 nominowane to tej nagrody będzie opowiadanie Doktor, dziecko i duchy z jeziora, które prezentujemy w niniejszej książce.

### Obóz indiański

Wiele lat temu w obozie Ojibway nad Jeziorem Duchów w Michigan

Oczywiście, istnieje coś takiego jak głupie pytanie. Zazwyczaj zadajesz je jeszcze za gówniarza. Ludzie mają cię wtedy za nieuświadomionego, ale w rzeczywistości jesteś po prostu durny. Mijają lata, stajesz się mężczyzną, przejmujesz kontrolę nad swoim życiem, a przyjemniej nad tą jego częścią, która jest niezależna od Szczęścia czy Boga. Przypominasz sobie wtedy o głupocie swojego idiotycznego pytania, a twoje policzki zaczynają płonąć, gardło wysycha. Przyznajesz wówczas sam przed sobą, że byłeś głupi. Bezczelnie, bezlitośnie głupi.

Adam Nichols, wraz ze swoim ojcem zwanym Doktorem, płynęli w kajaku przez Jezioro Duchów do obozu indiańskiego. Doktor chciał napić się z Gilbym Edwardsem, z którym nieźle się polowało, łowiło ryby i piło, a Adam Nichols lubił zabierać się na takie wyprawy z ojcem.

- Hej, Doktorku! Cześć, Mały - powitał ich Gilby Edwards.

Doktor przywiózł ze sobą butelkę whiskey Cyrus Noble.

- O, dzień dobry, panie Cyrus Noble - dopowiedział Gilby Edwards i pociągnął łyk. Potem dziabnął sobie Doktor. Adam Nichols również miał ochotę wypić i obiecał sobie, że pewnego dnia nie będzie robił nic innego, tylko pił, pił i pił.

- No! Mocne to lekarstwo, niech mnie cholera - powiedział Gilby Edwards, wycierając usta po drugim łyku. - Wielki Duchu! Pali w gardziel!

Doktor i Gilby Edwards wybuchnęli śmiechem. Adam Nichols też chciałby się zaśmiać, ale bał się, że jego głos zabrzmiał jak dziewczęcy.

I nie zaśmiał się. W zamian zadał pytanie. Pomyślał, że jeśli je zada, w najgorszym wypadku ojciec i Gilby uznają, że jest mądry. Może skierował je do ojca. Może do Gilby ego Edwardsa. Nie był pewien.

- Czy w jeziorze naprawdę są duchy? - zapytał.

Doktor i Gilby Edwards zaśmiali się jeszcze głośniej. Adam pomyślał, że pewnie śmieją się z niego i zrobiło mu się przykro.

Potem Gilby Edwards rzekł:

- Mały, możesz postawić wszystko, co masz, że w tym jeziorze są duchy. Myślisz, że dlaczego, do cholery, mówimy na nie Jezioro Duchów?

Doktor i Gilby Edwards znowu zatrzęśli się ze śmiechu. Ryczeli i ryczeli.

Gdyby miał ze sobą pistolet, Adam Nichols zabiłby ich obu.

Nigdy nie umiera nikt

1961 Klinika Mayo Rochester, Minnesota

Przez wiele lat ludzie często nazywali go „Papa” albo „Pan Papa” albo „Señor Papa,” a i on sam zwykł mówić tak o sobie, choć nie wszystkie jego dzieci zgodziły się w ten sposób na

niego wołać. Ale był rok 1961, on miał już swoje sześćdziesiąt jeden lat, a w 1961 roku to był zaawansowany wiek. Jak miało się sześćdziesiąt jeden lat, to byłeś „Papa” i już.

- Adres - powiedział. - Pamiętam go. Mieszkaliśmy tam w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim i dwudziestym czwartym. Moja pierwsza żona i ja. W Paryżu. Było nam ze sobą dobrze. Dobra żona z niej była.

Pochylił głowę.

- Dawniej było dobrze.

Miał smutną, zakłopotaną minę, ale bardziej zakłopotaną, niż smutną. Wyglądał przez to nieco głupawo, gdyż jego stalowe oprawki były niezdarnie owinięte białą, przybrudzoną taśmą klejącą w miejscu, gdzie okulary stykały się z nosem, by nie wżynały mu się w skórę. Miał na grzbiecie spraną koszulę flanelową, na tyłku luźne spodnie ze sztruku, a na stopach dwie pary białych skarpet, bo często było mu zimno w nogi. I choć pocił się nadmiernie, nałożył też skórzane kapcie, które kupił jedenaście lat temu w Abercrombie i Fitch. Na to wszystko narzucił jeszcze prawdziwy, czerwony włoski szlafrok, który nazywał „suknią królewskiego baszy” z dawno już zapomnianych powodów, przez co również wydawał się stary.

- Teraz niedobrze - powiedział.

- Niedobrze? - zapytał psychiatra.

Był to nowoczesny psychiatra, więc nie zawsze zwracał się do pacjenta bezpośrednio.

- Twoje obecne życie...

Stary człowiek miał gdzieś brak bezpośredniości. Był całkiem znanym pisarzem, miał na koncie wiele popularnych powieści i opowiadań. Jedno z nich traktowało o staruszku i wielkiej rybie, a niektórzy krytycy mówili, że to religijna przypowieść. Nie tylko Jezus potrafił je głosić. Owa historia,

owa przypowieść, pojawiła się w magazynie, który sprzedał się w milionach egzemplarzy. Zrobili z tego filmy. Z innych opowiadań też. Przeważnie nie były zbyt dobre, ale przynosiły spore zyski, więc mógł pływać swoją łódką z silnikiem diesla, długą na trzydzieści osiem stóp, którą ochrzcił „El Señor Santiago”. Mógł popłynąć, gdzie tylko chciał, polować na dużego zwierzka w Afryce i płacić wygórowane alimenty, a filmy, choć kiepskie, uczyniły go sławnym nawet wśród ludzi, którzy nigdy nie czytali jego książek ani żadnych innych książek. Niektórzy krytycy okrzyknęli go najlepszym żyjącym pisarzem amerykańskim, a i on sam powtarzał podobne rzeczy, chwając się publicznie. Czasem wydawało mu się zabawne, że będąc najlepszym żyjącym pisarzem amerykańskim, zarabiając tyle pieniędzy i będąc tak sławnym, nadal można być straszliwie smutnym.

- Nie, nie pamiętam - powiedział stary człowiek.

Wzruszył ramionami, skonfundowany i smutny.

- Dziwnie się czuję, wiesz. Mieszkałem w dwudziestym trzecim roku pod numerem pięćdziesiąt cztery, rue du Corporal Lemoins. Pamiętam to. Nie mogę sobie jednak przypomnieć obecnego adresu. Nie pamiętam imienia mojej żony. Wiem tylko, że jest miłą kobietą. Silną, zdrową, jak żołnierz. To dobry wybór. Chyba wczoraj przyszła się ze mną zobaczyć.

- Ale to naprawdę proste, jak porażenie prądem - mówił psychiatra.

- Tak, proste - zgodził się staruszek.

I takie faktycznie było. Na chwilę twoja dusza uchodzi z ciała; rozumiał to. Już wcześniej przez to przeszedł, kiedy był chłopcem, a potem, gdy walczył na wojnie. Dusza uchodzi z ciebie, a potem powraca. A przynajmniej większa jej część.

Psychiatra ciągnął:

- Odzyskasz pamięć zaraz po tym, jak skończymy leczenie.

- Tak to już jest ze wspomnieniami - powiedział staruszek.

- Wracają. Jak duchy.

- Nie martwiłbym się o to na twoim miejscu - odparł psychiatra.

- No to dobrze. No to dobrze. Niczym się nie martwię. Nie, nie. Nie będę się tym denerwował.

Wyglądał na zakłopotanego.

- Nie pamiętam też, jak ty się nazywasz. Jesteś moim obecnym psychiatrą?

Lekarz uśmiechnął się. Nie szło mu to najlepiej, gdyż miał wąskie usta, a oczy zimne jak u pstrąga. Ale wyglądał na inteligenta.

- Doktor Koeller.

- Doktor Koeller - powtórzył starzec. - Czy jesteś katolikiem? Pamiętam, że prosiłem o to, by mój psychiatra był katolikiem.

- Tak, jestem katolikiem i psychiatrą.

- Szkoda, że nie jesteś Włochem - powiedział z powątpiewaniem mężczyzna. - Albo Hiszpanem.

- Czyli wolisz włoskiego albo hiszpańskiego katolika? - spytał w powietrze doktor Koeller.

- Tak, właśnie tak - odpowiedział starszy człowiek. - Głęboko wierzącego, prawdziwego katolika. Możesz wręcz zobaczyć ich wiarę.

- Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, Świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny - wyrecytował doktor Koeller.

- Nigdy nie umiera nikt - oznajmił staruszek.

- Popatrz - pochylił się doktor Koeller - ujrzyj moją wiarę. Przeżegnał się starannie, naturalnie, bez niedbałości. Stary poczuł

się lepiej.

- Wierzę w Ojca, i Syna, i Ducha Świętego - powiedział doktor Koeller.

- Ojciec. - Kiwnął potakująco mężczyzna. - Syn.

I dodał:

Doktor, dziecko i duchy z jeziora j05

- Duch.

Señor Papa oblizwał wargi. Lekarstwo na depresję wysuszało mu usta i wargi. Nabrał ochoty na kolejkę rumu albo daiquiri.

- Duchy - powiedział. - Wierzę w duchy.

- Opowiedz mi - poprosił doktor Koeller. - Opowiedz mi o nich.

- Opowiedz mi bajeczkę, Papa - wyszeptał stary człowiek.

Drażnił się z psychiatrą, ale przez chwilę na jego twarzy zagościła

mina zdradzająca, że, jak wszyscy twardzi i sentymentalni ludzie, potrafi być okrutny i nieszczerzy.

- Tego wymaga ode mnie świat.

- Na pewno?

- Tak. Bezsprzecznie. Sam tego od siebie wymagam.

Dawno temu Papa pracował w gazecie. Papa napisze wam prawdę, dużo i dobrze. A teraz Papa pisze bajeczki. Pisze bzdury, fantazje. Pisze alegorie i mity. Pisze przypowieści.

Zamilkł, silił się na chytrą.

- Katolicki lekarzu, znasz różnicę między pisaniem prawdy a pisaniem fikcji?

- Nie, nie znam - odpowiedział doktor Koeller.

- Kurwa, ja też nie! - zaśmiał się stary. - Jeśli coś jest

prawdą, to jest prawdą!

Strzelił palcami.

- Jest prawdą prawdziwszą niż prawda.

Palnął się w czoło. Wyglądałby przebiegle, a może nawet i niebezpiecznie, gdyby nie ta brudnawa taśma klejąca na nosie.

- I jak ci się to widzi, doktorze Koeller? Życie odkrywa prawdę! Czy to nie brzmi jak paradoks?

-Nie.

- Nie masz do czynienia z paradoksami? Mój katolicki psychiatro, jak pogodzisz Freuda i Jezusa?

- Nie muszę, nie ma między nimi sporu, dogadują się nieźle. Obaj mówią i głoszą to samo.

- Czyli co?

- Prawdę.

Stary zaśmiał się naturalnym, zdrowym, mocnym śmiechem. Brzmiał jak rechot pijanego człowieka.

- Świetne! Naprawdę dobre! Chciałbym usiąść i napić się z tobą. A potem dałbym ci w mordę.

Doktor Koeller odrzekł szybko:

- Prawda. Powiesz mi, czym ona jest, Señor Papa?

- Tak - odparł mężczyzna. - Opowiem ci historię.

Ojcowie i synowie

1935

W drodze do Michigan

Czujesz, jak włoski na karku stają ci dęba. Czaszka promienieje bólem. I wiesz to od razu, podskórnice: ktoś cię obserwuje.

Tak właśnie stało się w przypadku Adama Nicholasa, czuł to od jakiegoś czasu. Za jego plecami, spoglądały na niego czyjeś oczy.

Oczy, które obserwowały go już dłuższą chwilę.

Oczy należące do Doktora.

- Jak to jest, Papa? - zapytał Toby.

Toby nie zdawał sobie sprawy z obecności oczu.

- Co jest?

Toby zapytał ponownie, tym razem dopowiadając to, o czym zapomniał poprzednim razem.

- Słoń. Czy to jak zabić człowieka?

- Nie - odpowiedział Adam Nichols. - Nie potrzeba takiej dużej strzelby, by zabić człowieka. Czasem człowiek ginie od małej ranki, która nie uśmierciłaby królika. Ale na słońce potrzeba dużego pistoletu. Najlepiej, jeśli ma się przerobionego Springfieldda '03. Ma kopa tak dużego, jak sam słoń. Nadaje się do właśnie takiej roboty.

Kiedy pierwszy strzał dopadnie słońca, będzie on biegł jeszcze przez jakąś minutę, ale łatwo go potem znaleźć. Leżącego na boku, krwawiącego. Zwierzę może jeszcze wstać i zaatakować, ale Adam nie zwraca na to uwagi, to jego pierwszy słoń. Ginie olbrzym, a on musi stać blisko, jeśli kiedykolwiek ma to zrozumieć. Patrzy słońcowi prosto w oko z nieprawdopodobnie długimi rzęsami, wydaje się wręcz, że oko jest najbardziej obdarzoną życiem rzeczą, jaką kiedykolwiek widział, że wkracza przez nie do krainy samotności, którą będzie kroczył przez resztę swojego życia.

I wtedy strzela mu prosto w oczodół, a kula robi to, co zwykle robią kule. Słoń zdaje sobie sprawę z tego, że jest już martwy, że nie poczuje już nigdy ziemi trzęsącej się pod naporem jego masywnych nóg. Nigdy już nie podniesie trąby, kosztując bryzę i miriady jej zapachów. Podda się i wyzionie ducha, a ten wspaniały słońcy duch uleci w Wielką Pustkę, do czegoś zwanego Nicością, gdzie uwali się, cała pomarszczona, bez cienia godności: taka jest waga Śmierci. Niczego już nie



musi się bać.

- Chyba chciałbym pojechać do Afryki.
- Myślę, że by ci się spodobało.
- Papa, bałbym się?
- Nie, nie sędzę.
- Nie cierpię się bać.
- Będę przy tobie i nauczę cię, jak się nie bać.
- Zabierzesz mnie do Afryki?
- Tak.
- Fajnie. A zabierzesz też moją mamę?
- Chciałbym, ale nie sędzę, aby ona chciała jechać ze mną.
- Ale ja chcę!
- Wiem.

Adam zwolnił przed zakrętem. Zawsze uważał, gdy jechał swoim autem. LaSalle miał w sobie dużo mocy, ale ciężko wchodził w zakręty, kierownica sztywno tkwiła w jego dłoniach. Niegdyś w Arkansas, w warsztacie w mieście, widział forda roadstera z 1929 roku ze znajomo wygiętym błotnikiem. Czuł zapach swoich rąk na kierownicy, samochód był niemal skrojony specjalnie dla niego, ale Adam Nichols - jako odnoszący sukcesy pisarz - po prostu nie mógł, jak mówiła mu to jego obecna żona, prowadzić takiego plebejskiego auta, nie mógł i już, w czym wtórowała jej Matka Adeline (ta suka). No i, ponieważ nie chciał się kłócić z żoną i z suką, jeździł teraz potężnym sedanem LaSalle z mocnym silnikiem (za pieprzone 1700 dolców! 1700 dolców!), który pachniał sztuczną nowością, był długi jak kort tenisowy i mniej więcej tak samo zwrotny.

Obejrzał się przez ramię. Toby nie patrzył na niego. Na wycieczkach Toby mówił czasem o swojej matce, a potem nagle milkł, jakby ten temat go kłopotał. Toby był pierwotnym synem Adama Nicholisa. Adam miał go za dobrego chłopca i

zapewne takim był. Nie znali się zbyt dobrze. Toby wkroczył do świata Adama Nicholisa przy pomocy jego pierwszej żony, jeszcze w Paryżu. Kiedy Toby był bobasem, dawno temu, po fałszywej, paryskiej wiośnie, ich szary kot z sześcioma palcami, Pan Korniszon, zwykł spać w jego kołysce. Wtedy Adam Nichols dostał od swojej pierwszej żony rozwód, a ona dostała Tobyego i Pana Korniszona. Pan Korniszon był porządnym kotem.

A teraz Adam Nichols zabierał Tobyego, swojego syna, by nauczyć go kilku rzeczy, których ojcowie uczą synów. Jak złapać świerszcza na przynętę, kiedy są jeszcze mokre i ciężkie od rosy i nie mogą odskoczyć. Jak wyczuć ten odpowiedni moment i zastrzelić przepiórkę. Jak przygotować nad ogniskiem pstrąga w tłuszczu z bekonu. Jak zrobić sobie posłanie z liści i okrycie z gałęzi. Jak łowić ryby z brzegu tak, by twój cień ich nie wystraszył. Istniały rzeczy, których ojcowie uczyli synów, za które synowie byli wdzięczni do końca życia, tak, jak Adam Nichols był wdzięczny swojemu ojcu, Doktorowi.

Ale były też rzeczy, za które nie odczuwał wdzięczności. Przez niektóre z nich czuł żal do swojego ojca, a z powodu innych gardził nim.

Adam Nichols uśmiechnął się. Wiedział, że nie ma w nim żalu. Nikt faktycznie nie uśmiechał się z żalem albo z inną cholerną rzeczą. Uśmiechnął się z żalem albo radosna myśl to oklepane zwroty, których używają marne pisarczyki, publikujący w gównianych magazynach i nigdy nie rozumieją, że uśmiech to uśmiech, a myśl to myśl, nic więcej.

Adam Nichols spojrział we wsteczne lustro.

Teraz dokuczały mu nie tylko wpatrzone w niego oczy. Wcześniej tylko o nie chodziło. Teraz miał nowego pasażera. Doktora.

Jego ojciec siedział z tyłu. Nic nie robił ani nic nie mówił. Nie spał. Tylko siedział. Doktor, ojciec, Chadbourne Nichols, lekarz medycyny, martwy od dłuższego czasu. A więc trafniej byłoby powiedzieć, że to jego duch okupował tylne siedzenie jego LaSalli.

- Był z tobą duch ojca?

- Najprawdziwszy.

- Nie bałeś się?

- Za nami wszystkimi chadzają duchy, nieprawdaż? Nie, nie wystraszyłem się zbytnio.

Nie wtedy.

Zanim Adam Nichols poszedł na wojnę (dawno temu!), być może odczuwał strach, ale kiedy wysadzono go w powietrze poczuł, jak ulatuje z niego dusza, a potem wraca do ciała. Jakiś czas po tym niósł na swoich ramionach martwego człowieka, mówił do niego i wyraźnie słyszał jego odpowiedzi, choć jego buty pluskały w błocie i krwi. Raczej nie masz w sobie wiele strachu, kiedy doświadczysz podróży własnej duszy w tę i z powrotem, lalala, a potem nagadasz się o pierdołach z trupem. Czasem twój umysł wariuje, robi lalala i tik-tak, tik-tak, jak poluzowany trybik w zegarze, ale nie, nie czujesz strachu...

Cholera, dlaczego Adama Nicholasa zaniepokoił ten duch na tylnym siedzeniu? Przecież chatka w Michigan była ulubionym miejscem ojca. Było tam tak pięknie. Tak cholernie pięknie, właśnie tak tam było.

Kraina duchów.

- Papa?

Wrócił Toby. Może zacznie mówić o swojej matce, a może nie.

- Hmm? - Kiedy jesteś ojcem, mówisz Hmm dość często. Uczysz się unosić brew. Efekt jest lepszy, jeśli palisz fajkę.

On nie palił. Cygara owszem, czasem, szczególnie, gdy był na Kubie, gdzie mężczyzna niepalący cygar postrzegany był jak cham i pewnie jeszcze maricon czyli ciota.

- O co chodzi, Toby?

- Zobaczymy tutaj jakichś Indian?

- Nie wiem - odparł. - Może. Ale pewnie nie. Myślę, że większość Indian... wyjechała.

Odeszła. Jak mogli odejść?

Indianie stali się nagle prawdziwi, a przynajmniej w jego umyśle. Sprawilo to pytanie chłopca oraz jego własne wspomnienia, nad którymi miał tyle kontroli, co nad wschodem słońca. Gilby Edwards. Prudy. Poczul słodki, ostry zapach, gryzący, przesiąknięty dymem i zmęczeniem. Taką woń miała zbyt często prana flanela oraz whiskey. Dlatego tak pachnieli jego Indianie i Indianie jego ojca? A jak zaciągnął się indiańskim zapachem, stali się prawdziwsi niż jego obecna żona i syn, którego wcale nie znał. Przypomniał sobie ten śmieszny krok Indian, gdy chodzili na palcach. Pamiętał, jak się z tego śmiał. Ale nie Indianie, oni się nie śmiali. Nie tak, jak robił to biały człowiek. Kiedy usłyszało się, choć raz, śmiejącego się Indianina, nie sposób było o tym zapomnieć.

- Czy zostali tu jacyś Indianie, tato?

Adam Nichols spojrzal w lusterko, które pokazywalo droge za nimi. W oczach Doktora - ducha ojca - igrala wesołość. Ojciec lubił Indian. Rozumiał troche ich smutek. Moze nawet lepiej, niż swój własny.

Indianie wiele ich obu nauczyli, ojca i syna.

- Moze kilku. A moze duchy Indian.

Toby zaśmiał się.

Podobalo mu się to ukłucie strachu, kiedy usłyszał o duchach Indian.

Doktor i jego żona

Wiele lat temu Jezioro Duchów, Michigan

Wczesnym popołudniem Adam Nichols wiedział, że będzie miał kłopoty. Razem z ojcem siedli na schodach do chatki.

Doktor miał ze sobą flaszkę Cyrus Noble i od czasu do czasu nalewał sobie z niej do kubeczka, który zawsze zabierał, gdy jechali nad jezioro. Nie było wiatru, więc nie dochodził do nich zapach wody. Słońce stało wysoko.

Zaraz za ich plecami, w pomieszczeniu nazywanym przez nią „salonem”, Matka Adeline grała etudy Szopena. Trudne utwory, ale grała pięknie. Jej dotyk był bardzo delikatny, a zarazem bardzo pewny. Musiała być wściekła.

Doktor powiedział głośno:

- Chciałbym mieć harmonijkę. Dobrą, taką za dziesięć centów, Hoh-ner Marinę Band. Harmonijkę ustną. Zagrałbym „The Camptown Races”. Du-da, du-da, dwanaście mil przebyłem już, o-du-da-DEj! Zagrałbym to głośno, ze sto razy. Tak bym zrobił.

Doktor pocił się, na twarz wyszła mu czerwień.

Potem powiedział głośnie:

- Zagrałbym „Youre the Flower of My Heart, Sweet Adeline.”

Słowo „Adeline” podzielił na trzy sylaby, ostro i precyzyjnie. Jego

żona uważała harmonijki za plebejskie instrumenty, a piosenki jak „Sweet Adeline” za jeszcze gorsze. Według niej były wulgarne, godne pogardy i poniekąd niemoralne, tak samo jak ludzie, którzy ich słuchali, grali je albo śpiewali.

Doktor i Matka Adeline wymienili kilka gorzkich słów dzisiejszego poranka, jeszcze w sypialni. Zdarzało im się kłócić, ale rzadko w sypialni, gdzie nieczęsto znajdowali powód, by w

ogóle ze sobą rozmawiać. Adam słyszał ich dzisiaj rano nawet przez zamknięte drzwi. Usłyszał, między innymi, takie oto słowa matki: „...nieczysta bestia, odrażające. Jesteś poganinem.”

Matka Adeline często nazywała męża „poganinem.” Kilka lat wcześniej została scjentolożką. Doktor tkwił w przekonaniu, że zrobiła to na przekór jemu i naukom medycznym. Za to on, by jej dopiec, zwykł mówić, że żywi niekłamany szacunek i intelektualny respekt dla religii wynalezionej przez nałogowego morfinistę.

Etiudy nadal wypływały z pokoju przez otwarte okno. Tempo pozostało niezmienione. Tylko muzyka grała może nieco ciszej.

Przy kolumnie podtrzymującej ganek pojawiła się dziewczynka zwana Iskierką. Podeszła do nich, jakby nie chciała, by deski pod jej stopami zatrzeszczały. Słomkowy kapelusz rzucał cień na jej owalną twarz. Miała prawie dziesięć lat. Kochana, mała dziewczynka. Naprawdę na imię miała Marcella Veronica, wybrała je dla niej matka, ale Iskierka uważała, że było to „niezwykle śmierdzące imię.”

Iskierka to zdrobnienie, tak wołał na nią Doktor. Matka Adeline sądziła, że pasowało tylko do skołtunionych, małych czarnuchów. Za to Adam miał ją za szkodnika, ale na swój cichy sposób kochał ją bardziej niż mali chłopcy zwykle kochają swoje siostrzyczki. Podziwiał bogactwo jej języka, znała tyle różnych słów, których nigdy nie słyszał, choć mówił o sobie, że kiedyś zostanie pisarzem i już opublikował dwa opowiadania w licealnym magazynie literackim.

Doktor powiedział:

- No proszę, proszę.

Jak wielu surowych mężczyzn, było w nim coś sentymentalnego, co potęgowało się jeszcze, kiedy pił.

- Iskierko - wypowiedział jej imię i z tonu jego głosu można było odczytać, że podobało mu się jego brzmienie. - Hej-ej-hej, Iskierko.

Teraz próbował „mówić po indiańsku”, czego nie aprobowala Matka Adeline, która nie lubiła jego czerwonoskórych przyjaciół. Nie lubiła Indian. Zresztą sama akceptacja dla czegokolwiek nie była dla niej chlebem powszednim.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała. Adam patrzył na jasne refleksy słońca na powierzchni jeziora. Wyzwaniem było spoglądanie na przezroczystą toń bez mrużenia oczu. Chciał zobaczyć, co się tam działo. Pomyślał, że jeśli wpatrzy się dostatecznie mocno i wystarczająco długo, ujrzy wszystko takie, jakim jest naprawdę, bez żadnych zniekształceń, nic nie było wtedy większe ani mniejsze, niż w istocie.

Adam Nichols miał piętnaście lat. W takim wieku czujesz się, jakbyś niczego nie rozumiał. Czasem mówił sobie, że ma wszystko gdzieś. Ale lata później okazało się, że wcale tak nie jest, bo wziął za żonę katoliczkę, która nie miała wszystkiego gdzieś i sam został katolikiem.

Doktor rzekł:

- Niestety, nie mam takiej harmonijki. Nie mam tarki do prania ani słodkiego ziemniaka. Ani cholernego, metalowego gwizdka czy przeklętej, żydowskiej harfy.

Kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki chwycił za szyjkę butelkę whiskey.

- Na szczęście - podniósł głos razem z butelką - mam Cyrus Noble.

Cyrus Noble Premium Aged Whiskey - tak mówiła etykieta. Nalał

trunku do połowy kubka.

Napił się.

- A, czyż to nie przyjemne? - westchnął. - Pewnie, że przyjemne. Co za przyjemne życie! To jest to! Siedzę sobie, byczę się i popijam dobrą whiskey. Słucham pięknej gry mojej Adeline, o tak! Kurwa mać!

Kiedyś Adam zapytał ojca, dlaczego popijał whiskey. Usłyszał w odpowiedzi, że whiskey jest miła. Powiedział też, że Adam wkrótce sam zrozumie, ale on nawet teraz sądził, że jeszcze nie wie, o co chodziło ojcu. Może po prostu nie chciał się dowiedzieć.

Z „salonu” nie dobiegały już dźwięki pianina. Doktor z brzękiem odstawił swój kubek. Brązowa whiskey zachlupotała wewnątrz. Doktor zaczął klaskać.

- Brawo! Brawo!

- Oh, Papa - wyszeptała Iskierka. - Przestań, proszę, przestań.

Na swój sposób była całkiem mądrą dziewczynką.

- Muzyka potrafi oczarować! Cholerna prawda! - wykrzyknął, wstając. - Chodźmy, Adamie. Popłyniemy kajakiem do obozu indiańskiego. Zobaczymy się z Gilbym Edwardsem, zapytamy, jak mu idzie wędkowanie.

Doktor zaczął kierować się do środka. Powiedział, że musi zabrać swój plecak. Iskierka wisiała mu na ramieniu.

- Papa, proszę...

- Hej-ej-hej, Wielki Wodzu Doktorku, wypalmy fajkę pokoju - powiedział głośno Doktor.

Matka Adeline krzyknęła z pokoju:

- Nie myślcie, że nie jestem świadoma waszego haniebnego zachowania!

I znowu dobiegła ich uszu muzyka, ale nie etiudy Szopena, lecz Bach, tak delikatny, jak krawędź nowo zakupionej żyłki.



Stojąc na progu, Doktor puścił oko do Adama.

- Idziemy więc. Pozachowujemy się haniebnie.

Znowu odezwała się Matka Adeline:

- Poganin idzie do pogańskich Indiańców.

Pianino grało wyjątkowo pięknie.

- Papa? - zapiszczała Iskierka.

- Przykro mi - powiedział Doktor. Wskazał palcem na butelkę - Weź, proszę, ze sobą pana Cyrusa Noble'a - zwrócił się do Adama.

- Bóg widzi wszystko - skomentowała Matka Adeline głosem cichym jak jej pianino.

- I dobrze - odparł doktor Nichols. - Mam nadzieję, że robi zdjęcia Kodakiem.

Adam wiosłował i wiosłował z całej siły, przekonany, że Doktor wypił wystarczająco, by z jego twarzy nie schodził uśmiech.

- Ale fajnie - cieszył się doktor Nichols. - Co nie, Adam?

-Tak.

Doktor wyciągnął z plecaka pistolet.

- To pistolet Dziadka - powiedział Adam.

- No tak. Ten samiuśki. Patriarcha. Mężny Dziadek, lojalny względem Ojca Abrahama. Nosił tę broń podczas Wojny Między Stanami. To Smith & Wesson, kaliber 32, wyprodukowany w Springfield, Massachusetts.

Doktor wymierzył w środek jeziora.

- Stójcie, towarzysze! Toć to jeden z duchów tego jeziora wyłania się z mrocznej toni! Pif-paf!

Uniósł pistolet w górę, jakby naprawdę z niego wystrzelił.

- Trafiłem dziwkę! - śmiał się. - No chodźcie, duszki!

Ponownie udał, że strzela.

Adam usiłował się zaśmiać, gdyż domyślał się, że to miało

być śmieszne.

Doktor powiedział do niego.

- Nie trafiłbyś w ścianę stodoły z tego pistoletu, nawet, jeśli stałbyś wewnątrz. Byka też byś nie trafił, chyba, że podczołgałbyś mu się pod zad. Jediną rzeczą, w jaką można trafić z tego pieprzonego pistoletu, jesteś ty sam. Tak właśnie skończył Dziadek.

Dziadek przycisnął sobie lufę pistoletu Smith & Wesson, kaliber 32 do ucha, nacisnął spust i odstrzelił sobie kawał mózgu. Rodzina mówiła, że Dziadek zginął przypadkowo, przy czyszczeniu broni. Doktor miał inną wersję: mówił, że Dziadek umarł przypadkowo, czyszcząc pistolet swoim uchem.

Doktor zmrużył oczy, niby celując, a broń podskoczyła w jego rękach, jakby naprawdę wyleciała z niej kula.

- Pif-paf - powiedział. - Załatwiłem dziwkę!

Gilby Edwards napił się Cyrus Noble prosto z butelki.

- Sukinsyn - powiedział radośnie.

Siedzieli z Adamem na sofie przed chatą Gilbyego, blisko doków obozu Ojibway. Poduszki kanapy były podarte i wytarte, ale bardzo wygodne, i lepiej było siedzieć na czymś komfortowym na zewnątrz, niż wewnątrz, więc Gilby trzymał sofę przed domem, a nie w domu. Gilby zarabiał na życie łowieniem ryb i rąbaniem drewna. Niewiele pracował, ale pił codziennie. Nie mówił dużo, ale i tak więcej, niż większość Indian. Miał długie włosy i wyglądał jak Indianin, którego widuje się na monetach.

Gildy wypił kolejny łyk.

- Woda ognista białego człowieka, słodki sukinkot - powiedział.

Doktor i Prudy Edwards, siostra Gilbyego, która miała wówczas jakieś siedemnaście lat, siedzieli w chacie. Choć byli

gdzieś w odległym pokoju, czasem dobiegały do nich odgłosy tego, co się tam wyrabiało. Najwyraźniej dobrze się bawili. Czasem Prudy albo Doktor wybuchali śmiechem, albo śmiali się jednocześnie, a niekiedy Prudy wydawała z siebie dźwięk do śmiechu podobny, lecz śmiechem nie będący.

Adam zauważył, że tego lata Prudy nieco się zaokrągliła. Dotarło do niego, że nigdy wcześniej, w poprzednich latach, nie dostrzegł jej krągłości. Dawniej, kiedy chodzili polować razem z Gilbym i z nią, a czasem przyłączał się też ojciec, nie uszło jego uwadze, że Prudy była całkiem niezła. Widział, kiedy wgryzała się w jabłko, jej śnieżnobiałe zęby. Widział, że może patrzeć prosto w jaskrawe niebo swoimi płaskimi, szeroko otwartymi, brązowymi oczyma i że pachnie przyjemnie, jak płonące drewno, pomarańcze i pot. Widział wiele rzeczy w Prudy Edwards, ale nigdy wcześniej nie zauważył krągłości.

Wewnątrz chaty rozniósł się śmiech Prudy. Adam poczuł się dziwnie. Nie było mu smutno, lecz dziwnie.

- Ej - rzekł Adam - dasz mi trochę tego, co tam masz?

Sięgnął po butelkę.

- Doktorek nie będzie się pieklił?

- Nie, a gdzie tam - odparł Adam. - Powinienem pójść, zapytać go?

- E tam. - Gilby Edwards podał mu butelkę.

Ojciec pozwalał mu czasem napić się piwa, ale Adam nigdy nie pił whiskey. Smakowała podle, paliła w usta, ścisnęła mu gardło na całej długości, aż do klatki piersiowej i brzucha.

A wtedy, zupełnie niespodziewanie, poczuł rozchodzące się po ciele ciepło, siłę.

- Sukinsyn - ucieszył się Adam Nichols.

Wziął kolejny łyk. Poczuł się naprawdę dobrze. Pomyślał, że jest u progu zrozumienia czegoś wielkiego i ważnego.

Minęło jeszcze trochę czasu, zanim Doktor wyszedł z chaty. Nie miał na sobie koszuli. Włosy porastały mu ramiona. Doktor uśmiechał się. Powiedział do Gilby ego Edwardsa:

- Co mu zrobiłeś? Mój chłopak jest urżnięty, Gilby!

Adam zaśmiał się:

- Sukinkot - wybełkotał.

- No cóż - uśmiech Doktora pozostał na swoim miejscu.

Adam nie pamiętał, jak udało mu się wstać, ale szedł w stronę chaty z ojcem u boku i cieszył się, że Doktor się nie odzywał, a i on sam milczał. Słońce delikatnie przenikało przez łopoczące im nad głowami liście, cienie i łagodną bryzę wiejącą od jeziora, aż do ciemnego wnętrza chaty.

Nic nie widział, ale usłyszał swoje imię i minęła chwila, zanim zdał sobie sprawę, że to Prudy Edwards go woła. Doszedł do niego także odór jego ojca, whiskey i czegoś tajemniczego, a przerażającego.

Prudy Edwards zawołała go znowu. Podeszedł do niej.

- To była twoja seksualna inicjacja?

- Bezpośrednio, doktorze Koeller, cholernie bezpośrednio.

A żebyś, kurwa, wiedział, że była, doktorze Koeller. Stało się. Ojciec przyprowadził mnie do kobiety, z którą przed momentem spółkowałem, a potem ja zrobiłem to samo, byłem tam, gdzie on był przed chwilą, tak właśnie było. Myślę, że mój ojciec bardzo mnie kochał. A i ja kochałem jego.

- No i jak było?

- I ty masz być katolickim psychiatrą! Zabawne.

Naprawdę. Interesują cię nieobyczajne szczegóły cudzołóstwa? Lubieżne szczególiki? Czy prawiczek sobie zamoczył? Doktorze Koeller, proszę uważać na swoje libido...

I czy mógłbyś powiedzieć mu, że to był prezent od ojca, że ona pierwsza zrobiła to, czego nikt już nigdy nie zrobił lepiej,

czy mógłbyś zmusić swoją pamięć, by opowiedziała ci o jej pulchnych, opalonych udach, krągłości jej napiętego brzucha, o jej pięknych, ciemnych piersiach, o jej kształtnych pośladkach, czy mógłbyś w ogóle mówić o tych silnych ramionach i mocnych nogach, o tym sprawnym, szybkim języku, poszukującym smaku twoich ust, a potem o tej niewygodnej, ciasnej, słodkiej, wilgotnej, kochanej, ciasnej, zbolałej, pełnej, ciasnej, ciasnej, nieskończonej, och, tak bardzo nieskończonej, której kres nagle nastąpił i było to jakby duch wyskoczył z twoich trzewi prosto w zapadający zmierzch, chwila ta przyszła wraz z westchnieniem i świadomością, że nic nigdy nie będzie już tak wspaniałe?

Racja, nie mógłbyś.

Królowa Matka

Matka Adeline nie odzywała się przez cały dzień. Nazajutrz też nie mówiła wiele, praktycznie wcale, ale grała na pianinie. „Jezioro Łabędzie”, którego zazwyczaj nie cierpiała ze względu na jego przewidywalność, melodramatyzm oraz inne, „słowiańskie cechy”. Trzeciego dnia Matka Adeline uśmiechała się i nuciła coś pod nosem podczas karmienia ptaków. Przycupnęła nad brzegiem, na głowę założyła oklapły, słomkowy kapelusz, rzucający na jej twarz cień. Bose nogi zanurzyła w wodzie. Potem, wczesnym popołudniem, zbierała jeżyny i zrobiła z nimi placek. Pomyślałbyś, że jest najradośniejszą gospodynią. Czasem przerywała krzątanie, by zagrać coś na pianinie, coś melodyjnego i subtelnego, co wymagało jedynie dwóch palców prawej ręki i dwóch lewej. O tak, Matka Adeline skakała z radości, la-di-da. Chłopcy zawsze pozostaną chłopcami, la-di-da. Jaki ojciec, taki syn, la-di-da. Oni przecież tylko poszli do indiańskiego obozu robić haniebane rzeczy z dzikusami.

Srogo będzie musiał za to zapłacić, Adam doskonale o tym wiedział, miał wystarczająco dużo lat, by zdawać sobie sprawę z tego, że zawsze przyjdzie czas na rozliczenie. Może wystarczyłoby, jakby po prostu zniknął. Spakował namiot, zabrał trochę wędzonki, mąkę, poszedł na noc do lasu, a z pierwszym promieniem świtu kontynuował podróż. Odwiedziłby nowe lądy. Przecież ciągle o nich nawijał. Kanada. Arktyka. Borneo. Afryka.

A czemu Doktor nie zniknie? To jakaś pułapka?

- Nawet wtedy - powiedział starzec do psychiatry - nawet wtedy czułem, że wszyscy jesteśmy udupieni.

- Hmm. - Brzmiała niebezpośrednia odpowiedź.

- Udupieni, właśnie tak. Musisz to przyjąć na klatę bez gadania. Mężczyzna musi zrobić to, co zrobić musi - mówił stary człowiek.

- John Wayne. W samo południe. Gary Cooper. - Można było pochwalić się znajomością filmów i nadal pozostać mało bezpośrednim.

- Coop jest w porządku. To mój kumpel, Cooper. Cholernie celnie strzelał do ptaków. Nie gorzej ode mnie. Dobry katolik. Lepszy ode mnie. Będzie mi go brakowało. Wielki C. Może pozostał mu jakiś miesiąc. Może. Potem walnie w kalendarz. Powinienem do niego zadzwonić, ale nie da się z Coopem gadać przez przeklęty telefon. Do tego potrzeba strumienia pełnego pstrągów, trochę whiskey i czystej wody w szklance... Niech cię szlag, Cooper.

Stary czuł, że do oczu napływają mu łzy. Zbyt wielu przyjaciół odeszło. Zbyt wiele utracił. Zbyt wielu zaginęło. Ale zaginiony nie znaczy martwy; prędzej zdesperowany. Zbyt wiele utracił. Och, mój ojciec, któryś pusesy nadaypuesy nada święć siępuesy nadaypuesy nada...

Wiedział, że mówi rzeczy, które niewiele znaczą, ale myślał o czymś, o czym myślenie wydawało się jakby pierwszą myślą w ogóle: może Doktor tkwił w pułapce z powodu Iskierki. Nie mógł zostawić swojej drogiej dziewczynki Matce Adeline. Matka Adeline zjadała młode.

A może Doktor tkwił w pułapce przeze mnie...

Byli po dobrym obiedzie przygotowanym przez Matkę Adeline, siedzieli w „salonie”, słońce już zachodziło, rzucając zakurzone, zamglone światło, inne niż jeszcze przed dwoma godzinami. Pod oknem siedział Adam, oparty plecami o ścianę, czytał Gallagher i inne opowiadania, o przygodach chłopca-detektywa, książkę, którą czytał po raz pierwszy, kiedy był sporo młodszy, ale nadal często do niej wracał, ponieważ Richard Harding Davis był tak cholernie dobrym pisarzem. Matka Adeline czytała Naukę i zdrowie z kluczem do Pisma Świętego autorstwa pani Mary Baker Eddy. Doktor miał w rękach „Wieści Sportowe” i strzelał językiem czytając na głos:

- Frank Gotch kończy karierę. I dobrze, bo to, cholera, najwyższy czas.

Iskierka leżała na podłodze z kartkami papieru i kolorowymi kredkami. Rysowała konia, z językiem wywalonym z ust, koncentrując się na pętlach i liniach.

Była szczęśliwa.

Matka Adeline nie tolerowała szczęśliwości.

- Marcello Veronico - powiedziała - chciałabym usłyszeć, jak grasz Schumanna, „Sceny z dzieciństwa”. Dobrze ci to wychodzi, moja droga. Tak, byłoby naprawdę miło.

- Nie - sprzeciwiła się Iskierka, tracąc koncentrację. - Nie teraz.

O Jezu, pomyślał Adam, a „Wieści Sportowe” wydały z siebie szelest, składane przez Doktora. Jakby nagle ktoś wyssał

z pokoju całe powietrze.

Matka Adeline chrząknęła.

- Przepraszam? Pardon? Co powiedziałaś?

- My... - zaczęła Iskierka, ale wystarczyło spojrzenie na nią, by zobaczyć, że wiedziała, iż wybrała złe słowo.

My? Czemu powiedziała „my”?

Matka Adeline uderzyła jak sokół polujący na królika.

- My? Wasza wysokość nie zejdzie z firmamentu, by obdarzyć łaską swoich poddanych?

- Nie sądzę... - Doktor zaczął coś mówić, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej.

- My nie chcemy grać. - Matka Adeline zaśmiała się w sposób, od którego kwaśniej mleko - Jestem Królową Matką. Czy powinnam była powiedzieć, że proszę pokornie o zagranie czegoś, Wasza Wysokość? Czy powinnam była uklęknąć albo płaszczyć się, byś zgodziła się dla nas zagrać, panno Marcello Veronico? Czy twoja matka ma błagać?

- Matko Adeline...

Adam dostrzegł przerażenie w oczach Iskierki.

- Na miłość boską - powiedział Doktor.

Doktor, dziecko i duchy z jeziora j05

- Dokładnie, na miłość boską - powtórzyła Matka Adeline.

I rzuciła zabójczy cytat z Mary Baker Eddy:

- Wychowanie dziecka powinno opierać się na wykształceniu w nim posłuszeństwa względem praw moralnych i duchowych.

Iskierka wstała na równe nogi. Wyglądała na zakłopotaną i smutną. Wyglądała jak zmoknięty kot.

- Przepraszam. Tylko sobie rysowałam... Nie chcę grać. Po prostu nie chcę...

Nie płacz, pomyślał Adam Nichols. Nie daj się tak łatwo



sprowokować. Pewnie musiałybyś wreszcie zapłakać, ale nie daj tej suce satysfakcji.

- Czy to wszystko, Wasza Wysokość? - zapytała Matka Adeline. - Czy te wyjąkane słowa to twoje przeprosiny?

- Ależ kochanie... - podjął Doktor.

Matka Adeline rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

Doktor zamilkł.

Matka Adeline dalej cytowała Mary Baker Eddy:

- Matka jest najlepszym nauczycielem. A ja mam zamiar wychować Waszą Wysokość.

Po tych słowach wstała i rzuciła:

- Chodź ze mną.

Złapała dziewczynkę za ręce i poprowadziła wzdłuż korytarza. Iskierka szła nie zginając kolan.

- Pobiła ją? - Psychiatra nie brzmi już niebezpośrednio.

W jego głosie czai się osąd.

- Wtedy świat miał w sobie więcej Kalwina, a mniej Freuda. Rodzice bili dzieci. Tak się robiło. Doktor miał pasek do ostrzenia brzytwy. Instrumentem wychowawczym Matki Adeline była szczotka.

Po krótkiej chwili Matka Adeline wróciła z Iskierką.

- No więc - powiedziała - może teraz Marcella Veronica zgodzi się zagrać nam Schumanna.

Dziewczynka stała na środku salonu z miną, jakby zjadła coś o nieprzyjemnym zapachu i zbyt mocnym smaku. Miała bladą, niemal białą twarz, a jej oczy lśniły bez żadnego wyrazu.

Co za dobre dziecko, pomyślał Adam Nichols. Naprawdę dobre dziecko z niej.

Bo Iskierka odpowiedziała:

- Wolałabym nie.

- Marcello Veronico - odparła na to Matka Adeline -

pomyśl raz jeszcze o tym, co powiedziałaś.

- Nie. Wolałabym nie.

Mogę się założyć, że opluły ją, jeśli przyszłoby co do czego. Iskierka jest uparta, oj jest, pomyślał Adam.

- Skoro tak sobie życzysz - odpowiedziała Matka Adeline.

Adam Nichols popatrzył na Doktora. Wzrok mężczyzny powędrował w podłogę. Nie odezwał się.

- Mary Baker Eddy naucza, że dzieci powinny słuchać swoich rodziców, a niesubordynacja to zło.

Doktor nadal nic nie mówił.

- Chodź ze mną - nakazała Matka Adeline.

Tym razem nie było ich dłuższą chwilę. Dobiegł ich hałas: odgłosy uderzeń i dźwięki wydawane przez bite dziecko.

Doktor przewrócił stronę „Wieści Sportowych”. Przeczytał na głos:

- Pomimo wątpliwej uczciwości tej gry, nikt, kto wielbi ten starożytny sport, nie śmie oczerniać pełnoprawnego, amerykańskiego atlety, którym jest Frank Gotch. Kiedy rzucił swoim szlafrokiem w stronę menedżera- -trenera Jima Asbela, powiedział: „Zatrzymaj to, by o mnie pamiętać”. Wierny Asbel, który był przy chwalebnych walkach Gotcha z Georgem Hackenschmidtem, Rosyjskim Lwem...

- Nie sądzisz... - zaczął Adam Nichols, kiedy otworzyły się drzwi na korytarz.

Matka Adeline wróciła z Iskierką do salonu. Twarz dziewczynki była czerwona i mokra.

- A czy teraz zechciałabyś zagrać „Sceny z dzieciństwa” Schumanna? - zapytała Matka Adeline.

- Niech to cholera - mruknął Doktor.

- Tak, chciałabym - odparła Iskierka.

- A więc proszę bardzo.

- Ale nie mogę...

Dziewczynka podniosła w górę rękę i chwyciła mały palec lewej dłoni pomiędzy prawy kciuk i palec wskazujący.

- Bo obawiam się, że złamałam sobie palec - dokończyła.

Szybko wygięła sobie palec do tyłu, aż było można usłyszeć dźwięk łamanej kości, zduszony przez ciało i skórę. Z twarzy odpłynęła jej krew.

Padła zemdlona na podłogę. Na jej ustach malował się uśmiech.

Teraz kładę się do snu

Adam Nichols nie mógł zasnąć tej nocy. Przeważnie w Michigan zasypiał szybko, był zmęczony i dobrze mu się spało, ale dzisiaj był jakiś ociężały, nie zmęczony. Nie czuł się dobrze. Leżał z otwartymi oczyma, rozmyślał o tych wszystkich miejscach, w których łowił ryby, o tych, w których dopiero będzie łowił i o dużej, rozwidlającej się rzece. Zobaczył w niej siebie, brodzącego w wodzie pośród śniętych pstrągów, porośniętych białym grzybem, oklapłych przy kamieniu rzeczonym, bezsensownie martwych, dryfujących do góry brzuchem pod cieniem drzew, które przyniosły im śmierć.

Adam nie chciał już myśleć o łowieniu ryb. Po prostu leżał.

Zaczął się modlić. Teraz kładę się do snu... Modlił się za tych wszystkich ludzi, których znał, choć nie był pewien, za kogo dokładnie, ale i tak się modlił. Pewnie prosił o błogosławieństwo boże dla każdego z nich, choć nie wiedział zbyt dobrze, co to takiego i w jaki sposób można było je otrzymać. Modlił się, by Jezus wziął ich wszystkich do nieba, bo to właśnie robi Jezus, choć wyobrażał sobie niebo jako sterylne czyste, oświetlone miejsce, do którego nie wiedział, po co ktoś chciałby iść. Teraz kładę się do snu... Modlił się przeważnie dlatego, że przypominanie sobie imion tych wszystkich ludzi,

których kiedykolwiek poznał, zajmowało dużo czasu, a gdy nie możesz spać, potrzebujesz czegoś, co cię zajmie.

A kiedy nie wystarczy do zaśnięcia tych wszystkich imion ludzi, których znasz, możesz przypomnieć sobie nazwy wszystkich zwierząt, które widziałeś w zoo, albo gatunków ptaków z Młodzieżowego przewodnika po ptakach świata: kanarek, rudosterka, kulik, przepiórka i mała sieweczka, i ostrygojad, co było śmieszną nazwą, ale ten ptak faktycznie łapie ostrygi. Noc staje się ciężka, bo nigdy nie jesteś bardziej samotny, niż w nocy. Teraz kładę się do snu... biedny ptaszek, ponura żałoba, gołąb też biedny, ćwir, ćwir, biedny Iskierka i jej złamany paluszek. Dwa razy zbita w jednym dniu. Teraz kładę się do snu... Bóg obdarza łaską Iskierkę. Teraz kładę się do snu... liczę w ciemnościach, słońce już zaszło, ale potem wstanie, niech Bóg błogosławi Doktora, biedny Doktor...

Usłyszał ich.

Usłyszał Doktora i Matkę Adeline. Słyszał ich głosy, ale nie wiedział, co mówią.

Poruszali się cicho po chacie.

Adam Nichols wstał. Miał na sobie długie spodnie od pidżamy. Założył skórzane kaptcie. Próbował iść w kompletnej ciemności, na paluszkach, jak Indianin.

Wyszedł na zewnątrz za Matką Adeline i Doktorem. Uważał, by go nie dostrzegli. Była pełnia. Matka Adeline i Doktor już nie rozmawiali. Doktor miał przy sobie pistolet dziadka, kaliber 32. Trzymał go przy boku i razem z Matką Adeline poszli w stronę niewielkiego moła.

- Taki sen miałeś jako dziecko? - zapytał psychiatra.

- Nie, jesteś durniem. Nic nie rozumiesz. To nie żaden sen, to się stało naprawdę.

1961 Klimka May o Rochester, Minnesota

Stary mężczyzna z dużym brzuchem siedzi na wózku. Rozkłada kościste nogi. Strużka śliny spływa z lewej strony jego zwisających warg. Można by pomyśleć, że wygląda jak stary lew, który już dłużej nie jest w stanie ukrywać się przed myśliwymi i dostał jakąś zbląkaną kulą, ale jeszcze nie zasłużył na coup d'grace. Ale stary nic ci nie powie, nawet jeśli byś zapytał, a on był w stanie odpowiedzieć.

Powiedziałby pewnie, że nie wygląda jak żaden lew, tylko zmęczony, stary człowiek.

Niedawno strzelili mu błyskawicą w głowę, była jak elektryczna eksplozja wewnątrz jego umysłu. Próbowali wypalić wszystko, co czyniło go smutnym, ale stało się coś innego, ponieważ już go tutaj nie ma, teraz kładzie się do snu, patrząc na samego siebie bez żalu czy ironii i pues y nada, a teraz oddala się, oddala.

Gaszę światła.

Doktor, dziecko i duchy z jeziora j05

Dziwny kraj

- Hej-aj-hej!

- Gilby Edwards. Czy to ty?

- Pewnie, że ja, dzieciaku. A kto inny? Teddy Roosevelt?

- Ty nie żyjesz, Gilby.

- Pieprzona racja.

- Jesteś duchem.

- Tak. Cholera, tak jest. Stary Gilby jest teraz duchem. I wybrałem się w widmową podróż.

- Spójrz w dół, dzieciaku.

- Widzisz wszystkich.

- Widzisz wszystko.

Księżycowy blask rozświetlił wszystko bielą i czernią. Matka Adeline i Doktor siedzieli w łódce. Doktor już nie

wiosłował. Łódź kołysała się lekko, a woda łagodnie uderzała w jej boki. Pistolet leżał obok Doktora na ławeczce.

Doktor mówił, a Adam Nichols słyszał go wyraźnie:

- Duchy w jeziorze. Tak mówią Ojibway. Czas się z nimi spotkać. Pogańskie duchy. Opowiedz im o Mary Baker Eddy, to jest dopiero coś.

- Mam coś od Mary Baker Eddy dla ciebie. Jesteś pijakiem - powiedziała Matka Adeline. - Pani Eddy napisała, że pijak tylko myśli, że czepie radość ze swojego pijaństwa, a po prostu nie może wyzwolić się od stanu permanentnego upojenia. Wreszcie fizyczna przyjemność ustąpi miejsca rozsądkowi. A ty nie masz rozsądku. Jesteś poganinem i dzikusiem. Sam wybrałeś swoją nikczemność.

Doktor zaśmiał się.

- O, moja droga, ty masz zawsze rację. Twój radosny uśmiech spodoba się duchom z jeziora tak samo bardzo, jak mnie.

Matka Adeline przerzuciła się na tematy metafizyczne.

- Kościół Scjentologiczny naucza o duchach. Duchy nie są prawdziwymi bytami, wzięły się z tradycyjnych wierzeń, błędnych i stworzonych przez człowieka. Czyli... nie ma czegoś takiego jak duchy.

Pewnie myślisz, że duchy z jeziora nasłuchiwały. Były jak aktorzy, którzy radzili sobie nieźle na próbach, a teraz byli zdeterminowani, by dać mistrzowskie przedstawienie. Duchy z Jeziora Duchów wynurzyły się z czarnej toni. Olśniewały swoją bielą. Wydawały z siebie dźwięk podobny do śmiechu, ale nie było w nim radości, jedynie martwa głuchota, ból. Zamiast oczu miały ciemne dziury. Zamiast ust też miały ciemne dziury. Bezcielesne, straszliwe stwory odstawiały swój taniec na wodzie wokół łodzi.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała spokojnie Matka Adeline.

Wydawało się, jakby nawet nie zauważyła duchów wylaniających się z jeziora.

- Mam zamiar odebrać ci życie - odparł Doktor.

Podniósł pistolet Smith & Wesson kaliber 32.

Duchy otoczyły łódź. Ich bezcielesne ramiona poruszały się i kołysały w parodii tańca. Śpiewały jakąś pieśń, ale nie było w niej życia.

Potem zaczęły lśnić trupim, bladym światłem, które zalało łódź.

Adam Nichols już nic nie widział. Skończyła się jego widmowa podróż.

Ale zanim odszedł, usłyszał strzał. Ostry, krótki. Zawtórowało mu echo, takie, jakie niesie się zawsze, kiedy ktoś wystrzeli z pistoletu nad wodą.

Był to śmiertelny strzał.

1935

Jezioro Duchów, Michigan

Zawsze, kiedy Toby strzelał z Winchestera kalibru 22, z drzewa spadała czarna wiewiórka. Sześcioma kulami upolował sześć wiewiórek. Wystarczyło jak na jeden dobry dzień. Adama Nicholasa zaskoczył strzelecki talent Tobyego, ponieważ jego matka nie strzelała zbyt dobrze, a już na pewno nie tak dobrze, choć próbowała się tego nauczyć, by zrobić mu przyjemność. Próbowała wielu rzeczy, by spełnić jego oczekiwania, ale nigdy jej się nie udało, aż wreszcie znudziło jej się uszczęśliwianie go, a i on sam zmęczył się jej usilnymi staraniami.

Za to Toby dawał mu radość i robił to mimochodem, nie musiał się nawet wysilać. Adam Nichols pomyślał, że lubiłby

go, nawet gdyby Toby nie byłby jego synem.

Wczesnym popołudniem rozbili obóz na brzegu Jeziora Duchów. Byli głodni. Adam Nichols pokazał synowi, jak oprawić wiewiórki, jak zdjąć z nich futro i skórę, jakby zdejmowało się małą parę spodni. Toby śmiał się z tego porównania.

Jako dodatek do wiewiórek, Adam Nichols ugotował puszkę wieprzowiny z fasolą i puszkę spaghetti. Nie było to prawdziwe jedzenie obozowe, ale takie, które je się, kiedy jesteś małym, bardzo małym chłopcem. Adam Nichols powiedział Toby emu:

- Jeśli nieśliśmy to wszystko przez całą drogę, to mamy prawo to zjeść.

Toby zaśmiał się.

- Chyba nigdy nie umierałem z głodu bardziej niż teraz - oznajmił.

Do Adama Nicholasa dotarło, że naprawdę lubi tego chłopca. Kocha go.

Patrzył jak jego syn je, zastanawiając się, czy dzieciak lubi go, czy też kocha.

Czy to nie jest właśnie to pytanie? - powiedział duch Doktora. - Czyż nie jest to pytanie, które zadajesz sobie całe życie?

Adam Nichols nie był zdziwiony, że duch był tutaj z nimi. Jeśli duchy posiadają zmysł powonienia, to na pewno Doktor wyczuł, co pichcą, zawsze lubił obiadki z ogniska i nauczył Adama je przygotowywać. Choć tego nie widział, Adam mógł z łatwością wyobrazić sobie ducha Doktora, którego obraz majaczy na tle rozgrzanego przez ognisko powietrza.

Adam Nichols nie sądził, by Toby cokolwiek dostrzegł



albo usłyszał, i rozumiał to. Doktor był dziadkiem Tobyego, ale jego duch należał jedynie do Adama Nicholasa.

Adam Nichols spędził dobry dzień z Tobym.

Dlatego ojcowie mają synów, powiedział mu duch Doktora.

- I wierzysz w to? - zapytał psychiatra.

Nie mógł zdobyć się na niebezpośredniość. Wydawał się zaskoczony i wcale nie brzmiał jak katolik.

- Tak, wierzę.

- Wierzysz, że był tam duch twojego ojca i rozmawiał z tobą?

- Wierzę, że duch mojego ojca, który jest albo i nie jest w niebie, zależy od tego, czy nasz czcigodny kościół mówi nam prawdę o samobójcach, którym Doktor był albo i nie był.

Wierzę też w ducha Gilby ego Edwardsa, który pewnie jest pijany i tańczy radośnie w Krainie Wiecznych Łowów. Wierzę w duchy z Jeziora Duchów, które są wieczne i pewne jak amen w pacierzu. Wierzę w ducha martwego człowieka, z którym rozmawiałem, gdy go niosłem do bazy podczas wojny, która miała skończyć wszystkie wojny, a która niczego nie skończyła, do kurwy nędzy. Wierzę w ducha torreadora Tonio Mendozy, którego byk przebił dwukrotnie, a on sam umarł, wołając w stronę publiczności: „Pokazałem wam, że zniosę to jak mężczyzna!” Wierzę w duchy Michigan i w duchy z Kuby, w duchy Paryża, które wychodzą nocą, w duchy Serengeti, które kroczą za dnia, we wspańskie duchy Brygady Abrahama Lincolna... Viva la quince brigada! Wierzę w duchy wszystkich ludzi, którymi byłem, zanim stałem się tym złamanym człowiekiem, którym jestem teraz, tą ruiną z wątrobą twardą jak skała i kośćmi, które trzeszczą. Z kolei w głowie nie zostało już nic, jedynie pustka, nic, tylko pamięć, również zwodnicza,

nietrwała niczym poranna rosa. Wierzę w duchy z bukłaków na wino i duchy uprawianej w południe miłości, duchy biegnące u boku byka, duchy śmiechu, łowienia marlinów i picia piwa. Duchy strzelających z hukiem haubic, duchy martwych, tych, co odeszli, wierzę we wszystkie duchy. Bo jeśli nie ma duchów, to czemu są przy nas zawsze, gdziekolwiek byśmy nie poszli?

Wierzę.

Pomóż więc mojej niewierze, daj mi siłę, wierzę, wierzę.

- Módlmy się.

- Teraz kładę się do sn w me y pues y nada modłę się do duchów, do mojego ducha, chrońcie mnie i powitajcie mojego ducha w krainie duchów pues y nada y pues y nada for pues to królestwo i siła duchów, amen moje duchy, amen amen amen.

Wzdłuż otwartego suwaka namiotu Adam Nichols rozpostarł bandaż, by do środka nie wlatywały owady. Toby spał. Spał tak, jak śpią chłopcy po radośnie spędzonym dniu.

Ale Adam Nichols nie mógł zasnąć. Napił się whiskey prosto ze srebrnej flaszki. Potem wziął kolejny łyk. Księżyc był częściowo zasłonięty, więc podpalił kilka gałązek sosny, usiadł obok ognia i spojrzał na Jezioro Duchów, ale zobaczył tylko mgłę.

Duch Doktora siadł przy nim.

Adam Nichols nie musiał patrzeć, aby to wiedzieć, ale kiedy odwrócił głowę, faktycznie siedział obok niego duch Doktora.

Lubię, gdy opowiadasz chłopcu o Afryce, powiedział.

- Zabiorę go tam kiedyś - odpowiedział Adam Nichols. - Spodoba mu się tam. Nie będzie się bał. Nauczę go, jak się nie bać.

Czuję żal, że nigdy nie pojechałem do Afryki - powiedział Doktor - Przepraszam, że nigdy cię tam nie zabrałem...

Doktor, dziecko i duchy z jeziora j05

- Nauczyłeś mnie, jak polować i łowić ryby - odparł Adam Nichols. - A jak mnie nauczyłeś, zacząłem poznawać Afrykę. Odwaliłeś kawał dobrej roboty.

Adam Nichols uśmiechnął się. Podał srebrną flaszkę z whiskey duchowi swojego ojca.

- Chcesz się napić?

Chciałbym, powiedział duch, ale nie wykonał żadnego ruchu, więc Adam zabrał flaszkę.

Potem pociągnął nosem:

- Jest coś, o co chciałbym cię prosić.

Proś, odparł duch ojca.

- Muszę poznać prawdę.

Istnieje prawda, która przybywa z pierwszym blaskiem słońca, ale nie jest już prawdą w południe - powiedział duch. - Tak mówią w Afryce.

- Masaje tak mówią, tak - odrzekł Adam Nichols. - Tak jest. Ale możesz mi powiedzieć, co zdarzyło się tamtej nocy.

Rozumiem - odparł duch.

I tak Adam Nichols i duch Doktora, jego ojca, Chadbournea Nicholsa, lekarza medycyny, rozmawiali o tamtej nocy nad jeziorem, kiedy łódkę Matkę Adeline i Doktora otoczyły duchy, a potem na nich opadły i słychać było jedynie strzał z pistoletu.

Duch wyjaśnił:

Zabiła mnie. Oto, co się zdarzyło tamtej nocy.

Coś się kończy

Drugi czerwca, 1961 Ketchum, Idaho

Było jeszcze wcześniej, wstał z łóżka jako pierwszy. Piękny poranek. Bezchmurny. Świeciło słońce.

Potem przypomniał sobie, że Gary Cooper nie żyje. Cooper

był martwy już od... miesiąca?

Cooper, tak. Coop walnął w kalendarz. Cooper stał się duchem.

Podszedł do witryny z bronią. Otworzył drzwiczki. W środku był tylko jeden pistolet. Stary Smith & Wesson, kaliber 32, wyprodukowany w Springfield, Massachusetts. Broń jego dziadka.

I broń jego ojca.

Kiedy miał trzydzieści lat, Matka Adeline przysłała mu ten pistolet w dniu urodzin, razem z kartką:

Drogi synu,  
myślę, że może chciałbyś to mieć albo masz jakieś wspomnienia z tym związane.

Nie jesteś zbyt praktyczny, ufam więc, że ci się przyda.

Podpisano: Z zawsze czujną, matczyną miłością.

Nie wyciągnął pistoletu z witryny. Chwycił strzelbę, którą zakupił w Abercrombie i Fitch.

Wyszedł do hallu. Lubił sposób, w jaki rozchodziło się tutaj światło po dębowych panelach, którymi wyłożone były ściany i podłoga. Jak w muzeum albo kościele. Miejsce to było dobrze oświetlone, czyste i przestronne.

Wyszeptał modlitwę.

Ostrożnie oparł kolbę strzelby o podłogę. Pochylił się. Podwójna lufa, przyciśnięta do czoła zaraz nad brwiami, wydawała się niczym zimne pierścienie na jego skórze.

Nacisnął oba cyngle.

Przełożył Bartosz Czartoryski

WYBÓR LUCY

Jacek M. Rostocki

Jacek M. Rostocki (ur. 1965) - zawodowo copywriter, autor tekstów, scenariuszy i koncepcji reklamowych. Prywatnie autor opowiadań, wierszy, tekstów piosenek. Jako swój drukowany debiut podaje opowiadanie *Nasz Mateusz*, opublikowane w magazynie *Nowy Detektyw* w 1992 roku. Później związany z internetowymi portalami literackimi - *Fabrica Librorum* i *Forum Prozatorskie*. Udzielał się w *Łomiankowskim Klubie Literackim*, czego materialnym dowodem jest zbiór opowiadań *Serio* wydany w 2006 roku. W 2009 roku nakładem wydawnictwa *Fabryka Słów* ukazała się wspólna z Robertem Cichowlasem antologia opowiadań grozy *Sępy*. Pojedyncze opowiadania autora publikowane były również w periodykach takich jak „*Fahrenheit*”, „*SFFiH*” czy „*Grabarz Polski*”.

Prolog

Miasto jest ścierwojadem.

Nie sposób odnaleźć dokładnej, jednoznacznej analogii w naturze - sęp, hiena, kłębowisko larw czy zielonkawa pleśń - każda z tych form składa się na organizm wielkiego, miejskiego padlinożercy

Jednocześnie miasto jest trupem.

Zjada się samo, jak Uroboros...

Miasto, jak gigantyczny wąż pożerający swoje ciało, jest równie martwe, co wieczne. Obowiązują w nim wciąż te same zasady: silniejszy dominuje, zło zwycięża, trupy pokonanych natychmiast znikają. Zmieniają się witryny sklepów, konwulsje

neonów podkreślają proces gnilny. Rany ruin zablizniają się nowoczesnymi kompleksami biurowo-handlowymi i wypełniają pozornie żywą krwią infrastruktury i pracowników. Ci jak mrówki przenoszą butwiejące, skazane na zapomnienie resztki z jednej kupki na drugą i sami zdychają przy tej pracy, by natychmiast zniknąć, zdeptani podszwami następnych.

Giną dusze, ciała, historie, łzy, miłości, wieczne ondulacje, wypielegnowane paznokcie, osobiste smutki, wymarzone garnitury...

A właściwie nie giną - wciąż są wymieniane na nowe.

Zbliżenie.

Centrum. W jego kierunku wiodą szlaki, znaczone opakowaniami z fast foodów, zużytymi marzeniami, zdeptanymi aspiracjami i wykorzystanymi biletami czasowymi. Codziennie i co noc, w jedną stronę i z powrotem. W każdym kierunku - również pod ziemię i na najwyższe kondygnacje biurowców, gdzie najlepsi patrzą z góry na pulsującą materię w ostatnim i pierwszym stadium rozkładu. Władcy - w samym środku, gdzie procesy zachodzą szybciej niż na peryferiach. Chociaż sami są ścierwem, myślą, że są lepsi, bo zanim staną się pożywką dla innych, zanim zamienią się w humus, mają dostęp, mają pieniądze, mają władzę. Mogą zaspokajać swoje żądze, mogą gardzić. Mogą patrzeć z góry.

Zbliżenie.

Nawet przyglądając się uważnie, trudno oddzielić fragmenty całkowicie obumarłe od tych dopiero dotkniętych agonią, wciąż drgających w pozornych czynnościach życiowych. Miejskie parki sąsiadują z zapomnianymi podwórkami. Opuszczone biura w budynkach przeznaczonych do rozbiórki ożywiane są przeciągami, hulającymi po korytarzach, oraz nieregularnymi trzaskami zdeformowanych

okiennic. Tuż za plecami ruder w pstrokatych salonach mody trwa właśnie początek końca - wyprzedaż, karmiąca mrówki robotnice martwymi już przedmiotami zbytku.

Zło pozornie góruje, bo jest bardziej spektakularne. Ale miasto nie jest ani dobre ani złe.

Chociaż bywało teatrem ludzkiej podłości, jest również na co dzień świadkiem dobrych uczynków. Dobro i zło budują jego równowagę. Gdy tej równowagi zabraknie, miasto zniknie. Skonsumuje się, pożre do szczytu.

Jednak miasto trwa: wciąż umiera i rodzi się na nowo, balansując na cienkiej linii, stawia drobne, ślepe kroczki...

Lucyna

Zbliżenie.

Podwórko to cały świat. Śmietnik, trzepak, połamana ławka. Ściana domu z wyłupanymi oczami okien, daszek nad wejściem pokryty płatami zardzewiałej, lecz wciąż ostrej blachy, piorunochron i ułamana rynna, z której po deszczu woda tryska jak krew z rozerwanej arterii. Popękany asfalt usłany jest... wszystkim.

Dziewczynka, która skulona przycupnęła na dolnej poprzeczce trzepaka, obejmując ramionami kolana, sprawia wrażenie elementu tego krajobrazu.

Dziewczynka ma na imię Lucyna. Ma mniej więcej dwanaście lat. Jest drobnej budowy, ma szare oczy i jasne włosy, domagające się szamponu i szczotki. Jej ubiór stanowią luźne, sprane ogrodniczki, z wyhaftowanym kwiatem na klapie ponad paskiem. Całości dopełniają sandały i tiszert z napisem, schowanym pod szelkami: „2dare is 2possess”.

Lucyna.

Z uwagą przypatruje się w wyczynom chłopaka, który właśnie to miejsce wybrał sobie na plac treningowy.

Chłopak jest parkourowcem i skejterem. Trudno ocenić na czym właściwie polega jego trening, podobnie jak trudno dogonić go wzrokiem. Chłopak biega, skacze, prześlizguje się przez wybite okna, cudem unikając okaleczenia odłamkami szyb. Deskorolka, w sposób niemożliwy do zarejestrowania okiem, nagle wyrasta spod podszew jego sfatygowanych trampek, by posłużyć do błyskawicznego ślizgu po zardzewiałej poręczy i dalej, napędzana gwałtownymi, choć płynnymi ruchami całego ciała, błyskawicznie przenosi swojego właściciela w stronę trzepaka.

- Czego tu chcesz?

Wielkie oczy spojrzały z wyrzutem. Chłopak zachnął się, ale już mniej agresywnie zapytał ponownie:

- O rany! Nie lubię publiki, masz jakiś interes tutaj? Akurat tutaj?

- A co? Nie wolno sobie popatrzeć? To nie jest twoje prywatne podwórko, wiesz? - Okazało się, że ta mała potrafi się odgryźć.

- Okej. - Skejter schylił się i chwycił za taśmę przymocowaną do deskorolki. Gwałtownym szarpnięciem spowodował, że taśma wyciągnęła się, a skateboard odskoczył jak jojo. To wystarczyło, by mógł błyskawicznie przerzucić sobie deskę przez ramię. Odwrócił się na pięcie i odbiegł w stronę przejścia między garażami.

- Zaczekaj! - Lucyna zeskoczyła z trzepaka i pobiegła w ślad za swoim rozmówcą, klapiąc sandałami o spękane płyty chodnika.

Dogoniła go po drugiej stronie garaży, ale tylko dlatego, że poczekał. Siedział na ławce i poprawiał coś przy deskorolce. Wydawało się, że nie zwraca na nią uwagi, jednak gdy przysiadła obok, z niechęcią podniósł głowę.



- No? - rzucił zdawkowo.

- Co to jest?

- Co jest co? - Chłopak zmrużył oczy.

- Co to jest to, co ty robisz? - Mimo szybkiego biegu dziewczynka nie wydawała się być zmęczona.

- Poprawiam mocowanie taśmy, a co?

- Nie, chodzi mi o to, co ty trenujesz... Co to jest? Nazywa się jakoś?

- Mikspark... - Indagowany rzucił jakby z rozpędu i zaraz ugryzł się w język. - A co cię to obchodzi? Nie powinnaś być w szkole?

- Dobra, dobra. Nie musisz być niemiły, wiesz? Ja bym też chciała.

- Co byś chciała? - Młodzieniec był wyraźnie rozbawiony.

- Może lepiej kup sobie wrotki.

- Wiem, że masz ksywę Sick. Wiem, że jesteś najlepszy. I chcę być taka jak ty. - Lucyna nie poddawała się łatwo.

- Śledzisz mnie? - To było raczej stwierdzenie niż pytanie. Sick poderwał się z ławki, a deskorolka ponownie wylądowała na jego plecach. Chłopak był gotowy do odwrotu... Do ucieczki.

- I co z tego? Obawiasz się małej dziewczynki? - Lucyna spojrzała na niego niewinnie z figlarnymi błyskami w oczach. - Daj spokój! Usiądź na chwilę...

Sick z ociąganiem wrócił do ławki. Deska trafiła z powrotem pod jego stopy i poruszana gniewnymi pchnięciami wyznaczała nerwowy rytm. Ich konwersacja trwała kilka minut. W końcu Sick skwitował:

- W porządku. Więc jutro tutaj, o pierwszej.

-Ale...

- Bez ale. I weź lepsze buty. - Chłopak wysunął z pogardą brodę, wskazując jej sandały.

- No dobrze... - Panienska spuściła głowę, niby przygnębiona, jednak gdyby spojrzeć jej prosto w oczy, dostrzegłoby się triumfalną satysfakcję.

- A jak ty masz właściwie na imię?

- Lucyna. - Dziewczynka jakby się zawstydziała i szybko dodała. - Ale wołają na mnie Lucy.

- Okej, Lucy, zatem do jutra.

I zniknął.

Nie istnieje coś takiego jak mikspark. Jest parkour, ale polega na przemieszczaniu się za pomocą siły własnych mięśni. Biegając, podciągając się, skacząc - parkourowcy potrafią dokonywać akrobatycznych cudów, wciąż pędząc przed siebie, wciąż pokonując przeszkody. Jednak nie używają do tego celu żadnych dodatkowych urządzeń. Sick połączył to ze spektakularnym, wręcz nadprzyrodzonym talentem skejtera. I oczywiście - deskorolkarstwo to też nic nowego, jednak nikt do tej pory nie stworzył takiego koktajlu. Nawet bardzo uważny obserwator nie zawsze był w stanie dostrzec moment, w którym deska z pleców Sieka trafiała pod jego stopy i kiedy wracała z powrotem. Ruchy chłopaka były płynne, pewne i celowe - w jednym momencie biegł, w następnym już jechał. Za chwilę wspinał się po rusztowaniu, by zaraz zjeżdżać po krawędzi gzymsu, czy stalowej poręczy schodów.

Tyle tylko, że nikt go nie obserwował. To była jedna z umiejętności Sieka: pozostawać niewidzialnym. Chłopak obawiał się, że kiedy ktoś zwróci na niego uwagę, jego niezależność pryśnie jak mydlana bańka. A obecność Sieka w tym mieście, w tym miejscu, w tym życiu, była ściśle związana z niezależnością. Wiedział, że chwila, w której ktoś się nim zainteresuje, będzie początkiem końca. Dlatego obawiał się

Tyle tylko, że nikt go nie obserwował. To była jedna z umiejętności Sieka: pozostawać niewidzialnym. Chłopak obawiał się, że kiedy ktoś zwróci na niego uwagę, jego niezależność pryśnie jak mydlana bańka. A obecność Sieka w tym mieście, w tym miejscu, w tym życiu, była ściśle związana z niezależnością. Wiedział, że chwila, w której ktoś się nim zainteresuje, będzie początkiem końca. Dlatego obawiał się

małej Lucynki i dlatego wcale nie zamierzał następnego dnia pojawić się na spotkaniu.

Był zły na siebie, że stracił czujność, że dopuścił do tego, by ktoś go podpatrywał, naruszał jego prywatność. Z drugiej strony, ta mała go zafascynowała. Miał wrażenie, że doskonale go zna, ale jednocześnie wydawało mu się, że on też zna ją od dawna. To było nowe doznanie. Uprawiając swój mikspark, Sick ślizgał się po powierzchni, starając się zminimalizować kontakt z materia, wykorzystując elementy miejskiej architektury wyłącznie do oparcia, wybicia, podciągnięcia. I tak samo w życiu - chłopak nie dopuszczał do bliższego kontaktu.

Z nikim.

Znał ludzi zbyt dobrze, i chciał mieć z nimi jak najmniej do czynienia.

Dopóki był w ruchu, dopóki muskał rzeczy, omijał przeszkody, dopóki był wystarczająco szybki...

Był nikim i bardzo mu to odpowiadało. Wiedział, że tak jest lepiej. Uważał, że równowaga to stan istniejący, którego nie można stworzyć, a jedynie odnaleźć, a każda próba jego ustalenia skończy się prędzej czy później zgubieniem balansu na długo, a być może na zawsze.

Miasto jest ścierwojadem żerującym na własnym trupie. W mieście znajdziesz dobro i zło. W mieście znajdziesz równowagę. Im bardziej

miasto umiera, tym lepiej się żywi. Im więcej w nim zła, tym dobro jest bardziej zdeterminowane...

Sick biegł między ludźmi, jakby byli tyczkami slalomu. Uwielbiał to ćwiczenie i traktował jak metaforę - sztuką było przemieszczać się jak najszybciej, pokonywać przestrzeń, a jednocześnie nie dotykać nikogo, z nikim nie mieć kontaktu.

Ludzie, których mijał, właściwie go nie zauważali, mieli

tylko wrażenie jakiegoś szybkiego ruchu gdzieś w pobliżu, jakiegoś zawirowania...

Zdażył już dojść do siebie po wczorajszej przygodzie z Lucy Wciąż odczuwał niepokój na wspomnienie szczerego spojrzenia, autentycznego zainteresowania, jej próby przebicia się przez ochronny pancerz. Miał do siebie żal o chwilę słabości, o to, że wdał się z nią w rozmowę. Właściwie monolog, ale... Było, minęło. Teraz wystarczy na jakiś czas zmienić zwyczaje, przenieść się do innej części miasta, unikać szarych oczu...

To mogło mieć sens - nowe tereny, wyzwania. Może to był sygnał alarmowy, przestrzegający przed rutyną, może to wszystko jeszcze wyjdzie mu na dobre?

Nagle zatrzymał się.

Stanął, jakby ktoś wcisnął nagle: „pause”. Czuł skupione na sobie spojrzenie. Stał się zwierzęciem, na które zarzucono sieć, muchą, uwięzioną w stygnącej żywicy...

Dziewczynka siedziała na barierce schodów przy wejściu do metra. Nie wykonała żadnego ruchu, gestu. Spokojnie siedziała i patrzyła na niego.

Uciekaj Sick! - pomyślał i noga za nogą, niechętnie ruszył w jej kierunku.

Trening

- Po prostu potraktuj to jako pierwszą lekcję.

- Tak, mój mistrzu! - odparła słodko, patrząc mu prosto w oczy, w taki sposób, że nie wiedział czy z niego żartuje, czy jest poważna.

- Tak. Nic nie jest tym, na co wygląda. Do niczego i nikogo nie możesz mieć zaufania. Twoje myśli muszą być jednocześnie w trzech miejscach.

- Jasne! - I znowu to spojrzenie. Robi sobie jaja! Sick zaczął się wewnątrz gotować.

- Nie przeginaj. Chodź!

Złapał dziewczynkę za rękę, pociągnął za sobą i przeskakując po dwa stopnie, zbiegł na stację. Wbrew oczekiwaniu, Lucyna nie stawiała żadnego oporu. Doskonale dostosowała się do rytmu, znakomicie naśladowała wężowe ruchy swojego przewodnika, prześlizgując się pomiędzy marionetkami, zmierzającymi w kierunku wyjścia.

Kiedy dobiegli do bramek, Sick, nie puszczając swojej uczennicy, przeskoczył przez rząd zapór oczekując szarpnięcia, a może nawet uwolnienia od niechcianego balastu. Tymczasem nic podobnego nie nastąpiło. Kiedy odwrócił się, Lucyna wciąż tam była. Skupiona, gotowa do dalszego wysiłku.

- Możesz mnie puścić?

- Co? - zdziwił się chłopak.

- Czy możesz mnie puścić? Bo chyba dam radę za tobą nadażyć, jeśli nie będziesz używał deski...

Sick był zaskoczony, ale i rozbawiony. Wiedział, że nikt nie jest w stanie mu dorównać, chociaż nie chełpił się tym. To zwyczajnie był fakt.

A teraz ktoś rzucał mu wyzwanie, jednocześnie dając furtkę do łatwego zwycięstwa i uwolnienia się od kłopotu.

-Nie.

- Co nie? Nie możesz mnie puścić?

- Nie, nie dzisiaj! - odparł, przekrzykując gwizd składu, wpadającego na peron.

- Dlaczego?

Sick wzruszył ramionami i pociągnął dziewczynkę na koniec peronu.

Miał swój plan i nie interesowały go łatwe wygrane. Chciał pozbyć się problemu raz na zawsze.

Kiedy pociąg ruszył i skupił na sobie uwagę dyżurnych

obserwujących peron, nietypowa para zeskokczyła na tory i pobięła w przeciwnym kierunku.

Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Chłopak liczył, że uda mu się wystraszyć i zniechęcić Lucy tak, że zostawi go w spokoju. Dlatego pobięli po betonowym obrzeżu toru w stronę poprzedniej stacji.

Jedną z niepowtarzalnych cech Sieka była jego idealna synchronizacja z miastem. Ten chłopak nie czekał na zmianę światła - one się zmieniały, kiedy biegał. Nie musiał patrzeć na rozkład jazdy tramwajów - wiedział, kiedy wjadą czy wyjadą z przystanku. Niezależnie od pory roku znał moment, w którym rozjarzą się miejskie latarnie, tak jakby to on naciskał włącznik.

Wiedział więc, kiedy pojawi się następny skład metra. Właściwie mogło się wydawać, że ma to wyliczone, ale jego związek z miastem nie wymagał kalkulacji. Najpierw poczuli ruch powietrza, potem dało się słyszeć świst nadjeżdżającego pociągu. Kiedy zza łuku tunelu wychyły światła, wydawało się, że elektrowóz jest tuż, tuż. Sick wyskoczył na środek torów, wciąż nie wypuszczając dłoni Lucyny. Wolną rękę uniół do góry, zaciskając pięść, i - jak to często robił wcześniej - wydał z siebie dziki ryk, wiedząc, że maszyna zaraz odpowie mu tym samym. Tym razem do wtóru zabrzmiał znacznie słabszy, choć jednak słyszalny dziewczęcy pisk. Sick szarpnął Lucynę i skoczył w bok, prosto w otwartą szczelinę wyjścia ewakuacyjnego. Dalej, nie zatrzymując się, pognął do góry po metalowych stopniach, ciągnąc dziewczynkę za sobą. Po pięciu nawrotach schodów znaleźli się w zaśmieconym betonowym szybie, z którego ukośna pochylnia prowadziła do podziemnego parkingu biurowca. Chłopak przysiadł na krawędzi rampy i wreszcie puścił swoją podopieczną.

- Wow! - Lucyna powinna być przerażona, jednak jej oczy

śmiały się figlarnie. - Wow, wow! To było coś! Wiedziałeś, że tam jest wyjście, prawda?

- Taa... - Sick był zrezygnowany. Wpatrywał się w koszulkę dziewczyny, na której napis uśmiechał się hasłem: „run4fun”. Poza tym dopiero teraz zauważył, że Lucy dobrze się przygotowała. Miała używane, wyglądające na wygodne, buty sportowe, a zamiast ogrodniczek założyła czarne legginsy. Włosy upięła w wysoką kitkę, zaś jej dłonie chroniły skórzane półrękawiczki bez palców..

- Ty się nie odczepisz, prawda?

- Dlaczego? - Dziewczynka zrobiła okrągłe oczy. - Przecież jest super! Możemy tak jeszcze raz zrobić? Wiesz, takie krzyczenie na pociąg...

- Zamknij się i słuchaj! Nigdy nie będziesz taka jak ja, nigdy nie zrozumiesz się z miastem i nigdy go nie zrozumiesz, jeśli będziesz tyle gadała. Samo bieganie czy jeżdżenie na desce to nic...

Lucyna nabrała powietrza, żeby coś wtrącić, ale Sick zmierzył ją takim wzrokiem, że natychmiast ściągnęła usta i wykonała dłonią ruch, udający zasuwanie zamka.

Sick z aprobatą pokiwał głową i kontynuował:

- Nie możesz mówić, musisz słuchać. Nie masz patrzeć, masz widzieć. Przede wszystkim jednak musisz być obiektywna. Ulice, gzymsy,

drzewa ani cię lubią, ani nie lubią. Jesteś im obojętna. Tak samo masz reagować na miasto. Nie możesz go nienawidzić, ani kochać. Masz być obojętna. Zrozum miasto, naucz się go, okaż szacunek, ono odpowie ci tym samym.

- A ludzie? - Nie wytrzymała dziewczynka.

- Co z nimi? - zdziwił się Sick.

- No... też są obojętni? Znaczący powinni być? Miałam na

myśli, jak ja mam...

- Ludzi traktuj jak przeszkody. Z tą różnicą, że normalnie na przeszkody możesz się wspinać. Ludzi masz omijać.

- No, ale ciebie lubię, wiesz? - Lucy uśmiechnęła się do chłopaka, robiąc śmieszoną minkę.

- Ja... - zawahał się Sick. - Ja będę twoją największą przeszkodą.

Sick nie zaprzętał sobie głowy myślą, że Lucyna jest dzieckiem.

Mało go obchodziło, dlaczego całymi dniami prowadzi się z nim, zamiast zająć się tym, co normalnie robią dziewczynki, na przykład chodzeniem do szkoły. W końcu sam nie chciał, żeby ktoś się interesował jego życiem.

Owszem, zewnątrznie Lucy wyglądała jak uczennica podstawówki, lecz kiedy biegła, wspinała się i skakała, przypominała raczej drapieżnego kota. Kiedy się z nią rozmawiało, człowiek czasem tracił grunt pod nogami. Za to jej samej nie dawało się zbić z pantałyku.

- Wierzysz w Boga?

Sick przerwał wysypywanie piasku z buta.

- Jakiego znowu boga?

- No wiesz, tego co ma brodę, do którego mówi się „ojcze nasz...” Tego, co mieszka w kościele.

-Nie.

- A w Jezusa?

- Nie masz w trampkach kamieni? Sprawdź lepiej, bo potem nie będziemy się zatrzymywać.

- Wierzysz w Jezusa?

- O Jezu! Coś się nagle taka religijna zrobiła? Co?

- Tak tylko... pytam.

- Dlaczego?



- Dla niczego. Ja wierzę w dobro i zło.
- O! I tak trzymaj.

Skateboard Sieka był zbudowany nietypowo. Chłopak skonstruował go sam i wciąż udoskonalał. Oprócz dwóch zwykłych, chociaż dosyć szerokich wózków, umocowanych do deski wykonanej z poliwęglanu, z przodu miał zamontowaną samozwijającą szpulkę, normalnie służącą jako element pasów bezpieczeństwa w samochodzie. Fragment pasa służył jako taśma do noszenia deskorolki - przeciągnięty przez całą jej długość, umocowany był z tyłu. Wystarczyło chwycić za pas i wykonać ruch, jakby strzepnięcie, by pokonując siłę sprężyny taśma rozwinęła się i żeby można było deskę, podobnie jak torbę, przerzucić przez ramię i plecy. Sick był bardzo dumny swojego wynalazku i chociaż deska na plecach nieco utrudniała prześlizgiwanie się przez wąskie otwory, możliwość wykorzystania jej do szybkiego przemieszczania w pełni rekompensowała tę niedogodność.

Nauka Lucyny obejmowała jednak wyłącznie parkour. Sick obiecał dziewczynce, że na deskę również przyjdzie czas, i że będzie pierwszą osobą, która się o tym dowie.

Póki co biegali, skakali, czołgał: się i uczyli miasta.

Na to ostatnie zresztą profesor Sick kładł szczególny nacisk.

Pokazywał dziewczynce, jakie są metody określania pory dnia tylko za pomocą obserwacji. Nauczył ją dostrzegać zwiastuny. Przekonała się, że wszystko, co dzieje się w mieście, jest częścią nieprzerwanego procesu; że obserwując to, co się

dzieje w danej chwili, można przewidzieć, co zdarzy się w następnej.

Potem zaś powiedział jj, że powinna o tym wszystkim zapomnieć. Że musi zepchnąć zdobytą wiedzę do głębszych obszarów, aż poza granice świadomości. Że ma *ć*, a nie patrzeć; wiedzieć, a nie dowiadywać się. Że musi korzystać naraz ze wszystkich zmysłów i swojej wiedzy - oraz że to, skąd wie, n<sup>e</sup> jest tak istotne, jak to, co wie. A najbardziej istotne jest, jak może to <sup>e</sup>korzystać dla..

- Sick, a po co my właściwie to robimy?

- No jak to? Przecież chciałaś Przyszłaś do mnie, przyssałaś się jak pijawka i powiedziałaś, i że mam cię uczyć. To cię uczę. Co to znowu za pytanie?

- Nie... Pytam o to, po co biegamy?

Chłopak zrozumiał,.; że pytanie Lucy jest znacznie głębsze, niż mu się wydawało. To było właściwie pytanie o sens życia.

- Nie wiem, po co ty biegasz... Mówiłaś, że chcesz być taka jak ja, ale to nie moja sprawa. Ja...

-No?

- Ja nie wiem. Po prostu biegam, żeby nie stać.

- I to wszystko? Co jest złego w staniu?

- Chcesz się kłócić?

- Pytam serio! Nie mówię, że stanie jest okej! Znaczy, wolę się nie zatrzymywać, ale zastanawiam się, jaki to ma sens.

- A nie będziesz się śmiała? - chłopak zawahał się.

- To zależy, wiesz, jak będzie...

- Myślę, że w ten sposób jestem nieśmiertelny. - Sick wyrzucił z siebie to wyznanie i zamilkł, jak wyłączone radio.

Lucy też na moment zastygła, wlepiając oczy w swojego rozmówcę. Jednak z natury nie była skłonna do milczenia, jeśli

coś ją intrygowało.

- Jak to?

Chłopak nagle się odblokował - na profetyczną modłę wlepił spojrzenie w nieistniejący punkt w przestrzeni i mówiąc jakby do siebie, wyjaśnił:

- Kiedy biegniesz, nie dotykasz nikogo, biegniesz dokąd chcesz, jesteś wolny... wolna. Nikt nie dotka ciebie. Nic nie dotyka ciebie, bo nie może. Zależysz tylko od siebie, nic nie zmieniasz, nic nie bierzesz, nic nie dajesz. Jesteś. Zawsze będziesz... Jak to miasto.

- Czyli... Właściwie nie ma jakiegoś większego celu? Po prostu robimy to dla siebie?

Sick spojrzał na dziewczynkę, jakby dopiero teraz ją zauważył.

- Nie ma większego celu? A może być jakiś większy?

- To dlaczego uczysz mnie tego wszystkiego, dlaczego mi pomagasz? Przecież... No wiesz, to, o czym mówiłeś, to jakby... egoizm?

- Bo się przykleiłaś jak zużyty plaster do buta... Egoizm jest w porządku.

-Tak? No a... A...

- Jezu! Co?

- A my jesteśmy właściwie dobrzy?

- W tym co robimy? Ja tak, a ty się uczysz...

- Nie! W ogóle, jesteśmy dobrzy, czy źli?

Sick złapał dziewczynkę za ramiona, trzymając ją na wyciągnięcie wyprostowanych rąk. Spojrzał w jej szare oczy, a ona ujrzała otchłań.

Świat się przeniecował. Sick na moment stał się kimś innym, Lucy poczuła, że jej nauczyciel ma ogromną moc, że jest jak ocean za wążką szybą oceanarium, jak wulkan za barierką

ogradzającą krater...

Niczego innego nie oczekiwała.

- Obyś nigdy nie musiała decydować, Lucy - wyszeptał.

Zmiana planów

Kierowca autobusu zerknął w lewe lusterko i wrzucił migacz. Zasadniczo nie przejmował się próbującymi go wyprzedzić pojazdami, bo po pierwsze: większość z nich była mniejsza; po drugie uważał, że jako przedstawiciel transportu miejskiego ma moralne prawo do pierwszeństwa w każdej sytuacji. Dla porządku zerknął jednak w lusterko i zdziwił się, kiedy zobaczył w nim twarz chłopaka. Młodzieniec wpatrywał się w niego ze skupieniem. Miał zaciśnięte usta i lekko zmrużone oczy, jednak w spokojnej minie trudno byłoby odnaleźć jakieś emocje. To trwało ułamki sekund. Zadziałał odruch - widząc odbicie twarzy, wypełniające praktycznie całe lusterko, mężczyzna odwrócił się przez ramię, nie zastanawiając się nad tym, że chłopak musiałby wisieć na wozie, by móc się pojawić w polu jego widzenia. Jednocześnie, podążając za spojrzeniem, kierowca szarpnął machinalnie kierownicą w lewo. Gdyby w lusterku widział ulicę, a nie tę twarz, na pewno - pomimo swojego stosunku do prawa pierwszeństwa - powstrzymałby na moment manewr, aby przepuścić rozpedzonego motocyklistę.

Faster kątem oka zauważył, że w pizzerii właśnie zwalnia się stolik.

- Zdażę! - pomyślał, dodał gazu zdecydowanym ruchem nadgarstka i skoczył do przodu, by wyrobić się na zielonym i zawrócić, zanim ktoś zajmie mu miejscówkę. Nagle na jego drodze, jak ściana, wyrósł bok miejskiego autobusu. Było zbyt późno, żeby hamować. Faster odbił kierownicą w lewo i wypadł na przeciwległy pas ruchu. Wprost na pędzący sportowy

samochód o drapieżnym kształcie. Motocyklista nie miał czasu na wybieranie opcji, desperacko wyprostował się, podrywając kierownicę i przednie koło, jakby chciał razem ze swym rumakiem wziąć przeszkodę. To się właściwie udało. Motocykl przejechał po płaskim aucie i wzleciał w powietrze, jak startujący odrzutowiec. Gdyby dalej pas był wolny, być może wyszłaby z tego najbardziej spektakularna, improwizowana scena kaskaderska w historii. Jednak za przeskoczonym samochodem jechała furgonetka.

Zbliżenie.

Motocykl z potwornym impetem wbija się w kabinę furgonu na wysokości miejsca dla pasażera. Na szczęście nikt tam nie siedzi. Pozbawiona przyczepności maszyna, wyjąc przeraźliwie, wybija szybę i rwie blachy. Motocyklista trafia nieosłoniętą szyją prosto w krawędź dachu, a jego głowa, oddzielona od tułowia, niczym piłka wykopana przez bramkarza, szybuje w kierunku pobliskiej pizzerii, ciągnąc za sobą krwisty pióropusz.

Kto wie, co się widzi tuż przed śmiercią? Specjaliści od fizjologii, czy anatomii powiedzieliby, że nic, tylko niby w jaki sposób mieliby to sprawdzić?... Głowa Fastera leżała pod stolikiem, a wokół zbierał się łaknący sensacji tłum. Ale tego akurat głowa Fastera nie widziała. Widok zasłaniał kucający przed nią chłopak w luźnych spodniach i pozbawionym rękawów tiszercie.

Sick wyciągnął ręce i podniósł przyciemnianą pleksiglasową przyłbicę kasku. Zajrzał głęboko w oczy Fastera.

Całe zajście, od momentu, gdy Faster dostrzegł wolne miejsce w restauracji do jego ostatniego tchnienia, trwało niespełna osiem sekund. Świadkowie wspominali później, że na miejscu pierwszy był jakiś skejter, ale nikt nie zapamiętał, jak

wyglądał.

Lucy nie przyszła. Tak jak nieoczekiwanie pojawiła się za pierwszym razem, tak teraz nieoczekiwanie zniknęła. Sickowi trudno było się z tym pogodzić. Traktował to jako swoistą zdradę, choć w głębi duszy wciąż oczekiwał, że przyjdzie. Że znów będzie ją uczył, że znowu będą biegali... Rozmawiali.

Wbrew wcześniejszym obawom Lucy właściwie nie stanowiła problemu. Wręcz odwrotnie, spowodowała, że Sick starał się jeszcze bardziej. Zawsze się starał, zawsze dawał z siebie sto procent, ale przy Lucy starał się uzyskać wręcz sto pięćdziesiąt. Na wzór, na dowód, dla ambicji.

A teraz nie mógł się ogarnąć, nie potrafił się skupić. Wszędzie wypatrywał swojej małej przyjaciółki i zwyczajnie, chociaż sam sobie się do tego nie przyznawał - martwił się.

Zgodnie z filozofią Sieka, jego świat i świat zewnętrzny stanowiły odrębne terytoria, przecinające się jedynie w punktach, które służyły

chłopakowi do oparcia, podciągnięcia, czy wybicia. Jednak mieściły się przecież w jednej rzeczywistości. Sick był pilnym obserwatorem, więc dostrzegał nie tylko pulsowanie miasta, ale również szczegóły.

W ten sposób znalazł Lucy. Przez szybę, na ekranie monitora w wagonie metra, wypatrzył znajomą twarz z bijącym po oczach tytułem w formie pytania: „Kim jest ta dziewczynka?” Nie zastanawiając się, wskoczył do wagonu, chociaż normalnie trzymał się z daleka od ścisku, od miejsc, z których nie mógł uciec, kiedy by zechciał. Przejazd do następnej stacji wystarczył, by komunikat powtórzył się trzykrotnie. Policja szukała rodziny lub osób, potrafiących rozpoznać dziewczynkę, którą dwa dni wcześniej znaleziono bestialsko pobita.

Ofiara przebywała aktualnie w Szpitalu Dobra Pańskiego. Sick wystrzelił z wagonu jak kula armatnia.

Od chwili, gdy trafiła na oddział intensywnej opieki, mała nie odezwała się ani słowem. Charakter jej obrażeń dobitnie mówił o tym, co spotkało to dziecko. Policjanci, zajmujący się sprawą, za punkt honoru postawili sobie dopadnięcie potwora, który potrafił tak skrzywdzić niewinne dziecko. Intensywne dochodzenie trwało równoległe z poszukiwaniami bliskich ofiary.

Dlatego, kiedy Sick zapytał na izbie przyjęć, gdzie może zobaczyć dziewczynkę, natychmiast skierowano go, pod eskortą ochroniarza, na OIOM.

I tu zaczęły się problemy. Chłopak nie miał żadnego dokumentu, potwierdzającego tożsamość. Nie chciał też odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Chciał tylko zobaczyć ofiarę.

- Jesteś jej bratem?

-Nie.

- A kim?

- Nikim. Mogę ją zobaczyć?

- Najpierw musimy ustalić, kim dla niej jesteś.

Kim dla niej był? Nauczycielem? Przyjacielem? Sam nie potrafił tego stwierdzić, a myśl, że miałby to komuś wyjaśnić, zmroziła go. Nie mniej zresztą, jak szpitalna atmosfera. Sterylność tego miejsca i jego totalne odhumanizowanie przyprawiły go o dreszcze. Cisza, wzmacniana skrzypem gumowych podeszew na wykładzinie, natarczywe, pozbawione barwy światło i zapach aseptyków spowodowały, że Sick chciał uciekać.

- No? - Lekarz o surowej twarzy i zmęczonych oczach nie dawał za wygraną.

- Ja nawet nie wiem, czy to jest ona... Mogę ją zobaczyć?

Szli korytarzem w kierunku pokoju lekarzy. Poszczególne sale wyposażone były w panoramiczne okna, umożliwiające obserwację pacjentów.

- Najpierw zostawisz mi swoje dane i podpiszesz się pod tym. Mamy swoje procedury.

Nie przestając mówić, lekarz szedł dalej, tymczasem Sick stanął jak wmurowany. Poczul to. W sali, obok której przechodzili, była Lucy. Wolno odwrócił się w stronę szyby i dostrzegł drobną twarz, dosłownie tonącą w poduszce. Niezwykle skomplikowane łóżko oplątane było siecią rurek i przewodów, co kojarzyło się raczej z jakimś futurystycznym eksperymentem niż ratowaniem życia.

Lucy miała otwarte oczy. Z tej odległości i przez szybę nie dałoby się określić szczegółów, ale Sick wiedział, że są szare. Ich spojrzenia się spotkały.

To, co stało się w następnym momencie, powinno zaskoczyć chłopaka, jednak nawet jeśli tak było, nie dał po sobie nic poznać.

W jednej chwili, wiedział, co się wydarzyło. W tym jednym momencie był jednocześnie świadkiem i ofiarą. Wiedział, co przeżyła Lucy, wiedział, kto jest sprawcą. Oczywiście nie personalnie, nie znał nazwisk, ale zobaczył tych ludzi i wiedział, że rozpozna ich zawsze.

To był zastrzyk świadomości, a zadziałał jak mentalny cios podbródkowy. Paradoksalnie jednak, Sick natychmiast odzyskał równowagę, pewność. Wiedział, co musi teraz zrobić.

Odwrócił się na pięcie i wyrwał w stronę klatki schodowej.

Cały incydent trwał sekundy, tak, że lekarz niczego nie zauważył. Kiedy odwrócił się i zobaczył swojego świadka, biegnącego do wyjścia, natychmiast chciał podnieść alarm, ale



w tym samym momencie z pokoju małej pacjentki dobiegł pulsujący dźwięk, oznajmiający zapaść. Korytarz ożył, w stronę drzwi izolatki rzuciło się naraz kilka osób. To było teraz ważniejsze.

Nieuniknione

O tej porze garaż był pusty i o to właśnie chodziło.

Markus nonszalancko podszedł do swojego samochodu. Lśniący czarny SUV, hojnie przyozdobiony chromem, nie tylko był jego dumą,

wręcz definiował mężczyznę. Był równie doskonały jak jego właściciel. Na tyle elastyczny, by przystosować się do każdej sytuacji i jednocześnie na tyle twardy, by nigdy nie ulec. Dopracowany w każdym detalu, był wyjątkowo ładny. Przynajmniej dla Markusa.

To, co mężczyzna zamierzał teraz zrobić, stanowiło jego codzienny rytuał, zastępujący lunch, a podkreślający szczególny związek, jaki łączył człowieka i tę fantastyczną maszynę.

Nad masywną osłoną chłodnicy Markus kazał zamontować figurkę szybującego anioła. Nie chciał cherubinów, dzikich zwierząt, naprężonych seksownych kobiet - chciał anioła i miał anioła. Wykonanego na indywidualne zamówienie, według specjalnego projektu.

Wgłębienie pomiędzy skrzydłami a korpusem idealnie pasowało do ludzkiego nosa, zaś całość połączona była kanalikami z malutką miseczką, umiejscowioną u podstawy rzeźby.

Miseczkę wystarczyło wypełnić odpowiednią ilością proszku, wygodnie ułożyć policzki na skrzydłach anioła i mocno wciągnąć powietrze nosem, by samemu doznać uskrzydlenia. Proszek, rozpylony w powietrzu, trafiał do nozdrzy, by po kilkunastu sekundach dać potężnego kopa. Oczywiście pod

warunkiem, że towar był dobry.

Z tym Markus nie miał problemów

Zgodnie z rytuałem, mężczyzna rozejrzał się na wszystkie strony, by upewnić się, że nikt go nie obserwuje. Z przemyślnie ukrytej w marynarce kieszonki wyciągnął fiolkę z odmierzoną porcją narkotyku. W skupieniu wysypał zawartość na miseczkę i ponownie zlustrował otoczenie. W końcu skłonił się nad maską samochodu, układając twarz na figurce, i mocno pociągnął nosem. Pomijając aspekt oddawania czci maszynie, gimnastyka Markusa dla osoby postronnej musiała wyglądać stosunkowo naturalnie. Tak jakby chciał się z bliska przyjrzeć masce samochodu...

Jak zwykle świst wciąganego powietrza przeszedł w szum błyskawicznie przyśpieszającego tętna. Mężczyzna wyprostował się i zakręcił kilka razy wokół własnej osi, w autorskiej wersji miejskiego tańca triumfu.

Oczy zaszły mu łzami. Fala gorąca popłynęła z okolic lędźwi w górę tułowia. Odchylił głowę do tyłu, by jeszcze bardziej rozciągnąć ciało.

Wtedy poczuł na sobie czyjś wzrok.

Gwałtownie otworzył oczy i zobaczył przed sobą chłopaka w szarym tiszercie, przeciętym parcianą taśmą, prawdopodobnie podtrzymującą

tanią torbę. Intruz wpatrywał się w niego intensywnie, jednak z jego twarzy nie dało się wyczytać emocji. Po prostu stał i patrzył.

Przyszedł kop. Jak zwykle na haju Markus poczuł przyływ boskiej pewności siebie. Kciukiem i palcem wskazującym zacisnął nozdrza i siąknął nosem. Zmrużył oczy i warknął do chłopaka:

- Co tu, kurwa, kombinujesz? To teren firmy. Albo masz

pierdoloną przepustkę, albo masz przejebane!

Młodzieniec jakby nie usłyszał. Wpatrywał się w Markusa bez słowa, aż tamtemu zrobiło się nieswojo.

- Słuchaj - spróbował znowu, ale głos uwiązał mu w gardle, kiedy ten cudak, ni z tego ni z owego, dmuchnął w jego kierunku.

To była jakaś abstrakcja! Coś zupełnie absurdalnego!

Chłopak wydał policzki, a potem dmuchnął, wydając przy tym dźwięk jak nadepnięta purchawka.

- Puuuch...

Markusa otoczył biały tuman. Wyglądał jak piekarczyk, na którego właśnie wysypał się worek mąki. To, co zaszło, wydawało się technicznie niemożliwe, bo stojący naprzeciw nastolatek wydał z siebie tylko: pffff. Skąd zatem cała ta chmura?

Markus, kierowany intuicją, starał się nie złapać powietrza. Wstrzymał oddech i rzucił się biegiem do wyjścia z garażu.

Chłopak nie poruszył się, za to aureola z proszku podążyła za uciekinierem jak przyrośnięta.

Nawet bez ruchu Markusowi ciężko byłoby wytrzymać nieoddychając, tym bardziej, że działka, którą chwilą sobie zaaplikował, zwiększyła tętno i wymusiła przyspieszony oddech. A co dopiero w biegu... Kiedy więc oddalił się na kilkanaście kroków, nie zdając sobie sprawy, że biały obłok wciąż go otula, zwolnił i głęboko odetchnął.

To wystarczyło. Mężczyzna poczuł...

Poczuł się dziwnie. Jakby doznał nagle tysiąca hajów, jakby wchłonął narkotyk każdym porem ciała, każdym otworem. Zaraz potem zrozumiał, jak musi czuć się człowiek, który po zanurkowaniu pod wodę wynurza się w środku plamy płonącej ropy.

Było gorąco i jasno. I brakowało mu powietrza.

Był jak wahadło, odmierzające czas wszystkiego - poruszał się od końca do końca, a ruch mógł równie dobrze trwać ułamek sekundy, jak

i całe życie. Doznawał przygnębienia i euforii, czuł miłość i nienawiść. W jednej chwili kochał i chciał mordować. Płakał i śmiał się.

Chciał wrzeszczeć, lecz z jego gardła wydobył się jedynie obrzydliwy skrzek. W uszach wzrastał szum, jednak nie taki, jak po wzięciu działki.

Ten przypominał wodospad, słyszany przez cienką blachę beczki, w której właśnie leci się w przepaść.

Markus czuł ciśnienie, czuł, jak żyły rozpychają się w jego ciele, jak tętnice pulsują w przerażającym rytmie jego serca, pompy, która pracowała coraz szybciej.

Oczy wydawały się stroboskopami, miał wrażenie, że garaż zamienił się w dyskotekę, że wszystko błyska i opakuje w rytmie opętanej muzyki, pochodzącej z jego wnętrza.

Potrzebował więcej powietrza, oddechu. Potrzebował tlenu.

Ale jego płuca już nie działały.

Sparaliżowany kokainą układ nerwowy nie potrafił zarządzać organizmem.

Wszystko się rozsypało, a serce nie chciało zaprzestać pompowania.

Markus padł na kolana, wstrząsany spazmami.

Kiedy, wciąż próbując skupić wzrok, dostrzegł przed sobą brudne trampki, ostatnim wysiłkiem uniósł głowę, by spojrzeć na swojego oprawcę. Chłopak wpatrywał się w niego z ^interesowanym skupieniem. Jakby na coś czekał.

Wtedy Markusowi pękły oczy.

Podobnie jak tysiące ciałek krwionośnych w całym ciele.

Organizm zafundował sobie coupe de grace,- Mężczyzna jednocześnie zsiniał i skonał.

Od momentu, kiedy Markus zaciągnął się narkotykiem, do chwili, gdy pękły mu oczy, minęły trzydzieści trzy sekundy. Równie dobrze mogły to być trzydzieści trzy lata, albo trzydzieści trzy życia. Piekło narkotykowe jest pojemne i beczasowe. Większość straconych tam nieszczęśników przechodzi tę samą drogę. Jedi chód i jednak o prędkość, Markus pobił wszelkie rekordy.

Oddalenie.

Kiedy spirala betonowego podjazdu odlała się jednostajnie, wydaje się kręcić wokół własnej osi, chociaż jest nieruchoma.

Porusza się jedynie

zjeżdżający na desce chłopak, coraz bardziej odległy i wciąż przyspieszający. Można odnieść wrażenie, że wciąga go wir.

Wylany z gładkiego betonu, skrecony spiralnie jak gigantyczny amonit wyjazd z garażu nadawał się do treningu skejterów nie bardziej niż ośła łączka dla narciarzy zjazdowych. Nie zważając na to Sick spokojnie zjeżdżał, balansując ciałem w pozycji jaskółki.

Nie zasłonięty już taśmą od deskorolki napis na jego tiszercie głosił: „nic nie jest/nic nie było/nic nie pozostanie/dla ciebie”.

Ekskrementy

Szумы, hałasy, brud, miasto.

Widać zrujnowany most, który choć wciąż spina brzegi, pozbawiony jest jezdnii. Kratownica, która nic nie podtrzymuje, opuszczone przyczółki, wypalone, nieczynne magazyny i szydrczy rechot mew.

Mewy biją się o padlinę, wydając dźwięki przypominające

raz śmiech, a raz kwilenie dziecka. Czasem pełen bólu płacz. Chociaż są niewinnie białe, a do życia potrzebują otwartej przestrzeni, wody, to właśnie one, najbardziej spośród ptaków, pasują do miasta. Bardziej niż sroki, bardziej nawet niż wrony.

Było ich czterech. Każdy dojrzewał na innym drzewie miejskiej dżungli. Każdy z nich był inny, jednakże wszyscy z powodzeniem mogliby zmieścić się w koszyku z etykietą „owoce miasta”. Szybko dojrzali, częściowo zepsuci, trochę toksyczni, na swój sposób jednak pociągający.

0 to przecież chodzi - dać się skonsumować, przetrawić i wydalić.

1 trwać dalej w jeszcze mocniejszym wcieleniu.

Wszyscy byli nieco po trzydziestce i mieli poczucie słusznego samozadowolenia. Mimo to każdy z nich czuł, że to, co wyrwał, to jeszcze nie wszystko. Nie koniec osiągnięć, nie koniec doznań, nie szczyt możliwości.

Jakby trwali na plateau, wciąż czekając na mega orgazm.

Miło było o tym pogadać, gdy spotykali się w nieczynnych magazynach pod zrujnowanym mostem. Było twardo, męsko, industrialnie, odważnie, ale też bezpiecznie.

Mogli odprawić swój sabat, pogadać o seksie i pieniądzach, napić się, wciągnąć i rozjechać do domów.

Tym razem jednak ich spotkanie zakłóciło dziecko. Drobną dziewczynką z włosami spiętymi w kucyki. Ubrana w legginsy, w żółtym tiszercie z jaskrawo-zielonym napisem krzyczącym: „help!” W szarych oczach miała strach i ufność.

- Markus, zabiłeś kiedyś człowieka?

- Ja zabiłem...

- Twoje się nie liczy, to był wypadek.

- A ty? Ssso? Ilu frajerów si ze stołu odfrunęło do bosy?

- Wal się! Za taką sugestią mógłbym uzyskać ten... no...

wyrok skazujący! Nawet przy nieprzychylnej... tej... znaczy ławie.

- S... s... s... s...

- Coss nią... zrobimy?

- Postawiłbym na edukację. Moi starzy postawili na edukację, nie? I dobrze na tym wyszedłem.

- A moim zdaniem należy wprowadzić jasną definicję, ile otworów ma kobieta.

- A ile dziecko...

- Płssi żeńskiej!

- Będę zgadywał - tyle samo, nie?

- Jaaa! Popatrzcie! Czy z tego może wyrosnąć kobieta?

- Ugryzła mnie!

- A cha, cha, cha, cha, cha...

Zbliżenie.

Na pokrytym śmieciami placyku, pomiędzy opuszczonymi magazynami i pogiętymi, zardzewiałymi kontenerami, kuca młodzieniec. Na jego plecach, jak kołczan umocowana jest deskorolka. Chłopak kiwa się na boki i rzuca głową. Sprawia wrażenie nieobecnego. Przypomina pogańskiego szamana. Ale to złudzenie. Szaman szuka więzi ze światem zewnętrznym, Sick szuka siebie.

Zbliżenie.

Pustka.

Finis coronat opus

Doc uważał, że nie powinni się tu spotykać. Ba, Doc uważał, że w ogóle nie powinni się spotykać. Po tych wszystkich dziwnych wyda-

rzeniach, po śmierci Markusa i Fastera... No i przede wszystkim po tym, jak sprawa dziewczynki stała się medialnym numerem jeden, nie tylko w mieście.

Z drugiej strony, jeśli mieli się spotykać, to gdzie, jak nie w swoim azylu? W magazynach, których nikt nie odwiedzał, w miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi.

- Więc? - Doc zrezygnował z zimnego piwa, które przywiózł Loki, za to nerwowo zaciągnął się papierosem.

- Więc mi się wydaje, że coś w tym jest nie tak...

- Brawo Sherlocku! Wypadek i przedawkowanie, to jest bardzo „nie tak"! I co? Będziesz się odwoływał? Apelował? Takie rzeczy się zdarzają - kontynuował Doc, nie bardzo wiedząc, czy stara się przekonać siebie, czy swojego rozmówcę.  
- Oczywiście, to nic miłego, ale mogło się zdarzyć. To przypadek.

- Przypadek? Tak? - Loki sceptycznie pokiwał głową i łyknął piwa z butelki. - A nie pomyślałeś, że to wszystko wiąże się jakoś z tą pieprzoną gówniarą?

Coś zmieniło się w otoczeniu. Coś, co dało się odczuć raczej jak różnica ciśnienia, niż coś materialnego. Teraz obok mężczyzny stał chłopak, w koszulce z napisem „Rage in Eden”.

Zaskoczenie prysło po sekundzie.

- Ja pier...! - wypalił Loki. - Następny dziwoląg! Czy oni się tam, kurwa, lęgną? Do światła leżą, czy co?

Doc zachowywał czujność. Spiał się cały i chociaż nie leżało to w jego naturze, gotów był uciekać w każdej chwili.

- Zatem? Czego tu chcesz, gnojku? - Loki zaczepnie rzucił do intruza i uniósł butelkę, by nonszalancko strząsnąć sobie ostatnie krople piwa wprost w otwarte usta.

Nagle butelka, popychana obcą siłą, wyśliznęła mu się z dłoni, szyjką wprost pomiędzy zęby, rozrywając szczęki, a potem dalej i głębiej, przez przełyk do środka, w pół drogi do żołądka, pomiędzy płucami, koło serca. Nie pozwalała oddychać ani przełykać. Powodowała potworny ból i chociaż całe ciało aż



się kuliło, ona uniemożliwiła jakąkolwiek zmianę pozycji.

Chłopak, który w niemożliwy do pochwycenia wzrokiem sposób, najpierw zbliżył się do niego, a teraz znów stał trzy kroki dalej z głową przechyloną na bok, patrzył zimnym, pozbawionym emocji wzrokiem.

- Ej! - Doc jakby obudził się ze snu i ruszył w ich stronę. Ale zaraz zachwiał się i przewrócił wprost na Lokiego, popychając go za krawędź przyczółka. Mur nie był wysoki, jednak upadek nawet z takiej wysokości boleśnie zakończył cierpienia Lokiego. Na górze dało się usłyszeć stłumiony grzechot, jak brzęk szkła tłuczonego w worku ze śmieciami, a zaraz potem bolesny charkot.

Chociaż dźwięk brzmiał makabrycznie, w tej chwili nie to było dla Doca największym szokiem. Miał swój prywatny, większy problem. Wiedział, że ma złamane oba piszczele. Do tej diagnozy nie musiał nawet być lekarzem. Białe, zakrwawione ułamki kości sterczały z obu nogawek spodni, nieco poniżej kolan. Przez sekundę zastanawiał się, co się właściwie stało, ale ostra krawędź poliwęglanowej deskorolki, która uderzyła w jego przedramię, bardzo szybko wyjaśniła wszystko. Z drugiej strony jednak, wciąż nie rozumiał nic.

Miasto żyje z padliny, miasto żywi się trupami. Przez kilka dni brukowce zastanawiały się, czy śmierć dwóch mężczyzn, których zwłoki znaleziono w okolicach zrujnowanego mostu, może być początkiem serii rytualnych mordów. Podstawę takiej hipotezy stanowił fakt, że jednej z ofiar, znanemu lekarzowi, pieczołowicie połamano wszystkie kości. Dodatkowo, jak stwierdził biegły, denat był przytomny, kiedy go katowano.

Jednak miasto jest równie nienasycone, co niecierpliwe. Po czterech dniach zapomniano o jatce, tak samo jak wcześniej zapomniano o zgwałconej dziewczynce. Identycznie, jak

zapominano o wszystkim.

Od chwili, gdy Loki strząsał krople ostatniego w swoim życiu piwa do gardła, do momentu, gdy rozbita butelka jak szrapnel rozerwała go od środka, minęło siedemnaście sekund. Doc umierał znacznie dłużej. Umierał przez całą wieczność, przez całą resztę życia.

vs. Epilog

Wypełniło się. Sick zrobił, co miał zrobić i sam był zaskoczony satysfakcją, jaką przyniosła mu realizacja misji. To było proste, konieczne i sprawiedliwe. Od incydentu w szpitalu działał właściwie jak w transie. Pierwszy raz miał wrażenie, że zbliża się do Przeznaczenia. Nie, nie swojego. Przeznaczenia przez wielkie „P”, przeznaczenia wszystkich, wszystkiego. Bał się tego, ale i pożywał. Dotykać Przeznaczenia - to jakby za nurzać się w absolicie. A brać udział w Przeznaczeniu, to już przywilej boski...

Co nie oznaczało, że chłopak porzucił swoje zwyczaje.

Teraz trenował jak dawniej, na zamkniętym starym stadionie. Poręcze przy schodach wzdłuż trybun doskonale nadawały się do zjazdów na krawędzi deski, a kaskadowo wznoszące się rzędy ławek stanowiły idealny tor przeszkód, tym bardziej, że zachowały się jedynie niektóre siedziska, a reszta, w postaci zaskakujących pułapek, świetnie trenowała refleks. Poskręcane stalowe wsporniki, wystające druty i połamane deski powodowały, że jeden nieostrożny ruch mógł zakończyć się katastrofą.

Chociaż Sick był zaskoczony pojawieniem się Lucy, nie okazał tego po sobie.

- Nic im nie powiedziałam, wiesz? To znaczy ani lekarzom, ani policjantom...

- Dlaczego?

- Bo było już za późno.

- Jak to?

- No wiesz - stało się, mleko się rozlało, musztarda po obiedzie i takie tam...

- Nie chcesz, żeby ich ukarali?

- Kogo?

Lucyna zrobiła słodką minkę.

- Nie wiesz, kogo? Co? - Chłopak zmarszczył czoło.

- U-um - Lucy pokręciła głową, jakby nie miała pojęcia.

Wyglądała na zdrową i wypoczętą. Ubrana była w luźną zieloną sukienkę z pomarańczowym nadrukiem, zajmującym cały przód, a składającym się z dwóch liter: „vs.”

- Nie zgrywaj się!

- Wcale się nie zgrywam! Przecież tych ludzi... już nie ma!

- Więc wiesz?...

Lucy uniosła brwi i przytaknęła, intensywnie kiwając grzywką.

- Oczywiście, że chciałam, żeby cierpieli! - Buzia Lucy rozciągnęła się w uśmiechu. - I wiem, że tyto załatwiłeś!

Dziewczynka z radością klasnęła w ręce i aż podskoczyła.

- Skąd wiesz?

- A ty? Skąd wiedziałeś?

- Zobaczyłem.

Lucyna gwałtownie zaczęła kiwać głową. Machała nią tak w przód i w tył, jakby była umocowana na sprężynie.

- Aha, aha! Dokładnie tak! Zobaczyłeś. Ja też wszystko widziałam! Naprawdę niezłe wrażenie! Szczególnie Faster...

- Widziałaś to? - Sick był autentycznie zaskoczony.

- Taa-cha. To działa w obie strony, wiesz? Pobiegamy?

- No nie wiem... Nic ci już nie jest? - Pomysł jakoś nie

wzbudził w nim entuzjazmu.

- Nie! Wszystko jest cudownie! - Rzuciła dziewczynka i pobięła między starymi ławkami, odwracając się na moment przez ramię, żeby zawiadacko zdopingować towarzysza. - Goń mnie!

Zamiast ruszyć w pościg, Sick przez chwilę patrzył za Lucy, po czym zdecydowanie, ale bez pośpiechu puścił się ukosem w dół trybun, przeskakując zwały zdewastowanych siedzeń. Wiedział, że prostopadły do rzędów ławek wjazd na stadion zagrozi dziewczynce drogę. Krata, odcinająca część trybun od bramy, powodowała, że Lucy musiała pobiec w końcu w dół.

Lecz gdy chłopak dotarł na miejsce, Lucynki tam nie było. Nie widać też było, by zbliżała się z jedyne­go możliwego kierunku. Sick stanął przy tym, co zostało z bieżni, i usiłował wypatrzyć miejsce, gdzie mała uciekiniarka mogła się ukryć. Bo musiała gdzieś tam się chować.

Chociaż nie. Nie musiała.

- Czego tam tak wypatrujesz?

Sick jak oparzony obrócił się na pięcie, wcześniej prawie urywając sobie głowę.

- Skąd ty się tu...

Lucy przysiadła na rumowisku, opierając się o coś, co kiedyś pewnie było bandą boiska.

- Czekam i czekam. - Ton dziewczynki był przesadnie zrzedliwy. - Strasznie się wleciesz, chyba wyszedłeś z wprawy.

Sick wiedział, że Lucy nie mogła być tam, gdzie była, bo inaczej musiałby przeciąć jej drogę. To była kwestia geometrii.

- Jak to zrobiłaś?... Kim ty właściwie jesteś? - Sick zadał pytanie, którego nie chciał zadawać, które było sprzeczne z jego najgłębszą naturą.

Nie słyszeć, nie widzieć, nie komentować.

- Jestem twoją siostrą. Myślałam, że już się tego domyśliłeś, tępaku!

Oczy dziewczynki zrobiły się czarne.

Sick bez słowa odwrócił się i odbiegł w kierunku korony, szlakiem, który sam wytyczał, wciąż przeskakując i uskakując, nieomal frunąc. Nie odwracał się, nie przystawał ani na moment. Użył całej swojej siły, intuicji i zręczności. Gdyby ktoś mierzył czas w tej nietypowej dyscyplinie, potwierdziłby niemożliwy do powtórzenia rekord świata.

Lucy czekała na niego na górze.

- Będiesz tak biegał, to się zmęczysz. - Wytknęła mu ironicznie. - Usiądź, pogadamy.

Sick skręcił o dziewięćdziesiąt stopni i nie zatrzymując się, pobiegł wzdłuż granicy trybun. Zanim jednak zdążył się oddalić, jego umysł zajęła wizja. To był ten sam obraz, co w szpitalu. Zrujnowany most i magazyny. Czterech mężczyzn i dziewczynka.

- Co tu robisz, dzieciaku? - Doc ostro rzucił w stronę intruzki.

- Spokojnie, Doktoru, wystraszysz kruszynę! - Markus ze swoim odlotem gotów był zachowywać się jak przedszkolanka, byle tylko świat pozostał cudowny.

- Panowie, kurwa, ja mam dosyć swoich bachorów! - Loki zrezygnowany wyraził dezaprobatę.

- „Kurwa”? Szanuj się, człowieku! Nie odzywaj się tak przy dziecku!

- Dobra. - Faster nie tylko szybko jeździł, potrafił również szybko podejmować decyzje. - Wezmę ją z przodu... Co się tak idiotycznie śmiejecie? Na kanapę ją wezmę... Idioci! Na motor! Nieważne. W każdym razie, podrzucę ją do centrum. W sumie

wypiłem dopiero jedno piwo.

Sickowi zakreśliło się w głowie. Zatrzymał się gwałtownie i odwrócił do Lucy, która siedziała wciąż w tej samej pozycji i z lekko przekrzywioną głową patrzyła na chłopaka.

W delikatnym grymasie jej ust można było dopatrzeć się drwiny.

- Co to było? - zapytał cicho Sick.

- Po prostu: tak było.

- A to, co pokazałaś mi w szpitalu?

- O! Tak mogło być, wiesz...

- Nie, nie wiem. Ja zabiłem tych facetów.

- Nie przesadzajmy, niektórym tylko pomogłeś. Ale fakt, skutecznie.

- Oni byli niewinni... - Trudno byłoby ocenić, czy wypowiedziane słowa były stwierdzeniem, czy pytaniem.

- Nikt nie jest niewinny.

- No ty na pewno nie!

Sick nie był wściekły, nie był nawet zły. Był przytłoczony nieuchronnością, jednoznacznością odpowiedzi, którą właśnie poznał. Wiedział już, dlaczego biegł, przed czym uciekał.

- Mówisz, że jesteś moją siostrą. Kim więc ja jestem? Możesz mi powiedzieć?

- Jesteś aniołem, Sick. Jesteśmy aniołami.

- Ach tak. - Jeszcze niedawno reakcją Sieka byłaby ucieczka. Oddalenie, uniknięcie. Teraz wiedział, że to nic nie da.

- Aniołami. Ze skrzydłami, piórami... W tiszertach.

Lucy wpatrywała się w chłopaka poważnie. Z jej miny - oczu, ust - zniknęła też drwina. Dziewczynka była poważna.

- Wiesz, że to prawda, i poznałeś dowody. Chciałbyś zapytać: „co teraz?”, ale to musisz wiedzieć sam.

Nie należysz do ludzi, nie należysz do miasta i to, co sobie

wykombinowałeś, a co ja potwierdzam, to prawda. Jesteś częścią odwiecznego stanu rzeczy. Czynnikiem równowagi, składnikiem porządku.

Jesteś jak kropka w jin albo jang, jesteś jak balans, jak brzask i zmrok. Byłeś szary i nieruchomy, bo podążałeś wzdłuż granicy.

Biegłeś, by stać.

Spójrz na to miasto - ono rodzi się i umiera w jednej chwili i wciąż drży... wciąż się rusza. Ludzie, nawet pozostając w bezruchu - stojąc, leżąc, siedząc, myśląc, albo wręcz odwrotnie, całkiem bezmyślnie - powodują ruch.

Wiesz jak?

Zwyczajnie - wybierając pomiędzy dobrem i złem. Czynem albo zaniechaniem. Działając i powstrzymując się...

I ty się wreszcie ruszyłeś. Przedtem biegłeś, żeby pozostać nieruchomym, niezachwianym, ale to już przeszłość!

Jestem z ciebie dumna!

A teraz...

Teraz musisz wybrać - możemy być razem, możemy też stanąć przeciwko sobie.

**POWIEDZ IM, ŻE KOCHASZ**

Scott Nicholson

Scott Nicholson (ur. 1963) - amerykański pisarz specjalizujący się w horrorze i thrillerze, a także muzyk i poeta. Jest autorem kilkunastu poczytnych powieści i około sześćdziesięciu opowiadań. Był wielokrotnie nominowany do prestiżowych nagród i nagradzany. Za powieść Czerwony

kościół otrzymał nagrodę Brama Stokera. Należy do stowarzyszenia Horror Writers Association, był również członkiem Mystery Writers of America. Powiedz im, że kochasz to pierwsze opowiadanie Nicholsona na polskim rynku.

Dexter oblizwał wargi. Żołądek miał rozedrgany. Październik był brązowy, żółty i trzeszczący, smakował jak cukierki przypominające ziarna kukurydzy. Dexter ukląkł przy klatce, którą ojciec zdążył zbić, zanim dostał sądowy zakaz zbliżania się do rodziny.

Dotknął pręgi pod okiem. Przypominała zbitą śliwkę i piekła tam, gdzie pękła skóra. Mama przez przypadek nie schowała kciuka do wnętrza pięści, zanim go uderzyła. Raczej nie zamierzała tego zrobić. Zazwyczaj była ostrożna, kiedy wymierzała mu ciosy.

Ale mama miała przynajmniej to do siebie, że nie chowała urazy. Włączała telewizję, otwierała piwo i po następnej przerwie na reklamy już o Dexterze nie pamiętała. Łatwo było wymknąć się tylnymi drzwiami.

Wsunął trochę świeżych źdźbeł trawy przez srebrne kratki siatki. Królik pokazał mu swoje okazałe siekacze i zmarszczył nosek, a potem złapał trawę i wycofał się skokami w tył klatki. Tam skulił się w cieniu i żuł, poruszając szczękami na boki. Jego czarne oczy patrzyły przed siebie. Wyglądały jak oczy lalki: martwe, zimne i głupie.

Żołądek Dextera nadal przeszywały dreszcze mdłości. Chłopak otworzył klatkę i wsunął dłoń do środka. Królik odskoczył i nadal przeżuwał. Dexter pogłaskał miękkie futro pomiędzy jego oczami.

Powiedz im, że kochasz.

Złapał za skórzaste uszy i wyciągnął królika z cienia.



Trzymał go tak przez moment, jak magik robiący sztuczkę ponad kapeluszem, podczas gdy zwierzak dygotał i kopał na boki wszystkimi czterema białymi łapkami. To był w końcu październik, miesiąc, kiedy wszystko może się zda

rzyć. Nawet głupia stara magia, gdy się ktoś ubierze jak głupek w płaszcz czarodzieja na Halloween.

Dexter obejrzał się przez ramię w kierunku domu. Mama zapewne już odleciała. W końcu była już czwarta popołudniu. Jednak Dexter nauczył się od swojego taty, że nigdy nie zaszkodziło być przesadnie ostrożnym.

Wcisnął królika pod wiatrówkę i przeszedł przez ogród do lasu. Kiedy dotarł pod osłonę drzew, wyjął z kieszeni smycz. To był ten trudny moment. Z wytkniętym w skupieniu językiem ścisnął królika między kolanami.

Naciskał coraz mocniej, aż usłyszał, że coś pękło i tylne nogi królika zwisły bezwładnie. Prawie wtedy zwymiotował, prawie się rozplakał, ale kiedy pierwsza łza stoczyła się po pękniętej skórze pod okiem, znowu zrobił się zły.

- Pokażę ci, że lepiej mnie nie kochać - szepnął urywanym głosem.

To była wina królika. Głupi zwierzak nie powinien był próbować go kochać. Królik próbował go dopaść, wykręcić mu numer, sprawić, żeby mu zależało. No cóż, Dexter nie zamierzał należeć od nikogo ani niczego.

Użył obu rąk, aby założyć królikowi skórzaną obrozę. Należała ona do jego pieska rasy redbone hond. Wujek Ciem dał Dexterowi wybrać szczeniaka z miotu, a on wziął tego, którego brzuszek nadęty był od mleka i który machał cienkim jak sznurek ogonem za każdym razem, gdy Dexter pogłaskał go po głowie. Nazwał go Fabryka Bobków. No cóż, stara, głupia Fabryka Bobków nie potrzebowała już tej obroży.

Dexter zapiął obrozę i pozwolił królikowi opaść na ziemię. Zwierzę przewróciło się na bok i poruszyło spazmatycznie przednimi łapkami. Czasami umierały za szybko, nawet zanim w ogóle zaczął. Skierował się w głąb lasu, ciągnąc za sobą królika na smyczy. Do polany, na której lubił się bawić, było prawie sto metrów. Tam słońce przebijało się przez konary drzew, a po kamieniach toczył się niewielki potok. Dexter popatrzył przez zmrużone oczy na skrawki nieba. Jedno oko było zapuchnięte tak, że prawie się zamykało. Polana pachniała jesiennym błotem i rozkładem, magicznymi woniami zakopanych sekretów.

Pociągnął za smycz tak mocno, że królikowi aż wyszły żyły. Gdy położył dłoń na miękkiej, białej klatce piersiowej zwierzęcia, wyczuł gwałtownie bijące serce, które usiłowało przepompować krew przez zacisk.

Królik zaczął znowu kopać przednimi łapkami, wyrzucając w powietrze liście i ciemną leśną glebę.

Tej części Dexter nienawidził. Strachu, który prędzej czy później pojawiał się w zwierzętach, gdy je torturował; tego drobnego, gorączkowego błysku w ich oczach. Desperacji i podporządkowania się, gdy dawały z siebie wszystko. Głupie stwory, robiło mu się od nich niedobrze, sprawiały, że chciało mu się rzygać. To była wszystko ich wina.

Otworzył scyzoryk i zabrał się do roboty. Ta część przynosiła ulgę. Królik zaczął przerażony i pozostał przerażony; zapłacił za kochanie go bez piśnięcia. Przed końcem Dexter nie widział przez łyzy.

Pochował ścierwo pomiędzy korzeniami dużego dębu. Zaraz obok starej Fabryki Bobków. Potem umył ręce w strumieniu. Była już prawie pora obiadowa. Odwrócił się i ruszył z powrotem przez polanę, mijając wgłębienia w ziemi,

gdzie zakopał pozostałe zwierzęta.

Jego własny mały cmentarz dla zwierzaków. Widział tamten film. Dostał od niego dreszczy, ale nie na tyle, by porzucić swoje hobby. Poza tym, kiedy rozprawił się już ze zwierzętami, żaden kawałek ziemi nie był dość duży, żeby w ogóle stać, a co dopiero po nim iść.

Trzy koty były tu pod ziemią, z czego za dwa należałoby podziękować babci. To ona dała mu też królika na Wielkanoc. Kiedyś zgarnął koguta z zapadającego się kurnika, położonego dalej koło drogi, ale nie chciał tego powtarzać. Kogut pokłuł go ostrogami, a na dodatek skrzeczał i gdakał tak głośno, że mógłby pobudzić umarłych. Gdzieś tu pochowany był też zółw błotny. Ale to było zabójstwo z litości. Mama dolewała mu piwa do wody.

To samo ze złotymi rybkami. Powiedział jej, że spuścił je w toalecie. Rybki były jednak nudne. Nie wyły ani nie piszczwały. Nie chciało mu się rzygać, kiedy krwawiły. Były za głupie, żeby kochać.

Zachichotał na myśl o złotej rybce, powracającej z martwych i nawiedzającej go. Chciałby to kiedyś zobaczyć w filmie. Zemsta rybki zombie. Otarł oczy i ruszył ścieżką do domu.

Mama gotowała makaron, kiedy wszedł tylnymi drzwiami. Wytarła nos, otwierając puszkę sosu serowego i widok jej mokrych palców na otwieraczu do puszek sprawił, że Dexter stracił apetyt. Usiadł przy stole i zaczął się bawić pustym kartonem po mleku.

Chyba znowu zasnęła w ubraniach. Były pogniecione i pachniały zjełczalym tłuszczem.

- Gdzie byłeś, kochanie? - zapytała.

- Na dworze, bawiłem się.

- Gdzie?

- Na dworze. No wiesz.

Postawiła przed nim talerz z porcją parującego makaronu. Dexter zauważył resztki zaschniętego żółtka na krawędzi naczynia.

- Jak było w szkole?

- Jak zwykle.

- Hm. Za co się przebierasz na Halloween?

- Nie wiem. Robię się chyba za duży na przebieranki i udawanie.

- Jak uważasz. - Otworzyła lodówkę. Była pusta, pomijając tuzin puszek piwa, zwiędły seler i coś w plastikowym pojemniku, co było pokryte grubym dywanem zielonej pleśni.

Dexter obserwował, jak otwierała piwo. Była czerwona. Jej ręce były czerwone, jej twarz była czerwona, oczy też.

- Nie jesteś głodny? - zapytała.

- Nie. Może później.

- No ale musisz jeść. Znowu będę miała przez ciebie kłopoty z opieką społeczną.

- Niech ich szlag trafi.

- Dexter! Gdyby twoja babcia usłyszała takie słowo...

.. .pewnie dałaby mi w łeb, stara torba, pomyślał.

Ale babcia przynajmniej czuła się potem winna. Żeby mu to wynagrodzić, kupowała coś fajnego. Jak scyzoryk albo pistolet na kulki. Albo nowe zwierzątko.

Nie obchodziło go, że czasem, gdy oberwał od babci, to aż dzwoniło mu w uszach. Z nią przynajmniej coś z tego było. Od mamy i taty dostawał jedynie blizny. Może babcia kochała go najbardziej. Wziął widelec i pogrzebał w makaronie.

- Dobry chłopak - powiedziała mama. Pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy. Jej oddech pachniał jak trumna

wypełniona spleśniałym ziarnem. - Twoje oko wygląda już lepiej. Opuchlizna powinna jutro zejść. Przynajmniej na tyle, żebyś poszedł do szkoły.

Dexter uśmiechnął się blado i włożył do ust trochę makaronu. Żuł, dopóki mama nie wyszła. Zadzwoił telefon. Najwyraźniej znowu go podłączyli.

- Halo? - Usłyszał.

Patrzył na mamę. Po jej zmarszczonym czole poznawał, że rozmawiała z tatą, który próbował dostać się z powrotem do łóżka, na które zarobił w pocie swojego cholernego czoła, i pod dach, który postawił swoimi własnymi pieprzonymi rękami. I żadna zadzierająca nosa suka nie miała prawa trzymać go z dala od jego własnego cholernego domu i jego jedyne go syna. I skoro zbliżała się zima...

- Wiesz, że nie powinieneś do mnie dzwonić - powiedziała mama do telefonu. Zagryzła wargi, kiedy tata odpowiedział czymś, co zapewne było strumieniem przekleństw.

Taki był problem z tatą. Za grosz subtelności. Gdyby rozegrał to gładko i spokojnie, udając, że ona go obchodzi, byłby z powrotem raz-dwa. A po paru miesiącach udawania życie rodzinne mogłoby być takie jak kiedyś. Normalne.

Ale ten sukinsyn nie potrafił nad sobą panować. Dlaczego nie mógł się po prostu zamknąć i udawać, że ją kocha? To proste. Wszyscy tak robili.

Riley Baldwin, który mieszkał kawałek dalej na tej samej ulicy, powiedział, że to była ta tajemnica. Słowo „miłość”.

- Powiedz im, że kochasz - powtarzał zawsze z całą mądrością, jaką dawała mu przewaga roku życia i pięciu centymetrów wzrostu. - Działa jak magia.

Wspomniana miłość pozwoliła mu wsunąć rękę pod sukienkę Tam- my Lynn Goolsby. A nawet w jej majtki. A

babcia mówiła, że kocha Dextera. To oczywiście było co innego, to była miłość, która gwarantowała prezenty. Miłość zapewniała ci to, czego pragnąłeś, o ile używałeś jej właściwie, nawet jeśli to czasem bolało.

- Nie waż się pokazywać w okolicy, bo wezwę gliny! - zaskrzeczała mama do telefonu. Jej twarz, dotąd czerwona, przybrała teraz sinawy odcień fioleto.

Zająknęła się kilka razy do słuchawki i odłożyła ją z trzaskiem na swoje miejsce, a potem dopiła resztę piwa. Kiedy mijala Dextera w drodze do lodówki, nie zauważyła, że nie zjadł obiadu. Wymknął się do swojego małego, zagraconego pokoju i zamknął drzwi. Został tam tak długo, aż mama zdążyła znowu odjechać. Usnął, słuchając jej chrapania i hałasu z telewizji.

W szkole nikt nie wspomniał nawet o jego podbitym oku. Riley czekał na Dextera, gdy ten wyszedł z autobusu. Riley zwagarował. Dexter

też by uciekł z lekcji, ale nie chciał, żeby mamie złożyli znowu wizytę ludzie z opieki społecznej, którzy przychodzili w tych swoich skrzypiących butach, pachnieli perfumami i udawali, że potrafią zająć się rodziną, do której nie należą.

- Schowałem swoją dwudziestkę dwójkę w lesie - powiedział Riley i uśmiechnął się, pokazując brakujące zęby w szczęcie. Oczy mu błyszczały pod daszkiem czapki z logiem Caterpillar.

- Super, stary. Ja skoczę po pistolet na kulki.

Riley zaczekał przy tylnych drzwiach. Dexter porzucił książki w kałuży szarego tłuszczu na stole w kuchni i wziął pistolet ze swojego pokoju. Mamy nie było. Może pojechała z którymś ze swoich chłopaków do monopolowego na granicy hrabstwa. Na lodówce przyczepiona była wiadomość napisana jej chwiejnym pismem: „Nie pakuj się w kłopoty. Kocham cię.”

Dexter dołączył do Riley'a i razem poszli do lasu. Riley wyciągnął swoją strzelbę spod ukrywających ją liści. Poklepał się po kieszeni i coś zabrzączało.

- Mam pół opakowania naboju.

- Zabiłeś coś już?

- Nie. Ale może uda mi się dostać jedną z tych wiewiór z pręgami na dupie.

- Te cholery są szybkie.

- Hej, wystarczy tylko trochę ofiary z krwi.

- Co masz na myśli?

- Żeby dobrze go dotrzeć. - Riley poklepał lufę strzelby. - Zapłacą za to, że mi podskakiwały.

Riley poprowadził ich w dół ścieżki, przez cmentarz dla zwierzaków Dextera i strumień. Dexter poszedł w ślady kolegi, patrząc na czubki swoich brązowych butów. Październik wisiał strzępami żółci i czerwieni na drzewach. W miarę jak słońce zachodziło za horyzont, cienie drzew wydłużały się i pogrubiały.

Riley zatrzymał się po paru minutach milczącego marszu.

- Co u twojego taty?

- Nic specjalnego. To samo co zwykle.

- To chyba beznadziejnie, tak spotykać się z nim co drugi weekend czy coś.

- Tak. Ale jeszcze tego nie rozkminił.

- Czego?

- No wiesz. Miłości. Tak jak mówiłeś.

- A, tak. Powiedz im, że kochasz.

- Jeśli by to tak rozegrał, to nie mielibyśmy na głowie opieki społecznej.

- Te wszystkie skurczybyki są takie same. Gliny, kuratorzy od wagarów, dyrektor. Nie ma znaczenia, co, kurwa, zrobisz. Zawsze cię dopadną.

- Tak mi się wydaje. - Dextera zaczął boleć żołądek. Zmienił temat. - Jak było z Tammy Lynn?

Twarz Rileya rozciągnęła się w uśmiechu przypominającym wyszczerz halloweenowych dyń. Wypchnął do przodu swoją kościstą klatkę piersiową.

- Wiesz, pozwoli mi zrobić wszystko. Wystarczy, że je kochasz. Wiem, jak do nich naprawdę dotrzeć.

- Pozwoliła ci...?

Riley pomachał palcami w powietrzu, a potem przyłożył je do nosa i powąchał.

- A inne rzeczy? - zapytał Dexter.

- To potem, kolego. Kiedy tylko zechcę.

- To czemu nie chcesz? Przecież mówiłeś, że pozwoli ci na wszystko.

Riley zmarszczył swoje grube brwi, ukrywając furie błyszczącą

w oczach. Odwrócił się i ruszył w dół ścieżki, w kierunku potoku.

- Nie ma tu żadnych cholernych ptaków do strzelania. Twoje kretyńsko głośne kłapanie paszczką wszystkie wystraszyło.

Dexter pospieszył za nim. Krawędź nieba była czerwono-złota. Las był teraz ciemniejszy, a liście pod ich stopami rozmiękły od wilgotnego, wieczornego powietrza. Mama niedługo się obudzi, żeby zacząć pracować nad drugim pijaństwem dnia.

Maszerowali w ciszy, Riley zgarbiony, ze strzelbą skierowaną ku ziemi, Dexter za nim, jak zbity pies. Było prawie ciemno, kiedy dotarli do polany. Riley przeskoczył strumyk i obejrzał się. Oczy mu błysnęły, ale jego twarz składała się z samych ostrych cieni.



Dexter przesadził strumień, ale wpadł w błoto na drugim brzegu i prawie zsunął się do wody. Jedną ręką chwycił za jakiś korzeń i podciągnął się do góry na kolanach i łokciach, zahaczając brzuchem o pochyły brzeg potoku. Kiedy popatrzył w górę, Riley celował do niego ze strzelby. Tata uczył Dextera, jak zachować bezpieczeństwo, obchodząc się z bronią

i pierwszą zasadą, główną zasadą, było nigdy nie celować do kogoś z naładowanego pistoletu. Nawet taki głupek jak Riley powinien to wiedzieć.

- Zabiłeś kiedyś kogoś? - Znowu miał na twarzy ten wyraz rodem z halloweenowej dyni, ale tym razem jego uśmiech pełen był wyszczerbionej ciemności.

- Czy zabiłem? - Dexter starał się nie płakać. Nie chciał zdradzić przed Rileyem, jak bardzo się boi.

- Ofiara z krwi.

Riley był wystarczająco nienormalny, żeby go zabić, żeby go zostawić tutaj, wykrwawiającego się w półmroku, na tej samej ziemi, na której Dexter pokroił pół tuzina zwierzątek. Dexter starał się wymyślić, jak tata rozwiązałby tę sytuację.

- Nie rób numerów, Riley.

- Jak będę chciał zrobić numer, to raczej z Tammy Lynn.

- Nie miałem nic złego na myśli, kiedy to powiedziałem.

- Mogę to zrobić, kiedy zechcę.

- No pewnie, jasne. - Dexter mówił za szybko, ale nie mógł się powstrzymać. Skoncentrował się na czubku półbuta Riley'a, wytartej skórze i smudze smaru. - Wiesz, co im trza powiedzieć. Jesteś czarodziejem.

Riley opuścił trochę strzelbę.

- Tak jest.

Dexter mówił niemalże do jego buta; był tak blisko, że mógłby go pocałować.

- Trza im tylko powiedzieć, że kochasz, nie?

Riley się wtedy roześmiał, a po karku Dextera spłynęła strużka zimnego potu. Może jednak nie zanosilo się na to, że tu umrze, pomiędzy kośćmi i gnijącym mięsem swoich ofiar. Półbut się przesunął i Dexter ośmielił się spojrzeć do góry. Riley stał teraz wśród krzaków ostrokrzewu i wawrzynu, z bronią skierowaną w drugą stronę, więc Dexter stanął na nogi.

Po raz pierwszy zauważył, jak straszna jest ta polana, z drzewami rozpościerającymi wszędzie swoje splątane konary i krzewami wawrzynu, przyczajonymi jak duże zwierzęta. To miejsce było żywe, głodne, wstrzymywało oddech i czekało na następną ofiarę.

- Coś ci powiem - odezwał się Riley. Na tle zmierzchu wydawał się wyższy, groźniejszy. - Przyjdź tu jutro po szkole. Bądź bardzo cicho i przyglądaj się zza krzaków. Zrobię z nią wszystko.

Dexter pokiwał głową po ciemku. Potem coś mu się przypomniało.

- Ale jutro jest Halloween.

- A co masz innego do roboty? Łazić i błagać o słodycze z dziećmiakami?

Nie mógł pokazać Rileyowi, że się boi.

- Nie, tylko...

- Lepiej tu, kurwa, bądź.

Dexter pobiegł ścieżką do domu, czując drganie w żołądku. Był na wpół przestraszony, na wpół podekscytowany tym, czego miał być świadkiem, czego nie ośmieliłby się przegapić.

Mama siedziała pochylona nad stołem kuchennym. Przy jej krześle piętrzyły się puste puszkę po piwie. Z przewróconej butelki na jej kolana wylewał się brązowy płyn. Dexter poszedł szybko do łóżka, żeby nie zdążyła się obudzić i poprosić o

uścisk na dobranoc albo stwierdzić, że potrzeba mu lania czy coś.

Następnego dnia po szkole prosto z autobusu poszedł na polanę. Niebo było zachmurzone i ciężkie od wilgoci. Gdy pełził przez podszybie na czworaka, słyszał głosy. Wyjrzał przez przerwę między gałęziami. Riley siedział na ziemi i rozmawiał z Tammy Lynn, która opierała się o gruby pień dębu.

Jej blond włosy przetykane były farbowaną czerwienią. Wyglądała już na czternaście lat. Biały sweter opinał się na jej klatce piersiowej. Twarz obsypana była piegami. Miała policzki jak chomik, wydęte i smutne.

Riley pocierał jej kolano pod skrajem sukienki. Rzucił przelotne spojrzenie na lewo, tam, gdzie w krzakach ukrywał się Dexter. Ten przełknął ślinę. Żołądek mu drżał, jakby zbierało się na wymioty.

- Kocham cię - powiedział Riley do Tammy Lynn.

Tammy zachichotała. Miała na sobie szminkę i jej usta wyglądały jak czerwona blizna na bladej twarzy. Riley pochylił się do przodu i pocałował ją.

Odsunął się. Dotknęła jego dolnej wargi, na której rozmazała się jej szminka. Jego ręka wsunęła się dalej pod jej sukienkę. Tammy zacisnęła nogi.

- Nie, Riley - szepnęła.

- Oj, no dalej, kochanie.

- Nie chcę.

- Hej, powiedziałem, że cię kocham. Możemy to zrobić, jeśli cię kocham.

- Boję się.

Riley przestał jej dotykać. Mówił tak cicho, że Dexter prawie go nie słyszał.

- Udawaj, że jesteś księżniczką, a ja jestem księciem i

jesteśmy w baśni. Nie kochasz mnie?

Tammy Lynn opuściła wzrok. Riley złapał ją za brodę i uniósł głowę do góry. Jej policzki były różowe ze wstydu albo strachu.

- Nie kochasz mnie? - powtórzył i tym razem na twarzy miał ten uśmiech jak z halloweenowej dyni. Tammy Lynn powoli pokiwała głową. Dexter miał wrażenie, że połknął garść gorących robaków.

- Jeśli mnie kochasz, coś mi się należy - powiedział Riley. Tammy potrząsnęła głową. Włosy muskały jej ramiona.

Riley wsadził nagle rękę daleko pod jej sukienkę. Tammy Lynn pisnęła ze zdziwienia i spróbowała się odsunąć. Riley złapał ją za sweter i pociągnął na ziemię. Do pleców przyczepiły jej się kawałki kory.

- Nie - jęknęła, wymachując rękami, podczas gdy Riley przyciskał ją do ziemi. Jeden z jej pomalowanych na srebrno paznokci zadrapał Rileya w nos. Wtedy wziął zamach i wymierzył jej policzek. Krzyknęła z bólu.

Dexter nie spodziewał się, że to będzie tak wyglądać. Prawie wybiegł z zarośli, żeby jej pomóc. Ale pomyślał o Rileyu i strzelbie. Ledwo oddychał, żołądek zaciskał mu się tak, jakby miał zwymiotować, ale nie mógł odwrócić wzroku.

Riley unieruchomił Tammy ramieniem i rozpiął swoje dzinsy, a potem zakrył jej usta i podciągnął sukienkę do góry. Przemieścił się pomiędzy jej nogi i Tammy Lynn wrzasnęła w jego dłoń. Mocowali się przez jeszcze parę sekund, dopóki Riley gwałtownie się od niej nie odsunął. Wtedy wstał i zapiął spodnie. Tammy Lynn płakała.

- Mówiłem ci, że cię Kocham - powiedział, jakby czuł obrzydzenie do jakiejś taniej zabawki, która się zepsuła. Potem spojrział na krzaki wawrzynu i mrugnął, ale Dexter zauważył, że

jego ręce się trzęsły. Miał nadzieję, że Riley go nie widział. Drżenie w jego żołądku zamieniło się w niewielkie, chłodne uderzenia, zadawane z prędkością werbla.

Tammy Lynn teraz zawodziła. Sukienkę miała zadartą do pasa, majtki skręcone na wysokości białych ud. Strzępy liści przyczepiły się do jej skarpetek-stópek. Jeden z butów jej spadł.

- Działa jak magia - odezwał się zbyt głośno Riley. Jego głos stanowił chrypliwe połączenie triumfu i strachu. - Mówiłem ci, że cię kocham, prawda?

Kopnął trochę liści w jej kierunku i odszedł ścieżką. Pewnie chciałby, żeby Dexter za nim poszedł, żeby mógł pochwalić się swoim wyczynem. Ale mięśnie Dextera przypominały galaretę. Nie mógł oderwać wzroku od Tammy Lynn.

Usiadła, płacząc już słabiej. Powoli podciągnęła majtki i opuściła sukienkę do kolan, poruszając się jak jeden z tych zombie z filmów. Wpatrywała się w swoje palce, jakby z jej rąk wyrwano jakiś mały skarb. Po twarzy ściekały jej łzy, a po jednej stronie brody ciekła strużka krwi. Dolna warga była napuchnięta.

Stanęła na swoje chude nogi, chwiejąc się jak nowo narodzone źrebię. Sukienka nierówno się na niej układała. Rozejrzała się po polanie oczami, które były zbyt wielkie. Dexter skulił się za wawrzynem, obawiając się, że go zauważy, obawiając się, że powinien być jej pomocą i nie mógł.

Po nogach ciekła jej krew. Jaskrawoczerwone smugi odcinały się wyraźnie od skóry. Krople spadały na liście pomiędzy nogami. Tammy popatrzyła w dół, zobaczyła krew i wydała z siebie zduszony odgłos. Przez chwilę machała rękami w powietrzu, a potem uciekła w las, nie ścieżką, ale na przełaj, w kierunku drogi, która graniczyła z jednym brzegiem lasu.

Zapomniała o swoim bucie.

Dexter podniósł się z ziemi i gapił na ciemne krople krwi. Zaczął padać deszcz, nieco gęstszy od mgły. Chłopak rozsunał woskowane liście wawrzynu i wyszedł na polanę.

Krew. Ofiara z krwi. W Halloween, kiedy wszystko mogło się zdarzyć. Polana znowu była żywa, niebo czekało, a drzewa obserwowały; ziemia była głodna.

Dexterowi zrobiło się niedobrze, zupełnie jakby jego głowa wypchana była rozmokłą watą. Nagle padł na kolana i wymiotował. Kiedy opróżnił żołądek, odchylił się i pozwolił deszczowi spływać po twarzy. W ten sposób Riley nie zauważył, że płakał.

Przez moment spoglądał na but, a potem, potykając się, wrócił ścieżką do domu. Spodziewał się, że na ganku będzie czekał Riley, z podwiniętymi rękawami dżinsowej kurtki i ramionami założonymi na piersi. Ale nie było go. Dexter wszedł do domu.

- Cześć, skarbie - powiedziała mama, nie odrywając nawet wzroku od ekranu, gdy trzasnęły drzwi. Oglądała powtórkę „Autostrady do nieba”. - Znalazłeś swojego królika?

-Nie.

- Niedługo będzie obiad.

- Nie jestem głodny. Idę do pokoju.

- Nie idziesz na cukierek-albo-psikus?

- Nie chcę.

- Źle się czujesz? - Oderwała wzrok od telewizora i popatrzyła na niego podejrzliwie. Zapach starego piwa i resztek jedzenia na blacie znowu przypawił Dextera o mdłości.

- Nie. Po prostu mam coś do zrobienia do szkoły - udało mu się skłamać przez drżące wargi.

- Do szkoły, akurat. Kiedy ostatnio robiłeś lekcje? Masz

brudne ubrania. Co przeszkrobałeś?

- Przewróciłem się w szkole. Wiesz, że pada?

- A ja z tym praniem na sznurku - odezwała się mama.

Jakby to była wina nieba, jakby nie było niczego, co człowiek mógł zrobić, kiedy całe niebo było jemu przeciwne. Znowu wbiła wzrok w telewizor, wzięła dwa łyki piwa i beknęła. Dexter zastanawiał się, co dałaby dzieciom, gdyby odważyły się przyjść na ich niebezpieczną ulicę i zapukać do drzwi.

Na ekranie Michael Landon znowu wtykał nos w nie swoje sprawy. Dexter popatrzył na zbliżenie zadowolonej z siebie twarzy aktora i poszedł na paluszkach do swojego pokoju. Myśli dusiły go w trumnie łóżka.

Może powinien był podnieść but Tammy Lynn. Mógłby go jej wtedy oddać, nawet jeśli nie mógł zwrócić innych rzeczy. Jak w „Kopciuszku”, tak jakby. Ale wtedy by wiedziała. I to byłoby jak bajkowa miłość, a Dexter z żadną miłością nie chciał mieć w swoim życiu do czynienia.

W każdym razie Riley miał strzelbę. Dexter wyobraził sobie, że celuje w niego tak, jak wtedy w lesie, kiedy czubek półbuta Riley'a miał być ostatnią rzeczą, jaką oglądał. Półbut Riley'a, but Tammy, krew. W końcu zasnął przy dźwiękach filmu, który mama tego wieczora potraktowała jak koleżkę do picia.

Śniła mu się Tammy Lynn. Leżała pod nim na polanie z rozpostartymi ramionami, zaciśniętą na szyi obrozą, której smycz owinięta była wokół lewej pięści Dextera. Tammy była naga, ale jej rysy stanowiły

bezkształtną, mleczną abstrakcję. Trzymał przy jej szyi nóż. Jej oczy jak dwa żebrzące bliźnięta, jeziora krzyku, mokrej grozy. Obudził się spocony, z drżącym żołądkiem i załzawionymi oczami. Znowu zmoczył łóżko.

Deszcz uderzał o dach. Dexter pomyślał o krwi, rozwodnionej teraz i rozplywającej się po okolicy, wsiąkającej w glebę. Jej ofiara z krwi, cena, którą zapłaciła za miłość. Nie udało mu się zasnąć z powrotem.

Kiedy się ubierał, deszcz osłabł. Do czasu, kiedy wyszedł na dwór, słońce przedarło się przez smugę chmur. Powietrze było gęste niczym syrop i nikt nie poruszał się w domach, położonych wzdłuż ulicy. Cały świat miał kaca.

Dexter wszedł na ścieżkę. Nie był pewien, dlaczego to zrobił. Może chciał ożywić wspomnienie poprzedniego dnia, szarpaniny, łez, kropli krwi. Może chciał wziąć but.

W drodze przez las woda kapiała z zielonych liści nad jego głową. Gdy dotarł do polany, przemoczyło mu koszulkę. Las - kapiący od deszczu, rozpościerający gałęzie, z drzewami rosnącymi i spijającymi wodę, z potokiem szerokim i błotnistym - był żywy. Powietrze pachniało ziemią i grzybami. Dexter wyszedł na polanę.

Ziemię pokrywały rozdarcia rozkopanej ziemi. Brązowe dziury. Puste. Tam, gdzie Dexter zakopał zwierzątka.

Ofiara z krwi. Działa jak magia. Szczególnie w Halloween. Dexter usiłował oddychać. Drganie w jego żołądku zamieniło się w drewniany supeł.

Za krzakiem wawrzynu, gdzie ukrywał się poprzedniego dnia, rozległ się wilgotny odgłos łamanych gałązek.

Nie. To, co martwe, nie wraca do życia. Tak dzieje się tylko w głupich filmach.

But Tammy Lynn zniknęła. Ona na pewno tu nie wróciła. To musiał być Riley, który chciał zrobić mu dowcip. Ale skąd Riley miałby wiedzieć, gdzie Dexter pogrzebał zwierzęta?

Usłyszał jękliwy, gardłowy odgłos, który brzmiał jak skrzyżowanie gdakania z warczeniem, a może trochę jak



dziwaczne miauczenie. Wawrzyny się zatrzęśły. Coś się w nich poruszało.

- Riley? - szepnął zachrypniętym głosem.

Charczenie.

- Wyłaż, dupku - powiedział głośnie.

Mignęło mu futro, ubrudzone i sklezione błotem. Uciekł ścieżką. Jego buty prawie nie dotykały ziemi, obawiały się jej dotknąć; ziemi, która została zatruta magią krwi. Wydawało mu się, że słyszy, jak coś go ściga, kiedy wbiegł do ogrodu - delikatne, miękkie uderzenia łap albo prześlizgiwanie się po poszyciu - lecz serce waliło mu tak mocno, że nie był pewien. Wpadł do domu i zamknął drzwi na klucz, a potem opierał się o nie tak długo, aż odzyskał dech.

Coś uderzyło o ganek, stukając o drewniane deski. Po tym ostrym dźwięku - grzechotaniu, jak od pazurów albo grubych paznokci - przyszedł mokry, przeciągły odgłos.

Klekot, ślizg. Klekot, ślizg.

Zatrzymał się tuż pod drzwiami.

Dexter nie mógł się poruszyć.

- Co ci, do cholery, jest? - Mama stała pod przejściem do kuchni. Jej twarz była ściągnięta, oczy rozszerzone, skóra pokryta plamami. Tłuste pasma włosów przyczepiły się do jej czoła.

Dexter z trudem złapał powietrze i przełknął ślinę.

-To...

Wykrzywiła się do niego i zacisnęła pięści. Wiedział, że powinien dobrze trafić z odpowiedzią.

- Po prostu biegałem.

- O zawał mnie przyprawisz, jak będę tak ciągle się o ciebie martwić. Same kłopoty z tobą. - Potarła skronie. Jej zapach wypełnił niewielkie pomieszczenie - słodki i ostry jak

worek zgniłych owoców. Dexter przyłożył ucho do drzwi. Nic nie było słychać. - Dlaczego jesteś taki blady? Nie mówiłeś, że się źle czujesz.

Wzdrygnął się.

- Wstawaj z ziemi. Na litość boską, dość mam tu roboty i bez prania ciuchów, które brudzisz po trzy razy każdego cholernego dnia.

Przemknął obok niej do salonu.

- Lepiej wstawię pranie - powiedziała mama, do nikogo w szczególności. Jej dłoń zacisnęła się na klamce i Dexter miał ochotę krzyknąć, zabrać jej rękę. Ale oczywiście nie mógł. Mógł tylko patrzeć, wstrząsany mdłościami, jak otwiera drzwi i wychodzi na zewnątrz. Poszedł za nią aż do drzwi z moskitierą.

Ganek był pusty.

Oczywiście, że tak. Potwory pasowały tylko do filmów albo głupich historyjek. Zachowywał się jak czwartoklasista. Rzeczy wracające z martwych? Końskie łajno, jakby to określił tata.

Mimo to nie wyszedł na dwór przez resztę wieczoru, chociaż niebo się przejaśniło. Mama była w lepszym nastroju po pierwszym sześciopa-ku. Dexter oglądał kreskówki, a potem pograł trochę w gry wideo. Próbował nie nasłuchiwać klekotu i ślizgu.

Przyszedł jeden z chłopaków mamy. To był ten z wystrzępionym wąsem, ten, który nazywał Dextera „młodym”. Mama i jej gość zniknęli w sypialni, a Dexter usłyszał odgłosy kłótni i pękającego szkła. Chłopak mamy wyszedł po jakiejś godzinie. Mama nie opuściła pokoju. Dexter poszedł spać bez kolacji.

Leżał w łóżku, myśląc o magii i ofierze z krwi. I o otwartych grobach na cmentarzu dla zwierzaków, który powinny

być wypełnione kośćmi, rozkładającą się tkanką, futrem pokrytym pleśnią, odciętymi wąsikami i łuskami. Chciał wymazać wspomnienie stworzenia w krzakach, tego, co poszło za nim aż do domu. Nie mógł spać, mimo że był zmęczony od ciągłego napięcia.

Jego oczy wędrowały wciąż ku zimnej szybie między zasłonami. Latarnia uliczna rzucała na łóżko cienie, ruszające się jak żywe stworzenia. Próbował wytłumaczyć sobie, że to tylko drzewa, poruszane wiatrem. Nic nie zamierzało go dopaść, z pewnością nie te wszystkie zwierzęta, które poćwiartował. Nie, tamte zwierzaki go kochały. Nigdy nie zrobiłyby mu krzywdy.

Prawie już się uspokoił, kiedy usłyszał delikatne uderzenie łap o parapet. To był ten dźwięk, który czyniły koty, kiedy chciały zostać wpuszczone do środka. Mama Dextera nie pozwalała im przebywać w domu, ze względu na kłaczki i plamy, które robiły po kątach. Ale Dexter zawsze wpuszczał je w nocy, żeby zwinęły się w kłębek na kocu w nogach łóżka. Przynajmniej przez jakiś tydzień, dopóki się nimi nie znudził.

Ale w tej chwili nie miał żadnych kotów. Więc to coś przy oknie nie mogło być kotem. Dexter podciągnął koc aż po oczy „Coś” obilo się o szybę, wilgotne i obłe, jak nos.

Nie, nie, nie - nie nos.

Nakrył głowę poduszką. Wówczas tamten dźwięk zastąpiły szybkie uderzenia o ścianę. Dexter skulił się pod pościelą i liczył od stu wstecz,

tak jak wtedy, kiedy miał sześć lat i tata po raz pierwszy powiedział mu o potworach, mieszkających w szafie.

Sto (żadnych potworów), dziewięćdziesiąt dziewięć (żadnych potworów), dziewięćdziesiąt osiem (żadnych potworów)...

Po tym, jak powtórzył to trzy razy, nie usłyszał już żadnych klekotów ani uderzeń. Zasnął, owinięty dokładnie w koce.

Obudził się, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Usiadł szybko i wyrztał przez okno. Nic prócz nieba i niedzielnego słońca.

Ojciec przyjechał po niego po południu. Dexter musiał wyjść na róg, żeby się z nim spotkać. Pilnie przyglądał się lasowi, w razie gdyby coś miało poruszyć się w liściach. Wydawało mu się, że słyszy drapanie, ale wtedy był już na tyle blisko ojca, by wsiąść do samochodu.

Tata popatrzył nad głową Dextera na dom.

- Mój własny cholerny dach - mruknął pod nosem.

- Cześć, tato.

- Pewno naopowiadała ci o mnie samo końskie łajno. -

Zaciskał ręce w pięści na kierownicy. Dexter wiedział, co te pięści potrafiły zrobić. Musiał istnieć jakiś sposób na to, żeby go uspokoić. Nagle znikąd przypląnęły do niego słowa Rileya: powiedz im, że kochasz.

Tak. Działa jak magia. Widział, co z tego wyszło.

Dostajesz to, co chcesz, ale ktoś musi za to zapłacić.

- Nic nie mówiła.

- Jacyś faceci się kręcą?

- Nikt. Tylko my. My... Tęsknię za tobą.

Tata rozluźnił pięści i zwichrzył Dexterowi włosy.

- Ja też za tobą tęsknię, chłopcze.

Dexter chciał zapytać, kiedy tata zamierza się wprowadzić z powrotem, ale nie chciał go znowu rozzłościć. Lepiej nie wspominać o mamie, domu czy czymkolwiek innym.

- Może pojedziemy na wysypisko? Mam nowego Rugera do wypróbowania.

Dexter uśmiechnął się blado, gdy tata cofał samochód.

Spędzili dzień na wysypisku śmieci. Dexter strzelał do

butelek, a tata grzebał w śmieciach, szukając rzeczy, które dałoby się uratować i strzelając do szczurów, jeśli pokazywały swoje ostro zakończone pyszczki. Dexter nie cieszył się w ogóle, kiedy gryzonie wybuchały na czerwone strzępy. Tata miał dobre oko.

Po drodze do domu zjedli hamburgery z baru szybkiej obsługi. Było prawie ciemno, kiedy tata podrzucił go na koniec ulicy. Dexter miał nadzieję, że żaden z chłopaków mamy nie kręci się po okolicy. Otworzył drzwi, żeby wyskoczyć, a potem się zawahał, przypominając sobie klekot- -i-ślizg. Udało mu się zapomnieć, oszukać samego siebie pod czystym, błękitnym niebem, gdy otoczony był przez brud, zardzewiały metal i zepsute meble. W ciągu dnia wszystkie koszmary rozplływały się niczym mgła.

Dexter spojrział w kierunku domu. Jedną rękę nadal trzymał na drzwiczkach samochodu. Tata musiał widocznie pomyśleć, że ociąga się z odejściem, bo, jak to syn: tęskni za ojcem; i że żadna zadzierająca nosa suka nie ma prawa trzymać go z dala od jego własnych „krwi i kości”.

- Wszystko w porządku. Zobaczymy się gdzieś za tydzień  
- obiecał.

Dexter rozpaczliwie szukał czegoś do powiedzenia; czegoś, co odsunęłoby widmo trzydziestometrowego marszu przez ciemny ogród.

- Tato?

-Co?

- Kochasz mamę?

Dexter widział tylko sylwetkę ojca na tle odległych latarni ulicznych. Świerszcze cykały w lesie. Po dłuższej chwili tata rozluźnił się i westchnął.

- Pewnie. Jasne, że kocham.

Dexter spojrział na ulicę i las, który wydawał się podpełzać do fundamentów domu.

- Bałeś się kiedyś?

- Wszyscy się czegoś boimy. Coś cię dręczy?

Dexter potrząsnął głową, a potem zdał sobie sprawę, że tata pewnie nie widzi go po ciemku.

- Nie - stwierdził, a potem dodał: - A wierzysz w magię?

Tata się roześmiał. Wydawał się mieć gardło pełne śliny.

- Co ona ci za szajsu naopowiadała?

- To nic. Nieważne.

- Co za suka.

- Lepiej już pójdę, tato.

-Aha.

- Na razie. - Chciał powiedzieć tacie, że go kocha, ale za bardzo się bał.

- A powiedz, co stało się z tym twoim szczeniakiem?

- Przejechali go.

- Kurczę. Powiem Clemowi, żeby załatwił ci jeszcze jednego.

- Nie, nie trzeba.

- Jesteś pewien?

-Tak.

- To na razie.

-Tak.

Dexter odsunął się od samochodu. Tata odjechał z rykiem silnika, a on przyglądał się zmniejszającym się tylnym światłom. Ludzie z nielicznego sąsiedztwa przyklejeni byli do swoich telewizorów. W oknach salonów błyskało niebieskie światło. Drzewa przypominały szkielety o zbyt wielu kościach.

Liście przemknęły po ulicy, szurając o asfalt. Parę ulic dalej zaszczekał pies. Przynajmniej brzmiało to jak pies. Taka

porządna, pełna wigoru, żyjąca i oddychająca fabryka bobków. Nikogo prawdopodobnie nigdy nie skrzywdziła.

Wszedł do łysego ogrodu, niechętnie zostawiając za sobą ostatni snop światła latarni. Rozważał pójście dalej wzdłuż ulicy i przecięcie ogrodu od drugiej strony, ale to też wydawało się przerażające. Jesienny las czaił się z każdej strony. Las z tymi rzeczami, które robiły klekot i ślizg.

Próbował gwizdać podczas marszu, ale w gardle mu zaschło, jakby połknął pajęczynę. Myślał, czy by nie pobiec, ale był to kiepski pomysł. W każdym głupim filmie, w którym martwi wracali do życia, zawsze cię dopadają, kiedy biegniesz.

Dlatego robił długie, powolne kroki. Głowę trzymał opuszczoną, bo wydawało mu się, że w ten sposób lepiej słyszy. Połowa drogi do domu. W kuchni paliło się światło, więc kierował się ku tamtemu prostokątowi światła, który rozciągał się od tylnych drzwi do trawnika.

Był pięć metrów od ostoi bezpieczeństwa i światła, gdy to usłyszał. Klekot-i-ślizg. Ale to nie wszystko. Słyszać było również zmieszany z tym charkot, a także pełne cierpienia miauczenie i szelest liści. Dźwięki dobiegały zza krzaka forsycji obok tylnych schodów. To coś było pod gankiem. W tym miejscu, gdzie Fabryka Bobków lubiła drzemać w słoneczne popołudnia.

Dexter zatrzymał się.

Uciekać? Zawsze cię dopadają, jeśli uciekasz. Ale teraz, kiedy o tym pomyślał, doszedł do wniosku, że i tak zawsze cię dopadają. Szczególnie, jeśli jest się tym złym. Dexter był tym złym. Może nie tak złym jak Riley.

Ale Riley przynajmniej znał się na miłości, co zapewne chroniło go przed złymi rzeczami.

Wołać mamę? Zapewne leżała na kanapie, pijana do

nieprzytomności. Jeśli wyszłaby na ganek, to „coś” by zniknęło. Był tego pewien, bo to stworzenie należało do niego i tylko do niego.

Wiedział, co by się stało, gdyby krzyknął. Mama zapaliłaby światło na ganku i nie zobaczyła nic, nawet zabłąkanego włosa, tylko oczyszczony kawałek ziemi za forsycją. I powiedziała by: „Co sobie, cholera, myślisz, że możesz obudzić pół dzielnicy tylko dlatego, że usłyszałeś coś pod gankiem? Nic tam nie ma.”

I zapewne dałaby mu w twarz. Poczekałaby, aż wejdą do środka, żeby sąsiedzi nie wezwali opieki społecznej. Może użyłaby sprzączki paska, jeśli piła tego wieczoru coś mocniejszego od piwa.

Zrobił niepewny krok w tył. Z powrotem do chodnika, do latarni ulicznych? A potem co? Trzeba w końcu wejść do domu. Stworzenie wydało z siebie charkot, chrapliwe miauknięcie. Czekalo.

Potwór, który potrafił zniknąć, mógł zrobić wszystko. Nawet jeśli Dexter wybiegłby na ulicę, stwór mógł z klekotem wyslizgnąć się z kratki ściekowej albo wyskoczyć zza jednego z tych gratów, które poniewierały się po zaroślach koło drogi. Mógł zeskoczyć z gałęzi tamtego wielkiego czerwonego klonu, który rósł na brzegu trawnika. Nie można walczyć z magią krwi, kiedy tworzy ona potwora w Halloween.

Istniało trzecie rozwiązanie. Pójść przed siebie. Próbować dalej gwizdać. Nie bać się w ogóle. Ani troszeczkę. La-la-la-la.

I to był właściwie jedyny wybór. Stwór nie zniknął. Dexter wszedł w prostokąt światła i wydał usta. Stawiając nogę na pierwszym stopniu, wciąż usiłował gwizdać. Potwory nie istnieją, prawda?

Krzak się zatrząsł, zrzucając kilka ze swoich późnych żółtych kwiatów. Charkot przerodził się w kaszlący pomruk.



Dexter usiłował utrzymać wzrok na drzwiach, drzwiach, które były rozwarstwione u dołu, gdzie piesek i koty drapały, żeby dostać się do środka. Drzwiach z wgniecioną mosiężną klamką, drzwiach ze zlepioną taśmą szybą, drzwiach, które otwierały się na miłość i bezpieczeństwo, obiecujące przez jasne światło domu. Te drzwi stały się zamazanym, lśniącem klinem, zagubionym wśród łez, kiedy stworzyciel wyszedł z cienia.

Dexter zamknął oczy i czekał na ugryzienie, rozdarcie swoich niebieskich dżinsów i mięśni na goleniu, grzechotu zębów na kości. Zesztywniał

w oczekiwaniu zimnych pazurów na swym brzuchu, gorącej śliny na klatce piersiowej, szorstkiego języka na tym miękkim miejscu pod brodą.

Klekot-i-ślizg.

Serce przestało mu na chwilę bić, a potem na nowo zaskoczyło. Nadal żył. Nie czuł jeszcze bólu. Starał się oddychać. Powietrze smakowało jak rdzewiejące mięso.

Może to zniknęło. Ale słyszał, jak dyszy przez wilgotne nozdrza. Tuż pod nim. Wystarczająco blisko, by czuł powiew miauknięć na swojej nodze.

Czy to „coś” delectowało się strachem ofiary? Tak jak Dexter, w te wszystkie popołudnia i sobotnie poranki, które spędzał na klęczkach w lesie, ze scyzorykiem, zwierzakami i płaczem ze strachu i samotności? Wiedział, że strach to była ta najgorsza część; to, co wywoływało drganie i nudności w żołądku.

Musiał okazać strach. Tak byłoby sprawiedliwie. Tyle się im należało. A jeśli będzie wyglądał na dość przerażonego, może stworzenie okaże mu litość i po prostu rozerwie tę wielką tętnicę w szyi, żeby Dexter szybko umarł. Potem będzie mogło z klekotem wślizgnąć się z powrotem do lasu, zaciągnąć kawałki

swojego ciała do grobu i samo pochować swoje kości.

Dexter spróbował otworzyć oczy, ale nie mógł. Stwór nadal miauczał i charczał. Oczekiwanie było najgorsze. Można było wstrzymać oddech, modlić się, wrzeszczeć, uciekać. I tak zawsze cię dopadały.

Nadal czekał.

Zamrugął. Świat składał się wyłącznie ze smug, pręgi światła, szarej plamy domu, większej, ciemnej plamy nocy. Coś szturchnęło go w kolano. Spojrzał w dół. W piersi buchało mu gorąco, jak z pieca.

To nie zniknęło.

Jego wzrok napotkał dwoje oczu. Jedno okrągłe i ciemne, bez białka, skryte pod egzotycznym kawałkiem skóry. Drugie, żółte i gadzie, osłaniała ciężka powieka.

Za oczami kawałki mięsa formowały czoło. Tam, gdzie się stykały, widać było poszarpane różowe linie, wydzielające rzadki śluz. Część to futro, część - pióra, łuski, odsłonięte kości. Czerwony koguci grzebień zwisał za jednym zniekształconym uchem.

Za zgniecioną śliwą nosa znajdowały się wąsiki i szerokie usta, otwarte, żeby pokazać zęby różnych rodzajów. Psie, kocie, rybnie wypustki chrząstki, pomarańczowe kawałki dziobu, niczym cukierki przypominające ziarna kukurydzy.

Nad wielkim, ociekającym śluzem łbem górował garb kawałków polędwicy, piersi, skrzydełek, płetw i skorupy. Cała ta upiorna kombinacja aż drgała od robaków, rozkładu i magii.

Bryła łba dotknęła jego nogi. Posoka przesiąkła spodnie.

O Boże.

Pragnął teraz, by koniec nadszedł prędko - bo podarował stworowi swój strach, i to było wszystko, co posiadał. Odpłacił mu należycie. Ale w mrocznej klatce swego serca wiedział, że to

nie był koniec. Znowu otworzył oczy.

Dziwne ślepie patrzyły na niego. Zebrzące bliźnięta.

Trzeba im pozwolić się pożywić. Strachem, czy czymkolwiek innym, czego potrzebują.

Stwór przytulił się do jego nogi, miauczając oślizgłe. Za kadłubem coś prześlizgiwało się rytmicznie po liściach.

Postronek z szarego, czarnego i rdzawego futra.

Nadłamanym ogonem.

Machał.

Machał.

Machał i chciał.

Przebaczał.

Dexter rozplakał się bez wstydu. Kiedy stwór znowu go szturchnął, chłopak sięgnął w dół drżącą ręką i pogłaskał go pomiędzy ostro zakończonymi, gnijącymi uszami.

Wtedy, nieproszony, powrócił do niego głos Rileya, jak jakiś płonący krzak albo ciemniejsza chmura: „Powiedz im, że kochasz.”

Dexter ukląkł, drżąc na całym ciele. Stwór polizał go po miękkiej skórze pod podbródkiem. Nie było ważne, że jego język był łuskowaty i pokryty ziemią z lasu. I zimny, zimny jak grób, jak długa zima.

Kiedy pozwalasz im się kochać, należy im się coś w zamian.

Objął potwora, który przesuwiał się z dygotem w jego kierunku, wydając śliski klekot i gubiąc po drodze kilka kawałków. Ale jego ogon nadal uderzał o ziemię, teraz nawet szybciej, wyrażając swoje uczucie.

Nagle ogród eksplodował światłem.

Tylne drzwi się otworzyły. Mama stała na ganku, z jedną ręką na włączniku światła, a drugą trzymającą poły znoszonego

flanelowego szlafroka na wysokości piersi.

- Co tu się, u cholery, dzieje?

Dexter uniósł głowę. Klęczał u stóp schodów. Jego objęcia były puste i suche.

## GŁÓD

Robert Cichowlas

Robert Cichowlas (ur. 1982) - pisarz, redaktor, recenzent, publicysta. Ukończył kulturoznawstwo na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Publikował na łamach „Czachopisma”, „Grabarza Polskiego”, „Magazynu Fantastycznego”, „SFFiH”, a także w antologiach. W roku 2009 podjął współpracę z Jackiem M. Rostockim, czego efektem jest antologia Sępy, natomiast w 2010 roku zaczął pisać do spółki z Kazimierzem Kyrzem - ich najnowsze książki to powieści: Koszmar na miarę i Efemeryda. Robert Cichowlas jest współautorem obszernej pozycji biograficzno-beletnystycznej poświęconej Grahamowi Mastertonowi, którą przygotowuje wydawnictwo Albatros. Niebawem również ukaze się jego najnowsza powieść horroru Szósta era, a także antologia Powtórne przyjście napisana z Kyrzem. Opowiadanie Głód zostało sfilmowane w roku 2008 przez Patryka Jurka, a obraz nagrodzono na festiwalu filmowym Drzwi w Gliwicach.

23 kwietnia 2004, piątek

Jestem głodny.

Pewnie zaraz po odłożeniu pióra zaszyję się w kuchni i upichcę „małe co nieco”. Marzy mi się jajecznicą na bekonie z kilkoma plasterkami pomidora. Na samą myśl o tym cieknie mi ślinka.

Dziś obudziłem się wyjątkowo późno, bo grubo po siódmej. Głowa pękała mi w szwach i jedyne, na co miałem ochotę, to aspiryna i szklanka wody mineralnej. Nie zwykłem spać do późna - jestem jednym z tych, którzy twierdzą, że spanie to strata cennego czasu. I słusznie, prawda?

Wygramoliłem się z łóżka i poczłapałem do łazienki.

Z determinacją szorowałem zęby, gdy nagle usłyszałem dzwonek do drzwi. Zakląłem pod nosem. Nie cierpię, gdy ktoś przerywa mi poranną toaletę.

Znowu ta stara bździągwa spod szesnastki chce pożyczyć cukier - pomyślałem, lecz kiedy podszedłem do drzwi i spojrzałem przez wizjer, zamiast sąsiadki, ujrzałem mężczyznę w eleganckim czarnym garniturze. Trzymał w dłoni teczkę.

Zdawało mi się, że już go kiedyś widziałem, jednak za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć kiedy.

Otworzyłem drzwi.

Mężczyzna był wysoki i postawny. Miał krótko ostrzyżone włosy, kozią bródkę i pachniał drogimi perfumami. Zobaczyłem, że przedmiotem, który trzymał w ręku nie jest teczka, tylko lśniąca czarna walizka.

- Dzień dobry - powiedział piskliwym głosem, który zupełnie do niego nie pasował. Zapytałem o co chodzi.

- Mogę wejść? - zagaił uprzejmie, po czym dodał, lekko się uśmiechając: - Zajmę panu naprawdę niewiele czasu, a wiem, że będzie pan zainteresowany tym, co mam do zaoferowania.

Kolejny przedstawiciel handlowy - stwierdziłem

niepocieszony, po czym odparłem krótko:

- Jestem bardzo zajęty

Miałem właśnie zamknąć drzwi, ale mężczyzna zwinnie wsunął się do mieszkania i z przeproszającym wyrazem twarzy powiedział:

- To naprawdę nie zajmie wiele czasu, a na pewno pana zainteresuje.

Popatrzyłem na niego uważnie.

- Nie interesują mnie żadne promocje ani informacje o odkurzacach-prototypach, czy żelazkach, które same prasują. Rozumiemy się?

- Nie przyszedłem tutaj, aby irytować pana tego typu opowiastkami.

Gdy zamilkł na moment, posłałem mu pytające spojrzenie.

- Wiem, że jest pan doskonałym kucharzem - rzekł wreszcie. - Przyrządzanie dań jest pańską pasją, nie mylę się, prawda? Wiem także, że zna się pan na perfumach. To pańska druga pasja. Zapach ma dla pana ogromne znaczenie i przywiązuje pan do niego dużą wagę.

Niewątpliwie miał rację. Ciekawe, skąd to wiedział. Tak, czy owak, nadal drzemał we mnie sceptycyzm.

- Proszę wybaczyć, ale nie jestem niczym zainteresowany - odparłem spokojnie i poprosiłem nieproszonego gościa, aby opuścił moje mieszkanie. Ku mojemu największemu zaskoczeniu facet roześmiał się, a potem energicznie potrząsnął głową.

Podszedł zwawo do niewielkiego dębowego stolika i otworzył walizkę.

- Proszę spojrzeć - polecił.

Niechętnie rzuciłem okiem. Walizka wypełniona była dwoma rzędami kolorowych flakoników z perfumami.

- Po blisko ośmioletniej pracy w perfumerii wie pan, jak odróżnić dobry zapach od kiepskiego, zgadza się?

Pociągnąłem nosem, nie odzywając się słowem.

Mężczyzna mówił płynnie. Starannie dobierał każde słowo, jakby bał się, że najmniejsze zająknięcie może go drogo kosztować.

- Nie przyszedłem tu po to, aby wciskać panu chłam. Nie jestem akwizytorem, ani nikim podobnym. Sądzę jednak, że mam coś, co bardzo się panu spodoba. Zaraz powiem, o co chodzi.

Gadał jak skończony wariat, ale trzeba było przyznać, że pasja, z jaką cedził każde słowo, spowodowała, że spytałem:

- Zatem, co pana do mnie sprowadza?

Krążył naokoło walizki jak psiak zainteresowany małą myszką, która właśnie wyszła ze swojej norki.

- Czuję, że jest pan zaintrygowany - powiedział z dumą. - Bardzo się cieszę. Czy moglibyśmy zatem usiąść i spokojnie porozmawiać?

Kiedy uśmiechnął się szeroko, zobaczyłem jego nieskazitelne uzębienie. Wyglądał na człowieka zamożnego i absolutnie niegroźnego. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Zaprowadziłem go do jednego z dwóch pokoi i poprosiłem, aby usiadł w fotelu. Zaproponowałem kawę, lecz odmówił. Nie miał też ochoty na lampkę wina ani szklaneczkę whiskey.

Usiadłem w drugim fotelu i potarłem dłonie. Chrząknąłem, czując lekkie zakłopotanie. Ciekawiły mnie flakony w jego walizce. Naprawdę ciekawiły. Wpatrywałem się w nie uważnie, zastanawiając, kto jest ich producentem. Kształtem nie przypominały żadnych znanych mi perfum.

Widząc moje narastające zainteresowanie, mężczyzna ponownie się uśmiechnął, po czym zaczął mówić:

- W walizce znajduje się dziesięć flakonów. Pomimo, że jest pan doskonale obeznany w branży, zapachy, które mam przy sobie, są panu obce. Nie są tanimi podróbkami, które tak często sprzedaje się na rozmaitych targach po zaskakująco niskiej cenie. To są wyjątkowe perfumy.

Słowo „wyjątkowe” wypowiedział przymykając na chwile oczy tak, jakby chciał podkreślić magię tego wyrazu. Ostrożnie wyciągnął jeden z flakonów i podał mi go do ręki. Buteleczka - koloru wiśniowego - była niewielka i chłodna w dotyku. Znajdowało się w niej niewiele ponad dziesięć mililitrów płynu.

- Proszę odkręcić. - Usłyszałem podniecony głos.

W skupieniu popatrzyłem na flakonik, po czym delikatnie odkręciłem błyszczący korek. Prawie natychmiast poczułem tę woń. Była ujmująca; słodka, jakby owocowa. Mężczyzna miał rację: nigdy czegoś podobnego nie wahałem. Przejmujący zapach, który szalenie przypadł mi do gustu.

Zmrużyłem oczy.

- Owocowy? - zapytałem po krótkiej chwili.

Mężczyzna w garniturze podrapał się po głowie.

- Wszystko, co dotyczy tych perfum, jest na razie tajemnicą - odparł.

- Mogę zdradzić nazwę firmy, która je produkuje, choć jestem przekonany, że nic ona panu nie powie.

- Jak brzmi ta nazwa?

- Hunger. Nie ma jej jeszcze na rynku.

- Hm - westchnąłem cicho, nie przestając delektować się niebiańskim zapachem. Z pewnością nie był on zwyczajny. Pachniał luksusem.

- Widzę, że woń przypadła panu do gustu.

Przytaknąłem.

- Owszem. Jest wyjątkowa.



- To tylko jeden z dziesięciu zapachów, jakie mam przy sobie. Za moment pozna pan resztę tego cudu.

Nie mogłem się doczekać, kiedy poprosi, abym otworzył kolejną buteleczkę. Byłem przejęty jak niemowlę, które za chwilę napije się mleka z butelki. Przez moment próbowałem porównać ten zapach do jednego z wielu, które znałem. Jednak żaden z zapachów Hugo Bossa, Giorgio Armani, Kenzo, Yves-Saint Laurent czy Gucciego nie przypominał tego z małej wiśniowej buteleczki. Nie potrafiłem trafnie opisać tego zapachu. Był słodki, bardzo słodki. Brzoskwiniowy albo morelowy. Cholernie subtelny.

Kiedy została mi wręczona druga buteleczka, zadygotałem z podniecenia. W pośpiechu otworzyłem flakon i zacząłem wąchać. Zapach prawie powalił mnie na kolana: ostry, intensywny jak Chanel N°5, słodkawy jak Hugo i tajemniczy jak Rush od Gucciego. Zdecydowanie damski zapach. Rozkoszny. Skojarzył mi się z domem nad brzegiem jeziora, polnymi kwiatami, wanilią.

- Wspaniały - mruknąłem.

Mężczyzna w czarnym garniturze przytaknął.

- Bardzo by pan chciał posiadać jeden z tych zapachów, prawda?

- zapytał w końcu - Jest pan podekscytowany.

- Owszem - odparłem niemal natychmiast. - Jednak obawiam się, że nie stać mnie na kupno ani jednego.

- Zatem mam dla pana niespodziankę. Proszę ocenić, który z nich jest najlepszy i najbardziej fascynujący, a potem proszę go sobie zatrzymać.

Popatrzyłem na niego uważnie.

Żartuje sobie ze mnie? - pomyślałem. Nie miałem pojęcia, gdzie tkwił haczyk

- To jakaś forma promocji? Reklamy? - zapytałem.

- Nie, nic z tych rzeczy. Jestem tu, bo wiem, że zna się pan na sprawie i potrafi rozpoznać dobry zapach. Dlatego też firma, po przejrzeniu pana dokumentów, stwierdziła, że najbardziej nadaje się pan na osobę, która mogłaby wydać opinię na temat owych perfum. W zamian za to jedne z nich mogą należeć do pana.

Generalnie rzecz ujmując, nie miałem powodów, aby dalej węszyć spisek. Jakiś czas temu wysyłałem aplikację do dopiero powstającej firmy, mającej zajmować się produkcją perfum. Pamiętam, że zastanawiałem się, czy nie będą produkować przypadkiem jakichś gówien, aby następnie opchnąć je na lewo.

Pokręciłem znacząco głową

- Rozumiem - wymamrotałem po chwili - Cóż, zatem nie widzę problemu. Myślę, że powinienem czuć się zaszczycony

Mężczyzna wyszczerzył zęby i bez wahania podał mi dwa kolejne flakony. Zacząłem wąchać i oceniać zapachy. Musiałem przyznać, że były ujmujące, wprost niebiańskie. Nie miałem wątpliwości, że firma szybko zabłyśnie na rynku. Kiedy skończyłem delektować się ostatnim zapachem, usłyszałem:

- Teraz proszę wybrać sobie jeden.

Podjęcie decyzji zajęło mi kilka sekund. Chwyciłem do ręki kilku- dziesięciomililitrową złotą buteleczkę i oświadczyłem, że ten zapach najbardziej mi się podoba.

Mężczyzna uścisnął mi dłoń.

- Zatem, jest już pana.

- Dziękuję serdecznie.

- To ja bardzo dziękuję. Na wszelki wypadek zostawię swoją wizytówkę. Myślę, że niedługo pan się ze mną skontaktuje. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Podniosłem na niego wzrok, zaintrygowany.

- Dlaczego miałbym dzwonić? - zapytałem.

- Hmm. - Facet roześmiał się. - Po prostu, aby porozmawiać - dokończył już bardziej poważnym tonem.

Nie bardzo wiedziałem, jak zareagować.

Miałem właśnie raz jeszcze podziękować za prezent i pożegnać się z nieznanym, gdy w moim umyśle zrodziło się ostatnie pytanie:

- Kiedy zaczęliśmy rozmowę, powiedział pan, iż wie, że znam się na gotowaniu - zacząłem ostrożnie, nieznacznie się uśmiechając - I dodał pan, że to spotkanie będzie dotyczyło także tej dziedziny. Czy mogę się dowiedzieć, co pan miał na myśli?

Gdy na mnie spojrzał, dostrzegłem błysk w jego oku.

- To, proszę pana, również jest tajemnicą - odrzekł. - Sam pan zobaczy, co miałem na myśli.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Proszę mi wierzyć, zrozumie pan niebawem.

To był wyjątkowo dziwny facet. Stuprocentowy ekscentryk. Kiedy wyszedł, przez moment stałem na korytarzu, zastanawiając się nad tym, co powiedział. Po chwili wszedłem do pokoju i usiadłem w fotelu. Wpatrywałem się w złotą buteleczkę moich nowych perfum.

Resztę dnia spędziłem przed komputerem, grając w szachy. Co jakiś czas odbierałem telefony od znajomych i rodziców, a równo o szesnastej wyszedłem z psem na spacer. O dwudziestej wyskoczyłem do pobliskiego marketu po kilka puszek heinekena i mrożoną pizzę.

A teraz... teraz znowu boli mnie głowa. Poza tym odczuwam głód. Chyba pójdę coś przekąsić. Tylko co? Sam nie wiem, na co mam ochotę. Może usmażę mielone klopsiki? To nie jest zły pomysł.

Smażone klopsiki. Hmm. Tak sobie teraz pomyślałem, że chyba lepsze byłyby surowe.

24 kwietnia 2004, sobota

Jestem potwornie zmęczony. Dzisiejszy dzień był wyjątkowo wyczerpujący. Wyczerpujący i, jakby to powiedzieć... dziwny.

Wstałem równo o piątej i wyszedłem z psem na spacer. Cała dzielnica Chelsea pogrążona była we mgle. Podążałem spokojnie ulicą Chey- ne Walk, delektując się świeżym powietrzem. Obok mnie rzeka leniwie mknęła swoim kursem. Rozmyślałem o mężczyźnie w czarnym garniturze, o perfumach i... klopsikach.

Na siedemnastą byłem umówiony z Robertem na partyjkę pokera. Robert jest moim znajomym jeszcze z czasów studiów - jedną z nielicznych osób z tamtego okresu, z którą utrzymuję stały kontakt. Mieszka na West Endzie wraz z żoną, dwójką dzieci i wielkim, kudłatym psiskiem. Ostatnio dość często spotykamy się popołudniami, aby pograć w karty, wypić kilka piw i powspominać lata, kiedy w naszych sercach tkwił młodzieńczy bunt. Stary, poczciwy Robert...

Jednak w chwili obecnej nie o Robertcie chciałem wspomnieć, a o Ber- niem - moim owczarku niemieckim.

Jak już pisałem, wyszliśmy na spacer.

W pewnym momencie, ni stąd, ni zowąd, psiak wyrwał się ze smyczy i zaczął podążać w kierunku stojącej przy korycie rzeki starszej kobiety. Zawołałem: „Bernie! Bernie!”, lecz on nie zareagował. Pędził, zdeterminowany, ku staruszce.

Ujrzałem białego pudła, który, wesoło merdając ogonkiem, podbiegł do kobiety i zapiszczał donośnie, spragniony pieśczot. Ta schyliła się i zaczęła drapać go za uszami. A potem...

Doprawdy nie mam pojęcia, co odbiło Berniemu. Był

zawsze taki spokojny i usłuchany.

W tamtej chwili stał się dziką, żądną krwi, bestią. Patrzyłem jak z furją podbiega do pudła i jak rzuca się na niego, na przemian warcząc złowieszczo i szczekając. Toczył pianę z pyska. Był naprawdę wściekły.

Momentalnie ruszyłem w jego kierunku krzycząc, aby przestał. Lecz on dalej gryzł, szatkując łapy swojej ofiary i zlizując z nich krew. Nigdy nie zapomnę tego widoku.

Zdesperowana staruszka wrzeszczała na całe gardło:

- Moja Sofie! O Boże, moja droga Sofie!

Otepiały podbiegłem do Berniego i krzyknąłem, aby natychmiast się uspokoił.

Widok rozszarpanego pudła przeraził mnie. Zwierzak leżał bezwładnie na trawniku, a jego sierść kleiła się od krwi. Miał otwarty brzuch, w którym połyskiwały trzewia.

Staruszka zawodziła głośno, oskarżając mnie o zabicie jej ukochanej Sofie. Przykucnąłem nad pudłem nie bardzo wiedząc, co robić. Byłem kompletnie roztrzęsiony. A potem spojrzałem na Berniego, na jego zakrwawiony pysk.

- Do nogi - syknąłem.

Ale on zamerdał tylko ogonem, po czym położył się na trawie, jakby nieświadomy tego, co zrobił.

Starsza pani poprzysięgła mi odwet.

- Pożałuje pan - zawodziła - Pożałuje pan, jak Boga kocham.

Kiedy wracaliśmy do domu, ukradkiem spoglądałem na Berniego.

Co chwilę oblizywał pysk. Szedł równo przy mojej nodze, radośnie wymachując ogonem.

W domu skarciłem go za to, co zrobił. Krzyczałem na niego tak głośno, że skulił się na podłodze i zaskomlał.

Rozdygotany otworzyłem lodówkę i wyciągnąłem z niej karmę oraz dwie butelki heinekena.

Bernie nie chciał nic zjeść. Pomyślałem, że jest przestraszony i że niedługo pochłonie wszystko, co do ostatniego kawałka.

- Ładnie mnie dzisiaj urządziłeś - warknąłem.

Nie wiem, do diabła, dlaczego widok tego cholernego pudła tak bardzo go zirytował. Myśląc o tym, zabrałem piwo i poszedłem do pokoju.

Byłem zmęczony i wstrząśnięty.

Otworzywszy oczy, ujrzałem zegar ścienny. Wskazywał czternastą.

Musiałem przysnąć - pomyślałem, ziewając.

Niechętnie udałem się do łazienki i wziąłem prysznic. W ogromnym, lekko zaparowanym lustrze zobaczyłem wąską twarz czterdziestolatka z głęboko osadzonymi, brązowymi oczami i trzydniowym zarostem. Wyszczrzyłem ostentacyjnie zęby, następnie odszukałem maszynkę do golenia.

Kilka minut później użyłem nowych perfum. Długo napawałem się ich zapachem, następnie wróciłem do pokoju. Bernie spał na kanapie, cicho pochrapując.

- Mam ochotę urwać ci łeb - mruknąłem.

Kiedy zegar wybił piętnastą trzydzieści, sięgnąłem po marynarkę i wyszedłem z domu. Po drodze zahaczyłem o supermarket. Kupiłem sześciopak heinekena dla siebie i Roberta, białe wytrawne wino dla jego żony Sandry i po paczce czekoladowych cukierków dla dzieciaków.

Ponad czterdzieści minut ślęczałem w korkach, klnąc na czym świat stoi.

Do Roberta zajechałem kilka minut spóźniony. Sandra

uśmiechnęła się szeroko, po czym odwiesiła moją marynarkę na wysoki, drewniany wieszak.

- Nie muszę ci mówić, że masz się czuć jak u siebie, prawda? - zachichotała. Niezwykle urokliwa z niej kobieta - niska, szczupła o wielkich błękitnych oczętach i długich, blond włosach. I te piersi, ciężkie, okrągłe. Nigdy nie mogę się powstrzymać od zerknięcia na nie ukradkiem.

Z kuchni dobiegał do mnie zapach lazanii oraz muzyka Beethovena. Osobiście nie przepadam za klasyką, wolę starsze, rockowe brzmienia jak Deep Purple, Led Zeppelin, Queen, czy Aerosmith. Ale... przecież nie pojechałem tam, aby słuchać muzyki, tylko grać w karty.

Na mój widok Robert ucieszył się, klepnął mnie w plecy i zaprosił do niewielkiego, nowocześnie urządzonego pokoju. Stała tam szeroka sosnowa szafa, sosnowy stolik z dwoma skórzanymi fotelami i nowoczesny sprzęt stereo. Okienne szyby przysłonięte były błękitnymi, jedwabnymi firankami w pstrokate wzory.

Graliśmy prawie do dwudziestej pierwszej, słuchając nowego albumu Tiny Turner i wspominając stare, dobre czasy. Wygrałem czterdzieści funciaków, które przed wyjściem podrzuciłem do pokoju Alana i Sioban. Dzieciaki klasnęły w dłonie i rzuciły się na mnie z okrzykiem zadowolenia.

W drodze do domu prowadziłem nadzwyczaj ostrożnie. Kręciło mi się w głowie, odczuwałem silne zmęczenie.

Gdy wkroczyłem do mieszkania, duchota niemal zwałała mnie z nóg. Ściągnąłem przepoconą marynarkę, po czym poczłapałem do kuchni. Ugasiłem pragnienie kilkoma łykami wody mineralnej i głośno beknąłem. Marzyłem tylko o tym, aby położyć się do łóżka i jak najszybciej usnąć.

Chwiejnym krokiem ruszyłem w stronę pokoju.

Widok, jaki rozpostarł się przede mną, gdy przekroczyłem jego próg, kompletnie mnie przeraził.

Ujrzałem leżącego na parkiecie Berniego. Był cały umazany krwią, a dookoła niego wałały się szczątki surowego kurczaka. Kurczaka i czegoś jeszcze, co wyglądało na sporej wielkości rozprutego gołębia. Jego chrząstki i szczątki mięsa porzrucane były po całym pomieszczeniu. W powietrzu unosiły się ptasie pióra, jakby jatka zakończyła się dosłownie przed chwilą.

- Bernie - wymamrotałem.

Ale Bernie spał. Ani drgnął, gdy po raz drugi wypowiedziałem jego imię.

- Kurwa mać, Bernie!

Jakim, do diabła, sposobem mój pies wydobył z zamrażalnika kurczaka? Dlaczego... dlaczego, do jasnej cholery, najłagodniejsze pod słońcem psisko rozszarpało na strzępy gołębia? I jaki cudem to ptaszysko dostało się do domu?

Przykucnąłem przy Berniem. Oddychał miarowo, co jakiś czas cichutko pochrapując. Ogarnęła mnie kolejna fala mdłości i tym razem nie udało mi się nad nią zapanować.

Zwymiotowałem na podłogę.

A potem rzuciłem okiem na rozszarpanego gołębia.

Serce załomotało mi w klatce piersiowej, po czym nagle zamarło. Przełknąłem ślinę, a następnie nieznacznie rozchyliłem usta.

Coś było nie w porządku. Bardzo nie w porządku. Nabrałem do płuc powietrza, starając się opanować dreszcze.

Spojrzałem na swoje dłonie.

Chwytały właśnie resztki ptaka i zbliżały je do moich ust.

Poczułem niepoohamowany głód. Metaliczny zapach krwi spowodował, że gwałtownie, jednym ruchem szczęki,



odgryzłem kawałek gołębia.

Głód był obezwładniający. Myślałem tylko o tym, aby jeść, jeść, jeść. Czułem spływającą z podbródka krew, a w moim umyśle narodziła się złość. Byłem wściekły, że Bernie zostawił mi jedynie ochłapy.

Dostrzegłem, że wnętrzności ptaka są niemal nienaruszone. Na chwilę zamarłem w bezruchu, próbując opanować drżenie dłoni. Następnie wyszarpnąłem z ciała gołębia miękkie, śliski organ. Mogło to być serce albo kawałek wątroby. Cokolwiek to było, smakowało wyśmienicie. Każdy kolejny kęs potęgował pragnienie i nakazywał działać szybciej. Raz za razem wyszarpywałem następne organy, po czym połykałem je bez gryzienia.

Byłem głodny jak nigdy dotąd.

Smak krwi podekscytował mnie do tego stopnia, że machinalnie pochyliłem się nad podłogą, wbijając wzrok w kleistą ciecz. A potem zacząłem zlizywać ją z paneli. Okrężne ruchy językiem stawały się coraz szybsze. Zamknąłem oczy, mając nadzieję, że to tylko sen. Że za moment obudzę się z krzykiem, podrepczę do łazienki i opłuczę twarz zimną wodą.

Moja żądza stawała się coraz silniejsza. Uświadomiłem sobie, że to nie sen, lecz przerażająca rzeczywistość. Zlizywałem krew z podłogi. Ba, pragnąłem jej, jakby stanowiła główny element mojej drabiny pokarmowej.

Pamiętam, że w pewnym momencie krzyknąłem.

Rozejrzałem się po pokoju, nie pojmując sytuacji. Zrobiło mi się potwornie duszno, jakby nagle w pomieszczeniu zabrakło powietrza.

- Boże - wyjąkałem, czując, jak w moich oczach gromadzą się łzy.

Wtedy obudził się Bernie. Spojrzał na mnie mętym

wzrokiem i leniwie się przeciągnął. Następnie zamerdał ogonem i ziewnął.

- Co tu się dzieje? - zapytałem, patrząc mu prosto w ślepie.

Bernie zaskomlał tylko, po czym wskoczył na kanapę i zwinął się w kłębek.

Ponad dwie godziny zajęło mi doprowadzenie pokoju do jako takiego ładu. Przez cały czas odczuwałem uporczywy głód. Gdy zmyłem z podłogi ostatnią plamę krwi, podreptałem do kuchni i otworzyłem lodówkę. Zobaczyłem, że mam tylko pomidory, ogórki w słoiku, czerwoną paprykę, dwa tuziny jajek, kilka plastrów wysuszonej szynki, kilka jogurtów truskawkowych i od cholery chrzanów, majonezów i ketchupów. Niczego surowego. Żadnego mięsa.

Zamknąłem lodówkę.

Na dziś mam serdecznie dość pisania. Jest już grubo po północy. Moją głowę wypełniają myśli. Przerażające myśli. Muszę się położyć. Wypiję jeszcze piwo i spróbuję usnąć.

Jestem cholernie głodny. Pójdę coś...

Nie. Żadnych jajek. Żadnej kanapki z szynką. Żadnej pizzy.

Już sama myśl o tym, co najchętniej bym teraz zjadł, napawa mnie depresyjnym lękiem...

25 kwietnia 2004, niedziela

Natychmiast po przebudzeniu poczułem ten zapach - słodkawy, subtelny, ujmujący

Nie - pomyślałem - To przecież niemożliwe.

Wygramoliłem się z łóżka, po czym sztywno ruszyłem w stronę korytarza.

Woń roznosiła się po całym mieszkaniu. Z sekundy na sekundę stawała się coraz bardziej intensywna, wręcz dusząca.

Niepewnie wkroczyłem do łazienki. Spojrzałem na półkę z kosmetykami. Pośród butelek z płynami po goleniu, dezodorantów, kremów nawilżających i zużytych, jednorazowych maszynek do golenia, stał, szczelnie zakręcony, złoty flakonik. Ten sam, który otrzymałem od tajemniczego gościa w czarnym garniturze z uśmiechem a la Jack Nicholson.

- Co, do diabła... - wykrztusiłem.

Zapach był tak intensywny, iż w pewnym momencie odniosłem wrażenie, że stracę przytomność.

Usiłowałem sięgnąć po flakonik, lecz ten zdawał się oddalać ode mnie. Był coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie zniknął mi z oczu.

Po chwili spostrzegłem, że leżę na podłodze. Dusłem się, wierzgając nogami i mimowolnie ściskając swoje gardło. Pamiętam, że przez kolejnych kilka godzin nie mogłem się podnieść. Łzawiły mi oczy, a w gardle czułem okropną gorycz.

- fezu - wydusiłem, krztusząc się własną śliną - Zaraz się uduszę...

Dzieje się coś, czego nie potrafię wytłumaczyć. To jest silne, naprawdę silne. Sprawuje nade mną kontrolę. Steruje każdym ruchem, każdą myślą i pragnieniem.

Głód. Cholerny głód.

A może jestem obłąkany?

Po tym, co się dzisiaj wydarzyło, zaczynam myśleć o sobie jako o kimś, dla kogo najlepszym miejscem na spędzanie czasu byłby dom wariatów. Dom bez klamek, białe ściany, cisza i spokój. Może właśnie tego potrzebuję?

Wciąż piszę. Obserwuję swoją drżącą dłoń i metalowy, zimny długopis.

Przeszkadza mi tylko głód. Jest uporczywy, nieznośny. Obezwładnia mnie.

Muszę dotrzeć do jutra, zająć się czymś, nie myśleć o...  
Byle dotrzeć do jutra, byle dotrzeć...

A potem pobiegnę do mięsnego.

Ze mną i z Berniem nie jest dobrze.

Wróciłem z mięsnego z czterema kilogramami surowej kiełbasy. Zdeterminowany wpadłem do mieszkania i, myśląc jedynie o tym, aby pokonać głód, zabrałem się za jedzenie.

Ugryzłem pierwszy kawałek, potem drugi. Wtedy pojawił się Bernie. Z pyska ciekła mu piana i warczał na mnie.

- Czego chcesz? - spytałem, pochłaniając kiełbasę.

Bernie szaleńczo rzucił się na szafkę kuchenną. Zaczął toczyć pianę z pyska i szamotać się, jakby opętał go straszliwy demon.

- Co z tobą?! - krzyknąłem, lecz zwierzę nadal atakowało szafkę kuchenną.

- Bernie, do cholery!

Podąłem mu kawałek kiełbasy. Pies dosłownie wchłonał go bez gryzienia. Widok był szokujący. Jeszcze nigdy nie widziałem Berniego tak podnieconego. Kiedy po raz kolejny rzucił się na szafkę, wiedziałem, że nie da mi spokoju. Byłem zmuszony zaserwować mu kolejny kawałek mięsa. Także i tym razem dopadł go z ogromną furją.

Byłem wściekły. Miałem ochotę kląć na niego i kazać, aby natychmiast pobiegł do pokoju.

- Spokój! - warknąłem, gdy usiadł przede mną, obserwując, jak przeżuwam mięso.

- Ile chcesz? Myślisz, że kupiłem to dla ciebie?

Rzuciłem na podłogę dwie kiełbasy. Zrobiłem to tylko dlatego, aby odczepił się ode mnie, aby pozwolił mi się w spokoju zasycić.

- Dostyc!

Zdawał się mnie nie słyszeć. Łapczywie pożerał kielbasę. Trzęsły mu się uszy i wydawał ciche pomruki.

Boże, co się dzieje? - pomyślałem. Opanował mnie niepokój. Kończyła się kielbasa, a ja czułem ogromny niedosyt.

Spojrzałem na Berniego. Psiak ziewnął i polazł do pokoju, by uwalić się na kanapie. Zostałem sam wraz z pustą siatką po mięsie i odrażającymi myślami.

Nadal pragnąłem jeść. Odczuwałem wściekłość i niepohamowaną żądzę krwi.

Cholerne dwie kielbasy - myślałem - Co mnie naszło, aby rzucać mu tyle żarcia? Pieprzony zwierz. Niech go szlag!

A potem zadygotałem.

To coś znowu było w mojej głowie. Uzurpowało sobie moje myśli:

- Mięso... jak ono... smakuje... surowe...

Jęknąłem, nie mogąc zapanować nad upiornym bełkotem.

- Mięso... jak smakuje... surowe... psie mięso?

Jestem przerażony. Myślę już tylko o jednym. Wyobrażam sobie smak, jaki posiadają jego organy: soczysta wątroba, mięsisty żołądek, miękkie płuca i serce.

Bernie, staruszkule...

Zaczynam obawiać się następnych kilku godzin. Próbuje pisać, ale nie potrafię się skoncentrować.

Głód nie pozwala mi logicznie myśleć.

Położę się do łóżka.

Tak, położę się. Będę czekał na moment, kiedy usnę. A jutro... jutro ponownie odwiedzę sklep mięsny. Trzeba się dobrze zaopatrzyć.

Przede mną długa noc. Muszę wytrwać. Postaram się, lecz...

.. .co, jeśli nie będę mógł się pohamować i zrobię to?

Co, jeśli głód będzie tak bardzo uporczywy, że...

Co wtedy?

Boję się. Cholernie się boję.

Bernie! Mój staruszkę...

26 kwietnia 2004, poniedziałek

Nie wiem, jakim cudem udało mi się zasnąć ostatniej nocy.

Krótko po tym, jak skończyłem pisać w pamiętniku, moje powieki nagle zrobiły się ciężkie jak ołów. Pamiętam jedynie, że, głodny, rzuciłem się na łóżko.

Miałem koszmarny sen. Znalazłem się w niewielkim pomieszczeniu, w którym unosiła się słodkawa, bardzo przyjemna woń jakichś bliżej nieznanymi mi perfum. Dookoła płonęły ogromne świece, stojące w wysokich, złotych lichtarzach. Okna przysłonięte były jedwabnymi zasłonami, a z sufitu, zamiast lampy, zwisała goła żarówka. Wyczuwałem czyjaś obecność. Ktoś bacznie obserwował mnie z ukrycia. Choć nie byłem w stanie dostrzec postaci, doskonale wiedziałem, że to mężczyzna w czarnym garniturze. To jego perfumy czuć było w całym pomieszczeniu.

- Halo! - zawołałem - Proszę pana?

Odpowiedziała mi cisza.

- Proszę pana...

Wtedy - ni stąd, ni zowąd - na maleńkim, stojącym na środku pokoju stoliku, pojawiła się plastikowa misa, wypełniona po brzegi ociekającym krwią mięsem. Poczulem przebiegające po ciele, lodowate dreszcze. Postąpiłem dwa kroki w przód, po czym zastygłem w bezruchu.

W misie znajdowały się sporej wielkości płuca. Były niemal czarne, połyskujące. Choć bił od nich nieprzyjemny, mdły zapach, miałem ogromną chęć, aby skosztować choć kawałek.

Na samą myśl o tym zacisnąłem pięści i wziąłem głęboki oddech.

- Jezu... - wyjąkałem.

A potem dopadł mnie niepohamowany głód. W jednej chwili zacząłem trząść się, moje usta popękały, a oczy zaszczyły łzami.

Boże, nie...

Ponownie podszedłem do stolika.

Nie potrafiłem się pohamować. To tak, jakby ktoś sterował każdym moim ruchem, najmniejszym gestem. Opuszkami palców dotknąłem jedno z płuc. Było miękkie, chłodne, a gdy ścisnąłem je w dłoni, natychmiast wyslizgnęło się i z głośnym plaśnięciem spadło z powrotem do misy. Niezgrabnym ruchem sięgnąłem po nie, po czym pośpiesznie przyłożyłem do ust. Było moje, było już częścią mnie. Nie wyobrażacie sobie ulgi, jaką poczułem, gdy odgryzłem pierwszy kawałek.

Konsumowałem łapczywie, co chwila krztusząc się krwią.

Kiedyś, gdy pracowałem jako inspektor restauracyjny i musiałem ocenić smak podanego dania, zamykałem oczy. To wyostrza zmysły, potęguje koncentrację.

Gdy pałaszowałem surowe płuco, moje powieki były lekko uniesione. Mogłem nie tylko czuć wyjątkowy smak i skupić myśli na konsumpcji, ale także zobaczyć danie. Niesamowite uczucie.

Po prostu jadłem, a sprawiało mi to więcej przyjemności, dostarczało więcej doznań niż seks z najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu.

Nagle zastygłem w bezruchu. Resztki płuca zaczęły spływać między moimi palcami i spadać na blat stolika.

W rogu pokoju dostrzegłem jakiś kształt. Ludzki kształt. Zgasły świece. Jedyne źródłem światła była teraz

zwisająca z sufitu, goła żarówka. Wyteńczyłem wzrok, po czym ruszyłem niepewnie w stronę postaci. Podszedłem bardzo blisko, tak blisko, że poczułem smród zgnilizny bijący z jej ust.

Wtedy ponownie rozbłysły świece.

Najpierw wrzasnąłem, a potem odskoczyłem, potknąłem się o krzesło i runąłem jak długi na podłogę.

To była moja nieżyjąca matka - naga, bez włosów na głowie. Jej klatka piersiowa była dosłownie rozpruta, jakby ktoś potraktował ją piłą łańcuchową. Patrzyła wprost na mnie, czarnymi jak u rekina oczyma.

Zobaczyłem wylewające się na czerwony dywan wnętrzności.

- Mamo... - jęknąłem, po czym spojrzałem na nogi kobiety. Miała rozerwaną łydkę.

- O Boże, mamo...

Nagle z jej ciała wytrysnęła fontanna krwi, zalewając całe pomieszczenie. W jednej chwili poziom cieczy wzrósł o kilkadziesiąt centymetrów. Spanikowany, znowu krzyknąłem, lecz nie ruszyłem się z miejsca. Nie mogłem uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Ciało mojej matki wygięło się pod nienaturalnym kątem.

A potem... potem zalała ją krew.

- Mamo! - zawodziłem - Mamo! Mamo! Mamo!

Mój podkoszulek był mokry od potu, a ja trząsałem się z przerażenia.

Z początku nie byłem pewny, gdzie jestem i co się dzieje.

Spojrzałem na stojący na nocnej szafce zegarek.

Wskazywał piątą rano.

- Dzięki ci, Boże - wychrypiałem, ścierając pot z czoła.

Nie miałem zamiaru wstawać. Byłem osłabiony i w dalszym ciągu odczuwałem senność.



Nie, pomyślałem, ciężko oddychając, nie będę już spał. Nie będę już...

Uzmysłowiłem sobie, że jestem głodny. Jednak, ku mojemu sporemu zaskoczeniu, mogłem zapanować nad łaknieniem.

Leżałem na plecach, wbijając wzrok w sufit, gdy zadźwięczał telefon. W całym mieszkaniu rozległo się głośne piiiip - piiiip, piiiip - piiiip. Rozdygotany, wygramoliłem się z łóżka i poszedłem odebrać. Gdy przyłożyłem słuchawkę do ucha, usłyszałem znajomy głos:

- Witam pana.
- Dzień dobry - odpowiedziałem twardo.
- O, jak miło, że mnie pan poznaje. Już myślałem, że będę musiał się przedstawić. - W jego głosie wyczułem nutę ironii.
- Nie musi pan.
- Jak sprawują się perfumy?

Czułem, że o to zapyta. Odniosłem nieodparte wrażenie, że facet miał wiele wspólnego z tym, co się wydarzyło.

- Dlaczego pan... - wymamrotałem.
- Pytam z czystej ciekawości - odparł natychmiast.
- Wszystko w porządku...

Nastała chwila ciszy, po czym usłyszałem:

- Obaj wiemy, że nic nie jest w porządku, panie Greenwood.

- O co panu chodzi, do diabła?
- Pan doskonale wie, o co chodzi.

Mój rozmówca był wyraźnie rozbawiony.

- Wie pan, prawda? - zapytał, a następnie zaśmiał się sardonicznie.

- Obawiam się, że...
- Za bardzo się pan jąka, panie Greenwood. Niech pan

posłucha. Perfumy, które panu ofiarowałem... - podjął. Jego głos brzmiał jowialnie, lecz był bardzo donośny. - Te perfumy są dość specyficzne, mają pewne właściwości. Sam pan zdążył się już o tym przekonać, zgadza się?

- To wszystko pańska sprawa - wykrztusiłem, kurczowo ściskając słuchawkę.

-Och...

Znowu chichot.

- Od razu moja sprawa. Raczej środka, który pan przyjął. Nic pan nie podejrzewał, prawda?

Poczułem przygnębienie i strach. Paniczny strach.

- Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje?

- Ależ oczywiście, że zdaję sobie sprawę. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę! Tak a propos, rozumie pan już teraz, dlaczego podczas naszego spotkania poruszyłem kwestię kulinariów?

Nie odpowiedziałem. Po raz pierwszy tego dnia poczułem znajomy, ssący głód.

- Zatem, panie Greenwood, wydaje mi się, że należą się panu wyjaśnienia dotyczące całej sprawy. Mam zamiar poinformować pana o przedsięwzięciu firmy, produkującej perfumy, firmy Hunger.

- Nie interesuje mnie to - burknąłem. - Chcę jedynie powrócić do normalności.

Zapanowała chwila ciszy. Usłyszałem, jak mój rozmówca zapala papierosa.

- Widzi pan - rzekł wreszcie - obawiam się, że z tym może być mały problem. Preparat, jak pan zauważył, pobudza organizm do jedzenia. Człowiek zaczyna pragnąć krwi i mięsa. Zresztą, pan to przecież wie...

- Do czego pan zmierza?

- Powiem krótko. Musi pan zjeść żywą istotę.  
Zamurowało mnie.  
- Słucham?  
- Doskonale wiem, że ma pan ochotę na mięso i zapewne myślał pan o tym, aby, hm, jak by to ująć...  
- Pojebało pana?! Zjeść czyjeś mięso? - krzyknąłem.  
- O właśnie. - Rozległ się krótki, urywany śmiech.  
Wzdrygnąłem się, a potem usłyszałem:  
- Musi pan poczuć smak prawdziwego, świeżego mięsa.  
- To wszystko jest jakimś głupim żartem, prawda?  
- Niech pan posłucha. Wiem, że ma pan psa. I że już myślał pan o tym, aby go skonsumować.  
- O czym ty, kurwa, do mnie mówisz?  
- Niech pan nie zadaje idiotycznych pytań - ciągnął spokojnym głosem nieznajomy. - Tylko to może pana ocalić. W pańskim mieszkaniu umieszczone są kamery. Muszę mieć zarejestrowany moment, w którym zabija pan psa i spożywa jego mięso. Jest to absolutnie konieczne. Wie pan, firma potrzebuje takiej taśmy.

Zaszokowany i przerażony stałem w przedpokoju, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Miałem mgłę przed oczyma, a mój żołądek skurczył się do rozmiarów piłeczki pingpongowej.

- Kamery? - zapytałem. - jakie kamery, na miłość boską!  
- Panie Greenwood, nie wie pan, co to kamera?

Ironiczny śmiech, a potem:

- Ma pan wspaniale poczucie humoru. Niech pan się zabiera do roboty. ..

- Pan chyba żartuje! Za chwilę pójdę do łazienki i wyrzucę ten cholerny flakon za okno!

- Niczego pan nie osiągnie, a jedynie pogorszy swoją sytuację. Skutki tego środka są nieodwracalne. Tylko antidotum

może pomóc. Zatem, jeśli wyrzuci pan tę butelkę, pański stan utrzyma się. I nie będzie już mowy o antidotum. Proszę o tym pamiętać.

Poczułem irytację. Ścisnąłem słuchawkę tak mocno, że zbieleły mi kłykcie.

- Do czego pan zmierza?

- Proszę uważnie posłuchać. Powiem panu, co zrobić. Krótko i zwięźle. Użyje pan ponownie tych, jak pan je nazywa, perfum. Wtedy głód na

mięso zwiększy się i znikną opory przed spożyciem zwierzaka. Zarejestruję to na video i z miejsca prześlę panu antidotum.

Długo myślałem, zanim zadałem pytanie:

- Skąd mogę mieć pewność, że rzeczywiście dostanę antidotum? Na wizytówce, którą mi pan zostawił nie ma nawet nazwiska, jest tylko numer pańskiej komórki.

- Nie może pan mieć pewności. Może pan jedynie uwierzyć mi na słowo. Chodzi tylko o zarejestrowanie tego na kasecie. Dla osobistych celów firmy.

- Do cholery! - wybuchnąłem - Jakich celów, kurwa?!

Cała sytuacja wydawała mi się niedorzeczna, kompletnie absurdalna. I właśnie to przerażało mnie najbardziej. Czułem się jak uwięziony na statku kosmicznym, gdzie mogłem tylko czekać, aż obce istoty zdecydują, co ze mną zrobić...

- Panie Greenwood. - Usłyszałem po chwili. - Obiecuję, że kasetę nie ujrzysz światła dziennego.

- A co potem? - wybełkotałem, z trudem łapiąc powietrze.

- Potem? Potem dostanie pan antidotum i będzie żył tak, jak jeszcze parę dni temu. Niech pan się szybko zdecyduje. Bo widzi pan... pański pies...

- Co mój pies?

Chichot.

- Robi się coraz bardziej głody i wściekły. A wiem, do czego taka wściekłość może doprowadzić.

Spojrzałem na Berniego. Leżał na kanapie w pokoju. Widziałem, jak podnosi łeb i spogląda na mnie. Zawarczał, ziewnął, a potem znowu zapadł w sen.

Głos po drugiej stronie stał się cichszy, ale nadal napawał mnie przerażeniem.

- Daję panu czas do wieczora. Proszę podjąć decyzję i zadzwonić.

Miałem właśnie odłożyć słuchawkę, gdy ponownie go usłyszałem:

- Jeszcze jedno, panie Greenwood.

- Co takiego?

-Jeśli usłyszę, że próbuje pan kombinować... Nie posądzam pana o brak inteligencji, ale gdyby wpadło panu do głowy, aby poinformować kogoś... wie pan, to się źle skończy.

Milczałem.

- I proszę do wieczora nie wychodzić z mieszkania.

- Miałem zamiar iść do sklepu.

- Nie potrzebuje pan sklepu, ma pan psa.

- Ty gnoju! - wrzasnąłem, uderzając słuchawką o ścianę.

Już późny wieczór. Ja i Bernie mamy się kiepsko.

Powiedziałbym, że bardzo kiepsko. Przez cały dzień nie jedliśmy. Kiedy nasypałem psu suchej karmy, nawet jej nie powąchał. Nie spojrzał też na gotowane jajka na bekonie. Wiem, czego mu trzeba...

Mnie potrzeba dokładnie tego samego.

Mięsa. Oddałbym wszystko za kilka krwistych kawałków soczystego, surowego mięsiwa. Na samą myśl cieknie mi ślinka.

Myślę o Berniem.

Jestem głodny.

Jestem bardzo głodny. Drżą mi ręce. Mam problemy z pisaniem.

Na moim biurku leży karteczka z telefonem do świra, który wpakował mnie w całe to gówno. Nie wiem, jakim sposobem zapach może oddziaływać na apetyt...

Nie wiem już nic.

Co chwilę spoglądam na numer telefonu.

Jestem głodny.

Spoglądam też na Berniego. Pies był dzisiaj względem mnie bardzo agresywny. Kilka razy próbował mnie ugryźć. Nie karcilem go za to. Doskonale rozumiem jego zachowanie. Biedny psiak ma niepokojąco mętne oczy.

Teraz kończę. Muszę załatwić pewną sprawę. Muszę zadzwonić. Lęk, który przeniknął do mojego wnętrza, nie pozwala mi trzeźwo myśleć.

27 kwietnia 2004, wtorek

Jestem umazany krwią. Nie potrafię opanować drżenia rąk.

Biedny Bernie.

Boże, co ja zrobiłem? Och, Boże...

Musiałem to zrobić. Musiałem stawić temu czoła.

Biedny zwierzak.

Teraz jest mu lepiej, tak to sobie tłumaczę. Spoglądam na swoje dłonie, umazane jego krwią, i chce mi się płakać.

Jestem taki bezradny. Pozostaje mi tylko czekać na jakiś znak od tego pieprzonego szaleńca. Czekam na antidotum. Mam nadzieję, że nie łągał. Boże, spraw, aby ten horror się skończył.

Znowu jestem głodny. Nie umiem powstrzymać pragnienia. Muszę wyjść. Muszę wyjść, aby... zapolować.

Nie mogę uwierzyć w to, co piszę. To wszystko mnie przerasta.

Straciłem chęć na piwo. Chcę tylko jeść, chcę jeść, tak bardzo jestem głodny.

Mijają minuty, godziny, a ja stale siedzę tutaj i walczę z głodem. Dłużej już nie potrafię tego powstrzymać. Muszę natychmiast wyjść.

Tylko raz, tylko jeden raz, jedno świeże ciało.

28 kwietnia 2004, środa

Dzwonił.

Przywiezie mi antidotum. Powiedział, że jest ze mnie dumny. Chrzanię go. Mam ochotę go zabić.

Myślę o ostatniej nocy.

Kobieta.

Lat około trzydziestu.

Śliczne, sięgające ramion, kasztanowe włosy. Blizna na brzuchu, zapewne poporodowa.

Jej smak. Niebiański. Delektowałem się każdym kawałkiem jej ciała. Spijając jej słodką krew czułem, że odzyskuję siły. Niebo nade mną zdawało się należeć do mnie.

Ale znowu czuję głód. Są jeszcze kości. Choć tyle mi zostało. Muszę poczuć ten zapach. Muszę.

W lewej ręce trzymam kość, w prawej długopis. Kość jest biała, obgryziona do czysta. Długopis zimny, metalowy.

Co mam teraz zrobić? Czekam na antidotum.

Chcę być syty. Mam dość strachu.

Tak szybko robię się głodny. To tak bardzo boli. Nie mam energii, aby walczyć. Poddaję się.

Ostatni raz. Muszę. Jedno świeże ciało...

29 kwietnia 2004, czwartek

Antidotum nie działa.

Jestem głodny, znowu głodny. Zabijam. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Jest coraz gorzej.

Mój umysł przepelniony jest skrawkami przeplatających się myśli. Widzę mózg czternastoletniej dziewczynki, widzę swoje zęby, wbijające się w szyję młodego chłopca, widzę krew, krew i jeszcze raz, lejącą się strumieniami, krew.

Jest coraz gorzej. Dłużej nie dam rady.

Ten głód. Boże, ten głód...

Autorem fragmentów pamiętnika, który właśnie skończyliście czytać, jest mój brat, Joseph Greenwood.

Kiedy wszedłem do jego mieszkania, zastałem istną rzeź. Wszędzie wały się rozszarpane ciała ludzi i zwierząt. Panowała niczym nie zmacona cisza. I ten smród. Smród rozkładającego się mięsa.

Zastanawiam się, co tam naprawdę miało miejsce. Na samą myśl o tym ogarniają mnie zimne dreszcze.

Czuję strach i panikę. Nie opuszczają mnie złe przeczucia. Są ze mną, gdy pracuję i gdy prowadzę samochód. Są, kiedy wraz z żoną odpoczywamy przy kominku, popijając Martini. Są, kiedy pomagam synowi odrobić lekcje.

Nie potrafię wymazać z pamięci widoku krwi.

Kiedy wchodziłem w głąb mieszkania brata, co chwilę potykając się o zwłoki, ujrzałem coś, co po dziś dzień nawiedza mnie w nocnych koszmarach.

Zobaczyłem Josepha. Był wysmarowany krwią. Nie posiadał rąk ani stóp. Jego brzuch był rozpruty, a wnętrzności wylewały się na podłogę.

Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci było...

On się zjadł, rozumiecie?

Najpierw poodgryzał sobie palce u rąk, a potem skonsumował resztę kończyn górnych. Następnie odgryzł i strawił palce u stóp. A na końcu udało mu się jakoś nadziać na ostry, przymocowany na ścianie w przedpokoju, hak.



Nie mam pojęcia, co tam się wydarzyło. Pamiętnik, który prowadził, miał być cenną wskazówką dla policji. Tymczasem niemal każda zawarta w nim informacja jest nieprawdziwa. W jego mieszkaniu nie odnaleziono żadnej kartki z numerem telefonu rzekomego „gościa w czarnym garni

turze”, nie znaleziono kamer ani mikrofonów. Wszystkie odciski palców, które pobrano, należały wyłącznie do Josepha.

Dopiero gdy wszedłem do łazienki i spojrzałem na półkę z kosmetykami, moją uwagę przykuła mała, stojąca między dezodorantami i zużytymi maszynkami do golenia, buteleczka.

Kiedy wziąłem ją do ręki, poczułem słodkawy zapach. Był oszałamiająco piękny, inny od wszelkich znanych mi zapachów.

A potem dopadł mnie lęk.

Spojrzałem w lustro i zobaczyłem swoją twarz. W oczach miałem łzy, które po chwili zaczęły spływać po policzkach.

4 maja 2004, wtorek

Wiem, co mnie czeka. W oczach mam obraz leżącego we krwi Josepha. Myślę o swojej wiecznie rozpromienionej, pełnej wdzięku i miłości żonie. I o dwunastoletnim synu. Nie potrafię opisać uczucia, jakie tkwi we mnie. Jest przepotężne. Przytłacza mnie. Boję się. Tak bardzo się boję. Najgorsze jest to uczucie. Ono mnie ssie. Nie wiem, co mam robić. Tracę kontrolę nad sobą. Teraz będzie już tylko gorzej.

Myślę o żonie. Burczy mi w brzuchu.

Jestem głodny.

DIABEL Z MROCNIEGO LASU

Guy N. Smith

Guy N. Smith (ur. 1939) - angielski pisarz, autor ponad stu książek: horrorów, thrillerów, westernów, bajek dla dzieci, a także powieści soft-porno. Debiutował jako trzynastolatek publikując opowiadania na łamach rozmaitych pism. Jego matka była pisarką powieści historycznych, co niewątpliwie pomogło młodemu autorowi zaistnieć na rynku wydawniczym. Jego twórczość jest polskim czytelnikom doskonale znana, głównie za sprawą niesłychanie popularnego w latach dziewięćdziesiątych cyklu Kraby oraz serii Sabat. Diabeł z mrocznego lasu jest najnowszym opowiadaniem horrorysty.

### Wielkie polowanie

Jim Reeder zgarbił się nad kołem 4x4, usiłując nie zasnąć na stojąco. To był wyjątkowo frustrujący i wyczerpujący dzień. Wszystko zaczęło się na Heathrow, gdzie jego lot opóźnił się o ponad dwie godziny, podczas których pas startowy był oczyszczany ze śniegu. Kolejny zastój spotkał go w Monachium, kiedy sortował dokumenty swojego wynajętego samochodu. Teraz, cztery godziny później i sto mil dalej, był już bliżej celu. Pod warunkiem, że znajdzie go w ciemnościach śnieżnej nocy.

W reflektorach samochodu odbijała się jaskrawo sylwetka bezkresnego lasu, ciągnącego się po obu stronach wąskiej drogi. Z ust postawnego mężczyzny wyrwał się odgłos ulgi, doprowadzając go do stanu całkowitego czuwania. To jej szukał - tej wyboistej drogi po prawej stronie, luki między wysokimi sosnami z pokrytymi śniegiem gałęziami. Według listu Dietera (Niemcy nie używają e-maila), dwieście metrów dalej powinien znajdować się bungalow, który miał być jego lokum na czas świątecznego polowania. Może, mimo wszystko, sprawa jest

warta zachodu, pomyślał.

Rzeczywiście tam był.

Reeder przystanął, spoglądając z szokiem i niedowierzaniem. Uch, ale rudera! Drewniana konstrukcja, desperacko wymagająca remontu, stojąca pośrodku pogrążonego w śniegu pustkowia.

Przyćmione, żółte światło pokazało się w oknie z postrzępionymi zasłonami. Prawdopodobnie z lampy naftowej, bo na inne udogodnienia nie było co liczyć.

Wstrzymał się przed podsumowaniem w głowie kosztów polowania na dzika, w którym od miesięcy tak chętnie uczestniczył z powodu znudzenia swoją urzędniczą pracą w Crown Prosecution Service. Poszedł w ślady swojego ojca i dziadka.

Następne parę dni miało być prawdziwym przełomem, tego był pewien.

- Witam, panie Reeder. - Mała, zgarbiona postać mężczyzny pojawiła się przy wejściu. Szare, rzadkie włosy opadały na chylące się ku dołowi ramiona, a pomarszczone oblicze odzwierciedlało postęp w latach. Musiał ich mieć za sobą z siedemdziesiąt pięć.

Może chociaż zatrudnił przewodnika na polowanie...

Wnętrze bungalowu nie było tak złe, jak Reeder się obawiał. Proste, ale wygodne. Kominek emitował wystarczająco dużo ciepła, a na stole leżały zaskakująco czyste ubrania. Z kuchni niósł się apetyczny aromat.

- Jutro po południu będziesz miał swojego dzika. - Dieter usiadł i zapalił cuchnącą fajkę, podczas gdy Reeder pożerał całkiem smaczną zapiekankę, która bez wątpienia zawierała dziczyznę.

-Uhm.

- Dużego, to mogę ci obiecać. Jest taki jeden, zwał go Diabeł. Żyje tu już od bardzo dawna, co wieczór przychodzi na polanę, gdzie karmię go kukurydzą. Tak będzie i tym razem.

- Zgoda. - Reeder wytarł talerz do czysta za pomocą grubej skórki ciemnego chleba. - Zapewne twój przewodnik wskaże mi drogę.

- Nie mam przewodnika. Nie jest mi potrzebny. Pójdiesz szlakiem jakieś pół kilometra, dopóki nie zobaczysz wielkiej polany z wysokim gniazdem. Wdrap się na nie, nigdy nie stój na tej samej płaszczyźnie, co Diabeł, bo jest bardzo dziki. Pewnego razu zabił trzy psy gończe, które go przygwoździły i uciekł, zanim myśliwi do niego dotarli. Innym razem... ; no nieważne, jutro to będzie twoje zmartwienie.

- Jak zapewne wiesz - puls Reedera przyśpieszył - nie przywiozłem własnego karabinu. Regulacje transportowe to koszmar. Powiedziałaś, że będę mógł pożyczyć broń.

- Racja. - Dieter powstał z krzesła, poczłapał przez pokój i wyciągnął pistolet z narożnej szafki. - Ta będzie ci dobrze służyć, tak jak mnie i mojemu ojcu przez wiele lat.

Po raz drugi tej nocy Jim Reeder stanął jak wryty, tym razem na widok broni, którą gospodarz położył na stole. Była stara, nawet bardzo, z trzema lufami ułożonymi w kształt piramidy, o porysowanym i poobijanym magazynku. Damasceńska stal dawno straciła swój kolor, a grawe- runki były praktycznie wygładzone.

- Mój Boże, co to jest? - Reeder poczuł przypływ gniewu, w końcu spodziewał się co najmniej sprawnej śrutówki.

- Dreilauf - wyjaśnił Dieter, nie zbity z tropu konsternacją swojego gościa. - Trzylufowa, widzisz?

Z trudnością poruszył szczytową dźwignię, ponieważ najwyraźniej była zardzewiała, a następnie podniósł

celowniczek.

- To fuzja. Dwa naboje śrutowe kaliber 16 w górnych lufach, na wypadek gdybyś ich potrzebował. I jeden... - wyczarował go z kieszeni swoich poplamionych, luźnych spodni - w dolnej. Wystrzeliwuje go przedni spust.

Nacisnął spust, a iglica zaskoczyła.

- Widzisz? Zero problemu. Będziesz miał swojego dzika, największego w tym lesie.

- Nie rozpoznaję naboju. Co to za kaliber?

- 9-3x82R. - Dieter wykrzywił się w uśmiechu. -

Przedpotopowy. Ale mam dobry kontakt na rynku. Człowiek specjalizuje się w futerałach i nabojach do starych strzelb.

Czarny proch, naturalnie.

Reeder zamknął oczy. Z każdą minutą było coraz gorzej. Nie tylko pójdzie na polowanie sam, ale będzie też musiał polegać na przestarzałej broni. Było jednak za późno, by rzucić ręcznik na ring. Wchodzę w to, pomyślał.

Miał nadzieję, że nie popełnia błędu.

Następnego dnia, w Wigilię, było zimno i sporadycznie padał śnieg. O poranku Reeder przespacerował się wskazanym przez Dietera szlakiem. Bez problemu znalazł polanę i gniazdo, które było nieco chwiejne, a jego drewniana struktura gdzieś tam pozbijana gwoździami. Nie

w smak mu było wspinać się na nie, ale Niemiec nalegał. No cóż, dziś po południu spróbuje. W śniegu znajdowały się niezliczone ślady dzików. Może mu się poszczęści. Jego jedynym zastrzeżeniem była stara strzelba, ale nie miał innej alternatywy.

Dieter spędził poranek na cięciu chrustu i kiedy Jim Reeder wrócił do domku, lunch był gotowy - podgrzane resztki zapiekanki z poprzedniego wieczora.

Godzinę później wrócił z powrotem na szlak. Śnieg lekko prószył, kiedy niepewnie wspinał się na stanowisko. Było zajadle zimno.

Dziś wcześniej się ściemni... Łowca ponownie miał obawy, ale zmuszony był sobie z nimi poradzić. Jeśli nie strzeli, Dieter usłyszy przed jego wyjazdem kilka słów od serca. Gdyby nie odbicie w śniegu, trudno by było dostrzec dzika i położyć go jednym strzałem. Nie wyobrażał sobie tropienia rannej bestii w ciemnym, posepnym lesie. Oparł broń o barierkę i przygotował się na długie czekanie.

Spokój przerwały odgłosy szamotania, dobiegające z głębi lasu. Po- chrząkiwanie i węszenie. Dzik był na tropie, ale czy uda mu się znaleźć rozrzuconą na polanie kukurydzę?

Nieduża świnia pojawiła się po jego lewej, zignorowała jedzenie i pierzchła, jakby się czegoś przestraszyła.

Potem następna. I kolejne dwie.

Coś zaalarmowało zwierzęta w lesie. Reeder zaczynał się niepokoić.

Dobiegł go kolejny dźwięk, donośniejszy niż te, które słyszał uprzednio. Trzaskające podszycie lasu.

Podniósł broń i popchnął dźwignię. Cokolwiek tam było, zmierzało w jego stronę i nie była to młoda świnia.

Nagle dostrzegł jego sylwetkę, wyraźnie odcinającą się od białego podłoża. Masywny dzik. Jego ryj uniósł się, jakby wyczuł coś innego niż jedzenie. Potężne kły, małe oczka, świecące na czerwono spomiędzy kudłatej sierści. Zachowywał się agresywnie, jakby coś go zdenerwowało. Ruszył naprzód i dostrzegł go na gnieździe. Parsknął, wyrażając furję. Reeder ucieszył się, że posłuchał Dietera i użył gniazda. Nie musiał być tam na dole, oko w oko z potworem zwanym Diabłem.

Ręce mu się trzęsły, kiedy wziął na cel swoją ofiarę.

Wielkie bydlę zmierzało w jego stronę. W pewnej chwili podniosło łeb, eksponując pierś.

Reeder nacisnął spust.

W ciszy rozległ się ogłuszający huk. Mężczyznę odrzuciło. Wybuch i deszcz iskier rozświetliły rozgrywającą się na dole scenę. Spojrzenie dzika odzwierciedlało najwyższą wściekłość, której nawet ból, spowodowany uderzeniem naboju, nie mógł zamazać.

Całun białego dymu chwilowo zasłonił Reederowi widok. Błogie uczucie ulgi, zanim doszedł do niego czysty strach, wynikający z sytuacji. Chwycił poręcz, bojąc się, że cała konstrukcja zawali się, wystawiając go na łaskę i niełaskę diabła o świńskim kształcie.

Dzik stał z otwartą, krwawą raną na piersi, w miejscu, gdzie uderzyła kula. Nie upadł. Jego łeb był wzniesiony; wydawał z siebie niskie pomruk czystej dzikości.

Palce Reedera trzęsły się, kiedy rozkładał broń. Z trudnością otworzył pudełko na amunicję i załadował nabój. Znow wycelował, tym razem w otwartą paszczę potwora. Strzał w gardło powinien załatwić sprawę.

Stara broń znów wypluła iskry, a gęsty dym ponownie go osnuł, jakby chciał zasłonić mu ten zbyt straszny widok. Powoli jednak rozpraszał się, odsłaniając nadal stojącego Diabła. Jego ryk zamilkł, przykryty krwią, która skapywała z otwartej paszczy.

Ale nadal nie upadł.

Reeder nagle zdał sobie sprawę z czegoś, co sprawiło, że zaschło mu w ustach i spowodowało odruch wymiotny.

Nie mógł zejść na dół, dopóki ta straszna istota nadal żyła. Został mu jeden nabój i jeśli nie uśmierci bestii, będzie skazany na pozostanie na górze, prawdopodobnie podczas mroźnych,

nocnych godzin. Przeładowując, przeklął Dietera w myślach.

Świńskie oczka w dole świeciły jak żarzące się węgle w piecu starego Niemca. Tym razem wyceluje prosto w łeb, jeśli stara broń da radę, wtedy uda mu się rozwalić diabelski mózg.

Trzeci strzał. Ponownie ogień i dym. Kiedy chmura rozwiała się, wykrzyczał na głos swoją ulgę. Potężny dzik leżał na boku, jedynie drgawki kończyn świadczyły o resztkach życia, która pozostała w jego ciele. To już koniec. Był martwy.

A może nie?...

Reeder zawahał się. Nawet teraz bał się zejść na dół. Potwór nadał mógł żyć, udając martwego, dopóki nie znajdzie się w jego zasięgu. Wtedy będzie mógł się zemścić. Nie miał już nabojów, starzec dał mu tylko

trzy. Zostało mu tylko trochę śrutu. Z bliskiej odległości, w razie czego, może nawet zrobić z niego użytek. Modlił się, żeby nie musiał.

Powoli zszedł na dół, cały się trzęsąc. Szczeble w każdej chwili groziły zawaleniem pod jego ciężarem. Kiedy wreszcie stanął na ziemi, zerknął z przerażeniem na zwłoki, leżące dziesięć metrów od miejsca, w którym stał. Ani drgnęły.

Nie odważył się sprawdzić, czy bestia rzeczywiście jest martwa. Uciekł w panice, potykając się. Jego stopy ześlizgiwały się po śniegu. Biegł szlakiem, dopóki nie dostrzegł upragnionego mizernego światła w oknie chaty.

Będzie miał swoją zdobycz. W razie potrzeby przekona Dietera, by towarzyszył mu w drodze na polanę i jakoś załaduje martwego dzika do bagażnika 4x4. To będzie rekord.

O dziwo, Dieter zgodził się, a na jego twarzy zagościł przelotny uśmiech.

- Zgoda, pójdę z tobą. Czy nie mówiłem, że będziesz mógł zastrzelić dużego dzika?



- Z trudem go załadujemy. - Strach Jima Reedera zamienił się w triumf. Mimo wszystko, było warto.

Światło bliźniaczych reflektorów wdarło się na polanę, omiotło gniazdo i ziemię dookoła niego. Wtedy właśnie Reeder usiadł, kompletnie nie dowierzając. Obszar pomiędzy wysokimi sosnami był pusty. Nigdzie nie było śladu wielkiego dzika. Żadnych plam krwi, ani nawet śladów jego ucieczki. Nic. Jakby nigdy go nie było, a strzały były wytworem jego wyobraźni, straszliwym koszmarem, który zakończył się podłym rozczarowaniem.

- Ja... nie wierzę. Bestia była martwa, leżała tutaj...

- Tak myślałem. - Głos kompana zawierał nutkę skruchy. - Może nie powinienem był cię tu wysłać. Przed tobą przysłałem już kilku myśliwych, zawsze w Wigilię. Ciągłe to samo. Będzie tak już zawsze.

- Chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie? - Reeder odwrócił się do towarzysza, opanowując chęć złapania go za fraki i potrząśnięcia nim. - O co w tym wszystkim chodzi, Dieter?

- Powiem ci. - Dieter odwrócił głowę, a jego głos stał się chrapliwy, kiedy przywołał bolesne wspomnienia. - Była Wigilia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, a naziści skonfiskowali całą broń, jaką posiadali cywile. Pewnego razu przyszli też tutaj. Yogler, tak się nazywał oficer

SS, który przechwycił tę fuzję. Większość broni została zniszczona, ale niekiedy któryś z oficerów zostawiał sobie coś, co mu się podobało. Tak się stało i w tym przypadku. Vogler ujrzawszy broń swojego ojca. Była wtedy w dobrym stanie i zdecydował, że zatrzyma ją dla siebie. W lesie widziano dzika, więc wyprawił się na polowanie. Usłyszeliśmy strzał, dobiegający właśnie z tej polany. Potem było wołanie o pomoc.

Mój ojciec poszedł sprawdzić, co się dzieje i znalazł ciało Voglera, okaleczone i rozszarpane, nie do poznania, a także wielkiego dzika, tego samego, którego widziałeś dziś, leżącego obok. Martwego.

- Tego samego dzika?...

- Tak. Ten potwór, śmiertelnie ranny, zdechł od strzału w samo serce. Mój ojciec odzyskał broń, ukrył ją, a potem wezwał żołnierzy z pobliskiego obozu. Zabrali ciało Voglera, zdechłą świnię, ale o strzelbę nikt nie pytał. Ojciec zawinął ją w płótno żaglowe i zakopał w lesie, gdzie została do końca wojny. Wtedy ją wykopał. Była trochę zardzewiała, ale po porządnym czyszczeniu działała tak dobrze, jak przedtem.

- Twierdzisz, że ten wielki dzik... - Reeder zbladł nieco w świetle reflektorów.

- Zgadza się. Zdechł, ale jego zły duch żyje nadal. Rok później, znów w Wigilię, miejscowy myśliwy został zaatakowany przez dzika. Zastrzelił go, zupełnie jak ty, a kiedy wrócił z kolegami po zdobycz, jego już nie było. Legenda rosła w siłę, kilku myśliwych widziało potwora, zawsze w Wigilię i zawsze na tej samej polanie. Teraz trzymają się od niej z daleka. Wszyscy, poza mną. Nie boję się go, nie może zrobić ci krzywdy, ale przyjezdni myślą, że jest prawdziwy. Idą go upolować, a potem nie mogą znaleźć ciała.

- A ty przez cały czas zarabiasz na tym niezłą kasę, sprzedając im tę widmową bestię! - Reeder był wściekły. - Tak samo jak sprzedałeś ją mnie.

- Naprawdę mi przykro. - Dieter spuścił głowę. - Nie wezmę od pana ani grosza. Przepraszam. Miałem i nadal mam nadzieję, że zastrzelenie bestii ze starej broni, która już raz go zabiła, zakończy legendę, siejącą strach od siedemdziesięciu lat. Może tak się stanie, dowiemy się dopiero za rok. Był pan moją

ostatnią nadzieją, panie Reeder. Jestem wdzięczny za to, czego pan dokonał.

Reeder wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

- Więc jeśli plan się nie powiódł, Diabeł nie pojawi się przed następną Wigilią, a do tego czasu las jest bezpieczny.

- Tak jest. Inne dziki unikają tego dnia polany, ale przez pozostałą część roku żywią się kukurydzą, którą tu rozsypałem.

- Więc jutro też tu będą.

- Gwarantuję to, panie Reeder. Proszę wrócić jutro, albo w drugi dzień Świąt i jeśli dobrze pan strzela, obiecuję, że będzie pan miał swoją bestię. Kręcą się tu niezłe okazy. Żywe.

- Spróbuję.

- To dobrze. Nie policzę panu za zakwaterowanie, ani za przyszłą zdobycz. Mam wobec pana dług. Od dziś nie będę zachęcał myśliwych do polowania o tej porze roku.

Tego wieczoru, kiedy dwaj mężczyźni drzemali przy kominku, James George Reeder pozwolił sobie na kilka chwil kołtuńskiej satysfakcji. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Był przekonany, że jeszcze przed wyjazdem zastrzeli dzika. Wtedy jego trauma nie pójdzie na marne.

Przełożył Piotr Pocztarek

## AMERYKAŃSKI HORROR

Łukasz Orbitowski

Łukasz Orbitowski (ur. 1977) - najpopularniejszy polski pisarz szeroko rozumianej niesamowitości. Absolwent filozofii

na Uniwersytecie Jagiellońskim. Debiutował na łamach pisma „Science Fiction” opowiadaniem Demon na Jabol Hill. Publikował na łamach „Nowej Fantastyki”, „SFFiH”, „Ubika”, „Sfery”, „Przekroju” i wielu innych magazynów oraz w antologiach zbiorczych. Autor dziesięciu książek i kilkudziesięciu opowiadań. Jego powieść Tracę ciepło była nominowana do nagrody im. J. Zajdla oraz do nagrody im. Żuławskiego, a Święty Wrocław do nagrody im. J. Żuławskiego. Niebawem na rynku ukaże się jego najnowsza powieść Widma. Nowela Amerykański horror to premierowy tekst Orbitowskiego.

Boże, lecę do pieprzonej Ameryki. Samolot kołuje po pasie lotniska, a mnie chwyta taka właśnie myśl. Zawsze było coś wcześniej. Wódeczka, przyjaciele, pakowanie, taksówka i dopiero w tej chwili głowa mi trzeszczy: to dzieje się naprawdę.

A przecież nie muszę tego robić.

Żyłbym jak żyłem, od tego Ziemia nie przestałaby się kręcić.

Siedzę z bagażem podręcznym, prawdziwie polskim, niewiele mniejszym od babiny na siedzeniu obok. Mam tam cuda, jakby jutro miało eksplodować słońce: wyborową i czteropak żywca, karton fajek, książkę, polską kiełbasę, bez której nie wypada całować amerykańskiej ziemi, oraz płytę Krawczyka dla Joe.

Samolot zaczyna się rozpędzać, a ja zaczynam rozumieć, że nic nie umiem, nie trzymałem nawet szpadla i nie poradzę sobie na budowie; pół biedy, ale pewność siebie została na lotnisku, w chwili, gdy oderwaliśmy się od ziemi. To już bieda cała, bez tego zagryzą.

W dziwnym odruchu zerkam przez okno, głupio licząc, że zobaczę taras widokowy i Kasię na tym tarasie. Rety, ale

ryczała. Jakbym uciekał na zawsze.

Tylko pół roku, skarbie. Przywiozę dolary i coś zaczniemy.

Za oknem nie ma żadnego terminala, tylko lekka mgła, w niej czają się kanciaste budynki, słońce gramoli się zza drzew, pasy śmigają coraz szybciej, prujemy przez mokry obłok. O Ameryce wiem tylko tyle,

co z filmów i teledysków. Znam podmiejskie dzielnice, pełne domków z atrapami okiennic, wiewiórki i choinki w Nowym Jorku.

Jesteś durniem, mówię sobie, tysiące frajerów większych od ciebie śmiga za Atlantyk i wraca z walizką baksów, żaden nie wiozł tylu wątpliwości, a tych na walutę nie zamienię. Ci mężczyźni wiedzą, jak będzie życie.

Nabieramy prędkości. Widzę ziemię pod mną, podobną trochę do planszy w jakiejś komputerowej grze strategicznej. Warkot silnika nagle brzmi głucho, tak na luzie, jakby coś się spieprzyło, jednocześnie mkniemy ostro w górę i serce chowa mi się między żebra.

Polaka na obczyźnie poznamy po tobołach. Mógłbym bez pudła wskazać swoich: są objuczeni i mają dzinsy, ze mną jest jeszcze gorzej. Od urzędnika, celnika, anioła, władcy mojej przyszłości, dzielą mnie trzy osoby: grube małżeństwo i chłopak w czapce z płaskim, szerokim daszkiem, jakie dotąd widywałem tylko na teledyskach. Mam brązowy garnitur w paski, kamizelkę i buty błyszczące się jak psu jaja, u rąk wiszą mi wielkie torby i można pomyśleć, że zaraz poproszę o azyl. Nawet włosów nie ścinałem, żeby wyglądać łagodniej, mądrzej, słowem, nie jak gówniarz, który przyjechał pracować na czarno.

Emigracyjny odprawia grubasów; targam te siaty, młody facet w czapce z daszkiem wyuczonym ruchem pokazuje paszport. Emigracyjny kiwa kwadratową głową, a mi robi się i

strasznie, i źle, i głupio.

Nie znoszę, kiedy ktoś mnie ocenia. Sprawdza - jestem godny czy nie.

Emigracyjny ma nieodgadnione spojrzenie i niskie czoło. Zdumiewają mnie jego palce, kanciaste i cienkie, w pewien sposób podobne do długopisu, który trzyma. Pyta mnie, po co przyjechałem do Ameryki. Znam angielski na tyle, by się nie jękać: skończyłem studia. Wybieram się w podróż życia. Teraz to na mnie się gapi, o rety, jak Bruce Willis w tych kretyńskich filmach. Rusza szczęką, waży coś w tej ciężkiej głowie. Ma pan się gdzie zatrzymać? Opowiadam mu o Joe, pokazuję wymiętą kartkę z adresem. Emigracyjny studiuje ją uważnie i zerka w komputer. Za mną niecierpliwia się ludzie.

Bilet powrotny.

Rozumiem już, że wygrywam, zadowolony wsuwam kolorową kopertę między rozczapierzone palce, tamten mruży oczy i jest już mój. Od

daje paszport z biletem, a ja wlokę torby ku wielkim, szklanym drzwiom, następnie podążam w stronę parkingu, na którym czeka Joe.

Joe ma koło pięćdziesiątki i włosy farbowane na czarno. Jest październik, w Polsce ludzie już wskakują w płaszcze, a nad Bostonem dynda rozpalone słońce. Joe stoi oparty o złotawą toyotę. Rozpięty polar odsłania rumianą klatę i łańcuch, na którym można by krowę uwiązać, gdyby nie był ze złota. Na palcach błyszczą sygnety. Joe widzi mnie i wrzeszczy z radości. Padamy sobie w ramiona. Joe porywa moje torby, ciska do bagażnika, wsiadamy. Toyota jest prawdziwie amerykańska, można by w golfa zagrać, Joe pachnie drogimi kosmetykami, piwem, ma zadbane paznokcie i ciężką bransoletę.

Przełącza coś w gradle i rozbrzmiewa Niemen.

Deska rozdzielcza omamia migotaniem fioletowych diodek. Zapinam pasy, ruszamy bezgłośnie przez miasto, ku przedmieściom.

Mijam wielopoziomowe wiadukty, za nimi wznosi się miasto podobne starym schodom, kamienice pną się po wzniesieniach, miga mi down- town. A Joe nawija tym swoim polsko-angielskim, bo on przecież żaden Joe, tylko Józek z Tarnowa. Nieustannie na granicy krzyku, nie daje sobie przerwać i wali łapami w kierownicę.

Wiem, że wszystko już na mnie czeka, będę malował domy, aż nie zrobi się jesień, szkoda więc, że nie przyjechałem na lato, malowanie jest proste, akurat by wdrożyć się do kontraktorki, a jakbym chciał zostać, to za pięć lat jak nic trafi mi się własny biznes, tu każdy tak ma, za to nikt nie ma tak dobrze jak Joe.

- Mam dom za milion dolarów. - Słyszę.

Joe pracuje w warsztacie samochodowym.

Pomieszkam u niego na czas malowania, tak ma być, a potem da mnie do księdza, bo ksiądz to nielecha siła nawet w takim Middletown; tam są młodzi, w tym budynku przykościelnym, mówi Joe, a ja z tobą, młody, to mogę tylko wódę pić. Zgoda, odpowiadam, lecz mnie nie słyszysz, klnie na traffic, toyota ciągnie się jak smarki z nosa, Joe zerka na mnie i rzecze:

- Znajdziemy ci ciuchy, nie umiesz się ubrać.

Joe obezwładnia, nie daje przestrzeni nawet na westchnienie, na moje nieszczęście łapie się, że głupio tak gadać i pociesza: masz, co chcesz. Pożyczyć coś na początek? Nie, przywozłem dolary. Zabawa? Polskie zaba

wy są jak ta lala, jak chcesz, to i dziewczynki załatwimy. Więc, choć nie myślałem o tym wcześniej, zjednuję sobie jego

serce. Murzynka. Chciałbyś Murzynkę, Joe?

Wybuchła śmiechem.

- Miałem tysiąc kobiet, jaką chciałbyś? Tę czarnulkę, co?

Z Bostonu wyrasta szklany budynek z czarnym pasem, biegnącym przez całą długość. Odbija się w nim słońce. Skręcamy, widzę tylko jedną ścianę. Przypomina mi drzwi, które zaraz się otworzą, na szerokość nieba.

Dom Joego rzeczywiście jest ogromny, wepchany w czerwieniejącą szczękę lasu. Joe nie może wytrzymać, zaraz oprowadza, ciąga po piętach, odwiedzam puste sypialnie i łazienki z kafelkami w koty. Zaglądam do pokoju dzieciennego, który jest właściwie pokojem nastoletnim, Joe ma syna, ale syn zjeżdża tylko na weekendy, mieszka przy swojej high school na kampusie, jak trzeba. Syn ma na imię Sebastian. Rozumiem dlaczego, to samo po polsku i angielsku.

Żona Joego jest cichą, skromną kobietą o urodzie zdolnej krawcowej. Jej twarz pokrywa lekki meszek, nogi już zgrubiały, ramiona są krótkie, za to oczy młode i przepelnione niewymuszonym ciepłem. Siadamy w jasnej kuchni z wyspą pośrodku, wysoki stółek uwiera w zad. Trochę huczy mi głowie od braku snu. Jest po szesnastej i jeśli teraz zasnę, zbudzę się w środku nocy i dzień będzie całkiem do kitu.

Wyjmuję prezenty: kiełbasa, piwo i płyta Krawczyka.

Wiem, że Joe grywa na gitarze, śpiewa. Krawczyk jest gwiazdą numer jeden w Polsce, a jego kawałek z Bartosiewicz ściska za serce. Kiedy z Kasią się nie wiodło, nie mogłem słuchać. Trudno tak być ze sobą.

Irena kręci się przy kuchni, z patelni bucha dym, a Joe zrywa papier, obraca krążek w dłoniach, rozpoznaje wąsaty pysk na wkładce.

- O! - cieszy się bez cienia udawania, Joe chyba nie jest



najlepszy w kłamstwie. - Ja go znam! Tu zabawy dla dzieci robił! Naszczałem mu na buty.

Chwali się, wyjmuje wódkę i dwa kieliszki. Zerka na Irenę i przynosi trzeci.

Przede mną ląduje misa krewetek w panierce. Są wielkie jak myszo- skoczki, skręcone i pyszne, napycham się nimi i nie mogę przestać. Nie przypominam sobie, żebym jadł coś równie dobrego. Dziękuję, Irenko,

mówię, Joe polewa, a Irena natychmiast stawia przede mną dokładkę. Pa- nierka ma złoty odcień. Tłuszcz cieknie mi po palcach.

Dzwonek do drzwi.

Facet, który przyszedł, ma na imię Marek i jak rozumiem, znają się z Joem jak łyse konie. Marek ma półdługie, kręcone włosy i koszulę w kratę. Przytargał ze sobą paskudną żonę: jest mała, tłusta, pośrodku czoła rośnie jej brązowy pieprzyk, od którego nie sposób oderwać wzroku. Siada i nic nie mówi. Jest dobrze. Marek długo ściska mi rękę i bardzo chce się czegoś dowiedzieć. Kim jestem, co robię. Mówię: studiowałem, bujałem się trochę, praca za tysiąc dwieście to żaden cymes, trzeba było tyłek wziąć, skoczyć przez Atlantyk i szukać szczęścia.

- Zostajesz tutaj? - pyta Marek.

Jego żona gapi się za okno. Zaprzeczam.

- Pół roku. Tyle, co wizy dali.

- Bzdura - oświadcza Marek. Siedzi naprzeciw mnie, podparty pod bok. - Tu nie masz trosk. Lubisz mieć troski, Karol? Rachunki, wredny urzędnik? Ameryka daje ci spokojne życie. Wołami mnie do Polski nie zaciągną.

Joe kiwa głową i polewa wódki. Pij, Mark, mówi.

Kobiety zniknęły, pijemy we trzech.

Joe postawił gorzką żołądkową, bo powiedziałem, że ją lubię. Wiem już, że Chińczyk w likier storze sprzedaje polskie alkohole. Przełamałem granicę pijaństwa i mogę walić gorzałę do świtu, mięśnie mam twarde i studnię zamiast żołądka.

Joe rozpiął już polar, w jego pępku można by pięść schować.

Marek - Mark - przyjął pozę mentora, odgina się i krzyżuje ręce na piersi.

Panowie nie mogą wyjść ze zdumienia, że nie wierzę w Boga i nie jeżdżę samochodem.

W Boga wierzą tu wszyscy i wiem już, że zaraz z rana polecimy do kościoła. Joe reaguje na moje rewelacje wzruszeniem ramion: gadaj co chcesz, mówi mi, ja wiem, ile Bóg dla mnie zrobił, będę mu dziękował, prosił o jeszcze i śpiewał w kościele. Joe przyjechał z obozu we Włoszech, ćwierć wieku temu. Miał dwadzieścia dolarów i wór starych łachów.

- Pierwszą lodówkę przytargałem ze śmieci. - Słyszę. Joe wykonuje szeroki gest ramieniem, przebiera palcami, jakby roztrzepywał czarodziejski proszek po całej wielkiej kuchni. Za to Mark słucha, waży słowa. Widzę jego palec, wymierzony prosto we mnie.

- Co cię powstrzymuje, żeby mnie nie zabić? - pyta głosem człowieka trzeźwego.

Nic, mówię, ludzi po prostu się nie zabija.

- Boję się niewierzących, przerażacie mnie - Marek jednak ma w czubie i to ostro - możecie zrobić największe świństwo bez zastanowienia, bo nie macie sumień. Zasady moralne, jeśli poczytasz Biblię... gdyby nie ona, co z nami by było. Wojny! Mordowanie dzieci.

- Możemy jutro wszyscy pokłonić się dzieciątku Jezus - burczy pijany Joe. Muszę mieć wściekłą gębę. Marek orientuje

się, że przeholował i dopowiada przyjaźnie:

- Nie mówię, że ty.

Rozmowa schodzi na samochody, panowie pytają, czy będę chciał kupić tu jakiegoś rzecha. Joe w wielkim odruchu serca chce wypożyczyć mi jeden z trzech swoich samochodów.

Odpowiadam, że nie potrzebuję, nie jeżdżę, nigdy nie jeździłem i nie umiem prowadzić. Dwaj mężczyźni obracają ku mnie zdumione głowy, a mnie przechodzi przez myśl, że musiałem palnąć gafę. Może, zamiast o prawie jazdy, wspomniałem coś o tłustej żonie Marka i pieprzyku pośrodku jej francowa- tego łba.

Albo coś w tym stylu.

Oni zaraz na mnie, jeden przez drugiego. Jak sobie tu poradzę, no dobra, mówi Joe, przecież będą przyjeżdżali na to cholerne malowanie, a potem, przy kościele, warsztat niedaleko. Dobra, dobra, jak tak w ogóle można, lepiej już nogę sobie uciąć, pierwsza rzecz to się robi prawko, kiedy tylko można, szesnaście, siedemnaście lat. Gadają, słucham, odpowiadam.

- Nigdy nie potrzebowałem.

Znów gdaczą. Jak można nie potrzebować prawka?

Mówię: całe życie w jednym mieście. Gdzie miałem jeździć? Do sklepu za rogiem, pod knajpę czy na uniwersytet?

- Uniwersytet, dobre i to - powiada Joe, zadowolony z siebie.

A Marek się natęża i wypluwa z siebie:

- Co będzie, jak urodzi ci się dziecko?

Moja praca jest łatwa z małymi wyjątkami.

Wstaję o siódmej, mijam sypialnię, gdzie chrapie sobie Joe. Jem śniadanie, najczęściej tosty, robię sobie kanapki do roboty, jeśli Irena mnie w tym nie uprzedzi. Biorę kawę, piszę do Kaśki (trzyma się laska jak harpun walenia), czekam na klakson.

Wskakuję w robocze ubranie, które dostałem od Piotrka i za

minutę jestem na dole.

W brązowym minivanie czeka Tomek. Ma osiemnaście lat i jest w porządku.

Pędzimy przez małe miasteczka, jakieś dwadzieścia mil. Przystawienie się na mile przyszło mi z łatwością, za to nie radzę sobie ze stopniami Fahrenheita. Ile by tych stopni nie było, koło dziewiątej lądujemy w domu Piotrka, tam czeka Sosna i przesiadamy się do większego samochodu.

Robota polega głównie na malowaniu domów. Nie wchodzimy do środka, tylko elewacja, wewnątrz najczęściej nie ma nikogo, choć raz widziałem małżeństwo kapłanów, odprawiające nabożeństwo dla wiernych w domowej kaplicy. Muszę czyścić ściany. Mam szlifierkę z nałożonym płatem grubego papieru ściernego i usuwam łuszczący się lakier. Potem farba. Pędzel trzyma się jak pióro, zanurzam tak, że moczę tylko końcówkę włosa i jadę. Szybko, to ważne.

Około południa spotykamy się na lunch. Leżymy we trzech, Tomek, Sosna i ja, grzejąc się w październikowym słońcu, które tutaj nie ma nic wspólnego z październikiem. Mógłbym zrzucić koszulkę, co Sosna odradza. Nie mówimy o niczym konkretnym, bo i trzeba uważać na słowa. Tomek opowiada o baletach u siebie, znać, że mu tęskno, nie robi jednak z tego wielkiej sprawy. Życie. Sosna przyjeżdża tu od dekady, Piotrek to jego kumpel z kopalni, znają się od ćwierćwiecza. Można zarobić.

A ja niewiele mówię, bo i nie mam o czym.

Wspominam krakowskie knajpy, studentki, które w obliczu kubłów z farbą i suszenia pędzli wydają się nieistotnym wspomnieniem zdławionego świata. Kanapki dojedzone i ruszamy znowu. Obchodzę wielkie domy i wspinam się na dachy, małym pędzelkiem wykańczam gęstą balustradę, rogiem

szmatki rozcieram każdą uronioną kropkę. Szybko odnajduję właściwe tempo, nie wolno się wlec ani pędzić - szanujemy klienta, szanujemy też robotę.

Koło piątej zabieramy majdan. Starannie, każdą szmatę i kubek, Sosna sprawdza, czy nie nachlapaliśmy zbyt, Tomek nie chłapie, ja trochę

i wiem, że muszę zaraz się przyznać, Sosna ceni uczciwość, jeśli ten rudy starzec o muskulaturze wrestlera umie docenić cokolwiek, poza czterema piwami co wieczór.

- Cztery - mówi - pięć to już alkoholizm.

Rozumiem trochę, o co chodziło z tym prawem jazdy. Nie licząc paru uliczek przy kościele, Middletown nie ma swojego centrum. Domy wysypały się z wielkiego wora i przyrosły do przypadkowo wijących się ulic - żeby zrobić cokolwiek, na przykład zakupy w jakimś sklepie, musiałbym wcześniej wysiąść, lecz Sosna nie zatrzyma się dla mnie. Spieszno mu odstawić samochód, ciągnie go do czterech piw i telewizora, którego nie rozumie. Kupiłbym sobie książkę albo komiks, a będę mógł zrobić to dopiero w niedzielę, podczas mszy świętej.

Wieczory spędzam samotnie albo z Joe. Irena pracuje w supermarkecie, na nocnej zmianie. Joe uprawia trójpolówkę, rano, popołudnie, noc w bostońskim garażu, a ja zastanawiam się, jak on zdoła wczłgać się ze swoim brzuchem pod największego nawet tira. W sumie dobrze, że go nie ma, bo jak jest, to leży na kanapie, ogląda choopersów albo stare westerny, wypycha powietrze przez usta i nalewa sobie wina z dwulitrowej butelki.

Sam pijam paskudne, amerykańskie piwa, sprzedawane w dwunasto- pakach, umiem wytrąbić cały tuzin, pozostać trzeźwym i ganiać do klopa co kwadrans na oberwanie chmury.

Wynotowuję każdą dniówkę w zeszycie, muszę znać liczbę

godzin, żeby Piotrek mnie nie oszukał. Piotrek swój, ale wiadomo jacy są ludzie.

Płaci mi raz na tydzień, w gotówce i bez podatku.

W drugiej połowie października psuje się pogoda. Do porannych rytuałów dochodzi nowy i nieznośny. Ledwo oczy otworzę, pędzę do okna i gapię się w niebo. Jak leje rzucam kurwami i wracam do wyra, wściekając się na stracony dzień. W deszczu nie sposób malować domów. Czuję się, jakby mi ktoś wyciągnął osiemdziesiąt dolarów z kieszeni.

- No, trzeba było zjawić się wiosną - przypomina Joe.

Więc teraz nie muszę nawet iść do okna, by wiedzieć, że nici z mojej osiemdziesiątki. Jednostajny szum kropli napieprzających w drzewa. Zaciskam pięści, próbuję się uspokoić, jeszcze lepiej - zasnąć. Nie ma mowy, ledwo siódma wybiła, a ja już z kawą i sałatką oglądam amerykańskie programy śniadaniowe. Joe pojechał na rano, Irena śpi.

Podchodzę do okna i gapię się smutno na tę złośliwą pluchę i zbrą- zowiałe liście. Świta mi, że moje majstersztyki ze szlifierką i pędzlem po

ciągną tydzień, półtora i z głowy. Trzeba mi do jamy podkościelnej, gdzie pewno podzieje się to i owo, lecz będę musiał zapłacić. Dwieście, trzysta dolców za miesiąc. Pół tygodnia roboty. Książ, wiadomo. Joe nie weźmie dolara.

Z zamyślenia wyrywa mnie klakson. To Tomek stoi na podjeździe i się niecierpliwi.

Macham do niego - po coś, durniu, przyjechał. Chcesz cztery piwa z Sosną pić?

A on: jest robota!

Błyskawicznie wskakuję w białe, upaprane spodnie, bluzę niewiele lepszą, kontraktorki (tak nazywamy tutaj buty za kostkę z grubą podeszwą), porywam kurtkę i pędzę, nawet bez

kanapek. Ląduję koło zaspanego Tomka. Oczy lśnią mu z podniecenia, jak psu, który właśnie wskoczył na sukę w rui.

- Będzie przejebane - mówi Tomek. - Pracowałeś kiedyś w chlorze?

Potrząsam głową, że nie. Tomek wybucha śmiechem.

Wiem, że nie jest złośliwy, razem tkwimy w tej kabale.

Godzinę później pędzimy naszym vanem przez las i wertepy. Gnieciemy się na przednim siedzeniu. Tył, odgradzony kratą, zapełniają wielkie białe butle z chlorem, rury, pompki i sikawki. Sosna co chwile wrzeszczy do krótkofalówki, nie może znaleźć drogi. Deszcz dał sobie spokój, mży tylko, ziemia rozmokła. Skręcamy, van zwalnia, a przed nami wyrasta dom jak ze złego snu Draculi, wzniesiony na kamieniach, trzy piętra, do tego wieżyczki, biały, nieregularny i opleciony płotem. Okna są ciemne. Wysiadamy, rozkładamy z Sosną drabiny, w tym tę największą, na piętnaście metrów. Nie wyglądają solidnie. Utrzymałyby słonia.

Tomek pomaga mi zainstalować butlę z chlorem na plecach.

Już wiem, o co chodzi. Znajduję się na wysokości pierwszego piętra. Mam widok na zasmarkane chmury i pięty Sosny pod dachem. Trzymam sikawkę, złączoną z butlą przy pomocy miękkiej rurki, i pryskam na dom. Metr po metrze. Wżarty brud mięknie i spływa. Też metr po metrze. Muszę schodzić i wchodzić na drabinę, przestawiać ją, aż powstanie zachlorowany kwadrat. Wtedy chwytam szlauch i spłukuję, choć moim zdaniem deszcz by wystarczył. Ortalionowy płaszcz nie pomaga, przemokłem. Dzień dopiero się zaczął, rozciągnięty w brei.

Po czterech godzinach mam dosyć, wołałbym już, żeby zęby rwali na żywca.

Podeszwy stóp bolą od szczebli drabiny.

Ledwo unoszę ramiona, napieprza zmaltretowany bark. Z nieba chlusta, uporczywie i nieznośnie, gałęzie wokoło gibia się, jakby harco- wały na nich małpy. Czasem zaglądam przez okno do ciemnego domu. Tam uśpione ciała mebli, martwe zegary, otwarty pysk kominka. Ciężka- wy parkiet.

Chlor mam nawet w oczach. Tryskam w górę, spada na mnie wraz z deszczem, taki jest złośliwy. Gdy przysmykam powieki, świat jest kołomyją smug.

Raz na godzinę muszę zejść i napełnić pojemnik.

To prosta czynność i każdy z nas stara się przeciągnąć ją tak długo, jak tylko można. Tomek ma ponurą minę - wiedziałem, że tak będzie, mówią jego oczy - śmieje się, próbuje żartować, ciągnie mnie pod brezent i mówi: warto jednak się przemęczyć, Piotrek dorzuca coś do dniówki. Po spadzistym dachu, niebezpiecznie wysoko, pełźnie sobie Sosna.

Przerwa trwa krótko, nie ma jak odpocząć. Siedzimy w szoferce i wpieprzamy kanapki. Nawet one smakują chlorem. Mam dziwne, pomarszczone palce, broda Sosny jest jakby mniej ruda. Nikt nic nie mówi, patrzymy tylko na dom obłożony drabinami, na to pieprzone, sine niebo. Wokoło przemykają żalosne wiewiórki.

- Po południu przestanie padać - obwieszcza Sosna.

Myli się częściowo (najboleśniejszy rodzaj omyłki), od piątej deszcz przechodzi w ciepłą mżawkę, chmury rzedną, momentami miga sobie czerwonawe słońce, przez co dom robi się krwawy i jeszcze większy, a mnie jest już zupełnie wszystko jedno. Mogę być chlorowym chłopczykiem i do Wielkiej Nocy. Niech tej dziwnej budowli, tym drewnianym szponom wczepionym w skałę, rosną sobie nowe skrzydła, kolumienki, niech okna nikną, zmieniają się w ściany.



Tuż przed zmrokiem odczuwam atak zmęczenia. Krótki i gwałtowny. Nieruchomieję na drabinie, z głową i dłońmi opartymi o oczyszczoną już ścianę. Chlor płynie mi między palcami, przewieszona przez szyję pompka smętnie dynda na wysokości krocza.

- Ej - drze się z dołu Sosna - dobijamy do mety! Ruchy, młody!

Jest wściekły, trudno mu się dziwić. Na dachu nieźle musiało go przeświecić.

Rozumiem, że ma rację, ale te ostatnie metry kwadratowe, wejścia i zejścia, przepychanie drabiny już nawet nie męczą, są upierdliwe jak

ćmienie zęba, przygaszonego ketanolem, jak ostatni dzień picia na umór i amfetaminowy zjazd jednocześnie. Wszystko jest jedynym wielkim wleczeniem się, nawet ciała już nie rozpoznają. Ręka sama jedzie, zbyt wysoko, zbyt nisko niż sobie tego życzę. Tryskam sobie, mrużę oczy, słońce dawno zaszło, ale tu, na ziemi Waszyngtona noc zapada powoli. To już. Chłapię chlorem na ostatni kawałek domu, biorę głęboki oddech, zsuwam się z drabiny, w moją stronę wali Sosna ze szlauchem.

Spłukuje. W tym czasie uwalniam się od butli.

Sosna nerwowym krokiem kaprała maszeruje wokół domu. Jego męska, krótka klatka piersiowa drży od płytkich sapnięć. Podpiera się pod boki, ściąga krzaczaste brwi, woła:

- Wszystko wyczyściłeś?

- Mowa - krzyczę w jego języku. Targam już sprzęt do samochodu.

- Miejsce w miejsce? - upewnia się Sosna.

- Toż mówię!

Nie okłamuję go, przelazłem całe swoje skrzydło i jeszcze sprawdziłem. Sosna macha wielką łapą, pozwól, no to idę, zrezygnowany, bo niemal dotarłem do vana, trapi mnie, czego doszperała się ta ruda menda. Już wiem. Sosna stoi w lekkim rozkroku, dom jest biały nawet w półmroku, tylko od ziemi idzie pas brudu, mniej więcej pół metra na dwa.

-Atu?

- Pewnie, czyściłem - mówię głupio, załedwie przeczuwając skalę własnej pomyłki, już chcę zakładać butlę - poprawię, jak trzeba.

Sosna dopada mnie, boję się, że uderzy, ale tylko zrywa mi butlę z ramienia.

- Zero czasu na pierdoły.

Tryska chlorem na miejsce, które pominąłem, kaszle, wyrzuca z siebie cały potok słów, rozumiem co trzecie, deszcz leje się nam na łby. Jakby nie mógł powiedzieć, klnie Sosna, nie zrobiłeś to gadaj, nic złego, jak kłamiesz, to po tobie, nikt tu nie chce łgarzy, nikt ich, kurwa, nie lubi, mogliśmy uwinąć się wcześniej, Tomek dawno w samochodzie, tak trudno, młody, powiedzieć, spierdoliłem, zapomniałem, nie chce mi się, jak ci się kurwa nie chce, no to zobczymy.

Rzuciłbym się na niego i przydusił, ale w walce z pięćdziesięcioletnim górnikiem szanse mam marne, zaciskam tylko pięści i łykam łzy. Dobrze, że pada, taki wstyd. Sosna kończy, ciska we mnie butlę i chwyta się szlauchu.

Zostawiamy za sobą dom w całej jego bieli. Tkwię w szoferce między Sosną i Tomkiem, nikt nie ma ochoty na gadanie. Tomek składa głowę na szybie, Sosna ryczy do krótkofalówki, mkniemy w noc.

Myślę o duszeniu i kopaniu grobów.

Znów jestem gnojkiem, który chce pogrzebać panią od

fizyki. Ameryka czyni człowieka dziecinnym, bezbronnym po przedszkolnemu.

Silnik huczy, puste butle rozbijają się po całym aucie.

Dojeżdżamy do Piotrka, cuchnę i mam wszystkiego dosyć. Gdyby na podwórku wylądował samolot do Polski, nie wahałbym się ani chwili. Zawieszam wzrok na przemokłej fladze „Solidarności”, przyczepionej do płotu, zastanawiam się jeszcze, co robimy. Zjawia się Piotrek i mówi niepowtarzalnym, piskliwym głosem, że dziś o dziesiątej przyjedzie po mnie Joe. Piotrek wygląda skojarzeniowo, dodać wąsik i będzie Adolf jak marzenie.

I ciągnie nas na werandę od drugiej strony domu, tam zimna wódeczka, uduka kurczaka, sałatka. Pijemy i gadamy. Nawet Sosna nie udaje zmęczenia. Dobrze chłopaki, mówi.

Piotrek coś wspomina, Tomek się śmieje.

Pijemy wódkę. Jest dobrze, tak dobrze, że aż strach wspominać.

Jak niedziela, to i msza święta. Zbieramy się rano, by zdążyć na dziesiątą. Joe w garniturze. Chłepcze kawę, porykuje pieśni religijne, drepcze do garażu. Ma trzy samochody, ale jedziemy najlepszym, prawdziwym rollsem, z niższej co prawda półki. To pieprzony rolls royce, nie ma co. Zastanawiam się, jakim cudem mechanik od trucków może pozwolić sobie na takie cacko, na dom za milion dolarów.

- Ameryka spełnia sny - mówi Joe i wali mnie w plecy.

Jedzie z nami Sebastian. Jego syn.

To bystry czternastolatek, zupełnie pozbawiony wdzięku. Gdy go rozdawali, stał w kolejce po dodatkowe kilogramy. Przypomina mi trochę gapowatego ucznia high school z komedii dla młodzieży i idę o zakład, że pozostanie ostatnim prawiczkiem na ziemi. Niby spogląda na ojca z lękiem, ale, jak

trzeba, umie odpyskować, mam nawet wrażenie, że Joe trochę się go boi. Bezradny wobec miłości ojcowskiej.

Sebastian to Amerykanin w każdym calu, duka po polsku, wtrąca obce słowa. Patrzy na mnie, jakbym był jego młodszym bratem. Jedziemy.

Chce mi się spać, chętnie zostałbym w domu. Po miesiącu w Ameryce wiem już, jak ważna jest msza święta.

Kościół z czerwonej cegły stoi po środku Middletown, pod nim błyszczą się samochody. Powinienem przywyknąć do ich wspaniałości, tyle, że nie umiem, takich cacek nie widziałem ani w Londynie, ani na bostońskim lotnisku. Wszystkie są wielkie, przeważnie czarne i aż lśnią. Beemki, sprowadzane z Europy. Ze trzy rollsy, wyraźnie droższe niż ten, którym rozbija się Joe, maybach, merole, kilka marek, których nie umiem nazwać.

Pod polską parafią stoi, lekko licząc, kilkanaście milionów baksów.

Kościół pod wezwaniem świętego Jerzego, sejnt Drożdż.

Zwykle wcześniej wymykałem się z mszy - jak mały chłopiec - korzystałem z okazji powłóczenia się po Middletown, dziurze ubitej niedzielnym porankiem. Ponure sklepy. Rzędy dwupiętrowych kon- dominiów. Kilka ceglanych budynków, w nich liche pamiątki. Sklep z komiksami, gdzie czatują młodzi czytelnicy i starzy kolekcjonerzy, o dziesiątej wejdą między figurki, gry, zeszytowe przygody superbohaterów. Gdybym poszedł dalej, znalazłbym się na rozwidleniu dróg, rozjeździe ku domom pełnym grubych rodzin i okrągłych samochodów. Tak to sobie wyobrażam.

Śmiertelnie to nudne. Komiksy i Ameryka.

Wolę już wnętrze kościoła, jego wściekły przepych.

Ustawiam się w ostatniej ławie i mam baczenie. Wszystko tu błyszczy i kapie kosztownością. Droga krzyżowa, malowana

olejem, wtłoczona w złotawe ramy, nie mieści się na ścianach. Na witrażach kokoszą się święci, półkoliste sklepienie przypomina gotyk, ale rzeźby tam są niemal współczesne, pokręcone, muskularne, skóra przypomina łuskę.

Dwa witraże wstawiono niedawno.

Na pierwszym piach, pustynia, promień przebija chmury i oślepia Szawła z Tarsu, Szawel akurat upadł, ugrzązł, podkulił nogi. Ma krótkie palce robotnika, okrągłą twarz z workiem podgardla i wąs zupełnie jak u Wałęsy. Wysoko majączy świetlista postać. Czasem słońce wpada przez nią do kościoła, na głowy wiernych.

Witraż numer dwa, po mojej lewej: pokręcony smok. Z wielkiej rany na brzuchu jucha bucha aż miło, gad leży na plecach, poddaje się jak kot, w jego długim pysku drzemią pozostałości człowieka, naciągnięty na oczy kaptur ze skóry i łuski przypomina hełm. Nad nim święty Jerzy

- patron - na chudej szkapie i odziany nie po rycersku. Zbroja skórzana, chude ramiona, dłonie oplatające drzewiec włóczni. Szyszak. Pod nim znajoma twarz zamordowanego kapelana.

Amerykanie nie wiedzą, Amerykanie się nie domyślą.

Polonia w Middletown ma swoich świętych.

Msza się rozpoczęła, wychodzi ksiądz Mirek, wodzi wzrokiem po wiernych. Klękam i wstaję, wstaję i klękam. Mirek to kawał faceta,

O uśmiechu skrywającym bezmyślne okrucieństwo.

Msza, moim zdaniem jest nudna. Nie to, co gospel w Nowym Jorku.

Prócz ponurych ministrantów z boku, na krzeselku za ołtarzem siedzi drobny człowieczyna w sile wieku. Ma sutannę, żyłaste przedramiona

1 policzki ściągnięte w zadumie. Nie widziałem go wcześniej, więc to chyba ten, o którym mi mówiono.

Zaczynamy śpiewać, tylko ruszam ustami. Z góry, z chóru, dobiega donośne zawodzenie, jakby zranionego łosia wrzucono do studni. To Joe śpiewa na chwałę Pana i przeprasza za swoje złe uczynki. W chórze mają kilkanaście osób, zagłuszył wszystkich.

Joe modli się żarliwie, ale po spowiedź i rozgrzeszenie wali do Bostonu, ksiądz Mirek to swój, miejscowy, jemu grzechy nie będą wyznane.

Mirek czyta fragment Biblii, o tym, że jeśli pomogłeś najmniejszemu z ludzi, to tak, jakbyś samemu Chrystusowi postawił drinka, czy coś takiego. Oho, myślę sobie, w zeszłym tygodniu coś mało mówiono o forsie, teraz nadrobiją. Na całym wschodnim wybrzeżu zamykają kościoły katolickie. Trzask, prask, jeden po drugim, jak trumny w noc zarazy. Mirek zamyka Biblię. Uśmiech błądzi mu na lisim pysku, mówi, że tej niedzieli wreszcie wysłuchamy porządnego kazania. Szmer idzie przez salę.

Mirek wycofuje się, klęka przed ołtarzem, do ambony zmierza ksiądz o żylastych przedramionach. Ludzie wstają, szepczą. Ksiądz zaczyna mówić. Ma głos ciepły i dźwięczny, całkiem nie dopasowany do pokraccznego ciała.

Choroba nim kręci, wiem.

To ksiądz Grzegorz ze Śląska. Mówi polszczyzną bez śladu akcentu. Z górniczej rodziny, dla górników msze odprawiał i pomógł im za najczarniejszego Jaruzela. Dał słowo Boże, dach nad głową, może i pieniądze. Prześladowany. Pobity. Nie dał się i widzę, że ciągle jest twardym sukinsynem. Niedługo. Ksiądz Grzegorz ma raka.

Dlatego tu jest, u parafian sprzed ćwierćwiecza. Ameryka

ma lekarzy-czarodziejów, ci rozgrzebią mu płuca, pomogą.

Ale ksiądz Jerzy nie mówi o chorobie.

- Nie ma powodu, by wątpić - słyszę - nadzieja jest mocna, nadzieja to prezent dla odważnych. Zawsze powinniśmy wybierać trudniejszą drogę i iść na ostrzejszy szlak. Co z wątpliwościami? Pytacie mnie, jak da się żyć bez wątpliwości - rozłożył dłonie - otóż nie da się wcale. Człowiek wątpi i rozważa własne czyny, inaczej przestałby być człowiekiem. Niech wątpliwość będzie jak rana na ciele. Coś, czego nie da się zatrzeć. Czego nie można zmienić od razu. Co wymaga czasu. Być może wieczności. Ale ranny nie kieruje się swoimi ranami, nie pragnie ich powiększenia i nie ma takiego, co chciałby zmienić się w jedną wielką ranę. Niech rany nas drażnią. Niech czynią niespokojnymi. Ale nie słuchajmy ich głosu i nie idźmy za nimi. Tej jednej rzeczy nie wolno nam uczynić.

Tak skończył. Ludzie milczą i patrzą po sobie. Z ławy przede mną dobiega zawstydzone beczenie, to Sosna się rozkleja, chłop jak dąb, a smarka w rękaw i ociera łzy. Ksiądz Grzegorz, spocony, czmycha za ołtarz, Mirek rusza i msza toczy się dalej.

Po komunii czas na kwestę. Wszyscy naszykowali czeki, tu inaczej, każdy odpisuje sobie datek od dochodów, mimo to kwoty budzą zdumienie. Pięćset, tysiąc dolców. Joe naszykował tysiąc dwieście, wiem, bo machał mi blankietem przed nosem. Zarabia dwa razy tyle, no ale i taca krąży dwa razy. Na kościół i na księdza Grzegorza.

Mirek odczytuje darczyńców z zeszłego tygodnia, znam już listę filantropów Middletown.

Joe nie załapał się na podium, nadrabia śpiewem.

Msza dobiega końca, a ja czekam już na zewnątrz, oparty o mur, ćmię słodkiego szluga. Tu papierosy są inne. Podobno

dosypują cukru do filtra. Zastanawiam się nad tymi zamykanymi kościołami. Przerabianymi na dyskoteki. W świętym Jerzym prędko nie potańczysz, parafia trzyma się mocno. Od krzepkiego kościółka odchodzi skomplikowana struktura budynczków, z okazałą plebanią, kuchnią, knajpą, salą na zabawy i ma- ciupkim budynkiem, na wpół widocznym zza drzew. Kiedyś mieszkały tu zakonnice. Wiele wskazuje, że niedługo zamieszkać ja.

Ludzie wychodzą z kościoła i wymieniają uprzejmości. Gromadzą się w grupy. Sam ściskam się z kilkoma, wielu rozpoznaję.

Piotrek, Sosna, Tomek, Joe, Irena. Wiadomo.

Marek przytargał swoją grubą żonę. Gada z Robertem, drobnym kontraktorem, niepokojąco podobnym do przegranego artysty. Obok

kokoszą się Darek z Mileną, ich troje dzieci gdzieś się rozbiegło. Od lat zajmują się sprzątaniami domów, mają firmę, dom na kredyt, samochód - tylko prawa pobytu zabrakło. Nielegalni. Walczą. Joe twierdzi, że już, zaraz, w przyszłym roku zielona karta uśmiechnie się do nich. Takie wieści. Będą mogli ucałować swoją Polskę.

Z kościoła wychodzą Adrian i Kate - Katarzyna. Ona piękna, skromna w tym swoim długim płaszczu, owiana niewidzialną chmurą perfum, z rozpuszczoną falą włosów. Z lat osiemdziesiątych wyniosła to, co najpiękniejsze. Adrian to niedźwiedź, wsadzony w gładki garnitur. Ciemnobrażowe włosy, zadbana broda, złota bransoletka, dyndająca na grubym nadgarstku. Ci to mieli szczęście - przyjechali bez niczego, teraz mają restaurację w centrum miasta i motel w sąsiedniej miejscowości, do tego, powiadają, Adrian dorabia na remontowaniu domów, kupuje ruinę, wypuszcza funkiel nówkę nie śmigana. Tak doszli od pokoju do willi, przy której - tak



mówią - chałupa Joego przypomina latrynę.

Pchają przed sobą olbrzyma na wózku. Olbrzym nazywa się Chris.

Jest w nim coś żałośnie potwornego, co każe odwracać głowę. Tors ma szeroki, ale płaski, rozprasowany, wychodzą z niego bezwładne ramiona i nogi pozbawione mocy. Mógłbym żeglować w jego butach. Spodnie zwisają z goleni, mogę tylko przypuszczać, jaki ten Chris jest chudy, wolę jednak odpuścić. Wielka mi radość. Gapić się na nogi, które nigdy nie zaznały ruchu. Podobno nie jest całkiem sparaliżowany, czasem poruszy wielką głową, machnie ręką, ale w tej chwili przypomina wielką, niepotrzebną kukłę, ciśniętą na wózek inwalidzki.

Najpaskudniejszy ma łeb. Kowadło obciążone niebieskawą skórą, z płytkimi oczkami po bokach, jak u rekina.

W samochodzie Joe opowiada mi o nim. Wyje pieprzony Niemen.

- On ma może dwanaście lat, a taki wielki - mówi, tnąc zakręt.

- Był zupełnie normalny - dopowiada Irena z tylnego siedzenia.

- Nieszczęsny gówniarz. No to się popieprzyło.

Pędzimy chwilę w milczeniu, deszcz wali o karoserię, a ja myślę to o Chrisie, to o pogodzie. Jeśli jutro będzie lało, nici z malowania.

- Ja tego nie rozumiem - zastanawia się Joe i pogwizduje - czemu tak się dzieje, no. Rodzice zdrowi. Robotni, i to jak, co jeszcze, uczynni, mało to pomogli innym? A tu takie nieszczęście, takie strapienie. Czemu Bóg na to pozwolił?

- Bóg nie ma tu nic do rzeczy - odpowiadam. Męczą mnie już te rozmowy.

Joe głośno myśli.

- Może Bóg ich sprawdza? Przypomina o czymś. Łatwo tak, cholera, pogubić się w tym wszystkim.

Skrećamy w boczną drogę, falującą, góra, dół. Już widzę nasz dom. Irena ożywia się, wypala:

- Myślę, że Adrian i Kate musieli popełnić kiedyś jakiś straszny grzech.

Na zewnątrz leje jak z cebra, a ja jestem na zabawie polonijnej, wyją mi polskie przeboje.

Całe polskie Middletown, kilkadziesiąt osób, harcuje w wielkiej sali przy parafii. Tu kiedyś musiały mieścić się magazyny czy coś takiego, ściany znaczą ślady po hakach, prostokątne okienka wiszą tuż nad ziemią.

Stoły stoją w rzędach, na nich żarcie, każdy przyniósł co mógł. Piotrek polewa piwo po cztery dolary, podchodzę, mruga do mnie i płacę tylko trzy. Piwo tutaj jest zupełnie bez smaku, za to nieustannie pędzi. Tkwię sobie nad zimnym klopem i podziwiam resztki jakiejś ubojni. Od świata oddziela mnie tylko płyta gipsowa, zagruntowana na biało, nazywają ją tu sitrakiem.

Wracam, opieram się o ścianę.

Większość towarzystwa jeszcze siedzi. Za prymitywną konsolętą rozkłada się Darek, który na tę okoliczność przytargał sobie flaszkę. Popija i sprawdza mikrofon. Są wszyscy. Sosna pije równo, Tomek gada z jednym takim Michałem z Białegostoku, Piotrek jakiś smutny. Joe trzyma Irenę na kolanach i wodzi czujnym wzrokiem po zgromadzonych.

Przede mną wyrasta kobieta koło czterdziestki. Wygląda jak mysz na sterydach, sypie się jej wąsik. Zagaduje, że ja tu nowy. Bo jeszcze mnie nie widziała. Nawet w kościele. Chodzę do kościoła, odpowiadam, kombinując, jakby tu uciec.

- Ale ja nie chodzę! - wybucha śmiechem. Zerka w mój kufel i zaraz wraca z nowym. Wsuwa mi w łapę.

Oszczędzam każdy dolar.

Opowiada mi o sobie, a Darek zaczyna koncertowanie. Puszczą dobre polskie przeboje, jakie można usłyszeć w Radiu Z. Yarius Manx. Yirgin.

Ich Troje. Łzy. Podskakuje przy tym, macha mikrofonem, widzi siebie na scenie, spowitego dymem. Rozumiem już, co tu się wyrabia, życzę mu, aby był to dym pogrzebowy.

Kobieta, jej imienia nie znam i znać nie chcę, opowiada mi o swoich sukcesach finansowych. Na dom mówi gniazdko. Rozpływa się nad córką. Córka ma osiemnaście lat i same dobre oceny. To gdzie znajdę twoją córkę, chcę powiedzieć, niestety Joe zagubił gdzieś żonę i leci do nas, nawalony jak szpak.

- Młody, chodźmy po wódkę.

- Ale ty stawiasz.

Wali mnie w bark.

- Co przeżywasz?

Wyprawa do liker storu ma mnie uwolnić od myszowatej kobieciny, skutek okazuje się przeciwny do zamierzonego. Idziemy gęsiego przez centrum Middletown. Ja przodem, za mną myszowata, wokół niej podskakuje Joe, aż mu łańcuchy dzwonią.

Przed likier storem Joe wyprzedza mnie, taranuje drzwi i zaraz wychodzi z litrem Kapitana Morgana. Przyciska do siebie myszowatą, ta zaraz leci w moją stronę, mój ci on. Puszczam w stronę Joego rozpaczliwe znaki, musi wiedzieć, że z nią mi nie po drodze. Śmieje się szelmowsko, rozkłada dłonie. Spokojna głowa, młody.

Zaczynam podejrzewać, że mówiąc o tysiącu kobiet odrobinę przesadził.

Pijemy rum z kubków po piwie. Myszowata mięknie, zaraz zawiśnie na mnie. Opowiadam jej o Joe, jaki on fajny, morowy

chłop i tylko zerkam, gdzie Irena, bo zaraz będzie nieszczęście.

Jej nigdzie nie ma, za to ksiądz Grzegorz chłepcze kawę i gromi mnie wzrokiem.

Darek podpalił się na dobre, wiruje za konsolę, trzęsie butelczyną i mikrofonem. Leci akurat Kayah, „Testosteron”, Darek wybija się w górę i wyje radośnie:

- Testeron! Testerom!

Sosna już zasnął, za to Tomek pokłada się ze śmiechu.

Oceniam zawartość butelki, w tym tempie Kapitan Morgan prędko dobije do portu, za to ksiądz Grzegorz przesyła spojrzenie, które wcale mi się nie podoba. Wybuchą śmiechem. Ten śmiech podoba mi się jeszcze mniej.

W pijackiej ostrości chwytam, że jestem w jakiejś amerykańskiej dziurze, gdzie wszyscy zaraz uderzą w trupa, do domu mam daleko, za to przytula mnie raszpla. Wymykam się jej lepkiem opuszkom, mknę do ubikacji i wpadam na Piotrka, który sprzedał już całe piwo i ledwo stoi na nogach.

- Porządny z ciebie chłop - mówi - next time przyjedź na wiosnę, roboty co niemiara. Albo zostań. Zostań, człowieku, tu raz dwa dojdiesz do takiej kasy - pokazuje ruchem ręki, jak wielkie grożą mi pieniądze. Zniża głos do szeptu. - zwłaszcza u nas, w Middletown.

Wycofuje się, cienie padają mu na twarz i wygląda już całkiem jak Adolf.

Do salki ładuje się Irena i rozgląda za mężem. Darek tańczy nad konsolę, zwolnił wokalistów i puszcza wersję karaoke. Jego śpiew kojarzy się z ptakiem, co za wcześniej wyprał z gniazda, wzbija się wysoko i czysto, a potem pizga na łeb. Za to cieszy się strasznie, wywija chudymi ramionami i nie dostrzega, że ludzie na parkiecie tańczą coraz wolniej i z coraz mniejszą ochotą. Za to Sosna poderwał ryży łeb i wytrzeszcza

zdumione oczy.

Zasuвам do ubikacji, zadowolony, że nikt nie próbuje mnie zatrzymać, tylko Sosna burczy do Tomka, że jeszcze się wyrobię. O Jezu miłosierny, ale bym mu przypierdolił.

Wybieram ubikację. Odlewam się z ulgą i jeszcze mokrą ręką pakuję peta w usta. W ubikacji muzyka ledwo brzmi, nie słyhać Darkowego pienia, za to pędzi ku mnie inny wybitny śpiewak.

- Co ty kurzysz? - Joe unosi brew. - A zdrowia ci nie szkoda?

- Pieprzysz, Józek, widziałeś mnie ze szlugiem nie raz, nie dwa.

Mruga do mnie szelmowsko, chwytą za wolną dłoń.

- Słuchaj, ta moja jest już prawie wyrobiona, tylko kłopot mam, bo Irena przecież. Wiem, jak zrobimy. Tyją zbajeruj, siądziecie u mnie z tyłu w toyocie, a potem weźmiesz ją na górę do pokoju. Też se możesz poskakać, ja poczekam tylko, jak moja zaśnie, a ona jak kamień w studnię, moment, mówię ci, i przyjdę tam do was, kimniesz się na dole. Albo i we dwóch, no co! - Śmieje się, szturcha, czeka co powiem.

Jestem zbyt zaskoczony, by wykrztusić choćby słowo. Dopowiadam sobie szczegóły planu, poranne konsekwencje, wspólne śniadanko, oskarżenie o gwałt i ciupę.

- Zobaczymy, co da się zrobić - odpowiadam i zmykam z ubikacji.

Parkiet opustoszał. Ludzie stoją pod ścianami, wrócili do stolików,

sączą drinki, kolo mnie Adrian i Piotrek wyklinają Eminema, za to Da

rek zupełnie nie pojmuje, co się wyrabia, śpiewa co sił, mając przed sobą pusty parkiet. Myszowata mnie dostrzega, kiwa na mnie butelczyną, nie wiem, co ze sobą zrobić, więc piję

z nią dwie kolejki. Przytula się do mnie nieco ospale, pewna swej kobiecości, której ja nawet nie śmiem przeczuć, z kąta łypie na nas Joe, już pewny swego, rozpaczliwie szukam sojuszników.

Ksiądz Grzegorz siedzi jakby obok, patrzy po ludziach, uśmiecha się lekko i bez złośliwości, tylko na nasz widok poważnieje, przybiera grymas nieodgadniony. Jedyne oczy skrzą mu wesoło. Nasze spojrzenia nie mogą się spotkać. Dziękuję, dobry księżu Grzegorzu.

- Ksiądz czegoś chce - mówię i uwalniam się od myszowatej. Odprowadza mnie westchnienie pełne rezygnacji.

Podajemy sobie dłonie. Ksiądz Grzegorz wstaje, jest jeszcze mniejszy, niżby się wydawało. Ale muskularny. Kojarzy się z dzieckiem zatrudnionym w kopalni, zmuszonym do nadludzkiego wysiłku, z czymś takim właśnie strasznym - ale nie widzę śladu choroby.

Zamieniamy parę zdań.

- Ty nie stąd.

- Skąd ksiądz wie?

- Inaczej się ruszasz. Zabawne. Ci wszyscy dobrzy ludzie mają proste, pewne ruchy. Ty się rozglądasz na wszystkie strony, aż myślę sobie, że obawiasz się ciosu.

Drapię się w głowę.

- W takim razie, ksiądz też nietutejszy.

- Widziałem cię na mszy - przypomina sobie - ja nawet cię rozumiem. Gdybym miał dwadzieścia lat, też bym nie wierzył w Boga.

- Mam dwadzieścia siedem.

- Wielkie mi rzeczy - śmieje się ksiądz Grzegorz. - W Boga dobrzy ludzie zaczynają wierzyć po trzydziestce. - Zerka na smutną myszowatą, znów się śmieje. - Chodź, pomogę ci.

Stawia drobne kroczyki. Na dworze przymrozek, niebezpiecznie iść, docieramy do schodów i chwytam go pod ramię. Muszę uginać kolana. Na zewnątrz paru Polaków pali. Kłaniają się księdzu. Jest zimno, ulica lśni, szczęściem parafia jest niedaleko, lecz my skręcamy w lewo, do dawnego budynku zakonnicy. Ksiądz Grzegorz uwalnia się od mojego uścisku.

- Nie jest ze mną tak źle.

Middletown lśni pierwszym szronem, okna są martwe, gwiazdy ostre, nic nie rozprasza bezruchu. Drewniane domy przypominają dekoracje, łyse drzewa wkręcają się jedno w drugie, milkną śmiechy polonijne.

- Ksiądz nie sypia u księdza Mirka?

- Wolę być sobą u siebie - odpowiada ksiądz Grzegorz, a ja już wiem, że stosunki między nim a Mirkiem mogłyby być cieplejsze.

Odprawiam go pod drzwi i tam zostawiam.

Przed jakieś dwadzieścia minut włóczę się pustymi ulicami. Wracam. Polonia powoli się rozchodzi, pijane chłopy pakują się do samochodów i zaraz będą jechać. Jutro rano msza święta i głupio by się tak rozpierdolić

0 słup przed rozgrzeszeniem. Myszowata zniknęła. Po pustoszejącej sali rozbija się wściekły trzmiel. Joe.

- Gdzieś ty kurwa był?

- Ksiądz Grzegorz...

- Taka sprawa, a ty się z księdzem włóczysz!

Joe ledwo panuje nad sobą, rusza barkami, głowa mu nisko zwisa, nawet nie próbuje pogodzić się z tym, że dziś musi mu starczyć jego ślubna.

- Chory człowiek, Joe. A z nią gadałem! - kłamię. - Nie chciała jechać. Odmówiła! Miałem ją siłą zaciągnąć?

Twarz Joe'go ściąga się do środka, marszczy. Jest stara i

zła.

- Takie z tobą gadanie! Jak i robota! Jak i kurwa wszystko!  
Wracaj ty do Polski lepiej, ot co!

Popycha mnie, porywa niedopitą flaszkę i sunie w kierunku samochodu. Irena za nim, zrównujemy się. Najchętniej pokazałbym mu fucka

1 więcej nie oglądał. Głupie to i niedojebane. Jestem w obcym miejscu, środek nocy. Nie wziąłem dolarów. Paszportu, czegokolwiek.

Zaczynam żałować, że nie mam prawa jazdy, duszę ten żal w zarodku. Nie dostanie głupi Joe ode mnie satysfakcji. Nawet takiej.

Joe zapił i nie jedziemy na poranną mszę, jemy śniadanie z Ireną i Sebastianem, z góry dobiega nas pijackie chrapanie. Można pomyśleć, Joe ledwo się stoczy, przestraszony i potulny jak jagnię, wyciągnięte z sideł.

Gdzie tam, toczy się po schodach, do mnie nie mówi choćby słowa. To i ja się nie odezwę. Jem swoje płatki i zwałam się przed telewizorem, oglądam stare filmy sensacyjne na jakimś kanale, aż Joe nie wyrwie mi

pilota i nie przełączy na program sportowy. Zamykam się przed komputerem, w pokoju nieobecnego Sebastiana.

Koło drugiej po południu smutna Irena informuje mnie, żebym się spakował. Wygląda tak żałośnie, że myślę głównie o niej, nie o tym, co ze mną dalej będzie. Czuję nawet jakiś rodzaj ulgi. Składam rzeczy do torby, paszport zamykam na piersi, wyjmuję dolary z szuflady, parceluję między kieszenie. Gapię się chwilę przez okno. Schodzę. Joe już gotowy.

Msza popołudniowa zaczyna się o piątej, wyjeżdżamy godzinę wcześniej. Joe wściekłym ruchem pakuje moją torbę do bagażnika, ostro wchodzi w zakręty, a Niemen wyje dwa razy



głośniej niż zwykle. Zahukana Irena pyta, jak się mam. Wszystko w porządku, mówię, lepiej po prostu nie może być.

Zatrzymujemy się przed byłym budynkiem klasztornym dla zakonnicy. Joe wywala moje graty z samochodu, uśmiecha się głupkowato, jakby jakaś część jego durnej duszy przeczuwała, że co jak co, ale takie zachowanie nie jest w porządku. Za późno. Już Mirek wynurzył się ze wspaniałości swej parafii. Dał mi klucz. Ja jemu dwieście pięćdziesiąt dolców.

Joe pyta, czy będę na mszy.

Ani mi to w głowie.

- To już chyba nie twój problem - odpowiadam, targając torbę.

Joe obraca ku mnie zdumione oczy. Lekceważąco macha ręką i idzie w jasną cholere.

Podoba mi się nowe miejsce.

Nie obchodzę nikogo prócz księdza Grzegorza.

Mój pokój jest tak mały, że z trudem się obracam. Mam wąskie łóżko, biureczko, szafę, która po tygodniu przeszła już zapachem robotniczych ubrań. Nic na świecie nie śmierdzi tak jak kontraktorki. Nie przyjmuję gości. Musiałbym sadzać ich na parapecie.

Z księdzem Grzegorzem spotykamy się w przestronnej kuchni. Pijemy kawę, robimy sobie jedzenie i gadamy głupoty. Grzegorz opowiada dużo o swoim Śląsku. Babach czekających na swoich umorusanych węglem mężów. Starych kościołach. Poniemieckich domach ze śladami po kulach.

Co drugi ma tam strzelbę, uświadamia mi ksiądz Grzegorz.

Odwdzięczam się opowieściami o picciu i zabawie. Gorące oczy księdza Grzegorza pozwalają na domysły - facet ma to i owo za uszami. A te

az łapie się życia, jakby każdy oddech miał być ostatnim.

Chwyta. Ściska. Obraca się cały ku własnemu trwaniu, pierwszy raz widzę człowieka tak przerażonego perspektywą śmierci.

Grzegorz pyta mnie, czy wierzę w piekło. Nie, bo nie wierzę w nic. Odpowiada, że właśnie o piekło chodzi w tym ambarasie, gdyby miał po prostu umrzeć, nie czułby żadnego lęku, nawet ulgę. Tak twierdzi. Ale tu chodzi o wieczność. Nieskończone cierpienie, brak Boga, pustkę i rozpacz w tej pustce. Ksiądz Grzegorz widzi już te czarne bramy i ziemię jałową.

- Ksiądz wygląda mi na dobrego człowieka - pocieszam go jak umiem.

- Kłops w tym, że w chrześcijaństwie nie chodzi o bycie dobrym - odpowiada, mrużąc oczy - choć masz trochę racji. To by pomogło. Może. Potrzebuję czasu. Nie dla siebie, tak sobie tłumaczę. Czasu, żeby naprawić wszystko, co w życiu spieprzyłem - nawet miękkie przekleństwo brzmi dziwnie w ustach księdza Grzegorza - a tego czasu nigdy nie jest dosyć.

Oczy mu lśnią.

- Rok. Półtora. Czy proszę o tak wiele?

Coś mi się zdaje, że nie wyszło mu z lekarzami. Nie chce o tym mówić.

Prócz księdza Grzegorza jest Maciek. Robi przy płotach i jest popieprzony jak marcowy zając. Opowiada o kochankach w Polsce, umie też z ręki wywróżyć kurs dolara. Bredzi o czarach. Gdy nie mogę spać, słyszę Maćka łążącego po korytarzu. Gada do siebie o mordach i rzeziach, o skurwysynach, których musi zajebać, nim zajebią jego. Wszyscy umrzemy, charczy mi pod drzwiami. To miejsce spłonie do ostatniej deski. Trzask. Peta zapalił. Boję się Maćka. Jest silny jak tur od stawiania tych płotów.

Mamy jeszcze pana Zbyszka, łagodnego

sześćdziesięciolatka, który staje na uszach, żeby nikomu nie wchodzić w drogę. Trzy dziewczyny i pani Teresa, stare, zrędlive pudło, przeklinające swój amerykański los. Podobno zarobiła już kupę pieniędzy, tylko ciuła każdy grosz. U Mirka jednak najtaniej.

Wieczorami popijam piwo steel reserve z pobliskiego likier stora. Dwa dolary za butelkę jak po ptysiu. Cierpkie, niezłe. Zasypiając myślę, co zostanie we mnie po tej Ameryce, co będę wspominał. Wychodzi na to, że ciszę.

Ponurą, głuchą ciszę, która spowija ten dom.

Nie ma mowy o żadnym malowaniu, nowa robota i kumple, tylko Tomek się nie zmienił. Dojeżdżamy codziennie do Bostonu.

Firmę prowadzą Polacy. Na oko jest tu z pięćdziesięciu nielegalnych, a ponoć w lecie dojeżdża drugie tyle, a Tedy, nasz szef, nawet mi się nie przyglądna, chodź no, chłopie, będziesz robił.

Więc włóczę się po całym mieście, podejmując różne zadania, a że koledzy wydają się w porządku, dzień zlatuje błyskawicznie. Nie odczuwam zmęczenia. Tylko trzymać pysk na kłódkę. Rodak jak może - to cię przekręci.

Wyburzamy wielkie przestrzenie magazynowe. Rozwalam ściany młotem pneumatycznym, zrywam podwieszane sufity, w powietrzu wirują suche kłęby kurzu.

Remontujemy kamienicę na Tremont Street. Ceglana. Wywaliliśmy podłogę i śmigam po przesłach, na wysokości trzeciego piętra. Pode mną uwija się cała masa chłopca, mało brakuje, a zaczną sobie wyrywać narzędzia. Powoli wzrasta szyb windy i coś mi świta, że niedługo będziemy wlewać cement. Nic miłego. Może Teddy rzuci mnie w inny kąt miasta.

Z kolei na Beacon Street przebudujemy piętro i ważne,

żeby praca szła jak najwolniej, zarazem nie wolno mi stać beczynnie. W żółtym tempie stawiam ścianki, następnie je ocieplam, paląc mnóstwo fajek. Zapijam doktorem Pepperem.

Kiedy wspominam, że mieszkam w Middletown, goście patrzą na mnie jakoś dziwnie. Szacunek jak cholera, Middletown to jest coś.

- U, chłopie, trzymaj się tej dziury - radzą mi. - Tam to sobie można szmałem oczy podbić.

I kiwają głowami.

Taki ze mnie szczęściarz. Mieszkam w Middletown.

Po robocie wpadam do księdza Grzegorza. Jego pokój jest trochę większy od mojego, zavalony książkami po angielsku. Chodzi telewizor. Ksiądz Grzegorz uwielbia komedie, ale teraz nie jest mu do śmiechu. Siedzi na brzegu krzesła i zwiesza głowę.

Pierwszy raz, odkąd się znamy, mówi o lekarzach. Nie pomogą. Nie ma jak.

Obraca w rękach bilet lotniczy. Odlatuje za dziesięć dni.

Składa go na pół i wsadza w książkę.

- Żal mi żegnać się z tym miejscem - mówi, zachęca, żebym usiadł.

Nie wiem, co odpowiedzieć, mam wrażenie, że wyglądam idiotycznie

z tym współczującym uśmiechem. Za drzwiami Maciek warczy o trupach i wielkim ogniu, z twarzy księdza Grzegorza wyziera czysta groza.

- Nie wiem co robić. Po co to wszystko? Ta nieszczęsna impreza. To mój pogrzeb, czy ty mnie rozumiesz?

Za tydzień Joe z kolegami zorganizował bal charytatywny na leczenie.

I ono i bal - bez sensu.

- No nic, przynajmniej napijemy się wódeczki. - Znajduje takie pocieszenie. Wyjmuje koniak, polewa mi, a ja nie jestem pewien, co naprawdę chce mi powiedzieć. - Taki to urok - słyszę - już nie muszę się martwić. Już mogę pić w spokoju.

Ale tylko moczy usta.

Wydaje się teraz mniejszy i nieskończenie kruchy, jak drzewo wydrążone przez piorun. Zaczyna mówić, zupełnie bez sensu, za to coraz szybciej. O tym, jak był młody i wierzył, że boże miłosierdzie jest nieskończone. Potem zmienił zdanie. Tak jest uczciwiej, sądzi. I dalej obawia się nie tylko piekła, ale i rozgrzebania przez Boga. Słucham o wyjmowaniu z człowieka każdego złego uczynku, rozsmarowywaniu go i preparowaniu, takie grzechy mają wisieć na suchych gałęziach, w lesie szubienic, na sali sądu.

Taki trup, mówi, zna tylko straszne słowa. Biorę się na odwagę. Co zrobiłeś, księże Grzegorzu.

- Nic, czego nie robilibyśmy wszyscy - odpowiada i zaraz dorzuca: - Liczy się także to, o czym myślę i co muszę zrobić.

Pijemy dalej, on ledwo może, więc wlewam w siebie butelkę. Tu każda okazja, by chlapać za darmo, jest na wagę złota, nawet jeśli mówimy o wyroku na sąsiada.

Ksiądz Grzegorz się nateża, na przemian blednie i czerwienieje. Chce iść do kościoła, modlić się, rozpaczliwie Boga mu trzeba, w zamian proponuję siebie. Mówię. I jakoś rozplątam się w tych słowach, mówię te emigracyjne brednie, że przyjadę do niego na Śląsk, jak tylko wrócę do Polski. Pięć miesięcy, obietnica życia. Uśmiecha się smutno, a ja już rozumiem, co go dręczy. Grzegorz boi się bólu. Rakowego konania. Woła go sznur.

- Nie wiem, jak to zniosę - mówi.

Pieprzę coś o farmakologii i uśmierzeniu, dopijam butelkę.

- To nie tak. - Grzegorz ściska mi rękę na pożegnanie. -  
Przywyknę się i pogodzę, tylko potrzebuję czasu. Moje nadzieje,  
cóż, runęły, jakoś trzeba nad tym przejść do porządku  
dziennego.

Stoję w progu. Coś jeszcze przychodzi mi do głowy.

Za oknem leje jak z cebra. Jeśli ksiądz Grzegorz wybiera  
się do kościoła, ma moją pomoc. Postoję w sieni, poczekam. Jest  
naprawdę wdzięczny za tę propozycję, odmawia. Jutro też jest  
dzień.

Zamykam drzwi i wlokę się do pokoju. Maciek akurat  
wychodzi od siebie.

- Kler - warczy. - Chrystus już o nich zapomniał.

Zamykam się u siebie, zaraz zawracam do łazienki,  
puszczam zdrowego pawia, aż łzy z oczu ciekną. Płuczę usta  
zielonkawym płynem, paskudny posmak znika, wracając po  
schodach mam zawroty głowy. Aleś się, facet, urządził  
księżowski poczęstunkiem.

Słyszę łomot, ksiądz Grzegorz miota się od ściany do  
ściany, nie mam siły mu pomóc i walę się w ubraniu na łóżko,  
wiem, że zasnę, nim zdo- łałm o spaniu pomyśleć.

Alkohol podniósł ciśnienie, budzę się przed trzecią,  
wściekły perspektywą nadchodzącego dnia, koło południa będę  
słaby i nędzny. Teraz mi dajcie młot ze szlifierką, zrobię  
wszystko na cacy. Mógłbym biegać po tym cholernym  
Middletown, ale lecę tylko do klopa. Cisza. Spod drzwi księdza  
Grzegorza bije mdłe światło. Przypominam sobie, jak się tłukł.  
Pukam. Nic. Otwieram: nic ponownie, puste łóżko. Sprawdzam  
jeszcze raz łazienkę. Wiatr chyba się wściekł. Wali deszczem.

Przez okno u siebie widzę ciemny kościół świętego  
Jerzego.

Przekopuję pokój w poszukiwaniu czegoś do picia. Płyn

waniliowy, dobre i to. Gapię się znowu, zachodząc w głowę, gdzie podział się ten nieszczęśliwy dureń i nagle go widzę - wysuwa się z kościoła od strony zakrystii, na łbie ma kaptur, lecz wiem, że to on. Ledwo idzie, tak wieje, zaraz się potoczy w dół drogi.

Targa coś w obu dłoniach. Siatkę i coś w tej siatce. Przyciska ją do piersi, przebiega przez ulicę, już stoi pod bramą, gapi się na kościół, potem na siatkę i chowa ją pod płaszczem. Przekręca klucz. Pędzę pod drzwi.

Ksiądz Grzegorz kluczy po schodach, przemyka niczym złodziej i pewno jest złodziejem, tak się pilnuje, żeby nie wleźć na Maćka. Bezgłośnie znika w swoim pokoju. Gasi światło.

Cokolwiek zrobił, to nie moja sprawa. Ani mi w głowie pytać.

Adrian pruje, ile fabryka dała, drogą podporządkowaną. Jego wielka toyota mogłaby taranować brontozaury.

Jedziemy do niego, jest robota. Adrian opuścił szybę, wywalił opalony łokieć, wiatr wpada mu pod polar.

Opowiada.

O tym, jak było ciężko, kiedy przyjechał w osiemdziesiątym piątym, czterdzieści dolarów w kieszeni (Joe miał dwadzieścia, czyli jest jeszcze dzielniejszy), w pokoju miał karaluchy rozmiarów szczura, a szczury wielkie jak nie wiadomo co.

O pierwszej pracy na farmie: dwanaście godzin dziennie, tango z dynią i kukurydzą.

O tym, że Chris to dobry chłopak.

Niepełnosprawni, zdaniem Adriana, wyróżniają się szczególnym rodzajem dobroci: Bóg pomieszał im w zmysłach, by mogli karmić gołąbki.

- Zawsze chciałem takie auto - informuje mnie Adrian,

świadom, że o Chrisie dowiem się jeszcze tego i owego - duże, masywne. Wszystko, co ważne w aucie, tu jest. Wspomagane kierownicy. Inaczej połamałoby mi ręce. Znałem cwaniaka, co się z tym próbował. No, nie podłubie sobie w nosie, ha! Automat. Niektórzy to gadają, że ręczna zmiana biegów to jest to, gdzie tam, patrz, jak sobie jedziemy. A wiesz co najważniejsze jest? No, wiesz?

Mógłbym odpowiedzieć, że silnik, ale mówię felgi, niech Adrian się śmieje. Część gry.

Pracodawca musi być zadowolony.

Adrian wyjmuje elektroniczny klucz, stuka nim w drzwi poniżej szyby.

- Centralny! Jak on działa, to wszystko zagra jak trzeba.

Mówili mi

O takim gościu co kupił sobie cadillaka. Każdy cep z Polski marzy o takim, będzie wtedy, kurwa, Amerykaninem pełną gębą, jak Schwarzenegger. Jakoś im szło, żona robiła w hurtowni perfum, on na kontraktorze i rozbijał się tym cadillakiem, prędko też znalazł sobie Murzynkę i zaczął posuwać. W cadillaku, ma się rozumieć, aż pewnego pięknego dnia żona

go nakryła razem z tą czarną flądą. Nie wiem, czy chcesz słuchać, bo to straszna historia.

Mówię, że chcę.

- Więc on posuwa swoją czarną, aż się auto buja w krzakach, a tu nagle bęc, centralny zatrząskuje się i nie chce puścić. Gościu gapi się na swoją ślubną, ślubna ma kluczyk, a on, rozumiesz sam, ma ogon w tej czarnej. Trudno coś powiedzieć. A żona tylko cisnęła zapałkę. Łapiesz? Wcześniej zwlokła z roboty od siebie tyle perfum, dezodorantów, sprejów, ile mogła dźwignąć, zaniósła pod samochód, oblała



rozpuszczalnikiem i czekała. Poszło z dymem. Facet, murzynka, cadillak. Mówię, nie ma jak dobry zamek centralny, co nie?

- Rzeczywiście - zgadzam się - to straszna historia.

Nie rozumiem kalek, nie lubię ich, ale za to się boję.

Chris wygląda, jakby planował skoczyć mi na plecy.

Powinienem zdobyć się na współczucie, czy choćby zrozumienie jego niewesołego losu, a chcę, żeby zniknął.

Opiekowanie się śniętym kolosem, dzień w dzień, to mordęga bez perspektyw, ledwo przeczuwam rozmiar takiej tragedii. Ludzie muszą wzrastać i przekształcać świat. Zdobywać nowe lądy, kupować większe telewizory i przeglądać się w dzieciach. Też mi odbicie. Zaśliniony cap.

Adrian i Kate-Katarzyna muszą mieć własną przestrzeń i pewno pieprzą się jak króliki, w gumie i pod tabletką, przerażeni, że spłodzą drugiego potwora. Lubią też wyjść, jak teraz, do kina i kawiarni, tylko Chrisa, z niepojętych przyczyn, nie sposób zostawić i na piętnaście minut. Podobno raz się pociął, w istocie, ma stare blizny na rękach. Uważam, że schowana, najzdrowsza część tego palanta chciała zakończyć ten ponury cyrk. Teraz Kate-Katarzyna z mężem balują pod Bostonem, a mi przypadł Chris.

Dostanę sto dolców. Nieźle, nawet jak na zasraną sobotę.

Mogę korzystać z komputera, czytać książki i palić papierosy. Chris siedzi na wózku i gapi się w telewizor. Nie umie używać pilota, warczy, gdy znudzi mu się program. Lubi zwierzęta, pasjami kocha choopersów, tych wąsatych kulturystów przerabiających motory na dzieła sztuki, a najbardziej teledyski. Wysoki, płaczliwy pisk oznacza, że domaga się piosenki. Nie rozumie tylko, że nie sposób jej przyspieszyć ani zwolnić.

Uwielbia raperów, reaguje płaczem gdy Snoop, 50 Cent

czy inny orzeł kończy swój występ. Chce od początku.

Muszę go trzymać za głowę. Delikatnie, aż się uspokoi.

Kate-Katarzyna uważa, że należy do niego mówić. Byle co, najlepiej po angielsku.

Angielski dla Chrisa jest przyjazny, kojarzy się z tym, co dobre wokoło: motorem i rapem o zabijaniu. Mam to za kompletną bzdurę, ale znudzony nawijam coś o Polsce, filmach, mojej dziewczynie. Nie odrywa wzroku od telewizji.

O ósmej mam mu podać kolację. Wcześniej sprawdzam pampersa, modląc się, by dramat większy został mi oszczędzony.

Chris reaguje gniewnie, nie chce, bym ściągał mu spodnie, cały czerwienieje i wali pięściami w podłokietniki. Mimo swojego kalectwa jest straszliwie silny. Boję się. Ujmuję za skronie, pozwalam się wyplakać i grzebię w pielusze. Mokro, ale się nie zesrał. Niech Kate-Katarzyna mu zmieni, jak wróci.

Jak na mnie, powinien wsuwać kleiki dla kosmonautów. Jednak wrzucam frytki do piekarnika, odsmażam hamburasa i kroję na drobne kawałki. Chris wpieprza, aż mu się uszy trzęsą, siorbie colę przez słomkę. Strasznie długo to trwa. Część jedzenia ląduje na jego koszuli, zapomniałem śliniaka i muszę to zetrzeć.

Przeraża mnie myśl, że Chris zacznie się popisywać. Zwali sobie konia albo będzie chciał się tulić. Szczęściem, zastyga przed telewizorem. Nadają kawałek Gwen Stefani i chłopak rozczula się momentalnie. Kocha ją jak nic i zaczyna grzebać w spodniach. Walę go po łapach, próbuje raz jeszcze, raz jeszcze obrywa.

Jego oczy rozpała wściekłość tępego zwierzęcia, kłapie paszczą, chce mnie ugryźć.

Chwytam drania za skronie: spokojnie, mówię, nie zrobię

nic złego. Troszczę się o ciebie. Jestem przyjacielem. Jestem prawie jak mamusia i tatuś, smętny bucu, więc mnie nie kasaj, zrobiłem ci coś złego? Chris patrzy ponad moją głowę, Gwen wykrzykuje what you waitingfor? i znika, Rhianna wyskakuje jak diabeł z pudełka, a Chris zaczyna wyć pod samo niebo. Jego fioletowa morda kojarzy mi się z gnijącym mięsem. Odpycha mnie gwałtownie, próbuje wstać, popędzić do telewizora i pewno wydrzeć z ekranu blondynę bez biustu, ale jest za słaby, pada na pysk. Wali głową o podłogę. Podtrzymuję go jak umiem, chwytam za czoło.

Gryzie mnie w nadgarstek. Głęboko. Szarpie.

Walę go w ucho, to puszcza, odskakuje, tracę równowagę. Ściskam się za przegub, który błyskawicznie robi się czarny.

Zostawiam Chrisa na podłodze. Zaraz go podniosę i wpakuję na wózek, zresztą, moja krzywda przyniosła mu ulgę. Już nie wyje, tylko chlipie cichutko.

W progu obracam się i zerkam na niego, chcę mieć pewność, że niczego nie kombinuje.

Chris leży na brzuchu i podnosi głowę. Patrzy na mnie z nienawiścią, zwierzę rozpanoszyło się w jego oczach, ale te oczy nie należą już do głupka. Łypie na mnie coś starego i cholernie sprytnego. Dwie jamy pradawnego świata.

Kręci mi się w głowie. Chris znów wybucha płaczem, leci mu ślina, cały się zasmarował. Ale mu nie wierzę.

Już nie.

Przywieźli cement na fundamenty. Dzieje się dokładnie to, czego chciałem uniknąć, szczęściem dwa amerykańskie miesiące pozbawiły mnie gówniarskiej histerii, jęku nad sobą, przerażenia robotą, jest temat i temat trzeba spełnić. Mógłbym zresztą się wyłgać, napuchnięte przedramię boli, gdy odginam dłoń albo muszę dźwigać coś ciężkiego.

Drzwi prowadzące do kamienicy na Tremont Street zdemontowano. W głębi, dwie dziury w podłodze, w nich drewniana, ledwo sklecona rynna, na dole dwa chłopcy, pewnikiem Janek Faja i Janusz „Locie” szykują się do swoich zadań.

Na ulicę właśnie podjeżdża wielka fura, siedzi w niej ajrisz, wściekle rudy i zarośnięty, z szoferki wyskakuje zaaferowany Teddy.

Między pierwszą dziurą a dziurami w głębi kamienicy rozłożono deski.

Tomek, ja, trzech innych, trzymamy taczki w pogotowiu. Mokry cement nakładać będzie Sosna. Stoi z wielką łopatą i podpira się pod bok, jakby coś kombinował. Domyślam się, co będzie, jestem tu najkrócej i pewno zrobią mi jakiś numer.

Ruszamy. Sosna ładuje mi taczkę, pędzę co sił, kołysząc się na boki, jeśli się wywalę tu, na ulicy, będzie nieszczęście, a zwolnić nie mogę - minuta postoju kosztuje dziesięć baksów, Teddy stoi i liczy sekundy, mój pęd przekłada się na dolce w jego kieszeni.

No to lecę z tą taczką, kątem oka widzę, że inni mają prawie połowę mniej nałożone, Sosna naprawdę się stara. Kombinuję jak się odegrać, wpadam do kamienicy, do rynny, łapię oddech, już chcę wlewać, gdy z dołu dochodzi wrzask: „łocie, łocie”, drze się Janusz „Locie”, widzę jego cień przez deski, odskakuje, „orajt”, woła i wywalam cement.

Tak w kółko.

Nie wiem, ile to trwa, może i tysiąc lat, ale nie odczuwam zmęczenia, teraz poradziłbym sobie nawet z chlorem i domem, tylko nadgarstek nawala, pędzę, kurs za kursem, aż wreszcie dochodzi do zmiany, teraz nakładam, Sosna będzie śmigał.

Nie jestem mściwy, ładuję uczciwie do taczki, tyle co

innym.

To jeden z ostatnich kursów, twarz Teddyego gorzeje, ajrisz w szoferce uśmiecha się i ćmi peta. Sosna już wraca z taczka, ładuję najszybciej jak umiem, a Sosna mknie co sił, odprowadzany przez srogi wzrok szefa, nagle, o szczęśliwa sekundo, jego nogi się płaczą, taczka przeważa i leci na bok, Sosna mobilizuje siły, próbując zapobiec nieszczęściu, taczka go ciągnie i lądują razem na amerykańskiej ziemi. Mokry, ciepły cement za- chlapuje Tremont Street, Teddy wybałusza oczy, a Sosna jest już na nogach, chwyta łopatę i zaczyna sprzątać.

Kończy pół godziny później, kiedy my już siedzimy na zapleczu, jemy brudnymi rękami i gadamy jeden przez drugiego. Tylko Janek Faja milczy, pali bez użycia rąk. W Polsce robił na złomie.

Janusz „Łocie” pieprzy jak zwykle o tym, jak nienawidzi komunistów, wyklina premiera Millera, wspomina wszelkie nieszczęścia z lat osiemdziesiątych: zaszczuty, udręczony. Sosna wchodzi, otrzepuje ręce, rzuca otwartym tekstem:

- Co ty, Janusz, pieprzysz, przecież jeździłeś na dryndzie.

Ale jest podpalony tym cementem, a ja wiem swoje. Janusz „Łocie” coś nawywijał w Polsce i musiał czmychać za Atlantyk. Co dokładnie, nie powiedzieli, pewno długi. Janusz „Łocie” próbuje zażegnać niemiłe wrażenie i pokazuje nam fotografie domu, który buduje pod Nowym Targiem, chwali się nowymi dachówkami. Wodzi po nich kikutem palca.

Chcę puknąć się w głowę, powiedzieć, Januszku, siedzisz w Stanach dwudziesty rok, na nielegalu i nigdy już nie wrócisz, nie zobaczysz domu ani żony, zresztą, na co ci żona, ciesz się swoją mulatką. Mam to na końcu języka, tak rozpiera mnie poczucie tryumfu nad Sosną, jednak, w drogę

wchodzi mi dwóch gości w porządnych garniturach.

Zatrzymują się na progu, ten wyższy rzuca w naszą stronę.

- Immigration!

Robi mi się zimno. Chłopy wybuchają śmiechem, taki żart, za nimi materializuje się Teddy, targa wódkę i plastikowe kubeczki.

Goście w garniakach zamieniają z nim parę słów, oceniają postęp na budowie, odmawiają poczęstunku. Gromadzimy się wokół zaimprovizowanego stołu, Teddy leje hojnie i to mi się podoba. Przegoni człowieka, lecz nie jest niewdzięcznikiem.

- Ty, Middletown, Piotrek Mokry, wiesz, który to jest?

Odpowiadam, że wiem i to dobrze, pracowałem u niego na domach.

Teddy robi kwaśną minę.

- Muszę cię zmartwić - powiada. Tomek i Sosna nadstawiają uszu.

Dziś rano Piotrek czuł się jak młody bóg, walnął kawę, poszedł biegać

i padł na pierwszym zakręcie. Zabrali go do szpitala i jak Teddy rozmawiał z żoną, już prawie było po nim. Płuca, coś dziwnego w nich pękło, tak, że skosiło chłopca w jednej chwili.

Teddy nalewa nam wódki. Sosna stoi chwilę otępiały, zaczyna się trząść i wybiega na ulicę.

Piotra mają chować na cmentarzu w Middletown.

Przerażony ksiądz Grzegorz informuje mnie, że to on ma odprawić mszę i pożegnać przyjaciela, nie wie, jak sobie z tym poradzi, nie umie nawet sklecić słowa, cały czas wyrzuca sobie, że za mało rozmawiali.

O śmierci Piotra krążą dziwne opowieści. Jedną przynosi mi sam ksiądz Grzegorz, wygląda zresztą jakby ją targał przez całe miasto na własnych plecach. Widzieli Piotra szykującego się do biegu, miał zwyczaj drałować parę kilometrów szybkim

truchtem, nic nie wskazywało na taki koniec, aż stanął, dotknął klatki piersiowej, jakby usiłował coś z niej wygrzebać, nagle runął na klęczki, splunął czymś białym, od szyi do brzucha poszła mu sucha rana. Pęknięcie takie, że można pięść wsadzić. Padł martwy na ulicę, nic nie miał w środku. Wydmuszka, nie facet.

Diabeł go wziął, rzuca Maciek, nie zwalniając kroku. Z diabłem tak jest, co jego, to weźmie. Oto się zaczyna.

Sosna rozmawiał z żoną i dziećmi. Nawet nie próbują się trzymać. Sosna to negadatliwy facet, musiał się urznać, żeby puścić farbę, jękał się

i dukał. Piotrek runął, jakby mu nogi podcięto i próbował pełzać. Zwierzęta: ptaki, wiewiórki, szczury i psy zgromadziły się wokół niego. Dziesiątki. Szarpały ciało, próbowały dziobać.

Dzwonię do Joego, nikt nie odbiera.

Na parę godzin przed pogrzebem Tomek przylatuje z inną rewelacją. Żadne tam płuca, rany, zwierzęta. Piotrka zabili. Dostał z kuszy sportowej w sam środek serca, bełt wszedł po grot, nawet krew nie pociekła. Kto go kropnął i po co, nikt nie wie, za to policja gania jak głupia po całym Middletown, przyjechali funkcjonariusze z Bostonu, zaraz nas wszystkich rozpieprzą.

- Szczęście w nieszczęściu - rzecze Tomek - zabiorą się za firmę, miesiąc wcześniej, a byłaby deportacja jak nic.

Nie wiem, czy u Piotra są jakieś ślady mojej aktywności. Rachunki, czy coś. Gliny nie są głupie, prędzej czy później trafią do klasztoru, kto wie, może nawet wezmą w obroty Teddyego i resztę ferajny.

A jeśli to prawda, z tą kuszą? Polacy się mordują.

- Żadna tam kusza! Diabelski szpon - wrzeszczy Maciek.

Ksiądz Grzegorz nie panuje nad sobą.

- Wracaj do swoich pól, durniu skończony - gromi go, Maciek cały tężeje i przez moment mam pewność, że będzie nieszczęście. Ale nie. Ksiądz boży człowiek, nie do ruszenia.

- Powinienem był wyjechać wcześniej - mówi, jakby to była jego wina.

No i mamy ten pogrzeb, dmie wiatr z rzadkim śniegiem.

Stoimy na malutkim cmentarzyku, w polskim zaułku, pod brzozą i topolą. Drzewa są nagie, wyglądają, jakby nigdy nie miały zazielenić się na nowo. Chris w garniturze, na wózku, wygląda dwa razy głupiej niż zwykle, Adrian i Kate-Katarzyna stoją blisko siebie. Sosna, Tomek, wszyscy, bez Joe. Nie mogę wypatrzyć grubasa, za to Irena cała się trzęsie, można sądzić, że ona, a nie Piotrek, idzie do piachu.

Czuję się niezręcznie, niepotrzebnie, powinienem zostać w domu. Piotr ledwo mignął w moim życiu.

Ksiądz Grzegorz i Mirek kłócą się na boku. Wygląda to nawet zabawnie, jakby spierali się o to, który ma powiedzieć parę słów nad grobem. Mirek wymachuje łapami, czerwienieje i dyszy, Grzegorz punktuje go palcem, uspokaja.

Żona Piotrka wydaje się zupełnie spokojna i pogodzona z losem.

Ksiądz Grzegorz mówi parę słów nad grobem: śmierć Piotra spowodowała w świecie wyrwę nie do naprawienia. Irena szlocha i to tak, że słyhać ją przez wiatr i głos Grzegorza. Jest sama, przeciskam się do niej, wpada mi w ramiona. Nie mam nawet chusteczki. Irenie torebka leci z rąk, podnoszę, wolną ręką chwytam tę zapłakaną kobietę, odciągam aż za cmentarny mur. Rozglądam się za miejscem, gdzie można by usiąść. Do samochodu. Szukam słów pocieszenia, zastanawiam się, co łączyło ją z Piotrkiem, a Irena krztusi się, mówi:

- Joe.



Co z Joe, Chryste Panie, co z nim.

Joe leży u siebie w salonie, urznięty w trupa.

- Powinien być tu, przy tobie - zgadzam się, prostuję sytuację - ale zrozum człowieka choć trochę, stracił kumpla.

- Co tam kumpla! Dom stracił - woła.

I opowiada. Joe przeinwestował i część pracy, banki zabrały już domy na Florydzie i szykują się na ten w Middletown. Za długo zwlekali ze sprzedażą, potem Joe poszedł w zaparte i nie spuścił z ceny, czarował, że wszystko będzie dobrze, Irena nie wiedziała. Wczoraj gruchnęło. Joe sobie nie radzi. Urznął się, mówi Irena, jak nigdy wcześniej, i niszczył wszystko, co mu podeszło pod drąga. Ściany. Meble. Telewizor. I darł się, że jak bank ma brać, to niech bierze takie, rozpierdolone. Padł, od rana pije na nowo.

- Wiesz jaki on jest - Irena ociera łzy - pijak, furiat, ale ma złote serce.

Po tych słowach nie mam siły doradzać jej rozwodu.

Dzień pełen niespodzianek nie kończy się z zapadnięciem zmroku.

Wpada do mnie ksiądz Grzegorz z gorącą głową. Siada i mówi, że znamy się krótko, ale porządny ze mnie chłopak. Po tych słowach szykuję się na najgorsze i rzeczywiście, ksiądz chce, abym coś dla niego zrobił.

Wyjmuje karteluszek i wkłada mi go w dłoń. Dodaje mały kluczyk.

- To do skrytki na lotnisku w Bostonie. - Słyszę. - Mam drugi. Dorobiłem specjalnie dla ciebie.

Zamyka mi palce w pięść.

- Nie rozstawaj się z nim ani na moment. Numer najlepiej zapamiętaj, kartkę zniszcz.

- Księżu Grzegorzu - ważę słowa - chętnie pomogę, ale

muszę wiedzieć, co jest grane. Nie wejdę w ciemno. Nawet dla księdza.

Uśmiecha się kwaśno.

- Nie chcę od ciebie niczego szczególnego. A może tak. Wyjeżdżam we wtorek, po zabawie - zaznacza, przypominam sobie, że w sobotę ma być bal polonijny ze zrzutką na zdrowie księdza Grzegorza. - Jeśli wyjadę, klucz wyrzucić i o wszystkim zapomnij. Mnie też. Wywal mnie ze swojej pamięci, jak ten klucz i tę rozmowę.

Kiwam głową. To da się zrobić.

- Jeśli nie wyjadę, jeśli... cokolwiek mi się stanie, pojedziesz do Bostonu.

- Pracuję w Bostonie.

- Jeszcze lepiej. Po pracy pójdziesz na lotnisko, tam są skrytki.

- Co jest w skrytce?

Ksiądz Grzegorz cały się poci. Przypomina mi szczura zagonionego w ślepy kanał.

- Rzeczy osobiste. Nic szczególnego. W torbie. Nie śmiesz tam zajrzeć, jakby cię nie kusiło. Zabierzesz torbę ze sobą i ją wywalisz. Słuchaj teraz, to najważniejsze. Nie śmiesz jej zanieść między ludzi. Nie wolno, pod żadnym pozorem. Wywal ją do oceanu. I zapomnij. Jak mnie, jak całe to miasto. Nic ci nie grozi - uspokaja się, kładzie swoją dłoń na mojej - nie narażałbym cię na nic niebezpiecznego.

Wstaję. Na oczach księdza Grzegorza czytam kilkakrotnie kartkę z numerem i drę ją na drobne kawałeczki. Kluczyk przypinam do smyczy u spodni, niknie między innymi.

- Co jest w skrytce? - pytam.

- Torba. Rzeczy osobiste. Nie musisz wiedzieć.

W drodze na lotnisko obiecuję sobie, że tylko zajrzę do

torby. Cokolwiek tam jest, włożę z powrotem do skrytki.

Ludzie przypominają teraz duchy, leniwe tłumy wylewają się z terminali, suną za szybami, rozprostowują upiorne kości. Ci bliżej zerkają na mnie spode łbów, wloką za sobą torby i brzdące, powietrze brzęczy, przypominam sobie niejasno, jak tu przyfrunąłem, i zaraz nabieram ochoty, by olać, uciec, wpaść do pierwszego lepszego samolotu. Heja i mnie nie ma.

Znajduję właściwą skrytkę, przekręcam kluczyk i czuję się jak na filmie z lat osiemdziesiątych. Brakuje tapirowanych dziewczyn, tapirowa- nym dziewczynom, których i tak nie ma, straszliwie brakuje biustów, za zaraz zhaltują mnie policjanci.

W środku mogą być dragi. Jeszcze lepiej, jakieś lekarstwa nielegalne.

Albo spluwa. Grzegorz umyślił palnąć sobie w głowę.

Skrytka jest głęboka. Zerkam przez ramię i daję głowę, że wszyscy patrzą prosto na mnie. Miękka skóra torby, szeroki pasek, szarpie i omal nie wypuszczam, spodziewałem się czegoś ciężkiego. Pod pachę, drzwiczki trzask i szybkim krokiem wychodzę na zewnątrz, odprowadzany przez tysiące spojrzeń. Te ciekawskie spojrzenia palą mnie w plecy. Wyganiają dalej.

Macam torbę. Coś podłużnego, starannie owinięte.

Na parkingu nikt nie zwraca na mnie uwagi. Są kamery, wiem i próbuje wyglądać jak człowiek, tłumaczę sobie, że ksiądz Grzegorz jest księdzem Grzegorzem, właśnie - pocziwym chłopem, który nad grobem próbuje naprawić własne winy. Mówi ładne kazania, pije, uśmiecha się do polonii.

Gdzie tam. Ksiądz z lat osiemdziesiątych, Bóg wie, w co uwikłany. Bezpieka, morderstwa, msze.

Przed nosem przejeżdża mi chrystler, jakiego świat nie widział.

Otwieram torbę, jest tam coś, owinięte w szmaty.

Rozwijam, nie szmata, ale koszula, czarna. Wypada koloratka, zapominam o niej, nim sięgnie ziemi.

Trzymam kość przedramienia, na wpół spaloną, czarną.

A żeby nie miał wątpliwości, po jakim stworzeniu są te szczątki, jest jeszcze czaszka z oczodołem i kawałkiem ludzkiej szczęki.

Niewiele myśląc, zawijam gnaty w koszulę, całość do torby i pędzę w stronę skrytki. Układam sobie jakieś durne opowieści, tłumaczenia i zgrywy. Z amerykańską policją nie ma żartów, to nie Polska, nie powiesz „spierdalaj”. Przekręcam kluczyk i ciskam torbę tam, gdzie była. Odejdę. Ksiądz Grzegorz jedzie we wtorek.

Nic się nie stało i nic się nie stanie.

Próbuję złapać księdza Grzegorza, ale gdy wreszcie wpadamy na siebie, tracę ochotę na rozmowę. Grzegorz jest tylko cieniem człowieka, suchym i chudym. Drżącymi rękami szykuje sobie zupę w jadalni.

Za to wpada ksiądz Mirek i mówi, że jestem potrzebny. Dzwonią za mną cały dzień: Adrian i Kate-Katarzyna. Grzegorz odprowadza mnie smutnym wzrokiem, jakby planował zabrać mnie ze sobą na stracenie. Mirek wtyka mi komórkę w łapę, pytam, co się dzieje.

Chris wyje od paru godzin, nie chce przestać, nie zje, nie zaśnie. Wy- wrzaskuje moje imię, mam przyjść. Wietrzę interes i mówię, że nie mam czasu, jestem zryty po budowie, chcę przespać się i odpocząć przed zabawą. Zaraz utargowałem sto dolców. Proszę księdza Mirka, żeby dopuścił mnie do komputera, nie chce się zgodzić, w końcu mięknie, prowadzi do gabinetu i staje nade mną jak kat. Wielki monitor. Komputer chodzi bezgłośnie.

Sprawnie znajduję klipy Gwen Stefani, zgrywam na płytkę,

dopycham No Doubt i gotowe.

Zawiózł mnie Mirek.

Piękny dom Adriana i Kate-Katarzyny jakby w żałobie.  
Ciemne okna, bałagan na podjeździe.

W progu witają mnie graty, popakowane w pudła. Miga mi jakiś kocmołuch, pewno zabiedzona Polka, którą wzięli do pomocy.

Adrian ściska mi rękę, pytam, co się dzieje. Wzrusza ramionami: powoli szykują się do przeprowadzki, dom za duży, za drogi, do tego Chris nie radzi sobie w jego labiryntach. Przeinwestowali trochę, pora przenieść się do jednopiętrowego. A wcześniej - wyprzedaż. Szkoda wyrzucać graty.

Pozdejmowali nawet obrazy i szable. Stoją pod ścianą, gotowe do wywiezienia.

- Każdy grosz się przyda - woła kocmołuch, w którym, zdumiony, rozpoznaję Kate-Katarzynę. Krząta się, ubrana w workowate spodnie i dresową bluzę, tłuste kudły oblepiają pociętą bruzdami twarz. Pcha przed sobą Chrisa. Ten wyrywa się do mnie, mało z wózka nie zleci.

Obejmuję go. Dyszy mi w kark. Wyje, jęczy, łka, tarza się po całym wózku.

Jak mnie walnął w czoło, to zobaczyłem wszystkie gwiazdy.

Wraz z Kate-Katarzyną pchamy durnia do salonu. Tam wszystko popakowane. Gołe półki. Zwinięty dywan. Obok telewizora stoi przygotowane pudło. Montuję płytkę w odtwarzaczu, puszczam i Chris natychmiast się rozaniela.

Pół godziny później trwa niedocof-party jak ta lala. Siedzimy w salonie, przed telewizorem, popcorn i marshmalaki zapijamy dietetyczną

colą. W telewizorze nieustannie przewalają się te same

klipy. Gwen płąsa, ile wlezie, a Chris rozpływa się z radości. Wali dłońmi o uda i pluje przed siebie. Chce mi przybijać piątki. Tuli.

Adrian i Kate-Katarzyna dyskutują gwałtownie w przejściu. On chce, ona nie, tłumaczy i Adrian ustępuje.

Telewizor zostaje.

A śmiech Chrisa brzęczy, rozlewa się po opustoszałym salonie, wali mnie po uszach, jest w nim dziecinna radość i przeczucie śmierci.

Zabawa przypomina stypę, jakby ksiądz Grzegorz już poszedł do ziemi.

Przybywam spóźniony, spóźnienie jest zaplanowane. Piwo na zabawie kosztuje cztery dolce za kufel, wyduldałem dwa butelki steel reserve i pod klubem polskim, w parafii świętego Jerzego melduję się całkiem zrobiony.

Przed wejściem paru smutnych kurzy szlugi, wśród nich Sosna, macha do mnie.

Samochody w dwóch rzędach, pod rozbitą latarnią. Przypominają swoje własne, zmotoryzowane duchy. Ubite reflektory. Tylna szyba pęknięta na całej długości, spieprzone zawieszenie, odchodzący lakier. Przypominam sobie, że jeszcze dwa miesiące temu było tu jak w salonie. Nic to, myślę sobie, kupuje wejściówkę za pięć dolarów i wbijam się do środka.

Tam niespecjalnie wesoło.

Więcej, przede mną rozkręca się prawdziwy festiwal przejebania.

Ponura polonia siedzi przy skromnie zastawionych stołach, pije taną wodę, mało kto tańczy, Darek zwiesił nos na kwintę, nie pozwolono mu śpiewać. Na niskiej scenie daje czadu polski zespół Orion, ściągnięty specjalnie na tę okoliczność. Dwóch starych gości rzepoli na klawiszach, dziewczyna, młoda i ładna,

śpiewa jak umie i ziewa między szlagierami. Nad nimi wisi prostokątna ścierka z wypisaną nazwą zespołu i numerem telefonu. Za barkiem stoi Kate-Katarzyna, obok Chris kiwa głową na prawo i lewo. Zamawiam butelkowanego heinekena i nim dojdę, przy którym stoliku najlepiej się schować, dopada mnie Joe. Ma na sobie mniej złota, straszy siwymi odrostami. Próbuje być sobą, klepie mnie, jakby nic się nie stało.

Co jest, Joe, pytam, podobno nie najlepiej u ciebie.

Pociąga brewara. Mruży oczy, spogląda po kobietach, cmoka.

- Nic, czego bym nie przerobił. - Próbuje się uśmiechnąć. - Chłopie, pamiętam jeszcze, jak lodówkę ze śmietnika wygrzebywałem. Mieszkaliśmy z Ajriną w pokoju dwa na dwa.

- Wiem, Joe.

- I żaden bank mnie nie położy. Poprosiłem, wiesz, o dwa miesiące. Sprzedam jak nic tamte dwa, jeden mnie ratuje. Będzie dobrze.

- Obniżyłeś cenę?

- A co, kurwa miałem robić. - Ściska mnie jeszcze i odpływa w tłum. - Ja bym się nie podniósł?

Niknie między polonią.

Paru polewa wodę spod stołu. Ku mojemu zdumieniu Chris próbuje tańczyć na swoim wózku, Kate-Katarzyna wiruje z nim po parkiecie. Chris klaszcze w dłonie i się śmieje.

W rogu, przy szatni, zebrała się rada melepetów: Adrian, Darek, który przyjmuje płaszcze i ksiądz Mirek. Splata ręce na brzuszku, srebrny różaniec błyszczy mu wokół palucha. Nagle wpada Teddy, rzuca płaszczy, pędzi po drinka i dołącza do tamtej trójki, zaraz zaczyna machać chudymi ramionami, coś tłumaczy, nie zgadza się i chce w mordę dać.

Chciałbym się ukryć. W zamian ląduję przy ponurym

księdzu Grzegorz. Milczymy przez chwilę. Zachodzę w głowę: domyślił się, czy nie? Nic na to nie wskazuje, zagaduję zwyczajnie, jak się ma, co u niego.

- Szkoda, że nie jest już wtorek - odpowiada.

We wtorek poleci.

Opowiadam mu o sobie, jak to wszystko powinno wyglądać. Niedługo Boże Narodzenie, Nowy Rok i już z górki, bilet mam kupiony na osiemnastego marca. Odkładam tysiąc dolarów miesięcznie, czyli wrócę do kraju z szóstką, niezła kasa, choć dolar na łeb leci, poukładałam sprawy z Kaśką, może nawet się hajtniemy, kochasz ją, pyta ksiądz Grzegorz, Kocham, odpowiadam po chwili wahania.

Ameryka gładzi wątpliwości.

Wspominam Kasię, jej złości i jej biodra, w głowie rozpycha mi się jednak kość i fragment oczodołu. Nie umiem ich wygnać. Dopijam piwo.

- Jesteś za młody - mówi nagle ksiądz Grzegorz.

- Jesteśmy razem pięć lat - odpowiadam. I już rozumiem, że miał na myśli coś innego, a mnie krew zalewa, mało go nie trzepnę i to tak, żeby

sutanną się nakrył. Najpierw daje kluczyk, teraz gada to co gada. Bywaj zdrów, mówię i mam jasny plan.

Jak tylko Grzegorz wyfrunie do Polski, cisnę klucz na Tremont Street, do szybu windy. Zalejemy go betonem. Spokój.

Czarna kość, oczodół bez oka.

Spalony gnat.

Zamawiam kolejne piwo i mam mocno w czubie. Zespół Orion ma problem - szmatka z nazwą i telefonem opadła, dziewczyna próbuje ją zawiesić, nie przerywając śpiewania. Czterech świętych: Teddy, Mirek, Adrian i Darek przerywa rozmowę i idzie w stronę księdza Grzegorza. Grzegorz wstaje,



podaje każdemu rękę, nie słyszę, co mówi, ale musi ostro się motać. Szuka sojuszników, zerka w stronę drzwi.

- Kiedy znowu będziesz? - zagaduje mnie Tomek.

Nie wiem nawet, skąd tu się wziął. Cieszę się na jego widok, zresztą gęba mu się gniewa nad puszką budweisera. Opiera się o ścianę i snuje wielki plan: za rok ustawimy się i pokażemy polonii zabawy z prawdziwego zdarzenia.

- Ja znam didżejkę, a ty masz łeb na karku.

W naszą stronę zasuwa Chris. Żegnam się z Tomkiem i mknę na szluga, czuję się zaszczuty. Joe, Grzegorz, Tomek, każdy czegoś chce. Wypadam na zewnątrz, już z petem w łapie, deszcz wali mnie w ryja, siecze równo, pod daszek. Wycofuję się, pędzę w stronę klopa, a tu na scenę ładuje się Irena razem z Joem. Dziewczyna oddaje mikrofon i siada na głośniku, wąsate chłopy pluskają po keyboardach, wyprężony Joe, naczelny dobroczyńca Middletown ogłasza, że właśnie zaczynamy wielką kwestę dla kochanego księdza Grzesia, który to i tamto, dużo zdrowia. Kości, myślę sobie, nie zwalniam. Irena wyjmuję puszkę z orłem i krzyżem.

Od toalety oddziela mnie kotara, idę prosto do męskiego, za drzwiami zatrzymuje mnie Darek. Co jest, pytam, a on nie pozwala przejść.

- Ksiądz Grzegorz zasłabł. - Słyszę.

Jak zasłabł, to chętnie pomogę.

- Zasłabł, mówię, szczaj, gnojku, za tancbudą.

Jakby inaczej to rozegrał, poszedłbym bez słowa. Ciskam zimnego szluga: czyś ty się, Daruś, z chujem na łby zamienił, do kogo ta gadka, weź wypierdalaj na scenę wrzeszczeć te swoje bzdury. Pcham go w pierś, obiema dłońmi. Myślisz, że dasz mi radę? I Darek się cofa. Zerka za sie

bie. Dopiero w samej łazience próbuje się postawić, uderza niezdarnie, jakby bał się, że sobie kostki pogruchocze. Dociskam mi gardło przedramieniem. Drzwi ostatniej kabiny są otwarte.

- Oddam! Oddam! - To płacze ksiądz Grzegorz.

Puszczam. Darek osuwa się pod ścianą, z ubikacji wysuwa się ksiądz Mirek, Teddy, Adrian. Za nimi, na czworakach lezie ksiądz Grzegorz, zasmarkany, dłonie ma we szczytach.

- Co wyście zrobili, skurwysyny! - wrzeszczy, zapominając o Bożym świecie. I z całym światem bym się tłukł, jeśli trzeba. Daruś tylko się telepie, Mirek zdębiał, Adrian podnosi Grzegorza.

- Wylot masz! - krzyczy Mirek, jakoś niepewnie.

- A weź się goń!

Klękam przed księdzem Grzegorzem. Zabieram papier toaletowy. Ocieram mu twarz i dłonie.

- Musimy cię przebrać - mówię. Podnoszę go i zasłaniam sobą. - Może mi też wpierdolicie? - Wstaję, odwracam się do Mirka. - Ty kutwo - mówię mu - wylot, tak? Zaraz będziesz miał gliniarzy na łbie.

- Wszyscy jedziemy na jednym wózku - chlipie Darek, który akurat ma najwięcej do stracenia.

- Wali mnie to - odpowiadam.

- Nie - prosi ksiądz Grzegorz. Chce, żebym dał spokój.

Teddy gryzie wargę. Chce, żebym pozwolił na stronę, jest spokojny, nie śmie mi w oczy spojrzeć, wiem też, że gdyby przyszło co do czego, z nim jednym miałbym kłopoty. Ksiądz Grzegorz otrząsa się i wychodzi, za nim reszta, miga mi znajomy kształt. Wózek Chrisa. Ten tu co?

Teddy odwraca się do mnie. Dłonie trzyma z tyłu.

- Piętnaście dolarów za godzinę - proponuje. - żadnych

pytań.

Myślę przez chwilę. Dotąd zarabiałem osiem.

- Żadnej ciężkiej roboty.

Teddy smutno się śmieje.

- Sam maj.

fest mi ciut głupio. Ogołocoony z odwagi. Do tego wytrzeźwiałem.

- Masz rację, Teddy, macie. Gównno mi do tego - zapalam szluga, kombinuję, jakby tu uratować godność - ale zostawiacie dziada w spokoju. Wykorkuje bez waszej pomocy.

Potrząsa głową na znak zgody. Wychodzi. Przecież nie podamy sobie rąk. Dopalam papierocha, ciskam niedopałek, widzę siebie z boku, jako

gościa, który ma równo dosyć wszystkiego. Zerkam jeszcze do kabiny gdzie sprali księdza Grzegorza, płuczę twarz i już mnie nie ma.

Na sali trwa cyrk.

Zespół rozspiewał się na nowo, Joe z Ireną krążą od stolika do stolika po datki. Zerkam na banknoty. Zaskakująco skromne. Dziesięciodola- rówki. Żadnych czeków, za to każdemu wstyd.

Kobiety gniotą się w cieniu, uderza woń tanich perfum.

Wóda aż szczypie w gardło, powodując mdłości, taka tania.

Wydaje mi się, że to sen. Ta sala trzeszczy niczym stary statek, nadyma się i zaraz pęknie, zespół Orion, teraz spowity sztucznym dymem, przypomina widmo, jakaś dawno pogrzebana orkiestra wylazła z topieli i nam brzdąka.

„Agnieszka już tu nie mieszka”, kołyszają się do imion, trupich zewów.

Grzegorz tkwi osamotniony na swoim krześle, nie mam siły do niego podejść, nie powinienem, gdyby to mnie topili w kłocie, unikałbym wszystkich. Zwłaszcza tych, co widzieli,

pomogli. Więc piję tylko, przede mną wyrasta Irena z puszką. Już prawie koniec. Odliczam piętnaście dolców, po chwili wahania dorzucam jeszcze dziesięć.

Dostałem podwyżkę, mogę szaleć.

Na scenę gramoli się Joe. Przejmuje puszkę od Ireny i unosi wysoko nad głową. Pijany w pestkę, ma plamy pod pachami. Mało nie podskoczy. Dziewczyna z grupy Orion podtyka mu mikrofon, gdyby miał trzecią rękę, chwyciłby ją za cycki. Kochany księżu Grzegorzu, prosimy, księżu dobrodzieju, dziękujemy za wszystko.

Ksiądz Grzegorz, któremu jeszcze głowa nie wyschła, patrzy smutno. Nie chce. Ale sala już wyje, tupie nogami, nawet ten durny Darek kaszle i dopiero Teddy sprowadza go na ziemię. Nieszczęsny Grzegorz wolałby już do ubikacji, ale nie ma wyboru, wlecze się na tę scenę, chłopaki pomagają mu się wypindrać, ściska się z Joem.

Joe potrząsa puszką: popatrz, ile szmalu!

A Grzegorza rak tnie od środka, nieodwołalnie.

Grzegorz bierze mikrofon, przesuwa się na sam brzeg sceny, w stronę wiwatującej, pijanej polonii. Unosi rękę, ludzie ciut milkną, czekają co to będzie, jakie słowa padną, co mądry ksiądz Grzegorz wymyślił, żeby im podziękować za klopa, dolary i dach nad głową. Grzegorz ma minę skazańca, niewidzące oczy, zuchwa mu klepie, już trzeba gadać i jak go znam, prosi Boga o maleńki cud, który pozwoliłby mu zamilknąć.

I cud następuje.

Przetacza się huk, na pewno nie odgłos burzy. Jakby ziemia pękła. Ludzie natychmiast milkną, gapią się na siebie. Ksiądz Grzegorz opuszcza mikrofon, puszką wysuwa się z pijanych rąk Joego i roztrzaskuje się o scenę.

Drzwi wejściowe otwierają się, pchnięte jakąś potężną siłą, do sali wpada wiatr, rozwiewa Grzegorzowe dolary, podrywa włosy, wytrąca flaszki z rąk, włosy jakiegoś faceta mkną pod sam sufit; biedak łapie się za łysinę. Czerwonawa luna rozjaśnia futrynę, próg, podłogę.

Jeden przez drugiego pędzimy na zewnątrz, kątem oka widzę, jak Joe zsuwa się ze sceny, za nim skacze cały zespół Orion.

Syk płomieni w deszczu, wielogłos języków ognia.

Pali się kościół pod wezwaniem świętego Jerzego.

Trzaskają witraże, brama jest czerwona i zaraz padnie.

Przez moment wszyscy stoją bez ruchu, zakłęci nieszczęściem.

I nagle każdy gna w swoją stronę, już dzwonią komórki, baby wrzeszczą i tarzają się po ziemi. Ksiądz Mirek wyprzedza wszystkich, biegnie w stronę kościoła, odbija się od gorącej, niewidzialnej ściany. Zawraca, w biegu zdziera z siebie bluzę, pod spodem ma starą koszulkę red soxów, wyrywa Tomkowi pełne piwo, leje na bluzę, drugim browarem polewa sobie głowę. Z mokrym łachem na barkach pędzi w stronę płonącego kościoła, ludzie rzucają się za nim szerokim kluczem, pierwszy jest Joe, któremu tusza w ogóle nie przeszkadza. Razem z Sosną obalają księdza Mirka, przyciskają do bruku.

Ksiądz Mirek wyje pod samo niebo, jest głośniejszy niż wiatr, pożar i głodniejący dźwięk syren, wyciąga dłonie w stronę kościoła, pluje, wreszcie, nie powstrzymany, zaczyna bić głową o asfalt. Tomek, który wreszcie odzyskał zdolność ruchu, chwyta go w kleszcze, za czoło

1 szczękę.

Jest północ, migają niebieskie światła. Strugi z trzech hydrantów polewają syczące zgliszczą kościoła świętego

Jerzego.

Siedzę na schodach przed klubem polskim, trzymam pustą butelkę heinekena, skołowany i mokry. Ludzie wyją wokół, bardzo smutni.

Kościół świętego Jerzego przypomina szczątki wielkiego zęba. Dach zdążył runąć, połamały się mury. Ze środka, raz na jakiś czas, buchnie

ciemnoczerwony płomień. Ogień jeszcze szaleje w piwnicach. Przysiada się do mnie Tomek, ma nadpaloną grzywkę. Podaje papierosy. Nie chcę.

- Jutro jadę. - Słyszę. - Mam dosyć tego miejsca.

- Do Polski? - pytam. Wcale mu się nie dziwię.

- Do Nowego Jorku. Wsiadam w pociąg i cześć. Na chuj mi było do tego Middletown? Kto to w ogóle słyszał?

Nie mam nic do powiedzenia.

Wielki obłok gorącej pary przykrywa niebo.

Strażacy uwijają się z węzami, hydrantami. Ksiądz Mirek siedzi w karetce, otulony w ręcznik, dwa razy mniejszy niż wcześniej, ze smarkiem ciekącym z nosa wygląda nierzeczywiście, jak całe Middletown. Ludzi się naschodziło, Murzyni stoją w grupach, ich kobiety wyją głośniej niż polskie, mężczyźni wymieniają uwagi oraz szlugi.

- Jedź ze mną - rzuca Tomek - tam zawsze jest robota. Nie uświadczysz takich pojebów jak tutaj.

- Wszędzie są pojeby.

- Ano.

Milkniemy. Mrużę oczy, chyba wzrok mnie myli. Zgliszczą kościelne ruszają się teraz niczym mrowisko, może to drży gorące powietrze. Popioły przebija smolisty dziób, za nim wynurza się głowa, niby ptasia, ale rozmyta, o wielkich, gadzich ślepiach. Szpony torują sobie drogę, jednym pchnięciem ptak

wybija się ponad kościół, jest wielki niby garaż, ma skrzydła płaskie i ostre jak brzytwy. Zatacza koło, kracze i mknie w ciemność.

Patrzę po ludziach. Nikt go nie dostrzegł.

Nawet Tomek, który patrzył tam gdzie ja.

No i pięknie, myślę, rzuca mi się na głowę. Jest mi na przemian zimno i ciepło, żołądek boli, sucho w ustach. Idę po piwo.

- Chcesz? - pytam Tomka. Ale jeszcze ma.

W klubie polskim cicho, ciemno, ani żywej duszy.

Powywracane stoliki i krzesła. Rozbita puszka. Rozrzucone dolary, torebki, nawet portfele. Ktoś powinien o to zadbać, dźwięczy mi w głowie. Raczej dudni. Ssie. Szmata grupy Orion kołysze się lekko.

Opieram się o bar, otwieram heinekena.

Nie mam siły nawet iść do siebie. Nie zasnę przez te syreny, wrzaski. Ludzie ciągle się schodzą.

Przypomina mi się lot samolotem tutaj, powietrzne szarpnięcie, serce w żołądku: Boże, co ja tutaj robię.

Między stołami są czyjeś buty. Nogi. Ktoś leży.

Przez moment chcę to olać, jak padłeś - twój problem.

Jednak nie. Idę ostrożnie, żeby się nie potknąć. Jest o co.

Ciskam krzesłem. Kopię flaszkę i depczę fiolkę perfum. Trach i okej. W połowie drogi, między sceną a wyjściem, leży ksiądz Grzegorz, cały we krwi, z roztrzaskaną czaszką.

Siadam na schodach przed polskim klubem, Tomek dostaje heinek-kena. Chłodno. Strażacy jakby zwalniają, spacerują po zgliszczach, karetka włącza sygnał i odjeżdża z księdzem Mirkiem w środku.

- Pojedziesz? - Tomek pyta ponownie.

Powinienem. Nie boję się nawet tego, że mnie aresztują.

Nie zabiłem księdza Grzegorza. Nic na mnie nie mają. Ale mogę dostać deportację, wilczy bilet do Ameryki. Co z moimi pieniędzmi?

A, piętnaście dolców za godzinę.

Myślisz, że gdzieś jest lepiej.

Nie wiem, bo nie myślę wcale, poza dziwnie głębokim wrażeniem, że taka śmierć jest lepsza. Szybko. Nie od raka. Nic cię, księżo Grzegorzu, już nie schrupie. Wstaję. Tomek podaje mi rękę. Trzymaj się, ty też, już idę, dopada mnie, wyjmuję komiks z tylnej kieszeni, zapisuje telefon, maila na marginesie. Chce wyrwać kawałek kartki, zmienia zdanie. Przygody jakiejś cycatej Japoneczki lądują w mojej dłoni.

I odchodzi. Drobny. Już się nie uśmiecha.

Zastanawiam się, czy jeszcze na siebie wpadniemy. Pewno często tak się myśli.

Oczy mi się kleją, ale w pokoju robię wielkie przepakowanie. Ciuchy robocze lądują w foliowym worku. Większość dobytku upycham do plecaka, to co najważniejsze: paszport, pieniądze, sweter, spodnie na zmianę chowam w torbę podróżną. Torba idzie na hak. Mogę zabrać ją w każdej chwili. Gdyby coś.

Zamykam drzwi na klucz. Od dzisiaj będę spał w ubraniu.

- Boże, zmiłuj się nad nami. - Na korytarzu jęczy Maciek.

Niewiarygodne, ale nic się nie dzieje.

Spodziewałem się, że policja wywróci cały klasztor do góry nogami, przeora pokój księdza Grzegorza, weźmie mnie i innych w obroty.

Tylko cisza z naprzeciwka męczy

Niedziela - włóczę się po mieście. Przeklinam nieprzyjazne mi prawo: likier stary w dzień święty są zamknięte. Klub polski zabity na głucho, czarna flaga na plebanii, zębodół po kościele.



Wlokę się do ajriszy, przepijam dwadzieścia dolarów, drugie dwadzieścia przepuszczam na loterię zdrapkową. Jakoś mi się nie wiedzie.

Nie spotykam nikogo, nie chcę spotkać.

Nawet Maciek zamknął się u siebie.

Nocą wydaje mi się, że słyszę szuranie na korytarzu, jakby trupa po schodach ciągnąć. Ale gdy siadam na łóżku, odgłos milknie. Pewno Maciek się wygłupia. Staję przy oknie i spoglądam na ciemną plebanię. Na ulicę. Kiedy będą? Kiedy ktoś się zainteresuje? Chciałbym mieć to już za sobą. Myślę o Tomku, jak mu w tym Nowym Jorku. Mogę jechać w każdej chwili. Zasypiam późno i na chwilę.

Teraz do Bostonu jeżdżę z Sosną.

Sosna chciałby, żeby podpalacza znaleziono przed policją. Ksiądz Mirek pochorował się od tego. Też chciałby dopaść skurwiela. Joe podobno wychodzi ze skóry, taki jest wściekły.

- Najgorsze, że trzeba wybudować nowy kościół - gładzi Sosna, biorąc zakręt - nikt tutaj nie ma szmalu. Pomyślał byś, noż kurwa bladź! Ich domy, samochody. Ale żeby Bogu dziękować! Skurwysyny!

-A ty?

- Co ja?

- Dasz na nowy kościół?

Sosna przyspiesza, wyprzedza jak wariat.

- Na swój bym dał - odpowiada i milknie, odzywa się znowu już na rogatkach Bostonu. - Powiem ci coś, ale trzymaj gębę zawartą. Możliwe, że to przez Mirka.

Mało się w łeb nie puknę.

- Mirek spalił kościół?

Krztusi się ze śmiechu.

- No skąd! - Pauza. - Wiesz, że tak?

Zamieniam się w słuch. Dobijamy do pierwszego korka. Przede mną: pagóry, posypane domami z cegły, szarawe downtown i dom-drzwi na jesiennym niebie. Sosna wbija się w korek, cmoka z niezadowolenia, możliwe, że spóźnimy się na odprawę do Teddy ego, cóż, problem Sosny, nie mój.

- Mirek to kutwa - informuje mnie Sosna, jakbym nie wiedział.

- Sprzedałby własną matkę za zimowe opony. Ile płacisz za ten twój pokoik?

Dwieście pięćdziesiąt.

- Więc widzisz. Idę o zakład, że oszczędzał jak mógł, cholera wie, co trzymał w piwnicach kościoła i dam sobie jaja urznąć, że nie robił przeglądów, zabezpieczeń, czego tam się jeszcze wymaga - wyrokuje Sosna, mruży oczy. - Jakieś instalacje przeciwpożarowe, żartujesz, jak znam życie, Mirek, odkąd siedzi na parafii, nic nie zmienił. Ani pół kabla. No i walnęło, dziwisz się? Pamiętasz, jak się rzucał? Kutas.

- W ogóle nie najlepiej z polskimi parafiami - rzucam, niech Sosna gada, ile może.

- Teraz chce, żeby ludzie mu dali! Ludzie! Jak coś, to zawsze do ludzi!

- piorunuje. - Już mówią, że kościół marnie ubezpieczył. Pod siebie, ot co, kto wie, co zrobi, jak dostanie forszę, ale ja świetnie wiem, co wyprawia teraz, śle listy, gdzie może, o pieniądze i już kombinuje, jak przenieść się do innej parafii. U nas na Śląsku, taki fiut... a tego się boi! Żeby nie do Polski, nie do biedy, nie do kłopotów.

Sosna pokrzykuje, zadowolony, korek się rozpędził, mkniemy przez miasto do naszego warsztatu. Uświadamiam sobie, że każdy będzie mnie zagadywał, szczęściarza z Middletown. Już skręcamy. Siódma dziesiąć. Prószy śnieg.

Kilkunastu chłopa pali tanie szlugi przed warszatem. Obok poskręcane blachy, silniki, deski.

- Ty - przypomina sobie Sosna - o której Grzesiek odlatuje? Nie pożegnałem faceta.

Łapię oddech.

- Nie mam, stary pojęcia. Zawaliliśmy trochę.

Teddy dotrzymuje słowa. Daje mnie na Beacon St., gdzie właściwie nie ma nic do roboty. Byleby opóźnić, brać dolary.

Chłop nie straci. Za godzinę mojej fuszerki Amerykanin płaci trzydzieści dolców.

Udawać robotę, to moje zadanie. Więc tnę jakieś deski, przymierzam się do postawienia ścianki, o której, wiem świetnie, zaraz się dowiem, że musi stać gdzie indziej. Lubię warkot piły, zapach ciętego drewna, su

chość w nosie. Gość przede mną uharatał sobie palca. Pewno gadał się, spieszył. Robię powoli, nie mam do kogo gęby otworzyć.

Z okna widzę wielkie miasto, na które spada miękki tylek zimy.

W drodze powrotnej Sosna obwieszcza, że ksiądz Grzegorz już leci. Odprowadził go ksiądz Mirek z Adrianem, Darkiem i Teddy'm.

Znajomy skład.

Pokój Grzegorza znajduję wyczyszczony: koc na łóżku złożony w kwadrat, podłoga lśni jak wylizana. Siadam na brzegu łóżka. Przypominam sobie, jak było tu wcześniej. Takie myślenie nic nie daje. Poszedłbym do księdza Mirka, zagadał o to i owo, w zamian pod nos pcha mi się Maciek, wkurwiony jak diabeł w Boże Narodzenie. Mokro, zimno, nikt nie stawia płotów.

Wołam. Maciek obraca się, wyraźnie zdumiony. Przecież

nie rozmawiamy.

- O której wyjechał ksiądz Grzegorz?

Maciek tylko mruga.

- Podobno już poleciał - łzę, chce wiedzieć, co Maciek widział. Gdzie są rzeczy Grzegorza. Drugi klucz do skrytki.

Maciek siada obok mnie.

Przyciska pięści do policzków aż mu palce bieleją, wywala wielkie oczy, mało, a schowa się za mną.

- Wyjechał? - jęczy. - On tu jest.

Nabita na płotach łapa spada mi na kark, dociska, wbijam nos w Maćkowy sweter. Suchy, cuchnie kurzem. Maciek szepcze mi w ucho:

- Był zaraz po mszy, cały we krwi, laził po schodach jak robak, znaczy, pełznął. Groźny, smutny - w maćkowym głosie przebrzmiewa wielki szacunek dla martwego księdza Grzegorza - a potem siedział cały dzień, tu gdzie my siedzimy. Dokładnie w tym miejscu. Podchodziłem, pytałem „czego ci trzeba”, ale on tylko płakał nade mną. Potem przyszedł Mirek, on to jest jedną nogą w piekle. Zatrzasnął drzwi, i tak widziałem. Przede mną się, o nie, nie schowasz,

Próbuję wkłęcić się w jego szmergla, przerywam.

- Jak, Maciek, widziałeś? Przez zamknięte drzwi?

Wybuchą śmiechem, puka się w głowę, puszcza mnie z tego powodu.

- A co ty, głupi? Dziurką od klucza?

I nawija swoje.

- Mirek kręcił się jak z rożnem w dupie, a dobry ksiądz Grzegorz nic, tylko patrzył. Krew mu ciekła z ust i ran na rękach. Kiwał sobie głową, dopiero, jak Mirek, skurwiel, wychodził, to tak na niego się gapił, że mi zimno było, jakby miał na końcu nosa „już jesteś mój, gnoju jebany, już ja cię

zawlokę do piekła". - Maciek bierze głęboki oddech, idę o zakład, że wdycha powietrze innych światów. - A potem tu krążył, całą noc. Biegał po suficie. Przenikał ściany. I pytał, tak milcząco, ale wiedziałem: „Maćku, co ty dobrego zrobiłeś ostatnio?”, „Maćku, mój Maćku, wiesz może, ile ci życia zostało?”

Maciek zsuwa się z łóżka na ziemię, wbija w podłogę długie pazury. Ciało mu flaczeje. Leniwym ruchem obraca się na plecy, patrzy w sufit, mruży.

Siadam przy nim po turecku.

- Powiedz mi - zacznę najłagodniej jak umiem - jak był tu ksiądz Mirek, to co robił?

- Zbierał jego graty - Maciek zamyka oczy - trupie, niepotrzebne.

- Zabrał coś?

- Wszystko.

- A gdzie?

Podkurcza nogi.

- Na śmietnik. Znalazł, co swoje. Mało nie zerwał podłogi, znasz drania, najpierw spokojnie, szuflada po szufladzie, książka po książce, aż się wściekł. Walił łapami, wszystko zrzucił. Aż jest. Kluczyk mały! - wyje Maciek. - Jak mu się łapy trzęsły, jak się ślinił, ale zaraz zmarkotniał.

Przerabiam to w głowie. Pytam Maćka, czy pomóc mu się podnieść, piszczy wściekle w odpowiedzi, przykładła dłonie do oczu i zaczyna śpiewać. Na moje się modli, tylko nie wiem do kogo. Dziękuję mu, wlokę się do siebie, ląduję przy oknie z papierosem i litrową butelką Doktora Pep- pera. Jutro będzie zgaga jak złoto.

Czyli Mirek znalazł, pewno zaraz popędził na lotnisko.

Na diabła mu te kości, pytam siebie, ale z drugiej strony -

co mnie to?

Mogłem je wtedy zabrać. Niech każdy chowa swoich zmarłych.

Słyszę wyraźnie Maćkową piosenkę, nuci sobie strofy o Panu Jezusie, który wrócił na Ziemię, ale po cichu. Wędruje sobie przez małe miasteczka, tu dziwkę szczyplnie, tu w mordę komu da, tu chrust w złote farfocle przemieni. Niedopałek leci za okno. Wyjmuję kluczyk, owinięty w kartkę, zaraz

polecą za papierosem, nie, za to ja lecę z powrotem do Maćka, przerywam mu śpiewanie, potrząsam nim, wygląda, jak wyrwany z głębokiego snu.

Pytam: czy Mirek zabrał coś jeszcze. Zeszyt, papiery, cokolwiek. Notował może w telefonie? Gdziekolwiek. Maciek zaprzecza, zły, znudzony, wraca do Jezusa łapiącego stopa.

Śmiać mi się chce.

Mirek buchnął kluczyk, ale może co najwyżej nim flaszkę otwierać, bez kartki, bez numerka, bez jakiegokolwiek tropu.

Co piątek na warsztacie mamy rozdawanie czeków.

Pół setki faceta tłoczy się przed gabinetem. Wokół nas pocięte rury i pręty, grube kawały blachy, odrapany blat oraz mnóstwo szajsu, którego przeznaczenia - mimo, że leci mi trzeci miesiąc budowy - nie umiem rozpoznać.

Teddy staje w drzwiach, podobny do złego, bezradnego niedźwiedzia, trzyma gruby plik czeków, wywołuje z imienia i nazwiska. Tnie każdego na pięć, dziesięć dolców, przemnożone da sympatyczną sumę.

Każdy chwyta co jego, jak diabeł dobrą duszę, i pędzi na śnieg. Zapalić, albo i na banię.

Godzinę później ten sam skład spotka się w centrum handlowym, pod bankowym okienkiem, by zrealizować wypłatę.

Dziś wieczorem biedne knajpy w Bostonie wypełni polszczyzna. Hej, poleje się cienkie piwo, w ruch pójda wspomnienia i zdrapki za pięć dolców. Brzydkie polskie kobiety będą czekać, wkurwione, te piękne popędzą gdzie indziej, szukać lepszego losy i też wkurwione powrócą. W pokojach podobnych mojemu pęknie niejeden Kapitan Morgan, jak nie on, to tania hara z posmakiem mydła. Zadymi pompowane żarcie, kurczak sprzedawany już w folii i panierce, rozżarzą się szluga.

Teddy woła mnie ostatniego, wchodzę, zamyka za mną drzwi.

W gabinecie jest stary komputer z myszką kulkową, masywne biurko, doprowadzone zapewne z jakiejś budowy, na półce z litego drewna stoją segregatory. Na to wszystko, na mnie i zafrasowanego Tadzia, spogląda sam Ukrzyżowany. Wisi sobie nad drzwiami.

To portret wielkości kartki papieru, bardzo kolorowy.

Jezus ma blond czuprynę, niebieskie oczy i poważne oblicze zadowolonego golfisty, powieki zamyka lub unosi w zależności od kąta patrzenia.

Dostaję czek. W głowie szybko mnożę liczbę wypracowanych godzin przez piętnaście, wychodzi na to, że tym razem Teddy naprawdę przyłożył się do rachunku. Dziękuję mu, w zamian dostaję szluga. Pyta mnie o Beacon Street, jak tam to wygląda, odpowiadam, że możemy skończyć w tydzień, albo bujać się do wiosny. Dobrze, rzecze Teddy i zaraz chce wiedzieć, czy z nami wszystko w porządku.

- A jak ma nie być? - Składam czek i chowam starannie do portfela.

Siada. I już wiem, co się będzie działo.

- Byliście blisko z księdzem Grzegorzem? - zagaduje. Bawi

się pustym czekiem. - Nie mówił wam czegoś wartego uwagi?

- Tak - odpowiadam, oczy Teddyego natychmiast nabierają życia.

- Umierał, do ciężkiej cholery, to właśnie mi powiedział.

- Będę z tobą szczery. Grzegorz zabrał coś, co należy do mnie i najwyraźniej zapomniał oddać przed wyjazdem. Niby nic wielkiego, a jednak. Rozumiem go świetnie. Choroba. Spalony kościół. Sam nie miałbym głowy. Ale pomyślałem sobie, że może tobie coś przekazał, adres, paczkę, no nie wiem.

Podpuszczam go, pytam.

- A co to takiego mogłoby być?

Przez ułamek sekundy, Teddy zmienia się nie do poznania, żaden to miś, ciepła klucha, ale desperat na krawędzi, gotowy na wszystko.

- Coś mojego. Masz?

- Człowieku, nie mam! - Rozkładam ręce. - Zapytaj księdza Mirka. Grzegorz podobno zostawił mnóstwo rzeczy przed wyjazdem, to Mirek zabrał je i wyniósł. Nie moja rzecz. Nic mi nie zostawił - widzę, jak Teddy markotnieje, a pusty czek ląduje w szufladzie. Dociskam więc drania.

- Nie wiesz, czy Grzegorz wylądował bezpiecznie?

Teddy odpowiada głucho, że owszem.

- Muszę do niego przekręcić - rzucam od niechcienia, podając rękę na pożegnanie. - Cholernie jestem ciekaw, jak się ma.

Tak go zostawiam, z tym durnym uśmiechem pijanego niedźwiadka.

No co, Teddy, mnie też zabijesz, myślę sobie w drodze na Beacon Street i nagle rozumiem, że może być do tego zdolny.

Poluję na księdza Mirka, przyszpilam go wieczorem. Mirek kręci się po ruinach, jakby próbował wygrzebać coś ze spalonej



ziemi. Nienawidzę su

kinsyna za sam czynsz, który muszę bulić, ale gdy widzę go teraz, pomarszczonego, z ramionami ściągniętymi jakby siaty targał, robi mi się żal faceta.

- Coś wiadomo? - pytam.

Mirek nieustannie trze dłonie.

Brud pod paznokciami, od grzebania w ziemi. Potrząsa głową, szuka słów.

- Mówią, że instalacja. Na pewno nie podpalenie. - Ogląda się za siebie.

No, a kto mówi, że miało być. Mirek siada na czarnym murku, kawałek ściany, może nic, pierwszy raz widzę go z papierosem, zaciąga się płytko.

- Ludzie nas nienawidzą - słyszę. To skarga. Jakby go obili.

- No - zgadzam się - wiodło się jak mało komu.

Mirek tylko wzdycha. Śmierdzi. Tak cuchnie tylko człowiek, który nie spał od kilku dni, pocił się od tego, ledwo co żarł.

- Mało kto pracuje jak wy tutaj - ciągnę temat, zaraz przeskoczę na księdza Grzegorza. Mirek ożywia się gwałtownie.

- Myśmy mieli Boże błogosławieństwo - rzecze. - Tego jednego ludzie nie odpuszczają. Uszanują pracę. Uszanują i złodzieja. Ale tutaj, gdzie jesteśmy na próbę, diabeł ma wolną rękę. I to jedno, że Bóg ludzi kocha, że daje dowody tej miłości, jest po prostu nieznośne. Ten gniew, jego nie zdołasz sobie wyobrazić - Mirkowi zaraz z uszu pójdzie para. - Wściekłość istoty skończenie złej, przegranej, która wszystko, co może zrobić, to odwlec moment swojej klęski. Nasze wielkie nieszczęścia, jak to, jak ruina miasta, są dla niego, dla diabła, tylko słabym momentem wzruszenia. Chce mocniej. Chce więcej. Nas nie dostanie.

Myślę chwilę. Pytam:

- Ksiądz naprawdę wierzy, że to diabeł spalił nasz kościół?

- Wiesz co? Chyba lepiej tak wierzyć. Czasem myślę, że wszystko jest tylko przypadkiem, że piekłem, kwestią doczesności, jest właśnie przypadkowość i ta myśl naprawdę przeraża - gada tak sam do siebie, otrząsa się, dodaje: -

Porządny z ciebie chłopak.

Jest miękki jak trzeba.

- Ksiądz Grzegorz jak to zniósł?

Patrzę przed siebie. Mirek dyszy.

- Na ile go znam, to uznał, że sam za to odpowiada.

Magiczne myślenie, że jakby nie zrobić zabawy, to kościół by stał. Odpowiedziałem: jakbyś nie zachorował, to tak. -

Uśmiecha się smutno.

- Co u niego?

Wstaje. Otrzepuje dzinsy. Ma chude nogi. Odchodzi, rzuca przez ramię:

- Nie miałem do tego głowy.

Odprawiam go pod pyszny budynek parafialny. Mirek nieoczekiwanie łapie mnie, przyciska do piersi, zaraz się rozbeczy, więc pytam tylko, co mogę jeszcze zrobić. Dla niego. Chyba jest naprawdę wdzięczny.

- Przyjdź na mszę w niedzielę - prosi i mnie zostawia.

Słyszę jego kroki, niknące wewnątrz budynku.

Zaraz, jaką mszę?

Chris szaleje.

Nieustannie próbuje zejść z wózka, czołga się po ziemi, pluje i targa mnie za uszy. To wielki facet, ma mocne łapy od kręcenia kółkiem, wyrywam się z trudem, podrywam drania i sadzam na fotelu. Obrywam książką. Co za gnojek.

Nie pomagają nawet Gwen Stefani.

Chris wrzeszczy do każdej piosenki. Próbuje zmienić kanał, wyje jeszcze gorzej. Tłumaczę sobie, że to wina Adriana i Kate-Katarzyny. Ich piękny dom skrywa zapowiedź nieszczęścia. W kuchni cuchnie mentolowym szlugiem, w talerzu znajduję kopczyk z niedopałków. Pełno flaszek w koszu. Wszędzie walają się ciuchy; łazienka brudna, rozrzucone kosmetyki. Świadectwa pośpiechu. Dziwne.

Martwy Piotrek, pijany Joe - tych dwoje nie ma jeszcze źle.

Wrócą przed północą. Nie mam pojęcia, jak uporać się z tym durniem. Chris wykręca się na fotelu, znów zsuwa spodnie aż do bezużytecznych kolan. Teddy dobrze płaci. Nie muszę dorabiać niańczeniem debila. Brutalnie naciągam mu dresik, owiewa mnie odór schnącej spermy. Patrz, idioto, coś narobił. Chris wybucha śmiechem.

- Patrz ile rzeczy cię omija - mówię mu. - Żadnych kłopotów z dziewczynami. Nigdy, żadnego wpierdolu, nawet spalony kościół masz serdecznie w dupie. Jesteś Bożym stworzeniem, Chris, ale lepiej mnie nie wkurwiał.

Robię mu płatki na mleku, ale jak dla mamy; sypię rodzynek, orzeszków, niech łajdak się napcha.

Rzęzi, jęczy, pryca.

Siadam naprzeciw niego, ładuję łyżkę w oślinioną gębę. Za mamusię, za tatusia, za Gwen, za Stefani, za Pink z Madonną. Pluje mi w twarz, mokry migdałek odbija mi się od nosa. Robię rundkę wokół pokoju, Chris zaczyna więc się cały, pakuje rękę w spodnie, od tyłu. Nie ma to-tamto, jak jemy, to jemy, nabieram na łyżkę, kucam, Chris piszczy, wyszarpuje łapę z gaci, jest cała brązowa. Walnął kloca. Strzepuje mi gówna na gębę. Zaraz próbuje klaskać.

Robi mi się czerwono, czarno na przemian.

Chlapię mlekiem w środek roześmianej gęby i Chris już się

nie śmieje. Tylko mruga bieluchną powieką. Pędzę się umyć, następnie chwytam drania za fraki i wlokę do łazienki. Jęczy, nie rozumie, już ja go nauczę. Dopiero w drzwiach próbuje stawiać opór. Moja twarz jest sucha. Śmierdzą.

Zdzieram mu koszulę, gacie, ciskam pod prysznic.

Teraz to płacze. Próbuje się wydostać, grożę mu pięścią i proszę, chłopak nie jest tak głupi, jak ludzie mówili.

- Wybacz Chris. Ufurmaniłeś się po pachy i trzeba z tym zrobić porządek.

Polewam go zimną wodą. Chris skuczy, wyraźnie chce się osłonić, nie łapie, że woda to nie pięść, przecieka przez palce. Minuta takiej zabawy zmienia go w żalostnego mazgaja, kuli się w rogu, wielki i siny. Nogi ma bez jednego włosa, masywniejsze, niż się zdawało. Mi samemu robi się chłodno, dosyć już może, nie chcę, żeby facet się pochorował, z zapaleniem płuc będzie już całkiem nieznośny, każę mu się odwrócić i wypiąć tyłek, jęk, pisk, odwracam się:

Kate-Katarzyna wytrzeszcza oczy, za nią pąsowieje Adrian.

Kate-Katarzyna dopada synalka, wywleka spod prysznic, żałuje, otula ręcznikiem. Adrian zderza się ze mną w przejściu, raczej o nic nie zapyta, stoję w lekkim rozkroku, unoszę dłonie, ku mojemu zdumieniu Adrian mięknie, niemal go odpycham, porywam swoje rzeczy i tyle mnie widzieliście.

Tylko na murku przycupnę, zapalę, ochłonę, gdzie tam - wiatr dmie, noc śnieżna i wściekle zimna, a mnie czeka solidny spacer, nie ma co liczyć na samochód Adriana. Ręce w kieszeń, kołnierz wysoko, maszeruję poboczem, między cichymi domami, drzewami, milczącymi sklepami.

Odprawdzają mnie szepty i jęki, śnieg zmienia się w wirujące kły, dachy domów garbią się ku mnie, oczy okien są żółte, nabiegłe kwaśnym kremem. Skrzypi mu pod butem, jakby

trzask kości. Biorę zakręt i o mało nie wpadam pod samochód, jakiś debil mknie swoim cadillakiem, omiata mnie gwizd radia, nawet nic nie dostrzegł - tylko migają światła. Siedzę na poboczu i odprowadzam go wzrokiem.

I wlokę się dalej.

Żebyś, skurwielu, się roztrzaskał. Najlepiej o Adriana i Kate-Kata- rzynę.

Middletown to właściwie garść pryszczycy, rozrzuconych po wzgórzach i lasach. Momentami wlekę się w mroku, bez światła przed sobą. Nawet nie wiem, o czym myślę, taki dureń, przewala się wszystko: Mirek, Teddy, Grzegorz, Chris. Bęc i syk: coś wieje przede mną. Lodowate powietrze z drugiej strony drogi.

A może mi się zdaje.

Pojawia się też smród, dałbym głowę, że wali tak ode mnie, jeszcze po Chrisie. Owładnięty wstydem, wsadzam łapy w rzadki śnieg, obcieram sobie twarz. Szczypie. Znów syknęło. Jakby tam, przede mną, cmokała wielka gęba.

Dochodzę przed zakręt. Dwie ściany drzew i kępa krzaków.

Śnieg nagle zaczyna walić z nieba, białe, poskręcane leje roztrącają gałęzie, w nich tylko przez moment widzę jakieś ciemne cienie. Błysk smutnego spojrzenia, otrząsam się i nagle słyszę ten jęk, całkiem wyraźnie. Z drugiej strony, z krzaków. Te zaraz coś rozerwie.

Zwalniam, rozglądam się na boki.

Przez środek jezdni, przywalonej teraz śniegiem, biegnie szeroki ślad.

Jakby ciągnąć ciało. Zaciskam pięści i idę w kierunku krzaków. Jękniecie. Rozdzierające. Jakby z wnętrza ziemi. Ale się boję. Kucam na środku ulicy, przechylam głowę. Nie mogę się dopatrzeć. Taki wielki cień, tam w środku.

Wrzeszczę przez wichurę. I rzucam się do przodu. Już przy krzakach, teraz żałuję, że nie wziąłem żadnej broni, rozchyłam gałęzie, tam mokre liście i coś w nich się kokosi. Długie palce, masywny grzbiet. Podnosi głowę, wiem już, że za wszystkich świętych nie chcę zobaczyć tej twarzy i, jak chciałem, to nie widzę, potężna siła pcha mnie, odrzuca, lecę i walę plecami o asfalt.

Już wiem, że z tymi gwiazdami to prawda: ćwierkają te błyski.

Gramolę się z jezdni, siadam pośrodku. Krzaki milczą, cokolwiek tam jest, czeka, albo poszło, za to prosto na mnie pędzą światła samochodu. Jeszcze zdążę. Tylko tkwię jak dureń, niezdolny do ruchu.

Samochód nawet nie hamuje.

Wszyscy jeżdżą pijani po tych drogach.

O czym mam myśleć?

Szarpnięcie. Za grzbiet. Mocne dłonie na moim karku, znów lecę, tylko nogi podkurczam, coś ciska mnie na pobocze, koziółkuje, miga mi tylko ciemna karoseria, gość w szoferce, wszystko zlewa się w oczach, tamtym autem zarzuca, sukinsyn nawet nie zwolnił. Trzaskają gałęzie. Toczę się po śniegu, zaraz zrywam się na nogi. Cisza.

Robię chwiejny krok. Odwracam się, szukam wsparcia, może chwycę się tej dłoni, co mnie spod kół wyszarpnęła.

Na poboczu, między życiem a śmiercią, stoi ksiądz Grzegorz. Śnieg obsypał mu ranę na głowie. Nie dotyka ziemi, za to jest mocny i silny, patrzy prosto na mnie i niknie w ciemności.

W niedzielę o dziesiątej ksiądz Mirek odprawia mszę świętą.

Nocna wędrówka wydawałaby się snem, gdyby nie

stłuczony łokieć, sińce na tyłku i plecach, wielki guz z tyłu głowy. Jeszcze huczy. Wmawiam sobie, że nie było żadnego księdza i stwora w krzakach. Za dużo trupów, podpalają wyobraźnię, za dużo też wiatru i śniegu, jakby wszyscy, łącznie z mirkowym Bogiem, uwzięli się na Middletown.

Niebo jest sine, budynki wokoło ledwo widoczne.

Aby dojść do ruin, trzeba przedzierać się przez śnieg, czasem i po pas. Od mojego klasztoru wiedzie wydeptany ślad, jak przez środek pieprzonej Arktyki, wlecze się nim Maciek, okutany po białka oczu.

Firmy odśnieżające szaleją po mieście, ale nasza ulica przynależy Teddyemu, ma tu walczyć ze śniegiem w ramach swojego chrześcijaństwa. W istocie, pobożny Teddy stoi dwa rzędy przede mną, w otoczeniu swoich robotników.

Jesteśmy w ruinach kościoła Św. Jerzego. Ksiądz Mirek kazał uprzątnąć część gruzu, usunął fragmenty grożące zawaleniem, ale próba osłonięcia naszego nabożeństwa spaliła na panewce, nie na tej wichurze: tylko kawał brezentu łopocze z ogryzka muru.

Po środku stoi prosty ołtarz, zapewne biurko, przykryte obrusem liturgicznym. Za nim ksiądz Mirek, ministranci w puchowych kurtkach. Mirek założył ciemne okulary, śnieg sypie mu w twarz.

Zwlekli się tutaj wszyscy. Sosna, wychudzony i nerwowy, Marek, ten którego poznałem pierwszego dnia tutaj; schudł strasznie, klęka na śniegu, to ćwierć faceta. Irena przypomina swoją własną babkę, buty ma eleganckie, umalowana jak należy, tylko płaszcz taki stary: zimno, nie zdążyła kupić nowego. Kate-Katarzyna wyglądałaby jeszcze po ludzku, gdyby nie wielka śliwa pod okiem. Nieustannie poprawia okulary. Adrian za to wygląda jakby zaraz miał pofrunąć na raz w trzy różne

strony. Unika mojego wzroku, ja jego - wcale. Chris w czarnym garniturze, z poważną gębą, sprawia wrażenie niemal normalnego, gapi się z uwagą, jakby ksiądz Mirek miał zaraz przemienić się w Gwen Stefani. A mi buty przemokły.

Zaczyna się nabożeństwo, Mirek z pomocą mikrofonu próbuje przekrzyczeć wiatr i nagle zyskuje niespodziewanego sojusznika. Zza moich pleców dobiegają dzikie wrzaski: to Joe chwali Pana na swój sposób. W jego tle śpiewają też inni. Szukam ich wzrokiem, nie mogę wypatrzyć, wreszcie są: Joe z resztą chórzystów tłoczą się na pace trucka. Wiatr niesie ich pieśń, ale zagłusza słowa.

Mirek wygłasza krótkie kazanie, poświęcone Abrahamowi, figurze starotestamentowej i niezłomnej, „pamiętajmy o rzeczach dobrych i nie gódźmy się na złe. Ale czynmy tę niezgodę bez rozczarowania i złości”, prawi Mirek, „Bóg nie wymaga od nas niczego, ponad nasze siły”.

- Gówno. - To Maciek czuje potrzebę aktywnego uczestniczenia w nabożeństwie. - Coście zrobili?

Mirek chyba go nie słyszy i dalej prawi swoje: „musimy być silni w godzinę próby”. Maciek wygraża mu pięścią, ale przebija się ku niemu Adrian z Teddym i dwoma robotnikami, więc chłop natychmiast mięknie.

Podczas podniesienia kielich o mało nie wyleci z mirkowych dłoni, tak dmie.

Ludzie ustawiają się do komunii, jestem chyba jedynym, który się nie wybiera. Schodzą w brudną kolejkę. Niektórzy trzęsą się, inni nie bardzo chcą klękać. Spokojni. Mirek chyba jest zaskoczony. Ministrant ociera mu twarz rącznikiem. Korzystam z okazji, żeby osłonić się przed wiatrem, wciskam się w załom na lewo od ołtarza.

Wierni klękają po kolei. Mirek daje komunię, wolną dłonią



osłania opłatek od góry, żeby śnieg nie napadał.

Irena trzęsie się, wycofuje skulona. Marek łyka komunię w milczeniu, nieruchomieje, chwytą dłoń księdza, całuje.

Kate-Katarzyna wygląda, jakby jedną nogą stała po drugiej stronie. Cichy Adrian. Teddy z zastępem robotniczych cieni.

Między wiernymi dostrzegam zwalistą sylwetkę Maćka, stoi grzecznie w szeregu i mamrocze coś pod wąsem. Jego wielkie łapy dziwacznie wyglądają, złączone do pacierza. Robi małe kroki. Coś knuje, boję się, że zaraz runie na księdza Mirka z pięściami. Mruży oczy. Jakby coś rachował. I ryms na kolana, mało co, a ściany runą. Wywała wielki ozór. Połyka opłatek, tkwi tak przez moment, klepie pacierz. Wstaje. Wyższy od wszystkich o pół łba co najmniej. Robi krok w moją stronę i na tym się kończy. Maciek kaszle, wywała oczy, próbuje uderzyć się w plecy, daje głowę, że gardło mu puchnie, jakby coś rośło tam gwałtownie. Wielkie łapy obejmują już szyję. Wokół Maćka robi się krąg. Nikt nie podejdzie.

Maciek robi się żółty, siny, próbuje odkaszlnąć, już lecę do niego. Gnie się w pół. Spluwa krwią. Lecę w jego stronę, jednak żal mi sukinsyna, zaraz staję, bo już jest za późno. Z ust Maćka idzie szeroka, czerwono- -czarna struga, daje głowę, prują w niej kawały mięsa, połamane kości, jakby coś od środka wyszarpało mu trzewia.

Maciek jest martwy jak szlauch i tak też naprężony.

Wali się bez życia na to, co z siebie wypluł. Wszystko zakłęte, nawet śnieg zastyga w powietrzu, by zaraz ruszyć, tyle, że jeszcze szybciej, ludzie rozpierzchają się na boki, jeden przez drugiego i mało się nie stratują. Joe mało co nie wypadnie z ciężarówki, tak go ciekawi, co się dzieje, Irenę ktoś chwycił pod boki, a wózek z Chrisem, nieszczęsnym, durnym Chrisem odbija się od człowieka do człowieka, Chris wyje pod samo niebo i nikt

go nie wesprze. Jeden łajdak mało co przez wózek nie przeskoczył, ktoś znów potracił, Kate-Katarzyna i Adrian prą w jego stronę, nawołują. Kate-Katarzyna pada, chwytą się męża, jedzie w górę na jego mocnych rękach, ale z chodzeniem już gorzej.

A co mi tam. Lecę do niego na rympał, między ludzi. Odpycham, ktoś mało nie runął, nikt na mnie nie spojrzę, może popchnie, ledwo czuję. Durny Chris wyje na mój widok, próbuje zeskoczyć z wózka, uczcie lepiej wieloryba fruwać - łapię za uchwyty i pcham przed siebie, nic z tego,

*nr mi yrnuu iuu*

kamienie wchodzą pod koła. Masz babo placek, trudno, co robić, nie daj się, zesraj się - staje przed wózkiem i osłaniam Chrisa.

Zaraz chwytą mnie za brzuch i się tuli.

Mało co, a wysmarka mi się w kurtkę.

Ludzie nas mijają, nie muszę zgrywać bohatera, bo ruiny kościoła świętego Jerzego pustoszeją w oka mgnieniu, już warczą silniki, już Joe zlął z trucka i pociesza Irenę.

Ksiądz Mirek klęka nad Maćkiem. Przypomina kuraka grzebiącego w ziemi.

Adrian ciągnie ku mnie przerażoną Kate-Katarzynę, chce dziękować, wyrywam się z objęć Chrisa, odprowadza mnie płacz i adrianowe powitanie. Jeśli się obejrzę, zobaczę tę franc zboląłą trójkę i puszcę pawia jak sam Maciek. Przyspieszam. Ruiny opuszczam sprintem, ani razu nie patrzę za siebie.

Pieprzcie się.

Cisza klasztoru jest naprawdę nieznośna.

Nie mogę spać.

Czasem wydaje mi się, że ogień wciąż trzaska w spalonym kościele, czasem znów podłoga trzeszczy, brzmi mamrotanie,

jakby Maciek powrócił, zimny jak płot w styczniu.

Siedzi na schodach, mamrocze o śmierci, niebieskie usta owiewa mu obłok lodowatej pary. Obok, na parapecie, przysiada ksiądz Grzegorz, nogi schodzą mu w mrok, przy skroniach wirują błędne ognie.

Przestań tyle myśleć. Obracam się w mokrej pościeli. Maciek z Grzegorzem nikną i nic już nie rozprasza nocy. Tak musiało być tutaj sto lat wcześniej. Cisza dla zakonnic.

Nie pomaga czytanie. Odbijam się od ściany do ściany, przeklinam jutrzejszy dzień - może zdołam zasnąć, skulić się gdzieś na Beacon Street.

Tylko czy będzie jakaś taka Street, robota, może ludzie, jak biegli wczoraj, to biegną do dziś.

Coś błyska za oknem, ksiądz Mirek także nie może spać. Za firanką widzę zgarbioną sylwetkę. Ruch ręką. Jakby pił. Spoglądam na niego przez chwilę, zastanawiając się, czy nie poszukać towarzystwa, ale Mirek decyduje za mnie. Światło gaśnie, by zaraz zapalić się na dole. Ksiądz Mirek, w sutannie, z czapą wciągniętą głęboko na głowę, opuszcza plebanią i człapie w stronę ruin kościoła. Pociąga Kapitana Morgana i tyle go widzieli.

Jest zimno, powinienem za nim iść.

Jest zimno i dlatego nie pójdę. Jedno wiem z tej Ameryki: trzymajmy się, ludzie, w kupie, ale każdy niech pije za siebie.

Naciągam kołdrę na głowę, wsłuchany w ciszę, przerywaną tylko widmowym oddechem. Co kilka minut. Sapnięcie. Aż chłód bije spod drzwi. Nie wyjdę, choć oddechy składają się w moje imię.

Budzę się przed siódmą, wyspany i pełen sił. Nie wątpię, to zaraz się skończy, ale póki co - prysznic, kanapki w pustej kuchni. Nakładam kon- traktorki, wbijam się w upačkany farbą

polar i grubą kurtkę. Poprawiam kaptur i wychodzę.

Zjadam w pośpiechu jabłko i wypalam papierosa. Natychmiast nogi się gną, wiruje w głowie, siadam na stopniu i podrywam tyłek. Tak zimno. Słońce podnosi się zza domów, rozjaśnia ostre kształty chmur. Mróz aż szczypie.

Równe dwadzieścia minut gapię się na drogę. Nie widać Sosny.

Piechotą do Bostonu dowlokę się na wieczór.

Zbiera we mnie ochota, by wrócić i runąć na łóżko. Kawa pruje przez żyły. Żadnego przewracania się w pościeli. Tak właśnie ma być, oto amerykański sen, prędszej - amerykańska drzemka. Co by się nie działo, normalnie pracujesz.

Zapalam kolejnego i wlokę się w dół ulicy. Być może Sosna podjechał pod ruiny kościoła, może jest tam ktoś inny, kto zawiezie mnie do warsztatu. Ludzie obserwują.

Pierwszy raz widzę je tak wcześnie. Ruiny kościoła świętego Jerzego wydają się wyższe niż wcześniej, szron i śnieg pobłyskuje w słońcu. Wydaje mi się teraz, że były tu od zawsze. Wewnątrz czarny placyk pełen kamieni, graty zamiecione pod resztki ścian. Już ptaki znalazły sobie miejsca w załomach. Niedługo, myślę sobie, dzieci urzadzą sobie tutaj niezłą strzelaninę.

Obchodzę całość. Nikt nie zaparkował.

Raz na jakiś czas przemyka amerykańska ciężarówka. Zaraz przypomina mi się ksiądz Grzegorz, jego ręka na zakręcie.

Próbuję łapać stopa, bez skutku.

Polscy robotnicy śmierzdzą.

Tymczasem dochodzi ósma, powinienem czekać pod warsztatem, a nie tu, przytulony do wielkiego zęba, ogarnia mnie wściekłość, połączona z dziwacznym pomysłem, że rzeczy wielkie, trupy i pożary służą drobiazgom. Polonia w

Middletown zdycha, żebym nie dotarł do roboty.

Ksiądz Mirek opiera się o czarny ogryzek muru. Głowa mu wisi i pewno umarł. Lecę do niego. Śnieg go przyprószył. Sterczą czarne kudły. Potrząsam nim. Dycha, tylko pijany w pestkę. Ma sine łapy. Walę go w gębę otwartą dłonią. Otrzepało chłopa. Uderzam znowu. Otwiera oczy, rozgląda się zdumiony, zawiesza na mnie przekrwione oczy i wyciąga rękę. Pomagam mu wstać.

Ksiądz Mirek śmierdzi wodą, cały się trzęsie. Mówię, że trzeba dzwonić po karetkę, to wścieka się i ciągnie mnie na plebanię. A krok ma chwiejny. Ledwo za nim nadążam, przeskakuję przez wertepy, on nieomylny, zna drogę. Grzebie sobie po kieszeniach. Coście najlepszego zrobili ze sobą, księżę dobrodzieju.

Burczy, chwyta się zniszczonych murów. I beka.

Na ulicy muszę go podtrzymać. Ślisko. Brniemy przez wysoki śnieg, ledwo wydeptaną drogą. Zbiera mu się na wymioty. Spluwa, trzyma się za brzuch.

Przed plebanią ksiądz Mirek nie jest w stanie już utrzymać kluczy. Wyjmuję je z zasy, otwieram, pcham drzwi, wchodzimy w ciemność plebani. Ksiądz Mirek ściska mnie za przegub. Spoglądam na niego. Cały jest spięty.

- Ksiądz się położy - mówię. - Pomogę. Zrobię herbaty.

Nie słucha mnie ani trochę. Pcha do salonu.

Wnętrze plebani przypomina jaskinię: puste ściany, niski strop. Podłoga trzeszczy, gdzieś w głębi kapie woda. Salon wypełniają blizny po minionej chwale: cienie po meblach, kilka pudeł pełnych gratów, zamiast żyrandola z sufitu dyndają splecione żarówki. Ostały się krzesła i krzyż nad drzwiami.

- Ksiądz się wyprowadza? - pytam. Nie. Wyprzedaje wszystko.

Nastawiam wodę na herbatę. Znajduję pulower i dresowe spodnie.

Wlokę Mirka do łazienki, spogląda na mnie z czymś w rodzaju wdzięczności i zaraz zatapia się w sobie. Pomagam mu się umyć, rozbieram do gaci. Ma miękkie ciało ciepłego mężczyzny, który nigdy nie musiał wal

czyć. Siada na kłocie, zakładam mu spodnie, zapinam go po samą szyję. Herbata jest gotowa.

Mirek czeka w salonie i gapi się za okno.

Podaję mu kubek. Upija, odstawia za okno.

- Nie musisz już czekać - mówi - już się nie boję.

Nie mam pojęcia, o czym on gada.

A Mirek, któremu odbija się raz za razem, ciągnie tym swoim smutnym głosem.

- Dalej. Śmiało. Jesteś dobry w zabijaniu księży. Masz co chcesz? Po co tu jeszcze jesteś?

Mija parę minut, nim ułożę to sobie w głowie.

- Co zrobiliście z trupem?

Już wiem. Teddy z Adrianem znaleźli ciało. Zawlekli na zaplecze klubu polskiego, przeczekali strażaków i policję. Załadowali ciało do vana i pomknęli do Bostonu. Spalili co mogli.

Ksiądz Grzegorz leży pogrzebany na Tremont Street, gdzie pracowałem.

Kto jak kto, ale Mirek go nie zamordował, przecież rzucał się w ogień, a potem leżał w karetce.

Teraz kuli się na krześle, wybałusza oczy, pobekuje. Brzmi to dziwnie, jakby próbował wyrzucić z siebie zgniłe mięso, leżące na żołądku.

- Nie wiedzieliśmy, co robić - ściska kubek w obu dłoniach.

- Teddy chciał wszystko załatwić po Bożemu - krzywi się przy

tym słowie. - Mówił, że dość zła się zadziało. Ja chciałem znaleźć to, no to, co Grzesiek ukradł. Dla nas wszystkich. Przetrzęsnałem pokój.

- Obszukałeś ciało.

Przytakuje. Bek, bek.

- Adrian chciał mu brzuch rozpruć, tak potrzebował klucza.

Przełykam ślinę i wykładam karty:

- Mówimy o kościach. Kawałek czaszki i piszczel.

Znalazłeś klucz, ale nie masz zielonego pojęcia, do czego pasuje.

Przez moment Mirek przypomina naciek na ścianie, z którego sterczą krwistoczerwone uszy. Krew odpływa mu z twarzy, próbuje wstać, ale zaraz siada. Kubek wysuwa mu się z dłoni.

- Nie mam ich. Ale wiem, gdzie są.

Prośba księdza Grzegorza - wyrzucić, zapomnij - wydaje się teraz durna, ledwo dźwięczy na dnie czaszki. Słowa ze starego świata.

- Czego chcesz? - Mirek podnosi się ciężko, sunie przez salon. Nie mam pojęcia co wyjmie. Spluwę, czy dolary. Zastyga z kasetką w ręku.

- Na to nie ma ceny.

Mało, a runie mi do kolan.

Beka trzykrotnie, blednie od tego.

- Co to jest? - pytam. - Powiedz mi, a się zastanowię.

Przekrzywiona głowa Mirka wygląda, jakby zaraz miała odpaść.

Przekręca kluczyk w kasetce i stawia ją przede mną. Dolców tam, że o la la. Znika w drugim pokoju, by wrócić z butelką Jacka. Targa dwa kieliszki. Polewa do pełna i mówi.

- Było nas trzech. Grzesiek, Jurek i ja. - Niemal słyszę

świst ciężaru, który spada mu z piersi. - Wszyscy młodzi, zapaleni. Wierzyliśmy, że możemy zmienić świat, a przynajmniej Polskę. Ja działałem w Radomiu, Grzesiek na Śląsku, Jurek przy parafii w Warszawie. Poznaliśmy się przez „Solidarność”, był rok osiemdziesiąty i wszystkie nasze sny nagle zaczęły spełniać się na jawie. Wierzyliśmy, że siła narodu z Bożą pomocą skręci komunistom karki. Niemal czułem Boży oddech. Niósł mnie przez moje miasto. Odprawiałem msze dla robotników. Grzesiek siedział przy górniczych strajkach, a Jurek, o Boże, on to miał dar do porywania tłumów. Ludzie w ogień by za nim poszli. Pamiętam dobrze: szczupły i silny, mówił z taką mocą, że zaraz mury runą, ot co. a potem przyszedł stan wojenny. Czas próby, rzekłbym. No i ja tej próby nie przeszedłem.

Pociąga łyka.

- Bezpieka miała nas na celowniku od dawna. Jurka i Grześka zamknęli, ale na krótko, za mną tylko chodzili. Aż doszli. Widzisz, my ludzie jesteśmy brudni, i niemal każdego można złamać. Niemal, to ważne słowo. Grześkowi wpakowali babę do łóżka. Wiem, opowiadał, nachodziła, nachodziła, ksiądz też mężczyzna, mam ci mówić? Potem bezpieka pokazała mu zdjęcia i już go mieli. Kapelan „Solidarności” na Śląsku, a dyma jak górnik w niedzielę. - Mirek próbuje się zaśmiać, lecz tylko zgrzyta. - Donosił na swoich, przede wszystkim, stulił gębę.

Milknie.

- Ty? - pytam.

- Co ja? - obrusza się lekko. - Już wtedy popijałem, ale to nie problem. Chciałem jeździć. Całe życie w pieprzonym Radomiu. Marzyła mi

się Ameryka, to mam. - Po wargach błądzi mu kwaśny uśmiech. - Odsłużyłem swoje i mogłem wyjechać. Trwało to



cztery lata i nieustannie pytali mnie o Jurka. Jak go podejść? Jak chwycić. A jak nie było. Żadnych kobiet, wódki, innych słabości, nawet kumpli nie miał, żył Bogiem i Polską. Nam, mnie i Grzesiowi, zaraz zatkali gęby, ale on nie dał się złamać. Na jego kazania przychodziły tłumy. Raz sam pojechałem. Boże, jaki wstyd. Boże jedyny. Kościół nabity ludźmi, stali jeszcze na ulicy. A on mówił prosto, jasno, to dobre, to złe, rządzą mordercy, zdrajcy, sprzedawczyki. Ty narodzie, wstań - unosi się ksiądz Mirek. - Jak modlił się, to budził Boga w sercu. Potem go zabili.

Nie wiem co jakiś Jurek ma wspólnego z Middletown.

Ksiądz Mirek bierze głęboki oddech.

- Zgarnęli spod parafii, zastrzelili, obciążone ciało wrzucili do rzeki. Milicjanci, kurwa ich mać. Mordercy. Jurek miał nigdy nie wypłynąć.

To beknięcie ma pod sobą wszystkie pozostałe, mało okna się nie zatrząsą, nawet ksiądz Mirek jest zdziwiony.

- Był koniec października - mówi z wyraźnym trudem - zimno, wiało, straszna polska jesień. A w zakolu Odry, w jakimś lewym, paskudnym odpływie, nagle wyrosły kwiaty. Żeby zwykłe kwiaty. Całe naręcza lilii wodnych, w różnych kolorach, ludzie mówili, że płatki były ciężkie jak kotlety. Wiem, że to nie tak, ale właśnie w ten sposób mówili. Zrywali je naręczami. Między nogami, jak słyszałem, pływały ogromne ryby, tak łagodne, że mogłeś łapać je pod skrzela, gołymi dłońmi. Miejscowi chłopcy łowili je na zastrzone patyki. Właśnie jeden młokos znalazł ciało - nalewa sobie na trzy palce, otrzepuje go. Już stał się miękki. - Zawinięte w wodorosty, przy samym dnie. Właściwie kości. Nadpalone. Roztrzaskana czaszka.

Potężny haust.

Zatyka sobie usta ręką. Stłumione beknięcie przypomina

szczek zdychającego psiaka.

- Była cała afera, musiałeś słyszeć. Jurka pochowali w Warszawie. I dopiero zaczęły się opowieści. Starcy kładli się na grobie, wierząc, że Jurek uleczy ich dusze nieśmiertelne, jeden z drugim mówili, że taki jeden pofrunął żywcem do nieba. Jurek miał leczyć nowotwory i stwardnienie rozsiane - beknięcie jak sto pięćdziesiąt, mało mu oczy nie wypadną - przywracał słuch i życie płodom w brzuchach matek.

Jestem skołowany, chyba za głupi na to wszystko. Żeby luźniej, przyjemniej. Stukamy się.

- Naprawdę wierzysz w to wszystko?

Przytakuje. Łzy mu ciekną, myślę, że od tych beknięć, ale chyba jednak nie.

- Nad jego grobem dąb kwitnął cały rok. Ściągały chore zwierzęta. Śnieg natychmiast topniał. Komuniści próbowali zamknąć tę część cmentarza, ale ludzie się postawili. Jak z krzyżem w Nowej Hucie. Tam znicze płonęły jak wielkie czerwone morze i wisiały różańce - zachwyca się Mirek, nagle zalewa się łzami. Dziki, niekontrolowany płacz. - Myśmy te zwłoki rozkradli!

Kuli się na fotelu.

Biorę go w ramiona, delikatnie przytulam do piersi, myślę tylko

o tym, żeby nie zwymiotował. Masz, Mirek, napij się jeszcze, wciskam mu tę szklanę. Uspokaja się na tyle, by mówić.

- Kościół ma swoje procedury. Ustalają, co cud, co nie cud, a w Polsce każdy biskup kupiony, cholera wie, kto z Watykanu przyjedzie, nie ufaliśmy nikomu. Ja, Grzesiek, inni przyjaciele Jurka.

Sam się też sprzedałeś, stary capie, mówię sobie w głowie.

- Wykopaliśmy ciało i podzieliliśmy między siebie. Między parafie. Tak bezpieczniej. Niewiele zostało, kto by pomyślał, tak szybko, Jezusie Przenajświętszy, kości psa! Myśmy tam kości psa dali, umykałem z cmentarza jak łajdak, jak złodziej. Ja nie chciałem ich dla siebie - beka tak, że widzę czerwone podniebienie, spróchniałe pieńki tylnych zębów

1 migdałek jak przepiórcze jajo - ale dostałem. Esbecja zaraz ode mnie się odpierdoliła, dostałem wyjazd. Najpierw do Włoch. Odprawiałem msze w obozie przejściowym. Poznałem Tadka. Poznałem Joe. I wiedziałem, wiedzieliśmy już, że te kości, że Jurek nie może zostać dla nas. Mogłem mieć miliony. Ale przyjechaliśmy tu, do Middletown. Wzięli nasze rodziny. I zaczęliśmy wszystko od samego początku.

- Powiedz mi - przerywam, powstrzymuję się, bo chcę dorzucić „baranie” - jakim cudem przewieźliście kości do Ameryki?

Przerzucić trupa przez Atlantyk to nie takie znów hop-siup. Mirek uśmiecha się, rozczulony wspomnieniem dawnej chwały.

- Joe to załatwił. Można przemycić wszystko. Narkotyki. Broń. Dzieła sztuki. Joe wynalazł szmuglera antyków z Europy, załatwił jakąś pozytywkę, kości ukrył w pozytywce i było. A może był to kredens? Ludzie szafy przemycają. Nie zapominaj - oko mu błyska - jakby to powiedzieć, sprzyjało nam szczęście.

Mam parę uwag odnośnie działania szczęścia, ale chowam je dla siebie.

- Widziałeś, co się działo. Każdy się dorobił. Nie mieliśmy chorób ani przestępstw, nikt nigdy nikogo nie napadł, żadnych włamań, ja znam spowiedzi tych ludzi, małe, drobne grzechy. Aż mi wstyd. Kupowaliśmy coraz lepsze domy i samochody, dzieci chodziły do coraz lepszych szkół i tak dalej - mruga,

jakby nagle sobie coś przypomniał, beknięcie bije w moją stronę wonią ledwo strawionej wody. - Jak myślisz, czemu Joe cię tu ściągnął? Chciał, żebyś został?

No chciał.

- Zapraszaliśmy ludzi. Żeby zarobili więcej niż gdzie indziej, żeby zostali i wzrastali z nami - gada, a jakby się modlił - nie tylko dla siebie, nie tylko dla siebie. Potem przyjechał Grzegorz. Mówiliśmy, że na leczenie, a tak naprawdę leżał przy kościach i rzeczywiście, trochę mu się poprawiło. Nie dość. Nie wiem czemu. Może historie o uzdrowieniach na grobie były przesadzone? A może to dlatego, że nie mieliśmy całego ciała? Słuchaj, i on... on po prostu je ukradł. To już wiesz. Zabrał dla siebie, bo, ja tak to sobie tłumaczę, ja go znam trzydzieści lat i jemu po prostu pomieszały się zmysły.

No dobra, myślę teraz: tylko czemu kazał mi je wywalić, czemu bał się ich bardziej niż diabła, prosił o co prosił.

Mirek łże, a mi coś umknęło.

I dalej umyka, za to Mirek już nie łże, bo zamknął gębę i tylko straszliwie beka. Aż na schodach dudni.

- Teraz, czy... - pyta i zaraz milknie.

Już chyba wie, że mógł się pomylić.

Głupiec gada, a mądry słucha.

Bo wiecie, ja nie do końca mu wierzę.

Siedzi przede mną przerażony, beka jak koza, co się nażarła torfu, i już chyba wie, że wypaplał, co tylko leżało mu na wątrobie, tymczasem ja nic nie obiecałem w zamian i nic nie muszę zrobić. Nie mówię, może tak. A może inaczej. Nie chwytam do końca. Potrzebuję paru minut.

Ogarniam to z wolna i patrzę, beknięcie za beknięciem, jak na moich oczach księdzu Mirkowi siada trzustka.

Bo tak, esbecy zatłukli księdza, podobno świętego.

Lilie wyrosły na jego wodnym grobie.

Ksiądz Mirek buchnął truchło, potem z Joe, Teddym i kogo tam jeszcze miał pod ręką przewiózł relikwie przez Atlantyk i na nich zbudował Amerykańską Osadę Polskiej Szczęśliwości. Pieprzeni ojcowie-założyciele, nie ma co. Ksiądz Grzegorz wszystkich wystawił do wiatru. A tajemnicę powierzył mnie.

Mogę w tej chwili trzasnąć drzwiami, zostawić Mirka wśród jego kłopotów i samemu sprawdzić, czy kości przynoszą szczęście, czy nie.

Ale jak je przewieźć przez Atlantyk? Zostać też mi się chce. Ściągnę Kaškę. Albo będę miał tutaj najlepsze dziewczyny.

Czego obawiał się ksiądz Grzegorz?

Mirek dyszy, wydobywa z siebie beknięcie za beknięciem, czego zupełnie nie kontroluje. Tylko łzy biegną mu do oczu. Zbiera jakieś słowa, mamrocze do siebie.

Próbuję wmówić sobie, że nie mam zobowiązań wobec nikogo; trzasnę drzwiami i ta akurat historia dla mnie się skończy. Jeśli kości, ich moce, są prawdą - a nie wątpię, że Mirek i inni w to wierzą - to jaką korzyść mogę wynieść z tego przedsięwzięcia? Zbuduję sobie złoty dom. Będę miał największy samochód i kobietę z biustem też największym.

Ale historia kręci się w kółko. Dawne skarby wybijają nam zęby.

Kości to bzdura: tylko głupi wypiąłby się na Mirka.

Kości są prawdą: czynią cuda, podrywają zmarłych z grobów. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

Podnoszę się z fotela, Mirek zawiesza na mnie wzrok pełen nadziei. Powolnym ruchem, tak, aby zrozumiał mnie dobrze, przekręcam klucz w kasetce i liczę pieniądze; tłusta, miła kupka, jakieś pięćdziesiąt tysięcy baksów w studolarowych banknotach.

Sama kasetka jest gruba i ciężka, wyposażona w rączkę. Wyjmuję z plecaka majdan, przygotowany na budowę: rękawiczki, czapkę, kanapki, koszulkę na zmianę; wyrzucam, pakuję kasetkę na samo dno. Mirek wzdycha z ulgą.

Upijam whiskey. I mówię: kości leżą tam, gdzie zostawił je ksiądz Grzegorz. Lotnisko. Skrytka numer czterdzieści trzy.

Mirek wyraźnie nie dowierza. Ale podrywa się, woła:

- No to jedziemy!

Chce mnie sprawdzić. Ma do tego prawo, powiedziałem prawdę i się nie boję. Mirek ogarnia się z wolna, choć ledwo stoi. Pociąga solidny łyk.

- Jak ty chcesz jechać? - pytam. - Urznąłeś się jak szczur.

Ledwo dziewiąta minęła.

Mirek robi idiotyczną minę, jakby dopiero zrozumiał tę prostą prawdę, nawet przygląda się butelce, resztówce brązowego płynu, kochliwie chlupiącej na dnie. W jego zmęczonej głowie zderzają się dwie senne kulki, bęc - wymierza we mnie palec.

- Ty poprowadzisz! Piłeś mało co.

Rzeczywiście, setkę, nie więcej.

- Nie mam prawa jazdy i nie umiem jeździć - wyjaśniam spokojnie i Mirek baranieje. Jak to, co to... Otrząsa się, rozgląda.

- Weź zadzwoń po kogoś - radzę. Mirek przytakuje, kombinuje teraz, komu zaufać. Podpowiadam. Joe? Pewno też pijany, do tego głośny, z nim nie. Teddy. Ale Teddy w Bostonie. Wiesz co, Mirek, dzwoń ty do Bostonu, niech Teddy bierze dupę w troki, nim przyjedzie, to się pozbieramy.

Zaraz przyjdę. Musze tylko pożegnać się ze swoją Ameryką.

Wracam do pokoju. Wygrzebuje przygotowany wcześniej pakunek, jeszcze raz przerzucam, co potrzebne, wychodzi, że

nic. Zostawiam parę koszulek, gacie, jakiś sweter, głównie po to, żeby umościć kasetkę. Leży już sobie, niepozorna.

Oto mój plan: pojedziemy z Teddym na lotnisko, Mirek otworzy skrzynkę i weźmie kości. Nie chcę ich oglądać. Zamienię bilet, albo go zwyczajnie kupię, pierwszy lot do Europy. Gdziekolwiek bądź.

Pieniądze podzielę. Do majtek, do torby. Kasetkę Mirek może sobie wziąć.

A, i jeszcze niech Teddy naszykuje czeku.

Z dziką radością, przyćmiewającą wszystko inne, zdzieram z siebie robotnicze ubranie, zrzucam cuchnące kontraktorki, wszystko zwijam w wielką kulę. Z naręczem brudów pędzę do kosza za klasztorem, ciskam, przywalam dekle, chce mi się śmiać, świat jest piękny.

Sprawdzam jeszcze raz. Kasetka czeka w torbie.

Wypalam ostatniego papierosa, patrząc na ponure, brązowe ściany, zerkam jeszcze za okno, przysiadam na brzegu łóżka i próbuję sobie przypomnieć, po co tu przyleciałem, czego chciałem i jakim cudem, do cholery, wszystko zrobiło się takie dziwne. Nie zajmuje to długo. Gniotę peta, zarzucam torbę na ramię i wychodzę na śnieg.

Mirek czeka już na zewnątrz. W puchowej kurtce i czapce z daszkiem. Nie zadzwonił po Teddy ego, ten koloratkowy dureń połamałby sobie palce we własnej dupie.

Przed parafią krąży zaaferowany Adrian i odpala szluga od szluga.

Adrian wita się ze mną, jakby mi życie zawdzięczał, gniecie mnie do piersi i w kółko dziękuje. A łapy tak mu się trzęsą z tej radości, że wołałbym już Mirka posadzić za kółkiem.

Ten akurat z wolna dochodzi do siebie, idę o zakład, że wydoił, co tam zostało w butelczynie. Opiera się o ścianę i beka

miarowo, obracając twarz ku słońcu.

Adrian chce zabrać mi torbę i włożyć do bagażnika. Akurat. Pakuję się z nią na przednie siedzenie. Mirek mości się z tyłu, Adrian pyta, czy dać mu torbę.

- To tylko nerwy - tłumaczy ksiądz Mirek.

Ruszamy.

- Kto by pomyślał - zagaduje Adrian - Mirek sądził, że ty to masz, ale nikt w to nie wierzył.

- I dobrze - odpowiadam - bo niczego nie mam. Grzesiek powiedział, że coś wziął, coś gadał potem. Zgoda, zajrzałem i....

Adrian wybucha śmiechem, radość go roznosi.

- Nie przeżywaj! Znowu czuję wiatr w żaglach! - wykrzykuje, przyspiesza na prostej drodze, boję się trochę, bo ciut nosi na boki. Ostry skręt i po nas.

Nad szum silnika wybija się bekanie księdza Mirka. Krzywi się. Cierpi.

- Grzesiek miał nosa do ciebie - mówi nagle Adrian - a ja się pomyliłem.

Ostatnie słowa brzmią dziwnie, nie podchodzą. Adrian zwalnia przy swoim domu, ale nie skręca na podjazd.

- Zawołam Kate - mówi. Trąbi, bez skutku. Dzwoni z komórki, to samo. - Minuta dla mnie - dodaje przeproszającym tonem, wyłazi z auta, zatrzaskuje drzwi. Już pędząc w stronę domu, naciska kluczyk i blokuje drzwi.

To podoba mi się jeszcze mniej.

Rzeczywiście, minutę później wraca, lecz bez Kate-Katarzyny. Wlecze się, jakby ktoś niewidzialny wskoczył mu na plecy. Jego twarz przybrała mdły, przeproszający wyraz. Targa czerwony kanister z benzyną. Rozlewa ją, idąc w naszą stronę.

Rzucam się na przycisk otwierający drzwi, nie natrafiam na



opór. To samo ten naprzeciwko. Adrian je popsuł.

Szarpię klamką, na próżno, rzucam się do drzwi od strony kierowcy, to samo. Drę się na Mirka, weź zrób coś, ale, nim Mirek przytomnieje,

Adrian jest już przy nas. Nie śmie spojrzeć mi w oczy, zezuje, zerka w niebo, kładzie kanister na boku i kopniakiem podszyła pod samochód.

Walę pięściami w szybę. Cofam się na drugie siedzenie i kopię. Szkło drży, ale nie chce puścić.

Mirek powtarza mój błąd, próbując otworzyć drzwi normalnym sposobem, rozrywa plastik i najwyraźniej nie kapuje, że jesteśmy uwięzieni. Napiera barkiem na szybę, klepie zdrowaśki, beka, jakby właśnie świat miał się skończyć.

Adrian powinien mieć zippo, takie skojarzenie przelatuje mi przez głowę, gdy gorączkowo opróżniam torbę, zamiast tego Adrian wyjmuje długie zapalniczki do palenia w kominku.

Znajduję kasetkę.

Tylne drzwi nawet nie drgną, choć Mirek wali w nie, ile wlezie.

Adrian klęka, zapala zapalniczkę, czeka aż ogień wejdzie wysoko na drewno. Jest skupiony, sprawia wrażenie czymś zawstydzonego.

Walę kasetką w szybę, ile tylko mam sił. Nic.

Za to zapalniczka spada na ziemię, myślę sobie, że zgasła i Adrian chyba też tak myśli. Kolejne uderzenie rysuje na szybie gęstą pajęczynę, nie widzę, co dzieje się tam, na zewnątrz, ponawiam uderzenie, cofam się i walę w okno obiema nogami, jednocześnie - nie mam pojęcia, jak to możliwe - ciskając kasetką księdzu Mirkowi na kolana. Szyba wypada w jednym kawałku, dzięki czemu widzę płomień, podobny do rekiniej płetwy, pędzący w naszą stronę. Rzucam się do przodu,

przelatuję przez okno, szklane odłamki rysują mi plecy, ale to jest nieważne, zupełnie się nie liczy, ważne tylko, że przewalam się przez drzwi, ląduję na ziemi, owiewa mnie zapach benzyny. Pieprzyć ją.

Ognista płetwa pędzi prosto na mnie, turlam się byle dalej i zrywam na nogi.

Krew leci mi po plecach.

Wzrok Adriana jest błędny, zdaje się, nie wie, że istnieję.

Ksiądz Mirek bierze zamach kasetką, a ognista płetwa znika pod samochodem, jeszcze mi mignął: uchwycony w ruchu, z kanciastym ciężarem w obu dłoniach, błady, za to z czerwonymi plamami na twarzy. Otwiera usta, daje głowę, że mówi teraz: „Jezu pomóż” albo coś w tym stylu.

Ksiądz Mirek wypierdala się w kosmos wraz z całym samochodem, który teraz jest tylko kulą ognia, targaną przez eksplozję. Toyota unosi się

lekko i znowu trach, poszedł zbiornik z paliwem, opadają tylko czarne, rozgrzane szczątki. Wiruje popiół.

Nie myślę o księdzu Mirku, o pieniądzach i gratach z torby, rozrzuconych pod siedzeniem pasażera. Nie myślę, bo na to przyjdzie czas.

Odwracam się w stronę Adriana.

Dureń nie przewidział, że podwinie mu się noga, mierzy mnie wzrokiem, potem siły na zamiary i rzuca się do biegu. Wciąż dźwiga niewidzialny ciężar, ten omal mu głowy nie ukręci.

W powietrzu wiruje sadza, popiół, iskry.

Ruszam za Adrianem.

Nie ogląda się za siebie, za to jego sapanie słyszę mimo złości i dystansu, jaki nas dzieli, w ogóle nie umie biegać, rozrzuca nogi na boki, jakim cudem wytrzymał na budowie. No,

młody był, teraz to stary pier- dziel, co wziął się za zabijanie. Ale nie zwalnia, choć zaraz głowa pęknie mu z wysiłku, ten wielki łeb z czerwonymi uszami.

Jak pokonany król, umyka do swojego pałacu, tam się skryje, liczy, że nie będzie znaleziony.

Dopadam go przy schodach i obalam na stopnie. Jęk tłumi odgłos upadku.

Chwytam go za kudły, uderzam czołem o drewno. Adrian wydobywa z siebie coś na kształt szczeknięcia.

Puszczam go, świszczy.

Świszczy i chce mnie przebłagać spojrzeniem.

Próbuje wstać. Kopniakiem pokazuję mu, gdzie jego miejsce.

Wyrywam kawałek barierki. Jest biała i lekka.

- Daruj! - Adrian spluwa krwią, kwili. Przypomina teraz pobitego Krzyżaka. Nie chcę go zabić. Nie mógłbym. Walę białym drągiem tam, gdzie boli. W łydki, pięty, tłuste uda. Adrian skowyczy.

I pełźnie do domu.

Wybuch wciąż dzwoni mi w uszach.

Za mną samochód w ogóle nie przypomina samochodu, to czarna, dopalająca się miazga z trupem w środku. Swąd benzyny. Skwierczącego tłuszczu. Adrian już nie wstanie. Pełźnie tylko w stronę drzwi.

W oknie tkwi przejęta Kate-Katarzyna. I zaraz znika w głębi mieszkania, dobrze, myślę sobie, czekam, aż Adrian chwyci za klamkę. Walę go drągiem w nadgarstek. Rety, ale wrzasnął. Obraca ku mnie wielki brzuch. Trzepocze ramionami.

- Chris! - jęczy i zaraz: - Daruj!

Gównno mi do tego.

Ten wielki dureń nawet nie wpadnie na to, że nie ma już

ojca.

Stoję nad Adrianem, ściskam drąga. Wyglądam jak łowca, który dopadł wampira. Tylko słońce, zimowe i słabe.

- On zdrowieje - charczy Adrian. Podnosi się, wsparty o barierkę. Macham drągiem dla czystego żartu, Adrian się kuli i wiem już, że nie zrobi mi nic złego.

Za to drzwi do domu otwierają się z hukiem.

Wewnątrz panuje półmrok.

Czuję się jak w brzuchu martwego zwierzęcia. Potrzaskane meble gromadzą się pod ścianą, dywan jest mokry, w suficie straszy dziura, większość żarówek stłuczono. Palą się tylko dwie i dzięki nim widzę Ka- te-Katarzynę u szczytu schodów i Chrisa, wyprężonego na wózku, jakby zaraz miał dostać jakiś order.

Ma dresowe spodnie i polar rozpięty do pępka.

Jego ciało jest czerwonawe, coś wije się pod skórą. Długie cienie ciągną się za nim jak rozłożone skrzydła.

Popycham Adriana, ten leci przez kilka metrów i ląduje na dywanie. Kate-Katarzyna przesyła mu obojętne spojrzenie, za to mnie obdarza wzrokiem, powiedzmy, ciekawym.

Wiem już, że dziewczyna nie jest sobą, coś pomieszało zmysły tym trojgu, sprawia wrażenie, jakby usiłowała płynąć w powietrzu.

Adrian podnosi się, na kolanach sunie w stronę syna. Jęczy, z trudem opiera się na stłuczonym nadgarstku. Gada chyba we wszystkich językach świata, że strasznie mu przykro.

Biję kijem w otwartą dłoń.

Chris mruży oczy. Wodzi za mną wzrokiem, wcześniej nie umiał.

I jak nie ryknie Gwen Stefani, what you waiting for?, tyle, że nie umiem wskazać głośnika, skąd to, jak to. I wiem.

Kate-Katarzyna otwiera usta tak szeroko, że połknęłaby arbuza.

Jej oczy wypełnia bezbrzeżne cierpienie, a piosenka leci z głębi brzucha.

Adrian dotarł już do schodów. Coś tam chlipie, burczy, chwyta się obiema dłońmi za głowę, zaczyna się kołysać w rytm dźwięków, nawet usta próbują powtarzać słowa, spuchła noga wybija takt. Nagle chwytam,

że wpakowałem się w coś, co trochę mnie przerasta i pewno nie wyjdę stąd żywy.

Unoszę swojego drąga i dwie rzeczy dzieją się, jedna po drugiej.

Chris wstaje bez żadnego wysiłku.

Głowa Adriana eksploduje. Huk przypomina dźwięk pękającej opony. Obsypują mnie krwawe strzępy, kawałki czaszki wielkości mniej więcej pięciocentówek, ale ja tego nie wiem, ja zjeżdżam na podłogę i cześć.

Nie tracę przytomności ani na moment. Leżę sobie na plecach, a Chris idzie w moją stronę.

Kate-Katarzyna puszcza w kółko refren.

Chris klęka nade mną. Co jak co, ale z tej kabały już się nie wywinę.

Strach przed śmiercią jest dziki i wykręca mi kości. Karty wypadają mi z dłoni, wszystko: trójki, asy, karety, stawka na stole, tracą znaczenie. Chris przekrzywia głowę. Patrzę teraz w oczy mądrej istoty, starszej niż cokolwiek, co żyło na ziemi.

Wydobywa z siebie ziemisty pomruk.

Głos w mojej głowie dopowiada: Nie musisz się bać.

Wskakuje mi na pierś, dociska, jak zmora, masą złych snów. I widzę, pociąg gna przez Middletown, trzaskają drzwi w przedziałach, z trakcji sypią się iskry.

Oto ksiądz Grzegorz w pustej sali klubu polskiego, na zewnątrz ogień ogarnia kościół świętego Jerzego, łuna wpada przez drzwi. Gdzieś tam miota się Mirek. Już wyją strażackie syreny. Grzegorz cofa się, przykłada rękę do ust, wiem i ja, wiemy obaj, Grzegorz cofa się w głąb, przez pustą, jak powiedziałem, salę klubu polskiego. Pustą, nie licząc Chrisa, o którym wszyscy zapomnieli.

Chris wstaje z wózka, mniej udanie niż teraz, jeszcze się chwieje, ledwo lezie, ale ma dość sił, by chwycić Grzegorza za gardło.

Ksiądz nawet nie próbuje się bronić, miękną mu kolana, oczy wychodzą na wierzch i jest już po chłopie. Chris z furją ciska ciałem, głowa uderza o kant sceny i pęka.

Chwilę potem jest na wózku, trenuje głupkowaty wyraz twarzy.

Zaraz obrzuci mnie gównem.

Zium! Wio. Jedziemy.

Już wiesz. Masz prezent ode mnie.

Adrian i Teddy kopią dół w piwnicy.

Ksiądz Grzegorz, spalone resztki, niknie pod ziemią, zawalony cementem. W najgłębszej części podziemi, między lodówką a graciarnią, obok złożone polskie flagi, stare krzyże i obrazy świętych.

Stwór, który mi to pokazuje, ma miliony lat.

Jest jak lawa i kamień na dnie oceanu.

Kocham cię, mówi ten stwór.

Kocha mnie, bo Grzegorz wyniósł kości i chciał je odnieść, umarł, a ja ich nie oddałem.

Kocha mnie, bo gdy rzucił we mnie gównem, potraktowałem go jak człowieka. Którym może był, ale już nie jest, pewno coś ludzkiego, co jeszcze się w nim tliło, przepadło

wraz z wywiezieniem kości.

Joe, Mirek, Teddy, Grzegorz tego nie przewidzieli, bo nie ma niczego za darmo. Mieli swoje domy, powtarzam za stworem, samochody i miliony. Dostałem wózek i pampersa.

Łypie na mnie czerwonym okiem.

Takie jest życie, nie ma co się złościć.

W nim są jakieś miliony żyć, przewalają się i tłoczą, jak wściekłe psy, wrzucone do zbyt małej klatki.

Nie ma co.

Aleja się wściekam.

Dźwięk piosenki jest ogłuszający, Chris także ryczy, czarna chmura sadzy spowija jego sylwetkę, trzaskają żarówki, z okien wylatują szyby.

Nie wolno ci się bać.

Macie wdzięczność.

Spluwam i podnoszę się z ziemi, Chris mało mi ręki nie poda, w końcu się cofa, żebym wiedział - nie robi mi krzywdy. Z nieruchomych ust Kate-Katarzyny wciąż dobywa się piosenka, Kate-Katarzyna robi się purpurowa, potem szara, próbuje łapać oddech.

Nie bój się.

Akurat.

Chris rozrzuca dłonie, w tej chwili wydaje mi się, że cienie to naprawdę są skrzydła, długie niby płaszcz, płaty cienkiej skóry zespolone przez kolce.

Kluczyk, słyszę.

Klucz od skrytki na lotnisku. Przez moment nie rozumiem, do czego Chrisowi jest potrzebny, wiem za to, że oddam dużo więcej za ocalenie

tyłka. Ciskam go przed siebie, podskakuje radośnie i zatrzymuje się pod stopniem.

Możesz iść, słyszę, ale najpierw mi się pokłoń.

W tych słowach jest miłość, troska, samozadowolenie.

What you waiting for?, dobywa się z umęczonej Kate-Katarzyny, patrzy to na syna, to na męża, czerwony ukwiał zamiast głowy. Jakby coś wypełzło ze środka.

Chris uśmiecha się łagodnie, strzepuje czerń z palców, tłuste platy rozpadają się tuż nad zachlapaną krwią podłogą. Chris, uwolniony z wózka, Chris narodzony w noc, gdy do Middletown przywieziono kości. Pokłoń mi się, słyszę, niecierpliwość jest straszna, padam na kolana, padamy, bo Kate-Katarzyna nie ma już sił i stacza się po schodach. Trzask, kręgi.

Kłęczę. Kate-Katarzyna wije się na ziemi z przetraconym kręgosłupem, nie umiem wyobrazić sobie jej męki, całe jej ciało obraca się i trzepie, a śpiew idzie dalej, z prostym bitem - biorę to za ponaglenie i chylę głowę przed Chrisem. Podpieram się dłońmi, przykładam policzek do podłogi, a gdy wstaję, Kate-Katarzyna jest martwa.

What you waiting for?

Już na progu odwracam się i patrzę na Chrisa, nienaturalnie wysoką, płaską jak folia postać, usadowioną między zmarłymi. Bóg wreszcie wrócił do Middletown.

Zapomniałem, że może być tak zimno.

Stawiam kołnierz i kaptur, odbiegam truchtem, przypominam sobie o papierosach, próbuję myśleć o wielu rzeczach, ale umiem tylko o własnym szczęściu. Zabawne, jakie drobiazgi mogą nas ocalić.

Ty jeden potraktowałeś mnie jak człowieka, przypominam sobie słowa Chrisa, za nimi leci głowa Adriana, usta Kate-Katarzyny, wyrzucuję wszystkie grzechy świata i robię się słaby.



Ledwo idę, przed siebie, byle dalej, mijam tłące się szczątki samochodu ze spaloną głową księdza Mirka w środku. Mirek ściska moją kasetkę.

Wyrywam ją z czarnych dłoni.

Uciekam z Middletown na przełaj, przez krzaki, śniegi, wydaje mi się, że pędzą za mną sfory wielkich psów. Przystaję, szukam wśród drzew długich cieni.

Tylko zziębnięte wiewiórki przewalają się przez mokre liście.

Nikt mnie nie goni. Złe zostało w Middletown i zajmuje się swoimi sprawami.

Jest zimno, kasetka wadzi, nie zwalniam marszu, aż wczesnym popołudniem docieram do pierwszych domów. Kto to widział, w Ameryce na piechotę? Z tylnej kieszeni spodni wyjmuję kluczyk, przekręcam, zabieram kilkaset dolców. Kasetka jest czarna jak ksiądz Mirek, a jednak działa.

Wlokę się do maila.

Kupuję rzeczy najpotrzebniejsze: komplet ubrań, nowy plecak, san- dwicze, opycham się w Wendys i walę mocną kawę z Donkiń Donuts. Myję gębę w kiblu, dalej wyglądam jak zbrodzień. Nie śmiem pytać o autobus.

Łąduję w hoteliku na obrzeżach miasteczka. Nie wiem, jak się nazywają. Hotel, miasteczko. Za to whiskey to Jim Beam. Palę słodkie papierosy, uzynam się, myślę.

Grzegorz z innymi przywieźli kości w najlepszym celu, kto wie, może Jurek naprawdę był święty.

W tamtą noc narodził się Chris.

Pokrecony, słaby stwór w ciele ułomnego człowieka. Ciemna i krucha strona sukcesu w Middletown. Wielkie domy były mu kalectwem, dolary nowotworem, piękno polskich kobiet odebrało rozum, ich cycki pomieszały mu zmysły.

Mercedesy, maybachy, a dla chłopa wózek.

Tak świat działa, myślę sobie, jeśli zarobię stówkę, ktoś jej nie zarobi.

Mam miejsce siedzące, stój, chامية jeden, ile wlezie.

Macie historię.

Grzegorz buchnął kości w nadziei na własne wyzdrowienie, rujnując zasobne szczęście Middletown. Jednocześnie Chrisowi zaczęło się polepszać, na co nie wpadł nikt poza Adrianem i Kate-Katarzyną. Nawet oni nie rozpoznali charakteru zmiany. Nie mieli pojęcia, czym staje się Chris. Grzegorz zginął, bo umyślił sobie kości zwrócić.

Chris chciał kluczyk, tylko po to, by kości zostały tam, gdzie są.

Za jakiś czas wygaśnie rezerwacja skrytki, ktoś z lotniska ją otworzy i znajdzie istne cuda. Te trafią na policję, do laboratorium sądowego, diabli wiedzą, lecz nigdy nie wrócą do Middletown. Tylko o to Chrisowi chodzi.

Chris. Jak wiele wściekłości wlało się w tę paskudną głowę przez te wszystkie lata. Pampersy. Niekontrolowane spusty.

Śmiertelna wrogość

ciała. Cała ta Gwen. Toból nie człowiek, worek z kłopotami. Sam bym się wściekł, więcej, złość rozszarpałaby mnie od środka, wiem, że jutro zmienię zdanie, będę uciekał, współczuł, modlił się nawet, żeby nigdy już nie słyszeć o Middletown, ale teraz, w prawdziwie amerykańskim hotelu, z wyłupiastym oczkiem ti-vi, z biblią w szufladzie i butelką pod ręką, w sprzężeniu łkań, drzeń, wymiotów - rozumiem Chrisa i współczuję mu.

Śni mi się rozwścieczony wir, pełen czarnego tałatajstwa. Idzie za mną, gdziekolwiek nie pójde.

W autobusie śpię całą drogę. Budzi mnie czarnoskóry

kierowca i wesolutko prosi, żebym sobie poszedł.

Czuję się nieźle i nawet wyglądam jak człowiek. W metrze znajduję blade lustro, a w nim siebie: czerstwego, z napuchłym pyskiem, ale i ogniem w oczach. Kręcę się chwilę bez większego sensu, schodzę na perony, wagonem nabitym po sufit zjeżdżam prawie pod warsztat. Muszę tylko przejść przez most. Robota ani mi w głowie, zabiorę swoje czeki i spieprzam na lotnisko, do widzenia ślepa Gienia.

Dzień jest lodowaty, ale niemal pozbawiony śniegu.

Żując kanapkę wlokę się mostem, pode mną suną podmiejskie pociągi, wieżowiec-drzwi wciąż pilnuje dostępu do nieba.

Szeroki pas znajomych garaży, koledzy z pracy czekają, ćmią szlugi jak zwykle, brama jest jeszcze zamknięta. Akurat, gdy dzieli nas tylko ulica, podjeżdża van i wysiada zaaferowany Teddy, gmera w spodniach, szuka kluczy. Macham ręką do kumpli, oni odmachują. Mam zielone, przechodzę. Wszyscy w roboczych ubraniach. Czapki naciągnięte na czoło. Teddy podaje pośpiesznie dłonie, wkurwia się, są spóźnieni, szarpie za klamkę, uf - otwarte. A ze wszystkich stron, nawet chyba z jam i studzienek kanalizacyjnych, wysypują się mundurowi.

Suki na sygnale, imigracyjni.

Kasetka w moim plecaku momentalnie robi się ciężka.

Towarzystwo rozpierzcha się na wszystkie strony, tylko po to, by nadzieć się na parkujące samochody policyjne, paru sprytnych próbuje czmychnąć do pobliskich budynków i już leży na ziemi. Zbaraniały Teddy unosi wysoko swoje miękkie łapki. Mają ich wszystkich. Sosnę. Janka Faję. Janusza „Locie”, który jednak się pomylił i niedługo zobaczy polski dom.

Pierwsza myśl - chodu, ale mundurowych nawieźli taczkami, zaraz mnie dopadną.

Idę normalnym tempem, z łapami w kieszeniach i plecakiem zarzuconym nonszalancko przez ramię. Chłopaki patrzą na mnie, żaden nawet nie mrugnie, chwała wam, kumple od bronka i betoniary, parę kroków ode mnie bransolety zatrząskują się na nadgarstkach Teddy ego. Mundurowym towarzyszą cywile w czarnych garniturach, jakby dopiero co urwali się z polowania na UFO, jednego wymijam gładko, inny przygląda mi się bacznie, gada coś do policjanta i lekceważąco macha dłonią.

Przechodzę dalej. Zostawiam ich za plecami, wszystkich kilkudziesięciu, a każdy w poplamionych farbą spodniach, taniej kurtce, kontraktorkach. Mam levisy na tyłku, bluzę za pięćdziesiąt dolców i białą puchówkę.

Na lotnisku długo stoję przed rzędami skrzynek. Tajemnice pod kluczem. Sekrety, zdrady, wściekłości. Co ludzie tam kryją. Co byli zdolni schować. Zdjęcia. Pieniądze. Zwykle szpargały, pochowane tylko dlatego, że ktoś się spieszył.

Rzeczy podróżne i tajemnice wszechświata.

Przez moment widzę te kości w skrytce, jak syczą wściekłe na swój los, jak obracają trupią czerń ku żyjącym. Pulsują, owijają się wokół siebie, niewidoczne w swoim zamknięciu, ich trzask przebija się przez gwar ludzi tłoczących się w poczekalni, przez skrzek komunikatów. Już wiem, że między rzeczą a człowiekiem nie znajdziesz różnicy. Niektóre rzeczy są bardziej, inne mniej.

Zawracam do kas i próbuję wymienić bilet.

Amerykanka, która próbuje zrozumieć wyczarowany z chmury kawał bredni, jest chyba włoskiego pochodzenia, ma olśniewające włosy i ciemną twarz, na chwilę wybijam ją z rutyny, przez moment nawet wierzy. Tu wierzą człowiekowi.

Umarł mi brat.

Powiesił się, proszę pani, zjadł śniadanie i powiedział, że musi iść. I wróci nieprędko. Zaraz okręcił sznur wokół klamki swojego pokoju, rzucił się całym ciężarem. Mama znalazła go, jak już był zimny. Dlatego przerywam amerykańską wycieczkę i natychmiast muszę wracać.

Dziewczyna bierze bilety, obdarzając mnie wzrokiem pełnym współczucia. Nie wiem, czy wciąż wierzy w te bzdury, czy może zachwyca ją moje kłamstwo. Mówię tak, by niemal słyszała jęk mokrego sznura.

Wraca po dziesięciu minutach.

Myślę tylko o papierosie.

Słyszę, że zrobiła co mogła, gdyby dało się zmienić Myszkę Miki w Marilyn Mansona, też by na to poszła, ale to bilety, więc o cudach nie ma co gadać. Lot za trzy dni, przesiadka we Frankfurcie.

To brat mi całkiem wystygnie, mówię po polsku, gnę się w uśmiechu, dziękuję za to po angielsku i pędzę z biletami do wyjścia.

Trzy dni.

Myślę o nich przez całą drogę metrem i potem na murku w Harvardzie, gdzie przede mną przetaczają się hałaśliwe hordy studentów, każdy w kolorowych ciuchach, w czapce z płaskim daszkiem i dziwnych spodniach pełnych wszytych zamków, muzyka huczy im w uszach, targają ze sobą książki dla alterglobalistów. Trzy dni. Potrzebne jak dziura między oczami. Nic nie zdołam zrobić. Ani pójść do roboty, ani pojechać, ani przestać myśleć.

Boję się Chrisa i kości w skrytce.

Mogą pójść za mną i zadusić.

Ale zbieram się w sobie, ciskam szluga, przerzucam plecak przez ramię, kasetka w środku obija mi się o plecy. Aż boli.

Wracam tak do metra i pędzę na ostatnią stację, władowany między smród pasażerów, zwałam się na krzesło. Metro jest ciemne i smutne. Za oknem w tunelu migają reklamy i nagle słyszę coś w rodzaju metalicznego trzasku, jakby szyby rozerwało, nikt nie drgnie, więc wiem, że mi się zdaje i to nieprawda, że zasuwamy ostro w dół, przez stary cementarz, pod kołami jęczą rozpruwane trumny i potrzaskane krzyże: za pociągiem wloką się poturbowane zwłoki Piotra Mokrego. Aż wypadamy na zimne słońce, przez moment za oknem jest tylko ono, spada na wypaloną ziemię bez jednego domu, lecz domy nagle rosną i napełniają się życiem. Tłum wypycha mnie na zewnątrz. Zbiegam po schodach, ginę między uliczkami.

Ktoś idzie za mną. Nie śmiem się obejrzeć.

Znajduję motel.

W niczym nie przypomina moteli znanych z filmów, to przysadzisty budynek pełen małych okien. Odpicowany od środka, z podłogi można jeść, sympatyczny Chińczyk już leci do mnie i pyta, na jak długo zostaję.

Wykupuję pokój na trzy dni, wracam zaraz z butelką kapitana Morgana, wlewam ją w siebie, przełączając kanały na telewizorze, otulam się kocem i śpię.

Budzę się rozzłoszczony, chwiejny, lecz trzeźwy.

Biorę długi prysznic, przebieram się i parceluję gotówkę. Kasetka ląduje pod łóżkiem, owinięta w pościel, tysiąc dolarów rozkładam po kieszeniach. Kawę od Chińczyka wypijam szybko, w hallu. Aż parzy.

To nie moja wina, mówię sobie. Nie ja przywiozłem kości do Ameryki, nie ja je podprowadziłem i w życiu nie prosiłem księdza Grzegorza, żeby pofatygował się z taką akurat tajemnicą. Kto inny wzbogacał się przez lata i przywołał Chrisa z tego dziwnego miejsca, w którym przebywał wcześniej. Nic

mnie to nie obchodzi, nie mam żadnych długów.

Wiem, że muszę coś ze sobą zrobić, choć trochę zadbać, ląduję w restauracji nad sałatką z wędzonym łososiem. Zapijam sokiem pomidorowym. Zamawiam szklanka po szklance, aż zbieram się, płacę rachunek i pędzę na miasto, znaleźć kogoś, kto sprzeda mi kokainę.

Jestem jak rakieta ze zniszczonym napędem; kręcę się jak tylko umiem, a z tyłka wyfruwają mi kłęby dymu i ognia.

Mam nowych przyjaciół.

Już późno.

Jarek i Agnieszka przyjechali z Polski, sprawiają wrażenie bogatych i niezadowolonych z siebie, za to marzeniami mogliby zappełnić całą Su- walszczyznę. Właśnie wylądowali i cieszą się Bostonem. Jutro wynajmą auto i popędzą w wielką wędrówkę marzeń: Nowy Jork i Orlean też Nowy, Floryda, Route 66 i ślub w Vegas, w najbardziej popieprzonej świątyni, jaką tylko znajdują.

On pracuje jako developer nieruchomości.

Ona rozkręciła sieć prywatnych przedszkoli w Warszawie.

Trzymają się daleko od siebie i zastanawiam się, jakim cudem samolot, którym przylecieli, nie rozpadł się na dwie różne części. Zasuwam do ubikacji, wsuwam ścieżkę i zaraz idę na zewnątrz, zapalić szluga i obmyślić kilka zabawnych tekstów.

Pytają, co robię, odpowiadam, że pracuje jako zwykły robot, mam apartament i mnóstwo kasy, o której nie może śnić najdzielniejsza nawet polska przedszkolanka. Jarek się krzywi i nawija o swojej pracy, mało co

świata nie podbił, ale pić to nie umie: wzrok ma mętny. Śmiejemy się do rozpuku z moich drętwych żartów, zamawiam następną kolejkę, znikam na szluga i zderzam się z Jarkiem, cwałującym w stronę klopa.

A że Agnieszka sama ląduje przy mnie, otaczam ją ramieniem i zaraz macam jej chude, zeszywniałe ciało.

Co się będziesz z palantem włóczyć, mówię jej, świszczę w ucho, zostawiam na nim odrobinę śliny, ja ci dopiero pokażę Amerykę. Ten gość to kompletny fagas, przypominam, idę o zakład, że mieliście awanturę na lotnisku i nie odzywaliście się całą drogę. Gadam tak i ściskam jej sutek.

Fagas nie fagas, ale wrócił i wybałusza gały.

No co, mówię. To wolny kraj.

Odpycha mnie stanowczo, odciąga swoją dziewczynę, więc, wkurwiony nie na żarty, chlapię mu drinkiem w tchórzliwą mordę. Na sali poruszenie, Jarek bierze szeroki zamach, brakuje tylko, aby wrzasnął ostrzegawczo: „oj, zaraz ci przypierdolę”. Nawet nie chce mi się gardy unieść, zbieram cios w policzek, jest jak muśnięcie, wyprowadzam kontrę i trafiam tego debila, co własnej kobiety nie umie docenić, prosto w szyję, chłopina się składa i ląduje na podłodze, dam sobie jajo urznąć, że Aga klęka, nim ten matoł wyrznie o podłogę. Piszczy, sukinsyn. Zasadzam kopa, ciągnę dziewczynę za rękę, chodź, zostaw matoła, co tam przeżywasz. A suka tłucze szklanekę i jedzie mi po dłoni, wrywam się, co pogarsza sprawę: mam ranę od nasady nadgarstka po środkowy palec. Biję dziewczynę z łokcia, raz i drugi, a że obsługa leci w moją stronę, pędzę na oślep, obalam kelnera i ląduje w śniegu.

Umykam gdzie bądź, byle dalej. Mam mnóstwo sił.

W załomie, pod światłem latarni, wydłubuję kawałki szkła z dłoni. Trochę to krwawi i nie wiem, co robić, w końcu ściągam spodnie, robię z bokserek prowizoryczny opatrunek i pędzę w inną część miasta, tam, gdzie mój motel. Muszę poszukać karty telefonicznej.

Potrzeba naprawienia życia jest przemożna. Dzwonię do



Kaśki, nie mam pojęcia, która jest godzina. Tu, ani w Polsce.

Odbiera po drugim sygnale, wcale nie zaspana, za to zdziwiona i owszem - dawno się nie słyszeliśmy.

Mówię że wiem, że trochę milczałem, ale widzisz, skarbie, trochę się tu pokomplikowało, ale, jak to wszystko poskładałem, wyszło, że jestem

cholernie do przodu. Kupa kasy, słonko, i muszę teraz powiedzieć, że już za trzy dni się zobaczymy, tak, wracam, chcę wracać i wiem, że już wszystko będzie w porządku. Bardzo cię kocham. To najważniejsze. To musisz wiedzieć. Powiedziałaś, że są rzeczy, których nie można naprawić. Rany nie do uleczenia. Wiem, jednak spróbuję. Ten kraj zmienia człowieka i rozumiem, że mogę więcej, dużo więcej niż wtedy, no wiesz. Żadnych milczących obiadów. Żadnego bimbania w weekendy, kłótni do drugiej w nocy, trzaskania drzwiami i wybiegania z domu, Chryste jedyny, tak, powiedziałem: Chryste; bo wierzę już w co tam tylko sobie, kurwa wymyślisz, jest tyle rzeczy do ocalenia w świecie. Żadnej nudy. Będziemy się rżnąć. Jak za dawnych lat, jak trzeba, więc czekaj na mnie i bądź gotowa, że jak tylko przylecę, to cię przerznę, raz za każdy dzień, kiedy mnie nie było, ekstra za Zaduszki i Dzień Kobiet, przekurwię cię od dupy po gardło jeszcze w taksówce i poprawię w pociągu, a jak przyjedziemy, zobaczysz, słonko, naprawdę będziesz ze mnie zadowolona. Będę ładował, aż ci pośladki poczernieją. Przez miesiąc będziesz piła tylko spernę, aż ciało ci się powygina, bo masz piękne ciało, najcudniejsze na świecie, pełne zakamarków. Mnie tu teraz, pod telefonem, pałą zęby wybijają, więc, kochanie, księżycu mój i gwiazdo, myszko i cipko, możesz już zacząć się smarować, bo twoja rura, Boże, powiedziałem: rura; raczej twój kwiatusek będzie w cholere większy i cały fioletowy, zaraz jak tylko wypuszczą mnie z

odprawy.

Czekaj na mnie. Tylko czekaj. Bardzo cię kocham i wszystko naprawię.

Znajduję sobie czarną prostytutkę, zabieram do pokoju hotelowego, puszczam przodem, z uwielbieniem patrzę na jej tyłek bez kości, tłuste nogi, cała jest w cekinach, burza włosów przypomina zdjęcie satelitarne jakiegoś huraganu. Wyłuskuję dolary i wpycham się w nią, jestem na górze, dziewczynie pocałuję plecy, jakby posmarować je łojem, tak też pachnie, tak jest śliska.

Wywlekam ze stanika miękkie, obwisłe cyce, mały ledwo mi pinga w ciasnej gumie, więc gniotę te poduchy, pełne źle ukrwionego mięsa, szarpnię miseczki sutków, piersi rozlewają się na łóżku, przemieszane z potem, pościelą, całym pokojem i światłem zza okna.

Ledwo sobie radzę, ale jest dobrze, nie muszą myśleć, o czy tej dziewczyny przepelnia pustka, że aż chcę skoczyć.

- Różnij mnie - powtarza nieustannie - tak jest bardzo dobrze.

Coś jęczy za mną, myślę, że łóżko zaraz trzaśnie, dziewczyna, widząc że się waham, wbija mi w tyłek dziesięciocentymetrowe paznokcie, jęknięcie brzmi ponownie i rozpoznaję ten dźwięk. Cichy skowyt sznura.

Nie przestaję, zerkam tylko za siebie: w łazience pali się światło, choć zostawiłem je zgaszone. Drzwi, przedtem zamknięte, zastaję uchylone wystarczająco szeroko, bym dostrzegł tłusty kształt wisielca. Krótkie, trzepoczące nogi w dresowych spodniach, teraz nasiąkające moczem, odsłonięty brzuch, paluchy całe w sygnetach. Twarzy nie mogę dostrzec. Wiem, że to Joe.

Czarna ponagla mnie, patrzę na nią, nie na nią, bo to ksiądz

Grzegorz jęczy pode mną. W piersi ma wielką suchą dziurę na podobieństwo skalnej rozpadliny, rak przypomina czarny mech.

Poniżej wiją się węże, larwy, robactwo. Glisty długie na metr. Moje biodra w nich toną.

- Różnij mnie - mówi ksiądz Grzegorz głosem dziewczyny. - Jestem w tym strasznym miejscu. Na wieki, tam. różnij, różnij mnie proszę.

Zrywam się z wrzaskiem, upadam i toczę się przez pokój.  
Noc w moim śnie.

Drzwi na bostońskim niebie otwierają się bezgłośnie i, niczym paskudne słońce, wygląda gęba Chrisa. Żółte oczy błądzą i prześwietlają wszystko, mnie już na pewno. Chris leży na brzuchu, ramiona rozłożył, jak do robienia pompek i coś żuje zawzięcie. Strzyka płatem mięsa, rozwiera usta, żebym wyraźnie zobaczył ludzi, którymi się zajada. Pogniecione ciała. Chris przętyka z obrzydzeniem, a niżej, ulicami, w stronę tej gęby sunie nieprzebrany tłum. Tak pokornie. Suwają nogami. Widzę ich wszystkich z bliska i z daleka naraz, a czarna łapa sięga po kolejny kęs.

Siadam na łóżku, suchy jak wiór.

Wokół kłębią się zmarli z Middletown.

Adrian z rozwaloną głową. Ksiądz Grzegorz.

Kate-Katarzyna otwiera usta dokładnie tak samo, jak kiedy widziałem ją po raz ostatni, tym razem jednak nic nie gra, nic nie śpiewa. Napuchły Joe. Piotrek z białą dziurą w piersi.

Zrywam się i próbuję ich rozpędzić, równie dobrze mógłbym przeganiać mgłę, bić w wodę - tak miękko i zimno. Przelatuję przez Joego i Kate-Katarzynę, rana na mojej dłoni otwiera się, skomłę, to skomlenie coś mi przypomina. Człowiek na podłodze. Agnieszka. Goluteńki miotam się po pokoju hotelowym, zmarli są coraz bliżej i mają smutne oczy.

Biorą mnie w półokrąg.  
Muszę jechać do Middletown.  
Ale wcześniej, na Tremont Street.  
Już wiem co robić.

Middletown, noc. Ta akurat jest młoda, za to wszystko w pobliżu wygląda, jakby miało miliony lat. Żadnych świateł i wielkie drzewa, wzgórze po lewej rozłupane głęboką jamą. Cisza jest przytłaczająca. Tylko śnieg chrupie pod butem. Plecak ciąży bardziej niż powinien.

Mijam pierwszy dom, upiornie pozbawiony życia. Jest tylko ciemnym kształtem na tle drzew i śniegu. Dojazd zasypany. Drzwi otwarte na oścież. Rozkraczony samochód na podjeździe. Wpakował się w sosnę.

Przez moment wydaje mi się, że słyszę bicie bębnów, ale wiem, że to złudzenie.

Zatrzymuję się pod domem Adriana i Kate-Katarzyny, długą chwilę czekam w cieniu. Rozwalony samochód zniknął, nie ma też księdza Mirka i choćbym urwał sobie głowę, nie umiem znaleźć śladów, gdzie się podzieli. Cisza aż nęci, odbiera odwagę, położyłbym się teraz i udawał, że śnieg jest ciepły.

Po schodach nie ma nawet śladu, resztki piętra sterczą dziwacznie niczym skalna półka. Depczę resztki domowego drobiazgu: talerze, telefony, dalej znajduję całą masę połamanych kompaktów. Za to schody do piwnicy ocalały, jeśli nie liczyć obtartych drewnianych nadproży. Na jednym z nich został kawałek włochatego skalpu. Zszedłem. Włączam latarkę. Tu jeszcze coś ocalało.

Stół bilardowy, a na nim nie rozegrana do końca partia.  
Telewizor z dziurą w kineskopie, wywrócona szafka z zabawkami.

Podłogę pokrywają dziwaczne ślady, jakby plamy po

rozgrzanej sadzy. Widzę je wyraźnie w świetle latarki. Klękam. Coś wżarło się w podłogę, na centymetr, może dwa. Trzeba iść.

Omiotam światłem latarki kąty pomieszczenia.

Pod ścianą, jak królowie dawnych plemion, złożeni w skalistej krypcie, leżą umarli.

Jest ich czworo, nie rozpoznaję nikogo. Trzech mężczyzn i kobieta. Ledwo się wloką środkiem ulicy, wsparci jedno na drugim, o przeżartych, pogarbionych ciałach. Momentami pełzną. Ledwo odziani, mimo takiej pogody, kobieta jest bosa i to ona właśnie pada, przewraca się na plecy i ani myśli wstawać. Jej pierś unosi się wysoko. Mężczyźni okrążają ją, jeden ją trąca, wreszcie chwytają za ręce i ciągną przez asfalt. Kobieta tylko pojękuje, jej pięty bębnią, na drodze zostaje zdarte ubranie i fragmenty ciała.

Na miejscu Chrisa zaryłbym się w mysiej dziurze i odbierał hołdy.

Z wzniesienia mam dobry widok na to, co pozostało z Middletown. W centrum nie pali się żadne światło, jeśli nie liczyć dogasających kup śmiecia i ciemniejących iskierek w oknach. Stacja benzynowa jest czarna i to tak, że prawie jej nie ma, nie umiem wyłuskać domów z ciemności. Wyteżam wzrok... Maleńcy ludzie zasuwiają ośnieżonymi ulicami.

Ruiny kościoła są częściowo przesłonięte przez inne budynki. Tam idą wszyscy. Każdy coś targa, choćby i trupa. Wewnątrz, co ledwo już mogę wpatrzeć - zamieszanie.

Plan, wcześniej klarowny, teraz wydaje się szaleństwem, równie dobrze mógłbym zestrzelić miga z procy. Przypomina mi się ksiądz Grzegorz. Zakręt. Widmowa dłoń, co mnie ocaliła, rozglądam się po martwym lesie.

Cokolwiek czekało na nas, dawno sobie poszło.

Schodzę śliskim zboczem.

Zatrzymuję się w cieniu domu, choć cień to nie najlepsze słowo, tu wszystko ginie, jest półkształtem. Nawet ludzie, których widzimy. Jak noga, to ręka już nie bardzo. Pół głowy pod garbem.

Każdy coś wlecze.

Czterech tłuściutkich mężczyzn ściska gruby sznur. Za sznurem wlecze się mercedes na luzie. Co chwile stają, ocierają czoła, skręcają kierownicę, ale żaden nie zasiądzie w szoferce.

Wielki plazmowy telewizor przygniata starszą kobietę.

Irena ciągnie opierającego się Sebastiana. Także łączy ich sznurek. Chłopak przypomina smutną kozę na spacerze do rzeźnika.

Są i inne dzieci. Młoda mama z cycem większym od siebie samej niesie kwilący tobołek. Ojciec spaceruje z zaaferowanym nastolatkiem. Dalej, grupa rodziców wiedzie całe przedszkole, błyskają telefony komórko

we, ktoś tam pali świeczkę, ktoś inny wali na kolana i zaczyna się modlić; o Jezus Maria, o Ojczy Niebieski.

To chaotyczny, rozdrobniony pochód, zasilany przez kolejnych, opuszczających swoje domy. Milczenie, tylko to „o Jezus”, „o Święta Panienko”. Niosą. Zestawy kina domowego, małe głośniczki ciągną się po śniegu. Worki złota. Facet próbuje się z szafą. Worek książek obok. Półtonowy harley. Marek ledwo go pcha. Drobiazgi: kolia ściśnięta w ręce. Dolary w foliowym worku. Sosna przyciska je do piersi.

Każdy wygląda, jakby targał ciężar ponad siły, nawet grubas z garścią pierścionków. Co chwile je gubi, pada, zbiera i wlecze się dalej. Czterem facetom auto zjeżdża na pobocze, trapią się tym, pchają. Nikną mi z oczu.

Idę wolniej niż wszyscy, nie chcę wyprzedzić Ireny. Jej ręka wpija się w kark Sebastiana.

Ruiny kościoła są rozświetlone od wewnątrz. Latarki, znicze, lampy halogenowe odbierają kolory twarzy Chrisa.

Chris siedzi wśród ruin po turecku. Ma szlafrok, tylko szlafrok, odsłaniający bezwłosą, muskularną klatkę. Macha bosymi stopami. A pazury jak u kuraka.

Patrzy ponad głowami zebranych. Mieszam się w tłum.

Podnoszę plecak, wsadzam rękę.

Ludzie pchają się do przodu łagodną ławicą, idziemy z nimi, ale o krok dalej. Wzrok Chrisa śmiga nad głowami, jakby gasił niewidzialne ognie. Wpija łapy w kolana. Są prawie czarne.

U jego stóp leży błyszcząca hałda połamanych gratów. Obok kij do krykieta.

Kobieta zrzuca telewizor z pleców, chwytą kij i uderza ile wlezie. Mało nie padnie od tego, wreszcie, rozkłada szeroko dłonie, pada na kolana i spieszy przez ostre resztki, ucałować brudną stopę. Chris cofa się poza jej zasięg, kobieta baranieje i z tego ogłupienia ląduje twarzą w szkłe. Inni mruczą gniewnie, idź babo, zrób miejsce innym. Jakoś tam wstaje. Ma pocięte kolana, policzki, dłonie. Niknie zaraz, gdzieś po lewej.

Facet rozsypuje złoto i znów na kolana. Przewraca się i turla, za nim następny, banknoty wirują w powietrzu.

Marek ciska harleya.

Za to goście z samochodem mają problem, koła nijak nie zamierzają toczyć się po gruzie. Wielka sapanina. Ludzie rozstapili się, robią przejście, do czwórki dołączają kolejni, za dużo do sznura, chwytają podwozie i unoszą za przód. Jeden natychmiast włazi, podtrzymuje od dołu. Widzę tego faceta. Okrągła gęba, małe oczka. Bary jak u tura. Robi małe kroki, mijają mnie i niknie z oczu, stają przed Chrisem i puszcza na komendę, tylko ten gość ze środka nie może wyjść ani

dźwignąć, pylmo- uyth jeszcze sekundę stoi i zaraz wbija mężczyznę w szkło. Trach dusi jęknięcie.

Przez tłum przebija się Irena. Pcha przed sobą Sebastiana.

Klękają jednocześnie, Sebastian wstaje, Irena klęczy w pokorze. Miękkim ruchem Chris opuszcza swoje siedzisko, łąduje po kostki w gratach i szkłe. Brną ku sobie. Sebastian znów chce klękać. Chris podtrzymuje go za nadgarstki, wpatruje się weń z nienawiścią, że o ja pierdołę, za to Sebastian jest chyba urzeczony.

Irena już idzie w ich stronę. Z kijem do krykieta.

Może to nie krykiet, ale inna gra potrzebuje takich dragów.

Chris ani myśli puścić nadgarstków Sebastiana, rozkłada dłonie. Widziany przez lampy, reflektory, Sebastian składa się z patyczkowatych ramion, czarnego orzeszka główki i korpusiku. Tam właśnie spada uderzenie. Zamach zza głowy. Mignięcie. W dół kręgosłupa, aż poniósł się trzask wybijanych kręgów, Sebastian trzepocze się w mocnych dłoniach Chrisa, Irena poprawia raz, drugi i piąty, aż Chris nie puści. Kij śmiga nad głową chłopaka.

Jeszcze to słyszę.

Ten łoskot kości, trzask kręgosłupa.

Chris odrzuca Sebastiana, a ja ciągle słyszę właśnie to.

Pokłoń mi się, mówi Chris. Raz to zrobiłem i niby nic się nie podziało. Jednak.

Umrzesz.

Chris rośnie i puchnie, twarz okala mu korona z kolców. Grzebię w plecaku. Jestem gotowy.

Umrzesz, powtarza Chris, jego słowa bołą, jakby mi głowę krojono, to znaczy, że znikniesz. Wszystko co masz, jest tutaj.

Wydaje mi się, że słyszę jego śmiech.

Brzmi jak kości uderzające o siebie, tego mi nie trzeba,



mam swoje. Ciskam mu je pod nogi. Piszczel i kawałek czaszki.

Chris przekrzywia głowę i nic nie mówi. Nagle wybucha śmiechem.

Po co to przyniosłeś? Drwi.

Po gasnących oczach widzę, że wcale mu nie do śmiechu, sięga w głąb siebie, próbując uchwycić chwilę popełnienia błędu. Przecież oddałem klucz. Bez klucza nie otworzę skrytki, a więc skrytka pozostaje nie otwarta. Demon, śledzący zwykłe ludzkie sprawy.

- To są kości księdza Grzegorza, stary capie - mówię.

Zabraliśmy je z piwnic Tremont Street.

Przez krótką chwilę nic się nie dzieje, Chris garbi się nad kośćmi, a wzrok ma taki, jakby nie umiał ich wypatrzyć w morzu naznoszonego szajsu.

Kości są ciemne i zimne. Zwykłe ludzkie gnaty.

I gdy myślę, że wszystko zawiodło, gdy Chris zwraca ku mnie swoje straszne oczy, już zaczynam rozumieć, bo w jego wzroku niknie nienawiść, wzrasta przerażenie. Rzuca się do tyłu, ale zaraz zaplątuje się w szkło, kable, części motorów i samochodów. Jęczy i pada, toruje sobie drogę, chce zniknąć w tym świeżym kopcu. Na jego ciele otwierają się rany, ze środka bije pustka, zimny cug.

Na czworakach odwraca się ku nam, rozczapierza palce, syczy, ale już nic nie może, wyje tylko, próbuje mnie schwycić. Odsuwam się o krok. Plecy skleiły się mu z brzuchem. Zostaje tylko wściekłość, Chris zdrapuje sobie skórę z twarzy, rozszarpuje pierś, podkurcza nogi i nieruchomieje.

Budzę się mokry, cuchnący i kac rozrywa mi durną głowę, znajduje odrobinę koki i doprowadzam się do pionu, wodze wzrokiem po brudnej pościeli, moje ciało śmierdzi od środka i nie sposób go domyc, schodzę po wodę, odprowadzany przez

złe chińskie oko, wypijam cały karton soku. Płuca palą od papierosów. Wiem, że powinienem zjeść, ale nie mam na to ochoty. Przed wyjściem zabieram wszystko, co cenne, wlokę się przez Boston, przerażony perspektywą rozpoznania. Agnieszka, Jarek. Murzynka, co z nią zrobiłem?

Nad kawą w Donkin Donuts los mojej czarnulki pozostaje nieodgad- niony, za to świetnie rozróżniam inne sny.

Nie byłem w żadnym Middletown, nie ruszyłem nawet tyłka z pokoju, siedziałem, piłem i miotałem się w czterech ścianach. Dobrze, jak dobrze.

Naprawdę jest okej, bo nie ma nic głupszego niż pchanie nosa w nie swoje sprawy, te muszą płynąć swoim rytmem, choć czasem przypominają rozwścieczony nurt. Dopuszczam możliwość, że widziałem prawdę, że tam rzeczywiście mordują się w ruinach kościoła, niech Chris ma swoje pokłony i trony. Być może na to zasłużył. Ja nic nie zrobiłem. Więc siedzę sobie, skonany ponad siły, piję kawę czując, że powoli opuszcza mnie paranoja, duchy odeszły, jeśli to były duchy. Może coś, co wylazło ze mnie.

Coś co jest słabe i niedługo umrze.

Boże, wracam do pieprzonej Polski.

Samolot kołuje po pasie lotniska, a ja myślę o wszystkim, co się wydarzyło. O tym, co dał mi ten pobyt i co ja dałem Ameryce.

Kości wciąż leżą w skrytce, dokładnie tak, jak je zostawiłem. Próbuję przewidzieć, co z nimi się stanie.

Ktoś pewno podniesie kluczyk, skojarzy ze skrytką. Ta prędzej czy później zostanie otwarta. Kości trafią do jakiegoś policyjnego laboratorium. Idę o zakład, że policjantom w Bostonie nagle zaczną się wieść.

Wzrośnie wykrywalność przestępstw, dilerzy znikną z ulic,

ludzie przestaną strzelać do siebie.

Tylko dzieci.

Gdzieś tam, w brzuchu jakiejś kobiety, budzi się Chris.

Odrywamy się od ziemi. Żołądek podchodzi mi do serca.

Wiem dobrze, co dostałem, niejasno przeczuwam skalę  
mojego przemienienia, rozumiem też, o co chodzi z tą Ameryką.  
Przyjeżdżamy tutaj po dolary. Tanie samochody i życie bez  
kłopotów.

W zamian możemy dać tylko kości.

Ale to już nie jest moja sprawa.

Warszawa 2010

DYNIOGŁOWY

John Everson

John Everson (ur. 1966) - amerykański pisarz horrorów, redaktor, muzyk. Autor kilku powieści i kilkudziesięciu opowiadań. Jego Demoniczne przymierze zostało nagrodzone Bramem Stokerem, czytelnicy bardzo dobrze przyjęli również Ofiarę, kontynuację tej książki. Niedawno na polskim rynku ukazał się bestsellerowy zbiór opowiadań Eversona, Igły i grzechy. John Everson nie stroni w swych utworach od pikantnych scen seksu, gore i humoru. Opowiadanie Dyniogłowy jest potwierdzeniem jego literackiego kunsztu.

Ręce Jacka drżały, kiedy przy pomocy markera i nakrętki od butelki, podwędzonej z apteczki mamy, kreślił małe kółko na gładkiej skórcie dyni. Rozmiar będzie w sam raz!

Znajdujący się w fazie między kwadrą a pełnią księżyc z krzykliwą ulgą świecił na skapane nocą skórki setek pomarańczowych kul, ale dynia Jacka była wyjątkowa. Wybrał

ją nie tylko ze względu na rozmiar, ale także jej odosobnienie. Jakimś cudem jej pnącze wypełzło z kanału irygacyjnego i wykształciło się z dala od innych, w cieniu sękatego wiązu.

Po narysowaniu kółka Jack otworzył scyzoryk i szybkimi, krótkimi pchnięciami zamienił je w otwór. Jego serce zaczęło głośno bić, podczas kiedy kończył pierwszy etap swojej profanacji.

- Musisz spróbować! - powiedział mu szeptem Tom, kiedy w zeszłym tygodniu wracali ze szkoły. Wydychając dym z Marlboro, z wyuczoną pogardą przeznaczoną dla każdego, kto akurat spojrzełby w tę stronę, Tom zaśmiał się. - To pokrecone, ale cudowne. Musisz tylko mieć pewność, że dziura nie będzie za duża, bo się nie uda.

Na początku wydawało mu się, że Tom ściemnia. „Nikt tego wcześniej nie próbował! To totalnie obrzydliwe”. Jednak za każdym razem, kiedy o tym pomyślał, ogarniało go zabawne, wewnętrzne przeświadczenie, że ten pomysł jednak mu się podoba. Tak więc tej nocy, pod osłoną chłodnego, październikowego wiatru, Jack stał, trzymając w dłoniach dynię. To głupie, pomyślał po raz setny. To już przegięcie.

Rzucił ukradkowe spojrzenie na grzędę, w niemym zachwycie nad nieskończonymi rzędami przypominających pomarańczowe piłki do kosza dyń, wyciągających się w stronę ciemnego horyzontu, a potem rozpiął pasek i spuścił spodnie. Na samą myśl o tym, że wciela tę perwersję w życie, poczuł w żołądku zimny supeł, a jednocześnie zupełnie przeciwstawne dźgnięcie gorącego oczekiwania przeszło przez jego serce i krocze. Drżąc i potrząsając ramionami ściągnął slipy, a na jego ciele pojawiła się gęsia skórka. Uklęknął obok dyni.

Chwycił szorstką, pomarszczoną i martwą winorośl, wyrastającą ze szczytu dyni i wprowadził swojego sterczącego

penisa do niedawno wy- piłowanego otworu. Zaczął głośno dyszeć od jej dotyku. Na początku się bał - czy dziura będzie wystarczająco duża, by go przyjąć? Czy nie utknie w środku? Czy nie złapie od dyni jakiejś dziwnej choroby - na przykład pomarańczowych brodawek na genitaliach?

Jednak żadna z tych obaw nie powstrzymała go przed wepchnięciem się w delikatnie opierające się wydrażenie. Było zimne i lepkie. Wyobraził sobie swoją ulubioną kobietę z plakatów, leżącą przed nim w liściach i ocierającą się o niego. Byłaby cieplejsza, pomyślał, ale pewnie też lepka. Czy z nią byłoby podobnie? Powstrzymał się od jęku, kiedy dotarł do warstwy oślizgłych nasion i włosków. Przybliżył się, by lepiej wcisnąć się do wnętrza, podczas gdy galaretowate włosy łaskotały i pieściły jego członka. Czuł, jakby dynia sama go przyciągała do swojego sklepienia. Wyciął idealny otwór, wystarczająco ciasny, by ścisnął go jak kobieta. A przynajmniej tak mu się wydawało. Kobieta wypełniona chłodnym śluzem i nasionami - zaśmiał się, prowadząc penisa w stronę prażkowanych ścianek dyni. Wydał z siebie jeszcze jedno, mimowolne westchnienie przyjemności, kiedy przeszły go wyzwalające dreszcze. Wtedy chwycił go wilgotny strach, spowodowany jego własną deprawacją. Co on tutaj wyczyniał?

Odsunął się od swojej warzywnej przyjaciółki i podciągnął spodnie, nawet nie zwracając sobie głowy wytarciem posklejanych resztek pomarańczowego i białego śluzu. Żelowa substancja przyczepiła się do jego owłosienia łonowego i brzucha, jak lepki dowód jego dziwnego i mrocznego cudzołóstwa. Wetknął dwie dynie pod pachy i oddalił się od cichego pola na skraju miasta.

- Skąd je wzięłeś? - Matka wrzeszczała, kiedy wpadł do kuchni ze skradzionymi skarbami. - Nie zabieraj ich na górę, bo

zgniją! Jack!

Ułożył bezpiecznie dynie w swoim pokoju i wrócił do kuchni, by uspokoić mamę. Sztuka polegała na tym, aby wszystko wyjaśnić, zanim ona zacznie roztrząsać sprawę. Potem już nie byłoby odwrotu.

- Zamierzam je wyrzeźbić - ogłosił, odpierając jej obiekcje.

- Za parę dni Halloween, do tego czasu nie zgniją. Jeśli zostawię je na zewnątrz, dzieciaki wykopią je na ulicę.

Nie była przekonana, ale nie poddał się.

- Wszystko potem wyczyszczę, nie martw się.

Tej nocy, po zgaszeniu światła, Jack wodził delikatnie palcami po gładkiej, nierównej skórze swoich dyń. Ich faktura wywoływała u niego dreszcz. Jego penis wzniósł się. Nagi, wygięty pod lśniącym światłem księżyca, wpadającym przez okno, pocałował dynie na dobranoc i wskoczył do łóżka. Jego ślina perliła się na ciemnopomarańczowej skórcie.

Zamierzał, jeśli tylko uda mu się doprowadzić sprawę do końca, podzielić się wrażeniami z Tomem - w końcu to właśnie on wskazał mu pomysł, prawda? Ale kiedy następnego dnia poszedł do szkoły i zobaczył swojego przyjaciela, który z drwiną w głosie żartował o dobieraniu się do Mary Scott, Jack zrozumiał, że on i jego dyniowa królowa to prywatna sprawa.

Tej nocy, przy zamkniętych drzwiach do sypialni, jeszcze raz obrysował nakrętkę na dyni i przebił się przez bładą, miąższową błonę dziewiczą. Jego biodra poruszały się szybciej, tak jakby walczył o to, by być bliżej swojej nowej kochanki. Jednak, kiedy wydał stłumione chrząknięcie towarzyszące orgazmowi, myślał o swojej pierwszej dyni.

Następnego wieczoru niespokojnie wiercił się przy kuchennym stole. Klops i marchewka z kalafiolem wypełniały jego talerz. Pomarańczowe i białe warzywa leżały tuż przed

nim, przypominając o jego nowo odkrytych cielesnych przyjemnościach. Podnieciło go to. Nie mógł się doczekać odejścia od stołu i zamknięcia w pokoju na kilka upojnych chwil z dynią. Ale kiedy wreszcie do tego doszło, kiedy wyrył kolejną dziurę i nikczemnie się spuścił, ponownie w myślach skierował swoje pożądliwe zaloty do ogromnej królowej dyń, której wnętrze wydawało się ssać go za pierwszym razem aż do ekstazy. Schował swojego klejącego się fiuta z powrotem w spodnie i wydrążył do końca pierwszą dynię.

- Hmm, to bardzo... ładne, Jack - powiedziała mama, kiedy pojawił się ze świeżo wyrzeźbioną dynią. Wyglądała na zakłopotaną. - Kochanie, myślałam, że to ma wyglądać strasznie.

- To jest radosna dynia. - Jack wzruszył ramionami i wrócił na górę, żeby posprzątać.

Z drugą dynią robił to jeszcze dwa razy - po szkole i po obiedzie

- zanim wyrzeźbił jej twarz, którą jego matka w całkowitym zdziwieniu nazwała piękną. W poprzednich latach dynie Jacka zawsze wyobrażały, ze swoimi kłami i skośnymi oczyma, iście demoniczny terror. Te jednak

- powiedziała, wpatrując się w dwa przesadnie skromne uśmiechy pomarańczowych kul, stojących na kuchennym stole - te są...zalotne.

- Wychodzę na chwilę, skutecznie „cukierek albo psikus” - ogłosił Jack, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, zanim zdążył usłyszeć słowa protestu. Widać pomyślała, że jest za stara, żeby iść, chociaż te mikrusy zgarną wszystkie darmowe cukierki.

Pożyczył od Toma hełm i strój futbolisty, po czym wyruszył. Halloween było wietrzne, a padający wcześniej deszcz pozostawił w powietrzu przenikające do kości zimno. Liście

szeleściły i spadały dookoła niego, kiedy szedł od budynku do budynku, aż na koniec miasta. Księżyc był mały i przenikliwie biały, gdy zorientował się, dokąd prowadziły go nogi.

Przynajmniej nie będzie musiał dalej udawać. Puścił się pędem na pole dyń, mijając ostatnie cztery budynki z torbą pełną cukierków. Myślał o niej - swojej pierwszej, o królowej dyń - kiedy siedział w szkole. Te, które zaniósł do domu nie były w stanie zaspokoić go tak, jak ona. Modlił się, by nadal tam była. Modlił się, żeby nie zgniła przez dziurę, którą w niej wykłuł.

Pole pełne dyń to posępny widok, zwłaszcza w halloweenową noc. Zostały już tylko odrzuty - zniekształcone, przegniłe albo zbyt małe dynie zaśmiecały w dużych ilościach pole, a ciemne, głębokie wgłębienia, pozostałe po ich braciach, tylko świadczyły o rozmiarze ich porzucenia. Jack biegł susami przez pole, kierując się w stronę tylnego kanału, pragnąc już znaleźć się pod osłoną krzywego wiązu.

Ale jej już tam nie było. Na początku pomyślał, że pomylił drzewa, ale potem dostrzegł wgłębienie, które zostawiła i ślady po jego własnych kolanach. Kto chciałby zabrać dynię z dziurą na samym środku? - zastanawiał się, rzucając się na ziemię. Jak, jak mógł stać się takim zboczeńcem, czującym pożądanie do dyni? Ona przecież leżała tu, taka chłodna, taka... dobra!

- Szukasz kogoś?

Głos za jego plecami poderwał go na równe nogi.

- Nie, nie - wyjąkał, gapiąc się na stojącą przed nim dziewczynę. Była naga, zaplątana jedynie w winorośl, która ciągnęła się z jej brzucha, aż do gleby. Podeszła bliżej. Oddech uwiązał mu w gardle. Była pomarańczowa. Ciemny, cętkowany kolor dojrzałej dyni. Wydzielala piżmowy, warzywny zapach. Zbliżyła się i włożyła pokryty brodawkami palec prosto w jego rozdziawione usta.



- Tu była dynia - powiedział, odsuwając się i wskazując miejsce, w którym winorośl wbita była w ziemię.

- Tak - odpowiedziała matowym i szeleszczącym głosem, przywodzącym na myśl lato i nasiona. Ponownie go dotknęła. Dostrzegł wtedy, że jej skóra oszpecona była ciemnymi brodawkami i dołeczkami. Mokre i prześwitujące kępki włosów zwisały jej z głowy i krocza. Zgadł, że byłyby zimne i lepkie w dotyku. Kiedy objęła go ramionami, upewnił się, że miał rację.

- Szukasz mojej matki - wyszeptała mu do ucha niczym wiatr. Jej język, chłodny i mokry, kreślił wzorki na jego karku. - To znaczy, że właśnie ty ją zgwałciłeś. Jesteś moim ojcem.

Zniżyła się do poziomu jego talii i zaczęła szarpać pasek.

- Będę dla ciebie kobietą, którą moja matka nigdy nie mogła być - obiecała i pomogła mu powoli ściągnąć ubranie. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że to nie może być to, na co wygląda - dynie nie mają ludzkich dzieci, nawet pomarańczowych i pokrytych brodawkami. Dziewczyny nie robią na polach lodu obcym chłopcom. Ale ona istniała, a jej chłodny dotyk doprowadzał go do białej gorączki. Pozwolił jej pełzać po swojej skórze. Jej oślizgłe pocałunki kleiły się do niego, jak owocowy miąższ. Jego penis miał wręcz bolesną erekcję. Jeszcze nigdy nie był tak podniecony. Piersi miała twarde, zakończone ciemnobrązowymi sutkami. Jej włosy plątały się na jego ciele lepкими hałdami.

Poczuł jej ucisk na kroczu, zupełnie jakby ktoś położył mu na karku schłodzoną kiszoną kapustę.

A potem się odsunęła. Przeciągając się na ziemi, na której parę dni wcześniej posiadał jej matkę, pokazała mu owalną przestrzeń między jej gładkimi, lekko zakrzywionymi nogami.

- Możesz to mieć - obiecywała. - Będę lepsza niż moja matka. Ale najpierw musisz przeciąć moją pepowinę. - Uniosła

zbrązowiała winorośl, wystającą jej z brzucha, a on ze zrozumieniem włożył rękę w porzucone spodnie, w poszukiwaniu scyzoryka. Wysunął ostrze, przyciskając je do jej brzucha tak blisko, jak tylko mógł. Zaczął ciąć. Stała sztywno, nic nie mówiła. Czysty, lepki płyn przelał się przez ostrze na jego ręce.

Teraz - powiedziała głosem pełnym drażniącego wyczekiwania. - Zapłodnij mnie, nawieź mnie, podlej mnie.

W jej ustach brzmiało to jak najbrudniejsze świństwa, jakie Jack kiedykolwiek słyszał. Odrzucił otwarty jeszcze nóż i przybliżył się do niej.

To było jak pierwszy raz, pomyślał, kiedy pokrył dyniową dziewczynę. Jej oczy ciemno błyszczały w świetle księżyca, kiedy mocno pocałował ją w usta, a potem przejechał językiem po rzędzie jej zębów. Wessała w siebie jego ciepło. Jej naturalna oziębłość jedynie przyśpieszyła u niego gorącą falę orgazmu.

- Tak - wysapała, kiedy wreszcie doszedł, dysząc i podskakując na niej jak epileptyk. Jack spojrzał jej w oczy, by sprawdzić, czy jej wzrok wyraża taką samą satysfakcję jak jego własny, ale ujrzał tylko, że jej apetyt dopiero się zaostrzył. - Zapłodnimy razem setki nasion, kochanie - obiecała, oplatając go w uścisku pomarańczowej skóry, twardej jak drewno. Walczył, kopał i krzyczał. Ale z uchwytu królowej dyń nie było ucieczki. W jednej chwili jej ramiona i nogi splotły się wokół niego. Zaczęli się staczać ze wzgórza, jakby byli jednym ciałem.

A kto by tam zwrócił uwagę na stłumione krzyki z głębi halloweeno-wej nocy?

W końcu znaleźli jego ubranie. Leżało na gołej ziemi, pod starym, sękatym wiązem, tuż obok pustego pola dyń. Obok znajdował się krzywo wbity w glebę scyzoryk. Zanim farmer zaprowadził funkcjonariuszy policji w miejsce, gdzie można

było poszukać dalszych wskazówek dotyczących zaginięcia chłopca, zauważył ogromną, pomarańczową dynię, zerkającą spomiędzy chwastów u podnóża wzgórza. Potrząsnął głową z niedowierzaniem, że przegapił taki okaz w zeszłym tygodniu.

Wzięłby za niego dobrą cenę.

Wewnątrz tego „okazu” wykrzywił się biały, pokryty śluzem kształt. Uformowane z włosków dyni dłonie, wciąż ugniatając, utrzymywały go

w stanie ciągłego orgazmu, raz za razem magazynując nowo powstałe nasienie w swoim mięszu.

- Zapłodnimy razem setki nasion - wyszeptała słowa, które tylko on mógł usłyszeć.

Przełożył Piotr Pocztarek

## Spis treści

11 cięc

SPONIEWIERANA

MARZENIE

FUTERKA

RADOŚĆ HETMANA

DOKTOR, DZIECKO I DUCHY Z JEZIORA

WYBÓR LUCY

POWIEDZ IM, ŻE KOCHASZ

GŁÓD

DIABEŁ Z MROCNIEGO LASU

AMERYKAŃSKI HORROR

DYNI OGŁOWY

